

FRANCESCA
HORNAK

**SIEDEM
DNI
RAZEM**



Francesca Hornak

Siedem dni razem

Tłumaczenie:
Katarzyna Malita

Dla Felicity i Charity

Prolog

17 listopada 2016

Olivia

Cape Beach, Monrovia, Liberia, 1.03

Olivia wie, że to, co robią, jest głupie. Jeśli ktoś ich zobaczy, odeślą ich do domu – możliwe, że postawią przed sądem. Nieważne, że dotykając go, ryzykuje życie. Ale kto ich zobaczy? Plaża jest opuszczona i tak ciemna, że pod atramentowym niebem widoczność ogranicza się do paru metrów. Słyszą tylko szum fal rozbijających się o brzeg. Gdy podchodzą do wody, wyraźnie zdaje sobie sprawę, że ich łokcie znajdują się tuż obok siebie. Chce powiedzieć: „Nie powinniśmy tego robić”, ale przecież jeszcze niczego nie zrobili. Nadal nie złamali zasady „Nie dotykać”.

Wieczór zaczął się w barze na plaży z piwem w butelkach, a potem mocnym rumem z coca-colą. Przez wiele godzin siedzieli pod dachem z blachy falistej, między nimi migotała lampa sztormowa, a niebo płonęło złotawym brązem. Rozmawiali o wyjeździe do domu na Boże Narodzenie za pięć tygodni i o tym, że oboje chcieliby wrócić do Liberii. Opowiedziała mu o Abu, chłopczyku, którego leczyła, a po jego śmierci płakała na plaży. Potem rozmawiali o miejscach, w których dorastali i studiowali medycynę, i o swoich rodzinach. Jego dom w Irlandii był tak niepodobny do jej domu. Jako pierwsze dziecko w rodzinie poszedł na studia i podróżował. Próbowала mu wytłumaczyć, że medycyna była w pewnym sensie buntem przeciwko rodzicom, a on otworzył szeroko oczy – jak wtedy, gdy przyznała się, że w Boże Narodzenie pracowała jako wolontariuszka, by unikać rodziny. Zwróciła uwagę na jego oczy już przy pierwszym spotkaniu w centrum medycznym – bo tak naprawdę zza osłony widać było tylko oczy. Szarozielone jak morze w Norfolk z tak ciemnymi rzęsami, że wyglądały jak sztuczne. Patrzyła na jego dłonie, gdy skubał naklejkę na butelce z piwem. Podobnie jak jej były szorstkie i zniszczone z powodu kontaktu z chlorem. Chciała ująć jedną z nich i odwrócić w swojej dłoni.

Kiedy zamknięto bar, na niebo wysypały się gwiazdy, jak cukier. Nocne powietrze lekko muskało jej nagie ramiona. „Przejdziemy się?” – zapytał Sean, wstając. Zwykle dorównywała wzrostem mężczyznom, ale on był od niej wyższy o głowę. W jednej sekundzie, oświetlonej przez lampę sztormową, spojrzeli prosto na siebie i coś poruszyło się głęboko w jej brzuchu.

Teraz, gdy stoją po kostki w wodzie, niemal się dotykają. Piana migocze zielonkawo. Kiedy fala obmywa im łydki, Olivia traci równowagę, a on odwraca się tak, że niemal na niego wpada. On wyciąga ręce, by ją podtrzymać, a potem obejmuje w talii. Olivia odwraca się twarzą do niego, czując jego dłonie u dołu pleców. Centymetry pomiędzy ich ustami aż proszą się, żeby je pokonać. Kiedy on

muska wargami jej usta, Olivia czuje, że to najgłupsza rzecz, jaką zrobiła w życiu.
Hotel Buffalo, Monrovia, Liberia, 14.50

Popijając wodę, by uspokoić żołądek (po co wypła tego ostatniego drinka?), Olivia czeka na rozmowę z rodziną na Skypie. Czuje się dziwnie, siedząc w hotelowym lobby, małym bastionie kanalizacji i wi-fi; nie ma klimatyzacji, tylko wiatrak miesza wilgotne powietrze. Ale nawet tutaj daje o sobie znać niebezpieczeństwo i poczucie ostrożności. W łazienkach wiszą plakaty z wielkim napisem SYMPTOMY I OBJAWY WIRUSA HAAG z małymi ilustracjami przedstawiającymi wymiotujących ludzi. Barman wrzucił Olivii kilka monet na dłoń, nie dotykając jej – chyba słusznie się domyślił, że większość białych twarzy w Monrovii przebywa tu z powodu epidemii, by pomóc z „tym biznesem haag”. Inny pracownik pomocy humanitarnej chodzi po lobby, rozmawiając głośno przez iPhone’a o „kryzysie” i „dostawach”, a potem niepotrzebnie mocno wali w klawiaturę MacBooka Air. Ma na sobie podkoszulek z haag, drogie okulary przeciwsłoneczne i jest mocno opalony. To pewnie jakaś szycha z organizacji pozarządowej, myśli Olivia. Nie wygląda na takiego, który odważyłby się wejść do centrum leczenia haag albo włożył skafander ochrony osobistej – tak jak Sean. Sceny z ostatniej nocy przewijają się jej przez głowę. Nie może się już doczekać, by zobaczyć się z Seanem na zmianie, by delektować się napięciem związanym ze złamaniem zasady „Nie dotykać”. Oczekiwanie zagłusza głos powtarzający, żeby przestała, teraz, zaraz, zanim to zabrniesz za daleko. Ale przecież już jest za późno, by się cofnąć.

Uświadamia sobie, że śni na jawie – jest już pięć po trzeciej i rodzina będzie czekać. Nawiązuje połączenie i nagle jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki widzi ich na ekranie. Siedzą w kuchni przy Gloucester Terrace, ustawili laptopa na wyspie. Może to wina kaca, ale to małe okienko na Camden wydaje się tak nieprawdopodobne, że budzi śmiech. Spogląda na zielonkawoniebieskie szafki i lśniący ekspres do kawy za ich twarzami. Wszystko wygląda absurdalnie czysto i przytulnie.

Matka, Emma, nachyla się do ekranu jak zauroczony fan i dotyka szkła, jakby Olivia mogła się kryć tuż za nim. Może ona też nie może pojąć, że nagle w jej kuchni pojawił się kawałek Afryki. Ojciec Olivii, Andrew, macha jej niezgrabnie ręką na powitanie, uśmiecha się przelotnie, po czym słucha w milczeniu, mrużąc oczy. Raz po raz odgarnia grzywę siwych włosów z twarzy (męska wersja twarzy Olivii), marszcząc brwi i kiwając głową, ale nie patrzy na córkę, tylko gdzieś za nią, na hotel. Wielkie orzechowe oczy matki są lekko rozbiegane, gdy zarzuca ją pytaniami. Dopytuje się o jedzenie, pogodę, prysznic, wszystko, by tylko uniknąć – jak się wydaje – wieści o haag. Głos dochodzi z opóźnieniem, więc odpowiedzi Olivii zderzają się z następnym pytaniem Emmy.

Siostra Phoebe stoi za rodzicami, trzymając kota Kakao jak tarczę. Ma na sobie koszulkę na ramiączkach, w których – jak zgaduje Olivia – chodzi na siłownię i pokazuje zgrabne bicepsy. Próbuje im opowiedzieć o koguciku, który wdarł się na najbardziej zakaźny oddział i trzeba go było ukamienować, ale matka krzyczy: „Pogadaj z Phoebis!” i wypycha siostrę do przodu. „Cześć”, mówi Phoebe słodko, rzucając jej swój szeroki, bardzo fotogeniczny uśmiech, i macha łapką kota.

Olivii nie przychodzą do głowy żadne słowa – ona też uświadamia sobie, że rzadko rozmawiają z siostrą przez telefon. Potem przypomina sobie, że Phoebe miała niedawno urodziny (dwudzieste ósme czy dziewiąte? Chyba dwudzieste dziewiąte, bo Olivia ma trzydzieści dwa lata). Lecz zanim udaje jej się przeprosić, że o nich zapomniała, twarz Phoebe rozciąga się groteskowo jak w „Krzyku” Muncha. „Olivia? Wivvy? Wivv?”, słyszy jeszcze głos matki, po czym połączenie urywa się. Próbuje połączyć się jeszcze raz, ale bez powodzenia.

1

17 grudnia 2016

Andrew

Gabinet, Gloucester Terrace 34, Camden, 16.05

TEMAT: Tekst na 27 grudnia

OD: Andrew Birch <andrew.birch@the-worldmag.co.uk>

DATA: 17/12/2016 16.05

DO: Croft, Ian <ian.croft@the-worldmag.co.uk>

Ian,

tekst w załączeniu. Jeśli puścisz go bez mojej autoryzacji, wpadnę w szal.

Pozdrowienia

Andrew

PS NIE ZAMIENIAJ moich „taki” na „następujący”. To mnie cholernie wkurza.

PPS Pisze się hummus. Nie humus.

The Perch, Wingham, Berkshire

Jedzenie 3/5

Nastrój 1/5

Kiedy będziecie czytać te słowa, razem z rodziną znajdzie się w areszcie domowym. A, dokładniej rzecz ujmując, w areszcie haagowym. Dwudziestego trzeciego grudnia moja córka Olivia, lekarka i seryjna wolontariuszka, wróci z Liberii, gdzie leczyła ofiary epidemii wirusa haag – wciągając nas, swoją rodzinę, w siedmiodniową kwarantannę. Równo przez tydzień musimy unikać wszelkiego kontaktu ze światem zewnętrznym i możemy opuścić dom tylko w nagłym wypadku. Gdyby ktoś popełnił błąd i włamał się do środka, będzie musiał z nami zostać aż do końca kwarantanny. Rozpoczęliśmy już przygotowania do czasu, który w rodzinie Birchów nazywamy Tygodniem Świstagga. Waitrose i Amazon dostarczą chyba najbardziej obszerną i wyczerpującą listę zakupów w Wielkiej Brytanii. Ile rolek papieru toaletowego potrzebuje na tydzień czteroosobowa rodzina? Czy dwa kilogramy owsianki wystarczą? Powinniśmy się w końcu przekonać do serialu „Spirala” czy spróbować oglądać „Zaginionego”? Matriarcha rodu już tworzy listy lektur, utworów, listy porządków i prezentów. Jako że nie jesteśmy klanem, który ceni półśrodki, przenosimy się z Camden do naszego domu w dzikich ostępach Norfolk, by lepiej docenić narzucone nam odosobnienie. Poświęćcie ciepłą myśl Phoebe z pokolenia millenialsów, którą czeka tydzień ze stale zrywającym się wi-fi.

Oczywiście każde Boże Narodzenie przypomina w pewnym sensie kwarantannę. Ustawiamy automatyczną odpowiedź „poza biurem”, sklepy zapadają w sen, a przyjaciele emigrują do smutnych miast, z których pochodzą. Znudzeni

małżonkowie wzdrygają się na każdy dźwięk kaszlu drugiej połówki (w styczniu adwokaci od rozwodów są najbardziej zajęci – domyślcie się dlaczego). W tym najcudowniejszym okresie roku zbawcą jest jedzenie. To jedzenie naoliwia tryby pomiędzy głuchą ciotką i nastolatkiem-niemową. To jedzenie pachnącą cynamonem nostalgią wypełnia szczeliny pomiędzy rodzeństwem. To właśnie jedzenie wyznacza cel przepelnionej winą matce, która ożywia dawne Boże Narodzenia świętą trójcą indyka, sosu i żurawiny. I właśnie dlatego restauracje nie powinny serwować świątecznych potraw. Powodem, dla którego wychodzimy z domu o tej porze roku, jest chęć ucieczki przed duszącym zapachem piekącego się mięsa i matczyńskich zabiegów. Dla obrzydlistwa takiego jak sos chlebowy nie ma miejsca w menu.

Restauracja The Perch w Wingham nie zastosowała się do tych rad i postanowiła zapowiedzieć swoje otwarcie „alternatywnym świątecznym menu” (powtarzam raz jeszcze, nikt nie ma ochoty jeść alternatywnych świątecznych potraw). Jak we wszystkich prowincjonalnych knajpkach, wystrój oparty jest wyłącznie na nawiązującej do hummusu gamie kolorystycznej farb firmy Farrow & Ball. Obsługa była radośnie chaotyczna. Chleb z „przyprawionym świątecznym masłem” był dobry i ciepły, choć mogliśmy się obyć bez niepokojąco brązowego masła podanego w okropnej szalce Petriego. Zaczęliśmy od talerza możliwego do przyjęcia mocno wędzonego łososia; za alternatywny element służyła samotna gałązka rozmarynu. Matka rodu popełniła błąd, zamawiając solę w sosie cytrynowym – smętną słonawą fałdkę. Moje curry z indyka było ciekawą kałużą żółtej, mocno przyprawionej kuminem mazi, która miała na celu przeszmuglowanie do ust klienta czterech wąskich pasków mięsa. Zakończyliśmy niewyróżniającą się niczym deską serów i crème brûlée, które matka rodu uznała za koszmarnie słodkie, ale mimo to pochłonęła ze smakiem.

Mieszkańcy Wingham, nie zniechęcajcie się. Mam przecucie, że wy i wasi odziani w puchowe kamizelki sąsiedzi z radością skorzystacie z okazji, by zmienić swoje świąteczne menu. My, Birchowie, musimy się przygotować na tydzień wypełniony kanapkami z indykiem. Życzenie nam szczęścia.

Andrew oparł się wygodnie i zawahał przed wysłaniem tekstu do Iana Crofta – najmniej lubianego zastępcy redaktora w „The World”. The Perch nie była zła, wzięwszy pod uwagę jej lokalizację. W prowincjonalny sposób była nawet całkiem przytulna. Noc spędzona na górze w rustykalnym pokoju z prasowalnicą do spodni i czajnikiem do gotowania wody mogła mu nawet sprawić przyjemność, gdyby z Emmą nadal lubili tego typu hotele. Przypomniał sobie właścicieli, przejętą spoconą parę, która wyszła, by uścisnąć mu dłoń i porozmawiać o „sezonowości” i swoim „etosie”. Zastanowił się, czy nie zmienić komentarza o soli w sosie cytrynowym. Potem go zostawił. Ludzie w Berkshire nie czytali „The World”. W każdym razie, reklama i tak dalej.

Najważniejszy był fragment dotyczący jego własnego życia. Czuł, że ukazał rodzinę jako odpowiednio radosną. A tak naprawdę wcale nie cieszył się na tydzień spędzony w Weyfield, zimnym dworze w Norfolk odziedziczonym przez Emmę. Nigdy tak do końca nie wiedział, co powiedzieć swojej starszej córce, Olivii. Patrzyła na niego niepokojąco, śmiertelnie poważnie i z lekką odrazą, jakby potrafiła zajrzeć w głąb jego duszy i nie była tym widokiem zachwycona. A Emma przez cały tydzień będzie zaaferowana i spanikowana, mając ją nareszcie w domu. Przynajmniej będzie tam też Phoebe jako frywolna przeciwwaga dla tamtych dwóch.

Czasami czuł, że ma ze swoją młodszą córką więcej wspólnego niż z Emmą – zwłaszcza teraz, gdy Phoebe pracowała w mediach. Opowieści o beznadziejnej firmie produkującej programy dla telewizji, w której pracowała jako wolny strzelec i gdzie kochali się w niej wszyscy mężczyźni, zawsze doprowadzały go do śmiechu. Już miał krzyknąć do niej na górę, by zapytać, czy chciałaby mu pomóc zrecenzować nową knajpkę z sushi, kiedy jego uwagę zwrócił nieprzeczytany e-mail. Nie rozpoznał nazwiska nadawcy, co mogłoby wskazywać na jakiś spam. Jednak temat: „Cześć” przykuł jego uwagę. Treść była następująca:

TEMAT: Cześć

OD: Jesse Robinson <jesse.iskandar.robinson@gmail.com>

DATA: 17/12/2016 16.08

DO: Andrew Birch <andrew.birch@the-worldmag.co.uk>

Drogi Andrew,

rozumiem, że ta wiadomość może Tobą wstrząsnąć, ale chciałem się z Tobą skontaktować, bo wierzę, że jesteś moim biologicznym ojcem. Moja zmarła biologiczna matka, Leila Deeba, była Libanką i mogłeś ją poznać, gdy w 1980 roku pracowałeś jako reporter w Bejrucie. Tuż po narodzinach oddała mnie do adopcji i wychowałem się w rodzinie w Iowa. Teraz mieszkam w Los Angeles, gdzie produkuję filmy dokumentalne, dotyczące głównie zdrowia i zdrowego stylu życia. Podczas świąt będę pracował nad dokumentacją w Wielkiej Brytanii i bardzo chciałbym się z Tobą spotkać, jeśli nie będziesz miał nic przeciwko temu.

Pozdrawiam serdecznie

Jesse

PS Jestem wielkim fanem twojej kolumny!

– Wszystko w porządku? – zapytała Emma, wchodząc do gabinetu. – Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

– Naprawdę? – odparł. – Nic mi nie jest. – Ekran laptopa był odwrócony tyłem do niej, ale i tak zamknął komputer. – Właśnie skończyłem artykuł. A co u ciebie? – Zawsze go zaskakiwało, że potrafił nadać głosowi spokojne, nawet łagodne brzmienie, gdy miał karuzelę w głowie.

– Cudownie! Nie mogę się doczekać, żeby go przeczytać. Wyskoczę tylko

do Johna Lewisa. Potrzebuję jeszcze kilku ostatnich drobiazgów. No, może nie ostatnich, ale paru rzeczy do świątecznej skarpety dla Olivii. I... powinnam kupić jeszcze więcej papieru do pakowania... – Urwała i spojrzała na zegar nad jego głową. Zauważył, że żona mówi za szybko. Ale nadal nie mógł się uwolnić od skutków wstrząsu. Powiedziała jeszcze, o której wróci, i wyszła.

Raz po raz czytał e-mail. Oto rozległ się głos, którego na wpół się obawiał, na wpół oczekiwał. Wrócił myślami do zmysłowej nocy w Bejrucie 1980 roku, tej, która – jak próbował przekonać samego siebie – nigdy się nie wydarzyła. A potem pomyślał o dziwnym krótkim liście, który Leila Deeba napisała do niego półtora roku temu, a który przekazano mu z redakcji „The World”. Nadal go miał, ukryty przed Emmą. „Moja zmarła biologiczna matka...”. A więc ta cudowna kobieta o mocnym ciele, którą pieprzył w hotelowej pościeli, nie żyła. Wstał i wyjrzał przez zalane deszczem okno. Z kuchni w piwnicy dobiegła go piosenka „Frosty the Snowman”. Jakim cudem dożył wieku, w którym kobieta, z którą spał, nie żyła, a nie było to nawet niezwykle? Zasepił się na tę myśl i zmusił się, by wrócić do teraźniejszości. Co, jeśli w ogóle, powinien odpisać temu mężczyźnie? I co, a było to o niebo ważniejsze, powiedzieć Emmie?

Emma

Gabinet doktora Springera, trzecie piętro Harley Street 68, 16.59

Poczekalnię doktora Springera, wysoko nad Harley Street, zaprojektowano chyba specjalnie, by łagodziła złe wieści. Wszystko było miękkie, beżowe, wyłożone wykładziną. Przy dzbankach z kawą i herbatą zawsze stał talerz nietkniętych herbatników i leżały stosy kojących kolorowych czasopism. Oglądając rozkładówkę ze zdjęciami ze ślubu gwiazdy jakiejś opery mydlanej, Emma zastanawiała się, czy „OK!” utrzymuje swoją wysoką sprzedaż dzięki prywatnym praktykom lekarzy i ich przerażającym diagnozom. Nie rób sobie żadnych nadziei, powtarzała w duchu. Już w dzieciństwie zawarła pakt z losem. Jeśli chciała, by coś się stało, musiała pragnąć dokładnie czegoś przeciwnego – naprawdę, szczerze tego oczekiwać. Potem sprawdzało się to pierwsze (to, czego pragnęło się od samego początku). To przypominało opłacanie ubezpieczenia – przygotuj się na najgorsze, a wszystko będzie dobrze. Oczywiście, kiedy bały się czegoś jej córki, mówiła im, by „były dobrej myśli” i „nie martwiły się na zapas”. To właśnie miały mówić matki. Choć ostatnio zwierzała się jej tylko Phoebe. Jeśli Olivia miała jakieś zmartwienia, od lat zatrzymywała je dla siebie. Być może, pomyślała Emma, uda jej się wyciągnąć coś z córki podczas kwarantanny.

– Pani Birch? – zapytała recepcjonistka z ustami jak z kreskówki (czy podczas przerw na lunch zaglądała do chirurga plastycznego na parterze?). – Doktor Singer czeka na panią.

Weszła do gabinetu. Na jego posępny wygląd składało się połączenie ciężkich mahoniowych mebli i sprzętu medycznego. Wiedziała, że za parawanem stoi wąska kozetka przykryta niebieskim papierem z długiej rolki, gdzie pierwszy raz pokazała lekarzowi guzek wielkości orzecha laskowego pod prawą pachą.

– Obawiam się, że nie mam dobrych wieści – zaczął, jeszcze zanim zdążyła usiąść. – Biopsja wykazała, że węzeł chłonny, który nas zaniepokoił, to chłoniak nieziarniczny.

Zastanowiła się, czy lekarze uznają, że to najlepszy sposób, by powiedzieć ludziom, że umierają. Walić prosto z mostu, zanim zdejmą wierzchnie okrycie. Tłumaczył dalej, że potrzebne będą dalsze badania, by ustalić, czy guzek jest leniwy, czy agresywny. Zabawne myśleć o guzach jak o nastolatkach, pomyślała, gdy lekarz przeszedł do „metod leczenia”, patrząc na nią oczami jak kamyczki. Kiwała tylko głową i czuła się jak pozbawiona ciała. Czemu nie starała się bardziej nie mieć nadziei? Gdzieś głęboko w środku musiała założyć, że wszystko będzie dobrze, a teraz wcale tak nie było.

– Jak już wspomniałem, będziemy potrzebowali dalszych badań i poczekamy

na ich wyniki przed podjęciem jakichkolwiek decyzji, co pewnie będzie już po świętach – powiedział doktor Singer – ale musi pani zacząć leczenie w styczniu. W porządku?

– To rak zaczeka przez święta? – zapytała. Miała to być niewinna uwaga, lecz zabrzmiała lekko histerycznie.

Singer (bez wątplenia przyzwyczajony, że pacjenci mówią dziwne rzeczy) tylko się uśmiechnął.

– Chce pani jeszcze o coś zapytać?

Zawahała się.

– Tylko o jedno. Moja córka leczyła ofiary wirusa haag w Liberii i podczas świąt będzie odbywać z nami kwarantannę. Czy w mojej sytuacji to ryzykowne?

– Haag? – Pierwszy raz zbiła go z tropu. – No cóż, radziłbym, żeby przed czekającą panią biopsją unikała pani wszelkich zagrożeń dla odporności, zwłaszcza czegoś tak poważnego jak haag. – Zamknął jej kartotekę, jakby dawał znać, że wizyta dobiegła końca. – Spokojnych świąt. Proszę postarać się nie martwić.

Emma otworzyła drzwi budynku numer 68 przy Harley Street z całą gamą dzwonek do lekarzy różnych specjalności. Z ulgą wyszła z gorącego, kosztownie urządzonego holu i wyszła na grudniowe powietrze. Po drugiej stronie Cavendish Square dostrzegła uspokajającą zieleń domu towarowego Johna Lewisa. Umówiła się tam po wizycie ze swoją najdawniejszą przyjaciółką Nicolą, bo – jak powiedziała Nicola: „U Johna Lewisa wszystko zawsze wygląda dobrze”. Myślała w sekrecie, że La Fromagerie w Marylebone byłaby miłsza, ale teraz, gdy usłyszała złe wieści, stary poczciwy John Lewis wydawał się odpowiedni.

Nicola była jedyną osobą, która wiedziała o doktorze Singerze i guzku – guzku, który właśnie stał się rakiem. Emma nie powiedziała nic Andrew ani dziewczętom, bo nie było nic konkretnego do powiedzenia ani nie było się czym martwić. Zwykle podczas świąt domy towarowe były dla niej źródłem wielkiej radości. Lecz dziś lampki, wystawy i ludzie przechodzący tuż przed nosem byli męczący. Chciała tylko usiąść. Wysłała już Nicoli wiadomość – *Złe wieści* – bo nie mogłaby znieść wyrazu oczekiwania na twarzy przyjaciółki mieszczącego się gdzieś pomiędzy uniesieniem a współczuciem. Dotarcie do kawiarni na czwartym piętrze zajęło jej całą wieczność – za każdym razem, gdy docierała na szczyt ruchomych schodów, musiała iść kawał drogi do następnych. Potem długo nie mogły porozmawiać, bo musiały przepychać tace po metalowej ladzie, jak w szkolnej stołówce, prosząc uprzejmych młodych ludzi o herbatę Earl Grey i placek z owocami. Nicola przez cały czas opierała dłoń na ramieniu Emmy, jakby ta była bardzo stara, i rzucała jej smutne uśmiechy. Nicola uwielbia kryzysowe sytuacje, pomyślała Emma i poczuła wyrzuty sumienia.

W końcu usiadły.

– No dobrze – zaczęła przyjaciółka. – Mów.

Gdy Emma tłumaczyła, że jutro ma mieć kolejne badania, których wyniki dostanie po świętach i po Nowym Roku najprawdopodobniej będzie się musiała poddać chemioterapii, usłyszała, jak diagnoza nabiera kształtu i staje się częścią sześćdziesiątego roku jej życia (Boże, czy jest już tak stara?). Kiedy opowiadała o tym kolejny raz, myśli przestały galopować i poczuła, że lepiej sobie z tym radzi. Nicola cały czas zachęcała ją do walki i, trzymając ją za rękę, obiecywała, że „wygra tę bitwę” z pomocą przyjaciół i rodziny.

Emma przełknęła ostatni kęs lepkiego ciasta i zdołała się uśmiechnąć.

– Powiem o wszystkim Andrew i dziewczętom dopiero po kwarantannie.

– Co? Dlaczego? Musisz im powiedzieć! Nie możesz zostać z tym całkiem sama! – Głos skonsternowanej Nicoli podskoczył o oktawę.

– Nie mogę. Jeśli powiem, Olivia nie przyjedzie do domu. Wiem. Lekarz powiedział, że spędzenie z nią świąt może być ryzykowne. Ale muszę, ona nie ma gdzie się podziąć.

– Emmo! To głupota. Ona zrozumie, jest lekarzem, na miłość boską! Ostatnią rzeczą, jakiej pragnie, to narazić cię na niebezpieczeństwo.

– Ale... Posłuchaj, wiesz, jak to jest z Olivią. Pierwszy raz od lat będzie w domu na święta dłużej niż kilka godzin. W zeszłym roku był obóz w Calais, wcześniej Sudan, jeszcze wcześniej Filipiny. Chcę mieć ją tutaj. Nie obchodzi mnie, co myśli Singer. To tylko ryzyko – malutkie. Jeśli Olivia zachoruje na haag, mój osłabiony system immunologiczny będzie najmniejszym z naszych zmartwień.

– Ale Andrew? On na pewno powinien wiedzieć.

Nicola miała rację. Jednak Emma nie zamierzała się zagłębiać w to, jak mało ostatnio ich łączy ani że stopniowo stała się bardzo samowystarczalna. Od czasu ukończenia po rozwodzie kursu psychoterapii Nicola aż paliła się do udzielania porad przy każdej nadarzającej się okazji. Ale przecież nie mieli z Andrew żadnych kłopotów. Które małżeństwo po trzydziestu latach nadal łączy głęboka intymność? Znow łatwiej było obwiniać wirusa.

– On powie to samo: że Olivia nie może odbyć kwarantanny w domu. A jeśli to moje ostatnie święta? Nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdybym ją odtrąciła i straciła okazję, żeby spędzić święta we czwórkę. Tak bardzo się na to cieszę. Dziewczęta znów będą w Weyfield jak wtedy, gdy były małe.

Oczy Nicoli zwilgotniały.

– Dobrze, kochana – powiedziała. – Sama wiesz najlepiej.

Phoebe

Czwarte piętro hotelu De Beers Continental, Knightsbridge, 19.10

Była na miejscu. Pokój 131, luksusowy apartament. Gruby wełniany dywan stłumił pukanie do drzwi i zastanawiała się, czy George obserwuje ją przez judasz.

Otworzył drzwi. Miał na sobie biały szlafrok wafłowy i uśmiechał się z zamkniętymi ustami i uniesionymi brwiami jak zawsze, gdy uroczo sobie z czymś nie radził. Za nim migotały tuziny tealightów. George wziął ją za rękę i wprowadził do ciemnego, oświetlonego tylko blaskiem świec apartamentu. Na wielkim jak forteca łóżku rozrzucono płatki róż. Postanowiła pominąć ten szczegół, kiedy będzie to wszystko opisywać, bo już wiedziała, że to zrobi. Skoncentruj się, pomyślała. To się dzieje naprawdę. To, na co czekałaś. George ukląkł na jedno kolano. Z kieszeni szlafroka wyjął błękitne aksamitne pudełeczko i otworzył je teatralnym gestem, który wyglądał na wyćwiczony. W pierścionku osadzono wielki szafir otoczony brylancikami, jak u Kate Middleton. Nie przypominał biżuterii, którą nosiła Phoebe. Stłumiła rozczarowanie i towarzyszący mu wstyd, że jest taka okropna.

– Phoebe – zaczął George z głową na wysokości jej krocza. – Czy zostaniesz moją żoną?

– Tak! – pisnęła, obejmując go niezgrabnie za głowę, gdy zachwiał się lekko, próbując wstać. Zatrzeszczało mu w kolanie i pocałowali się.

– Jestem taka szczęśliwa – powiedziała mu prosto w usta. – Kocham cię.

– Ja ciebie też – odparł. Wyjął pierścionek, wsunął jej na palec i pocałował w rękę. Zaczął ją kierować w stronę łóżka.

– George... Przepraszam, ale już kiedy tu weszłam, strasznie chciało mi się siusiu. – Przewrócił czule oczami, a ona weszła do łazienki. Była ogromna. Ciekawe, ile kosztował ten apartament.

Siedząc na toalecie, przyglądała się pierścionkowi. Pewnie kosztował fortunę. Odwracała palce pod światło, myśląc, że jej dłoń wygląda bardzo dorośle. Za drzwiami strzelił korek. Stała przed wielkim potrójnym lustrem, czując zbierające się w brzuchu podniecenie i mając nadzieję, że wygląda trochę inaczej. Jesteś zaręczona! – powiedziała do swojego odbicia, gdy zastanawiała się, kogo ma zawiadomić w pierwszej kolejności i czy powinna powiedzieć, że to był szok, czy też przyznać, że podejrzewała, co się święci, gdy esemes George'a wezwał ją do hotelu. W wyobraźni rozkwitały już wizje przyjęcia zaręczynowego, poszukiwania sukni ślubnej, panińskiego weekendu w Paryżu, a może na Ibizie. Rozebrała się do bielizny i włożyła drugi biały szlafrok. W jego grubych fałdach wyglądała uroczo delikatnie. Obejrzała przybory toaletowe przy marmurowych umywalkach,

zmierzwiła włosy i wyszła z łazienki. George siedział na obitej brokatem sofie i fotografował komórką dwa wysokie kieliszki do szampana.

– Kazałem go schłodzić – powiedział. – To moët rosé. Wybrałem go specjalnie. Za moją piękną przyszłą pannę młodą. – Podał jej kieliszek. Wypił łyk i sapnął jak zawsze, gdy delektował się wyjątkowym winem. – Noo. Dobra rzecz.

Uśmiechnęła się szeroko.

– Wiesz, że nie potrafię odróżnić go od prosecco – powiedziała, mimo że po sześciu latach z George’em i odwiedzeniu wielu wspaniałych restauracji z ojcem jednak potrafiła.

– Popracujemy nad tym, mała. – Wyciągnął rękę i zmierzwił jej włosy na czubku głowy.

– A tak przy okazji, jest piękny – powiedziała, kręcąc dłonią, by pierścioneł zamigotał.

– Wiedziałem, że ci się spodoba – odparł. – Jest bardzo w twoim stylu.

Później, leżąc w zagłębieniu ramienia George’a, zaczęła wierzyć, że jest zaręczona. Kolacja w nagrodzonej gwiazdką Michelina restauracji na dole i butelka szampana w prezencie od obsługi bardzo w tym pomogły. Wcześniej pewnie przez szok wszystko wydawało się trochę nierzeczywiste. Szok potrafi stępić reakcje, była pewna, że gdzieś to słyszała. A teraz, kiedy na Instagramie i Facebooku pojawiła się powódź gratulacji i lajków, zaczęła cieplej myśleć też o pierścionku. Może najwyższa pora, żeby się przerzucić na „biżuterię dla dam” (określenie jej przyjaciółki Saskii na eleganckie cacka z diamentami). Sprawdziła telefon – selfie, które zamieściła wcześniej z podpisem *Zaręczona! Pozujemy w jednakowych białych szlafrokach #randkawciemnoreaktywacja* zebrało dwieście dwadzieścia cztery lajki, jej osobisty rekord. Pokazała George’owi małe zdjęcie, na którym stukali się kieliszkami z szampanem.

– Super – odparł. – Ale tego nie rozumiem: randka w ciemno?

– No co ty! Pary z „Randki w ciemno” zawsze mają na sobie białe szlafroki, piją szampana i uśmiechają się od ucha do ucha. Pamiętasz?

– A, racja. Tak! – Nie była pewna, czy zrozumiał. Czasami takie odniesienia nie do końca do niego trafiały. On podpisał to samo zdjęcie *#Moët #LTD #lifegoals*. Mnóstwo osób skomentowało, że tworzą śliczną parę.

– Stek był naprawdę rewelacyjny – rzucił w ciemność George. – Jutro rano siłownia!

Nie odpowiedziała. Myślała o tym, że dotyk prześcieradła na nogach jest jedwabisty, że uwielbia hotele i że reszta jej życia z George’em będzie serią takich miejsc jak to.

– Marzy mi się – zaczęła – żeby ktoś przychodził co wieczór i ścielił mi łóżko.

– To na pewno da się załatwić, księżniczko – odparł z uśmiechem, opierając

się na łokciu.

– Zdajesz sobie sprawę, że planowanie ślubu z mamą będzie koszmarem – wyznała. Podczas wcześniejszej rozmowy telefonicznej matka ogromnie się wzruszyła. Zaczęła nawet szlochać ze szczęścia. Trochę przesadziła, ale to było słodkie. – Pewnie marzy o wnukach – ciągnęła. Zwykle temat dzieci był zakazany, ale ten wieczór napełnił ją odwagą. Przytuliła się mocniej.

– Trudno się dziwić, z twoją siostrą – odparł George.

– Hej! Olivia ratuje świat. Nic na to nie poradzi, że nie ma czasu na mężczyzn – skarciła go i uderzyła lekko w pierś.

Zabawne, pomyślała, sama często narzeka na Olivię, lecz nie lubi słuchać, gdy krytykuje ją ktoś inny. George by tego nie zrozumiał jako trzeci z czwórki rodzeństwa, którego głównym celem było obrażanie się nawzajem. Ich najmłodsza siostra, Myszkka (naprawdę miała na imię Claire), była głównym celem ataków.

– Kiedy ona wraca? – zapytał. – I kiedy się zamykacie?

– Dwudziestego trzeciego. Miło będzie dla odmiany mieć ją w domu na święta.

George prychnął.

– No co?

– Nic. Odpowiedziała ci już?

– Odpowie. Nie jestem pewna, czy ma tam zasięg.

Przez chwilę leżeli w milczeniu. Sznur świątecznych lampek z Knightsbridge w dole migotał nad zamszowymi kotarami. Po chwili oddech George'a zwolnił, a obejmujące ją ramię rozluźniło się.

Spojrzała na niego, gdy spał. Przyszło jej do głowy, że przeważającym uczuciem jest ulga. Koniec z czekaniem. Koniec z nadziejami, że za każdym razem, gdy oglądali zachód słońca, to będzie t e n moment. Koniec z powstrzymywaniem małodusznych łez na widok każdego zaręczyn ogłoszanych na Facebooku. Nareszcie się wydarzyło. Leżała, przesuwając palcami po pierścionkach, próbując przyswoić sobie ideę „zameżnej”. Nagle zrobiło się jej za gorąco pod grubą kołdrą i wstała, by wziąć wodę z barku. Jej uwagę zwróciła otwarta koperta na lodówce. Domyśliła się, że to rachunek, i wysunęła go z koperty, by sprawdzić, ile George wydał. Jakie to słodkie z jego strony, że zadał sobie tyle trudu. Myśl, że zapalał te wszystkie świece, nawet rozrzucał kiczowate płatki róż, była tak do niego niepodobna, że aż wzruszająca. Przeczytała:

PAKIET „ZARĘCZYNY”

Pomoc w wyborze pierścionka i dostarczenie

500 funtów

Przygotowanie pokoju, w tym: świece, płatki róż, szampan Moët & Chandon Rosé, kosz owoców, jednorazowy aparat i czekoladki z inicjałami

350 funtów

Apartament ze śniadaniem

1000 funtów

Odwróciła się, nie wiedząc, czy powinna z tego zażartować. Ale George już chrapał.

Jesse

Bar Green Room, Los Angeles, 20.00

Czekając na młodszą siostrę, Danę, jeszcze raz sprawdził pocztę. Zaproponowała, żeby spotkali się na drinka, kiedy – zdenerwowany, lecz radosny – zadzwonił wcześniej, by powiedzieć jej, że wysłał wiadomość do Andrew Bircha. To było dwanaście godzin temu, lecz nadal nie dostał odpowiedzi. Czy Andrew jej nie zauważył? Jego biologiczny ojciec nie sprawiał wrażenia człowieka, któremu umykają wiadomości. Wiedział też, że był w sieci, bo o siedemnastej czasu brytyjskiego pojawił się tweet @RecenzjeABirch: *Czemu piszący o zdrowym żywieniu muszą określać orzechy jako „żywieniowe bomby”? Uproszczenie bez znaczenia.* O dziewiętnastej wrócił na Twittera: *Proszę, niech Boże Narodzenie 2016 minie szybko.*

No proszę. Czasami ten facet wydawał się taki negatywny. Przecież praca polegająca na recenzowaniu restauracji nie może być aż taka zła.

Kiedy dokładnie rok temu pierwszy raz wyszukał Andrew Bircha w Google i znalazł w sieci setki jego artykułów, wiele z załączonym adresem mejlowym, był podekscytowany jak diabli. Oto nadarzył się sposób, by poznać biologicznego ojca, w sekrecie, bezpiecznie, przed nawiązaniem kontaktu.

Badanie Andrew stało się jego późnowieczornym hobby. Miał teraz w głowie rosnący stale katalog informacji o Birchu, a każdy nowy fakt przynosił mu iście detektywistyczną radość. Jego terapeutka, Calgary, ostrzegła go, że choć to badanie było „bezpieczne”, nie wolno mu mylić wiedzy o biologicznym ojcu z poznaniem go naprawdę. Wiedział, że Calgary ma rację. Ale głos w ukazujących się co dwa tygodnie recenzjach dla magazynu „The World” był tak krytyczny, tak niepodobny do adopcyjnego ojca, Mitcha, że perspektywa spotkania z biologicznym ojcem na żywo stała się mocno zniechęcająca. Na dodatek kolumna była kopalnią informacji, gdyż Andrew poświęcał jedzeniu jedynie akapit, a resztę wypełniały migawki z jego życia osobistego i przeszłości.

Wiedział na przykład, że Andrew był jedynakiem urodzonym w 1950 roku, wychowanym przez samotną matkę. Miała na imię Margaret i pracowała jako nauczycielka angielskiego, by utrzymać ich oboje. Kiedy zmarła, Andrew napisał poruszający nekrolog jako wstęp do recenzji nowej hinduskiej restauracji w Willesden Green, rodzinnym mieście matki. W recenzji wspominał też, że ojciec opuścił ich po jego narodzinach.

Artykuł wzruszył go do łez i dał mu nadzieję, że widmo nieobecnego ojca sprawi, że Andrew tym chętniej powita własnego syna. Kilka razy Andrew napomykał, że dostał stypendium do prywatnej szkoły i studiował historię na

Oksfordzie. Był jednym z korespondentów „Timesa” na Bliskim Wschodzie, od 1977 do 1987 roku, pracował głównie w Libanie ogarniętym wojną domową, podczas najintensywniejszych walk. Domyślił się, że wtedy poznali się jego biologiczni rodzice. Wyglądało na to, że ten okres nadal zajmuje ważne miejsce w życiu Andrew. Kiedy tylko recenzował bliskowschodnie jedzenie, ostatnio furgonetkę z falafelami w „hipsterskim Dalston”, stale się do niego odwoływał.

Nie wszystkie informacje pochodziły z kolumny Andrew. Na uroczej brytyjskiej stronie internetowej ThePeerage.com znalazł informację, że pan Andrew Birch poślubił Szanowną Emmę Hartley w 1983 roku. Mieli dwie córki (przyrodnie siostry!), Oliwię Frances Birch urodzoną w 1984 i Phoebe Gwendoline Birch urodzoną w 1987 roku. W swoich recenzjach Andrew określał Emmę mianem matki rodu. To jest super, myślał Jesse. Podobał mu się pomysł posiadania macochy z arystokracji.

Jeszcze lepszy był znaleziony w sieci wycinek z zapomnianej kolumny plotkarskiej z lat osiemdziesiątych o nazwie „Sloane Snooper”. Dowiedział się z niego, że Andrew i Emma poznali się na ślubie Diany i Karola w lipcu 1981 roku, gdzie Emma była gościem, a Andrew reporterem. Fakt ten, jakby wzięty z brytyjskiej komedii romantycznej, okazał się prawdziwą bombą. Ponieważ Jesse urodził się w 1980 roku, a więc przed pierwszym spotkaniem Andrew i Emmy, czuł, że swoim pojawieniem się nie wywoła napięcia. Miał nadzieję, że Emma podejdzie na luzie do przeszłości męża.

Mimo to nadal nie czuł się zbyt pewnie. Po pierwsze, nie miał pojęcia, czy Andrew w ogóle wie o jego istnieniu. Wydawało się wielce prawdopodobne, że jego biologiczna matka nigdy nie wyznała Andrew, że jest w ciąży. Adoptowani rodzice wyjawili mu tylko, że zabrali go z sierocińca w Libanie, gdy miał dwa tygodnie. Calgary stale przypominała mu, by nie oczekiwał zbyt wiele. Powiedziała, że cała rodzina Birchów najprawdopodobniej dozna głębokiego wstrząsu, kiedy odkryje, że Andrew spłodził jeszcze jedno dziecko – nawet jeśli stało się to długo przed poznaniem Emmy. Będą potrzebowali czasu i przestrzeni, by uporać się ze swoimi emocjami.

W sieci znalazł też zdjęcia, głównie przedstawiające Andrew przy różnych okazjach medialnych – często z Phoebe. Jednak poza wzrostem nie potrafił dostrzec żadnego podobieństwa do biologicznego ojca. Dostrzegał ślad swojej linii włosów na małym zdjęciu towarzyszącym kolumnie, lecz w jego DNA dominującą rolę odgrywały geny libańskiej matki. Andrew miał jasną piegowatą karnację i zmrużone oczy, a Jessego w szkole średniej nazywano Aladynem na cześć kreskówki Disneya. Włosy Andrew rosły gładko do tyłu niczym lśniący srebrny pióropus, a on musiał codziennie walczyć ze swoimi lokami. Nawet orli nos biologicznego ojca – idealny do potępiania słabego merlota – wyglądał na wymagający. Jesse odziedziczył swój prosty rzymski profil po matce, podobnie jak

resztę rysów.

Oglądał zdjęcia przyrodniczych siostr w poszukiwaniu jakiegoś podobieństwa, lecz tam było jeszcze mniej wyraźne. Zdjęcia na Instagramie i Twitterze Phoebe były kusząco prywatne, lecz na zdjęciach z Andrew zauważył, że jest urocza. Miała władcą twarz angielskiej róży z nadąsanymi prerafaelickimi ustami, niezwykle zielone oczy i zgrabny prosty nos. W niczym nie była do niego podobna. Jedynym zdjęciem Olivii, jakie znalazł, było profilowe na Facebooku, które pokazywało żeńską wersję Andrew. Mieli taką samą pociągłą twarz, głęboko osadzone oczy i jasną karnację – jednak w kobiecie, bez sceptycznego spojrzenia Andrew, wyglądało to inaczej. Mało atrakcyjnie, powiedziałyby mama Jessego. Poza tym Olivia zdawała się egzystować w próżni. Nie wiedział nawet, czym się zajmuje.

Emma musiała być za stara, by udzielać się w sieci – w przeciwieństwie do medialnego męża. Jedyne jej zdjęcie znalezione na stronie „Sloane Snooper” pochodziło z 1981 roku. Widać na nim było ładną, uśmiechniętą brunetkę z wysoką fryzurą, w żakiecie z poduszkami wszytymi na ramionach – bardzo przypominała młodą Rachel Weisz. Dostrzegął podobieństwo pomiędzy nią a Phoebe, choć Emma wyglądała na zaokrągloną, a Phoebe była chuda jak modelka. Zdjęcie było jednak tak stare, że nie potrafił sobie wyobrazić Emmy dzisiaj.

Inne drobiazgi: Phoebe pracowała w telewizji (uchwycił się tej informacji jak na wpół znajomego terytorium) i towarzysząc Andrew podczas wizyt w recenzowanych restauracjach, zawsze zamawiała rybę. Sprawiała wrażenie zabawnej i dowcipnej w cierpki brytyjski sposób. Emma uwielbiała desery, Elvisa i chciała mieć psa, ale musiał jej wystarczyć kot, bo Andrew nie lubił psów. To go zaniepokoiło. Kto nie lubi psów?

Obecnie Birchowie mieszkali w Camden (tam gdzie Amy Winehouse!), lecz spędzali wakacje w brzmiącym cudownie brytyjsko Weyfield Hall. To właśnie Weyfield zapoczątkowało cały plan, by pojechać w grudniu do Norfolk – a dokładnie świąteczne zdjęcie dworu na Countryliving.co.uk. Kiedy zobaczył płonący ogień, rodzinne portrety i ciemną boazerię, uświadomił sobie, jak bardzo chce być częścią tego wszystkiego.

Z rozrzewnieniem zaczął podchodzić do myśli, że jego korzenie sięgają po części „Baśni z tysiąca i jednej nocy”, a po części Downton Abbey (nieważne, że Weyfield należało do rodziny Emmy). Był przekonany, że to jego rzadkie, mieszane pochodzenie, a nie fakt, że jest gejem, sprawiło, że szkoła średnia była koszmarem. I tak oznajmił wszystkim, że wybiera się na święta do Norfolk w Anglii, by zbierać materiały do „poufnego projektu”.

Tylko Dana знаła całą historię. Technicznie rzecz biorąc, nie było to do końca kłamstwo. Podróż, by poznać biologicznego ojca w posiadłości położonej na wsi, mogła być tematem niesamowitego filmu dokumentalnego. To będzie jego pierwszy samodzielny film, lecz miał co do niego dobre przecucie. Nakręcił już

kilka wstępnych ujęć: w swoim mieszkaniu opowiadał o życiu w Los Angeles, dzieciństwie w Iowa i oczekiwaniach związanych ze spotkaniem z Andrew w Norfolk, w Anglii.

– Zastanawia mnie, czy nie uderza cię to, że jak na recenzenta kulinarnego Andrew jest bardzo chudy? – zapytała Dana, gdy kelner przyniósł im drinki. – Wygląda na to, że nie lubi jeść. Nigdy nie pisze, że coś było „pyszne”. Tylko – przybrała snobistyczny brytyjski akcent – „to było dobrze zrobione”. W zeszłym tygodniu opisał sorbet jako „zgrabny”. Co to w ogóle znaczy?

Jesse popijał Krwawą Mary z sokiem z buraków. Zwykle nie pił alkoholu, ale kiedy w domu nacisnął klawisz „Wyślij”, był lekko spięty.

– Lubię jego teksty – odparł. To szaleństwo, pomyślał, że już zaczyna bronić Andrew. Choć Dana miała rację. Jego przyjaciele robiący zdjęcia każdemu zielonemu sokowi bardziej lubili jedzenie niż Andrew.

– Przepraszam, nie chciałam być wredna – powiedziała Dana. – Jestem tylko wkurzona, że ci jeszcze nie odpisał. W każdym razie teraz wiemy, po kim odziedziczyłeś metabolizm.

– Chyba tak.

– Jest jeszcze chudszy od ciebie.

– Yhm. Jesteśmy identyczni: metr dziewięćdziesiąt, siedemdziesiąt siedem kilo.

– Zachowujesz się jak *stalker*.

– Hej, to nasza jedyna wspólna cecha. Fizyczna.

– Mówisz to tak, jakby to było coś złego. Powinieneś być wdzięczny, że jesteś podobny do biologicznej matki-modelki. – Dana zawsze mu dokuczała z powodu jego osobiście pięknej twarzy.

– Phoebe w ogóle nie jest do niego podobna – zauważył.

– Wspomina o niej o wiele częściej niż o Olivii – powiedziała po chwili Dana. – Myślisz, że jest jego ulubienicą?

– Myślę, że jest osobą, o której można pisać. Zawsze rzuca zabawne komentarze na temat dań, które zamawiają.

– Racja – odparła. Dopija drinka, unikając jego wzroku.

Z żalem poczuł, że Dana z rezerwą podchodzi do jego biologicznego ojca i rodziny. Calgary zasugerowała, że skoro Dana nie była adoptowanym dzieckiem, może czuć niechęć do dzielenia się swoim starszym bratem. To miało sens – byli z Daną tak blisko, że po skończeniu college’u przeprowadziła się do Los Angeles. Jednak jej podejście nadal nie dawało mu spokoju. Tym bardziej że myślał podobnie o Phoebe i Olivii. Tylko Phoebe towarzyszyła Andrew w restauracjach i była gwiazdą jego anegdod.

– Nie mogę uwierzyć, że nie będzie cię w domu na święta – powiedziała Dana. Po wermucie zawsze robiła się sentymentalna.

– Dopiero co byliśmy razem na Święto Dziękczynienia.
– Kiedy powiesz rodzicom, że ten „poufny projekt” to jedno wielkie kłamstwo?

– Kiedy dostanę od niego wiadomość. Pewnie zastanawia się, co odpisać. Nie może tego zrobić tak od razu.

– Jasne. Ale lepiej, żeby się pospieszył. Bo będzie miał ze mną do czynienia. Wiedział, że Dana dochowuje tajemnicę tylko z powodu lojalności, i wolałby uniknąć tych sekretów. Ale tak było bezpieczniej, w razie gdyby poszukiwania zakończyły się katastrofą jak ostatnim razem. Nie spodziewał się, że mama aż tak bardzo się zdenerwuje, kiedy – po latach wahania – próbował się skontaktować z biologiczną matką i dowiedział się, że niedawno zmarła. Nie sądził, że jego samego tak to poruszy.

Tym razem poczeka do spotkania z Andrew i dopiero powie o wszystkim rodzicom. Dopóki nie pozna wyniku poszukiwań, lepiej nie wciągać w to nikogo. Przynajmniej biologiczny ojciec na pewno żyje.

Jednak o północy czasu pacyficznego nadal nie miał żadnej wiadomości od Andrew. Na pewno odpisze jutro, pomyślał, siedząc przy kuchennym blacie w bokserkach, z klimatyzacją włączoną na maksa. Wrócił na stronę internetową linii Virgin Atlantic. Wiedział, że powinien poczekać. Rezerwowanie lotu teraz było przedwcześnie. Ale bilety w okresie świątecznym robiły się coraz droższe. Na chwilę zawahał się przy okienku „Kup bilet”, po czym kliknął.

2

23 grudnia 2016

Pierwszy dzień kwarantanny

Emma

Hala przylotów, Terminal 3, Heathrow, 8.10

Emma dotarła na Heathrow dużo za wcześnie, wyjechawszy z Norfolk przed świtem. Za każdym razem, kiedy szła do łazienki (robiła to bardzo często po wielkim kubku cappuccino z Costa Coffee), czuła straszliwy niepokój, że w hali pojawi się Olivia i zobaczy, że nikt na nią nie czeka. Podobnie zawsze bardzo bała się spóźnić, gdy odbierała córki ze szkoły. Trudno było jej też wchodzić do małych toalet na Heathrow z tablicą powitalną, którą przygotowała. Na zielonym bristolu, który kupiła w sklepie dla artystów przy Holloway Road, wypisała: „Witaj w domu, kochana Wiv, nasza bohaterko”. Trzymając teraz tablicę, bała się, że wygląda głupio. Olivia nie lubiła zbędnego zamieszania. I czy nadal mogła ją nazywać „Wiv”, jej dziecięcym imieniem wymyślonym przez malutką Phoebe? Ale musiała jakoś zaznaczyć bezpieczny powrót do domu Olivii. A praca nad tablicą na godzinę odwróciła jej uwagę od guza.

Obok niej usiadł wysoki młody mężczyzna w czapeczce baseballowej. Położyła tablicę na podłodze, by jej róg nie uderzał go w udo. Spojrzał na napis, potem na nią. „Ładna tablica”, zauważył z amerykańskim akcentem. Gdyby się nie odezwał, założyłaby, że z tą oliwkową skórą i ciemnymi oczami pochodzi gdzieś z basenu Morza Śródziemnego. Miał regularne, rzeźbione rysy, które pasowały do aktora lub modela. „Seksowny”, powiedziała w młodości.

– Jest pani mamą Wiv? – zapytał.

– Tak. Była w Liberii, pracowała tam podczas epidemii wirusa haag. Jest lekarzem.

– To niesamowite. Musi być pani dumna.

– Oczywiście! To cudowne, co tam robią. – Lubiała entuzjazm Amerykanów. Zawsze czuła, że pasowałyby do Stanów.

– Jak długo tam była?

– Od października. Ale dla nas to całe wieki! – Zachichotała, a na jego twarzy znów błysnął uśmiech gwiazdy filmowej.

– Niesamowite – powtórzył. – Jestem pełen podziwu dla tych gości. To, co robią, jest super. Jak ona sobie z tym poradzi? – zapytał po chwili. – Proponują im jakąś terapię?

– Rety! Chyba nie. Nie, muszą sobie radzić sami – odparła, zastanawiając się nagle, czy powinna była zorganizować jakiś rodzaj pomocy dla Olivii. Po wcześniejszych wyjazdach wszystko było dobrze. Choć nigdy nie była w tak okropnym miejscu. – A pan? – zapytała, spoglądając na torbę u jego stóp. – Ma pan krewnych w Anglii?

– Tak jakby. – Zawahał się na moment; miała nadzieję, że nie popełniła jakiejś gafy. Może uciekał przed koszmarnym rodzinnym Bożym Narodzeniem w Ameryce. – Dziś odwiedzam przyjaciół w Londynie, ale tak naprawdę próbuję się spotkać z biologicznym ojcem. Jest Brytyjczykiem. Zostałem adoptowany jako dziecko, więc... Matka oddała mnie do adopcji. Biologiczni rodzice oficjalnie nie byli razem.

– Jakie to odważne – odparła, starając się nie wyglądać na wstrząśniętą. – Zakładam, że pański ojciec wie o pana przyjeździe? Biologiczny – dodała.

– Wysłałem mu mejla, ale nie odpowiedział, a już zarezerwowałem bilet. Nie jestem pewien, czy w ogóle wie o moim istnieniu. Mam więc pewien dylemat.

– Rozumiem. To delikatna sytuacja. – Nie mogła się powstrzymać, by nie pomyśleć, że podjął pochopną decyzję, przylatując taki kawał drogi w święta przed otrzymaniem odpowiedzi. – Jest pan pewien, że ma pan dobry adres mejlowy? – Bardzo nieufnie podchodziła do techniki. Jak ktoś mógł odtrącić takiego uroczego człowieka? Miał przepiękne oczy – w kolorze pasty marmite, otoczone długimi jak u dziecka rzęsami. Andrew w młodości też miał niesamowite rzęsy. Ale jego były jasne, pomyślała, więc trzeba było stać blisko, by je zauważyć.

Gawędzili jeszcze przez chwilę, bo spóźniał się przyjaciel, który miał go odebrać. Nie wyciągała z niego informacji o biologicznym ojcu, gdyż sprawa wydawała się trochę niepewna, a on najwyraźniej zbierał siły na spotkanie i był zdenerwowany. Rozmawiali więc o Los Angeles, gdzie mieszkał, i o jego pracy, która miała coś wspólnego z kręceniem filmów dokumentalnych o zdrowym trybie życia, a to doprowadziło ich do rozmowy o zdrowiu w ogóle, które bardzo go interesowało. Tak łatwo się z nim rozmawiało. Zadawał jej wiele pytań o nią samą – nie o córki czy Andrew jak większość osób – i opowiedziała mu o swojej diagnozie. Zabawne, jak człowiek otwiera się w rozmowie z nieznajomymi. Być może poczuła, że może mu się zwierzyć, bo on opowiedział jej o swoim dylemacie, pomyślała, gdy opowiadał o filmie dokumentalnym na temat nowotworów, przy którym pracował. A może czuła się bezpiecznie, wiedząc, że już nigdy go nie zobaczy? Dopiero kiedy zjawił się jego przyjaciel, a on szybko uścisnął ją na pożegnanie (Amerykanie są stuknięci, ale tacy uroczy), uświadomiła sobie, że nawet się sobie nie przedstawili. „Powodzenia!”, krzyknęła, gdy odchodził. Odwrócił się i uśmiechnął, a ona chciała pobiec za nim i powiedzieć, że jeśli nie uda mu się spotkać z ojcem, może przyjechać i spędzić święta z nimi – ale wtedy przypomniała sobie o kwarantannie.

Olivia

Hala przylotów, Terminal 3, Heathrow, 8.40

Olivia zaklinała rzeczywistość, by jej plecak nie pojawił się zbyt szybko na taśmociągu, ale wyskoczył jako drugi. Gdy Sean sięgnął po niego, chciała go powstrzymać i przeciągnąć ich ostatnie wspólne chwile. Hala przylotów prawie ją oślepiła. Wszystko było takie nowe i sprawne. W sklepie wolnocłowym migotały wielkie czekolady Toblerone, piramidy perfum i bursztynowych butelek. „Kto to kupuje?”, zapytała Seana. I zastanowiła się, jak to wszystko znów może wydać się normalne.

Po chaosie panującym na ulicach Monrovii angielskie lotnisko wydawało się dziwnie spokojne. Jej pełne odcisków stopy w sandałach wyglądały tu zupełnie nie na miejscu. Jeszcze gorszy od ataku konsumpcjonizmu był ponury pokój, do którego zaprowadzono wszystkich pracowników misji, by zmierzyć im temperaturę. Tu chyba przesłuchują wszystkich nieszczęsnych przemytników narkotyków, pomyślała, dostrzegając kontrast pomiędzy poplamionymi ścianami pokoju i splendorem na zewnątrz. Zupełnie jakby zajrzała za kulisy. Sean spojrzał na nią i uśmiechnął się. Nie mogąc go dotykać przez cały lot, czuła się tak, jakby nie mogła podrapać swędzącego miejsca. Zeszłej nocy, wiedząc, że dziś nie będą mogli nawet uścisnąć sobie dłoni, leżeli na niskim łóżku w jej mieszkaniu ze splecionymi kończynami, tak że nie wiedziała, gdzie kończy się jej, a zaczyna jego skóra. Przycisnęła czoło do jego piersi i powiedziała: „To będzie, no wiesz, trwać, kiedy wrócimy do domu, prawda?”. Łatwiej było to powiedzieć do jego sutka niż prosto w twarz.

„Jasne, wariatko!”, powiedział, odnajdując ustami czubek jej głowy. Leżąc pod szumiącym wiatrakiem, dopóki nie padł generator, czuła się, jakby znaleźli się w szklanej bańce, odgradzeni od reszty świata. Patrząc na Seana teraz, bała się, że ta bańka mogła być iluzją. Minęło tylko pięć tygodni od czasu, gdy pocałowali się pierwszy raz. I choć tyle razem widzieli, dopiero mieli przed sobą prawdziwe życie – musieli ogłosić wszystkim, że są parą.

Nadeszła jej kolej. Ochroniarz z nieufnym spojrzeniem podniósł bezdotykowy termometr. Podejrzewała, że to właśnie ją czeka: podejrzliwe spojrzenia, ludzie dezynfekujący ukradkiem dłonie, gdy zanadto się do niej zbliżą. Termometr zapikał i pozwolono jej przejść. Za nią przeszedł Sean. Stali twarzą do siebie, w odległości przepisowego pół metra. „No to na razie”, powiedział. Poczowała ucisk w gardle. Zwykle tak się nie zachowywała. Sean wyciągnął rękę, by dotknąć jej ramienia, i cofnęła się instynktownie – odruch po tygodniach stosowania zasady „Nie dotykać”.

– W porządku, nikt nie patrzy – powiedział z uśmiechem. – Tak bardzo będę za tobą tęsknić, Olivio. – Lubiła dźwięk swojego imienia w jego ustach.

– Ja też będę tęsknić – odparła. Całe wieki minęły od czasu, gdy pozwoliła komuś tak bardzo zbliżyć się do siebie. Nie była pewna, czy kiedykolwiek powiedziała Benowi, swojemu chłopakowi na Uniwersytecie Londyńskim, że będzie za nim tęsknić.

Usłyszała znajomy pisk.

– Wiv! Wiv! Olivia! – To była jej matka. Przedarła się do niej z wielką tablicą powitalną i bez wahania zaczęła ją obejmować i całować. – Och, kochanie – powiedziała do jej ramienia. – Jesteś taka chuda!

– Cześć, mammo! – rzuciła, udając zadowolenie. – Nie wolno ci mnie całować – dodała, wyswobadzając się z uścisku.

– Daj spokój, kochanie, nie bądź głupiutka.

Pamiętała okropny nawyk matki, która obejmowała ją przed szkołą, długo po tym, jak Olivia ją przerosła.

Emma stała wpatrzona w córkę, jakby była zjawą, i nie zwracała uwagi na Seana.

– To jest Sean. Pracowaliśmy razem w centrum medycznym – wyjaśniła Olivia.

– Jakie to urocze! – odparła Emma, jakby córka oznajmiła, że poznali się przy partii krokieta.

– Miło mi panią poznać – powiedział Sean. – Na pewno cieszy się pani, że ma ją wreszcie w domu?

– O tak, ogromnie! – wykrzyknęła Emma, a jej głos wzniósł się nad szum w hali.

Olivia już zaczęła odczuwać klaustrofobię związaną z pobytem w domu. Przez moment milczeli.

– No cóż – powiedział w końcu Sean, podnosząc plecak. – Chyba będę się zbierał, mam następny samolot.

– No to pa – rzuciła. Nie tak miało wyglądać ich pożegnanie. Czemu matka musiała się pojawić właśnie teraz?

– Do zobaczenia, Olivio. Wesółych świąt!

– Tobie też, Shane – odparła Emma.

Olivia patrzyła, jak on odchodzi tym swoim uroczym żwawym krokiem z głową wznoszącą się nad tłumem.

– Wydaje się bardzo miły – powiedziała matka. – Mogę coś ponieść?

Olivia zastanowiła się przez chwilę, czy matka czegoś się domyśliła, ale Emma już mrużyła oczy w poszukiwaniu znaków kierujących do wyjścia.

– Musimy jak najszybciej dotrzeć do domu, prawda? Mam w samochodzie przekąski. Nie potrzebujesz skorzystać z toalety?

– Nie. Wszystko w porządku, mamó. – Paplanina matki była w równym stopniu irytująca i wzruszająca.

– Nie musisz zmienić butów? Na zewnątrz jest strasznie zimno.

– Przecież przejdziemy tylko do samochodu.

– No dobrze. – Zawsze mówiła „No dobrze”, gdy była na skraju wytrzymałości.

Wnętrze volkswagena golfa matki pachniało ogryzkami jabłek i Chanel Nr 5, przywołując echo choroby lokomocyjnej z dzieciństwa. Po włączeniu ogrzewania szyby szybko zaparowały, więc widziała za oknem tylko szarość. Fotel pasażera był ustawiony dla Phoebe (która nadal nie zrobiła prawa jazdy), więc nie miała dość miejsca na nogi. Próbowwała utrzymać na kolanach termos z herbatą i plastikowy pojemnik Tupperware z herbatnikami muesli, które matka dla niej przywiozła. „Wiedziałam, że tęskniłaś za prawdziwą herbatą”, powiedziała triumfalnie Emma, gdy zatrzymały się na czerwonym świetle. Olivia nie miała serca jej powiedzieć, że mogła kupić najlepszą herbatę w sklepiku w Monrovi, który nazywał się „Dziura w murze”. Sprzedawano tam też importowane z Wielkiej Brytanii towary, takie jak marmite, sos HP i batoniki KitKat, które topiły się w afrykańskim słońcu. Po tygodniach jedzenia gulaszu i picia napojów gazowanych marzyła o sałatce i wodzie z kranu.

Zerknęła kątem oka na matkę, która rozwodziła się, że podczas kwarantanny zamierza przeczytać ponownie powieści Nancy Mitford. Wydawała się przesadnie podekscytowana tą perspektywą. Kiedy wyjechały na autostradę, matka przycichła, a Olivia oparła skroń o zimną szybę i zamknęła oczy, by zniechęcić ją do rozmowy. Wiedziała, że nigdy nie uda jej się opowiedzieć o tym, co widziała przez ostatnie kilka tygodni. Matka zrozumiała i resztę trasy przebyły w milczeniu.

Kiedy drogi zrobiły się bardziej wyboiste i kręte, jakiś instynkt podpowiedział Olivii, że są niemal w Weyfield; uniosła lekko powieki i ujrzała cisy i kamienny mur otaczający dom. Samochód wjechał przez bramę na podjazd, a chrzęst opon na żwirze uświadomił jej, że naprawdę wróciła do domu. Jedno skrzydło bramy wypadło z zawiasów i stało oparte o słup – wszystko zarosło pokrzywy i bluszcz.

– Muszę zająć się tą bramą – oznajmiła matka. – Wygląda tu jak w „Śpiącej królownie”! Przespałaś się, kochanie? Na pewno jesteś zupełnie rozbita. Zawołam tatę, żeby wniósł bagaże, ty biegnij do środka.

Olivia otworzyła drzwi wejściowe z kołatką w kształcie uśmiechniętego lwa. Jak zwykle były uchylone, bo zamek stale się zacinał. Mimo to takie lekceważenie bezpieczeństwa zirytowało ją. Zatrzasnęła drzwi za sobą i weszła do holu, gdzie na jednej ścianie wisiały stare kurtki Barbour, a przy listwie przypodłogowej stały kalosze. Uderzył ją zapach Weyfield – drzewnego dymu, zakurzonych dywanów i herbaty Lapsang Souchong. Zatrzymała się na chwilę przed sepiowymi zdjęciami

z powodzi 1953 roku wiszącymi pod gzymsem. Były to jedyne obrazki w domu, które naprawdę jej się podobały, reszta to wymyślne portrety Hartleyów.

Po chwili do holu wpadła Phoebe.

– Wróciłaś! Hurra! – wykrzyknęła. Wyciągnęła ręce, by ją ostrożnie objąć, trzymając stopy i ciało jak najdalej od niej. Olivia nie była pewna, czy powodem tego jest strach przed wirusem, czy skrępowanie, które prześladowało je od czasu dorastania. – Jesteś taka chuda! – rzuciła z podziwem Phoebe, choć w oczach mignęła konsternacja, bo to Olivia miała być starszą większą siostrą.

– To zasługa SOO w trzydziestostopniowym upale.

– SOO?

– Sprzęt ochrony osobistej. Skafandry.

– Ach tak! Jak Bikram?

– Bikram? – zapytał Andrew, stając za Phoebe.

– Gorąca joga, tato – wyjaśniła Phoebe. – W sali panuje okropny upał, więc wszyscy strasznie się pocą i tracą na wadze. Dlatego Olivia jest taka chuda.

– Brzmi okropnie – odparł Andrew i podszedł do Olivii. Chwycił ją za ramiona i cmoknął dwa razy w powietrze, kilka centymetrów od jej policzków.

– Ale nie tak okropnie jak centrum leczenia haag – zauważyła Olivia.

– Na pewno. Gdzie masz bagaż? – Spojrzał na jej nogi i przez moment czekała, by rzucił jakąś kąśliwą uwagę na temat jej spodni. Kupiła je z Seanem na Afrykański Piątek, cotygodniowy rytuał w Liberii, gdy wszyscy ubierali się w wesołe, wzorzyste ciuchy – nawet kiedy haag zbierał największe żniwo. Ale ojciec zdjął tylko kurtkę z wieszaka, zaklął, mocując się z drzwiami, i wyszedł.

Czuła się zdezorientowana, stojąc znów w dużej zagraconej kuchni, bijącej w oczy różem i ceramiką Emmy Bridgewater z lat osiemdziesiątych. Nie brakowało tam też nowszych nabytków, takich jak Dualit (małe zwycięstwo ojca, po długich debatach o wyższości tostów przypiekanych na piecu Aga nad tymi robionymi w tosterze). Kakao spał pod stołem. Ogarnęło ją dziwne poczucie, że tylko on byłby w stanie zrozumieć tygodnie, które spędziła w Liberii.

– Kicia! – powiedziała, przykucając, by podrapać go pod brodą i usłyszeć mruczenie w stylu Dartha Vadera.

– Ostrożnie! – rzuciła Phoebe.

– Jest okej. Haag nie przenosi się przez łaskotanie.

– Ale on ma dwadzieścia lat. To koci emeryt. Może mieć osłabiony układ odpornościowy.

Już miała rzucić: „Kto ma dyplom z chorób zakaźnych?”, lecz ugryzła się w język.

– To twarde, prawda, kotku? – powiedziała tylko. Czemu łatwiej było rozmawiać z kotem niż z siostrą?

– Herbaty? – zapytała matka, wchodząc do kuchni.

- Nie, dziękuję. Wypiłam w samochodzie.
- To może kawy? Przyda się na jet lag. Zawsze uważam, że lepiej jest się przemęczyć i próbować wrócić na właściwe tory.
- Liberia leży niemal na tym samym południku co Wielka Brytania – zauważył Andrew.
- No jasne, co ja wygaduję – odparła matka. – Robię pieczeń na obiad, może być? Koło wpół do trzeciej?
- Świetnie! – zgodziła się. – Wezmę teraz prysznic.
- Dobrze, kochanie. Przygotowałam ci Muszelkową Łazienkę. Masz tam szampon, ręczniki i wszystko. – Powiedziała „Muszelkową Łazienkę” specjalnym, zdecydowanym głosem, którym zwracała się do cudzoziemców.

Olivia stała już w drzwiach, więc ruszyła dalej, by nie rzucić: „Można korzystać z jednej łazienki ze mną”. Jak to jest, że po nadzorowaniu centrum leczenia wirusa haag w Weyfield znów czuła się tak, jakby miała czternaście lat? Czemu w obecności rodziny nie mogła być dorosłą, którą była w pracy?

Kończyny ciążyły jej jak ołów, gdy wchodziła na dębowe schody i szła po wytartym oliwkowym chodniku w korytarzu – niezmiennym pewnie od czasu zdjęć przedstawiających powódź. Skręciła w lewo do swojej sypialni, którą matka nazywała „Wierzbowym Pokojem”, jakby występowali w dramacie z epoki. Po drugiej stronie podestu widziała o wiele większy pokój Phoebe, który kiedyś dzieliły. Kilka lat temu wyremontowano go na żądanie Phoebe i teraz nosił nazwę „Szarego”. Ogromne łóżko było zarzucone szarymi narzutami i poduszkami, otoczone sznurem lampek, a podłogę pomalowano na biało. Uświadomiła sobie, że zapomniała powiedzieć cokolwiek o zaręczynach siostry.

Jej pokój sprawiał wrażenie przygotowanego na przybycie gościa. Na toaletce stała szklaneczka z ciemiernikami, przy łóżku karafka z wodą i stosik książek w miękkich oprawkach. Na samej górze zauważyła powieść *Love Nina*. Phoebe i Emma kilka lat temu miały na jej punkcie bzika i rozczarowała je ogromnie, nie czytając jej. Stale powtarzały, że akcja dzieje się w latach osiemdziesiątych w Camden, jakby to było dodatkową atrakcją. Czemu miałyby chcieć wracać do swojego ograniczonego dzieciństwa? Lubiła książki, które pozwalały jej uciec, fantasy i thrillery. Spojrzała na swoje odbicie – w Weyfield nie było to łatwe, bo wszystkie lustra były poplamione ze starości jak przejrzałe banany. Phoebe miała rację, schudła. Za bardzo. Kiedy wczoraj wieczorem Sean patrzył, jak się rozbiera, powiedział, że niknie w oczach. Jako lekarka wiedziała, że to prawda – w zeszłym miesiącu zatrzymał się jej okres, tak jak wtedy, gdy schudła sześć i pół kilo podczas egzaminów końcowych. Ale w duchu cieszyła się ze swojej nowej kruchej sylwetki. Wiedziała, że to głupie. Czemu dawała się zwieść ideałom delikatności i gracji – co było domeną Phoebe – kiedy już dawno temu pogodziła się z faktem, że jest wysoka i silna? W każdym razie po kilku tygodniach

na pewno wróci do normy, jeśli Emma będzie ją tuczyć jak gęś.

Andrew

Kuchnia, Weyfield Hall, 13.30

Kiedy Olivia poszła na górę, przez chwilę stali we trójkę przy piecu Aga. Emma wyglądała, jakby uszło z niej powietrze.

– Jest bardzo zmęczona – powiedziała na wpół do siebie.

Phoebe wsunęła się na ławkę przy długim wiejskim stole. Jej eteryczna twarz, oświetlona blaskiem laptopa, wyglądała upiornie.

– George zastanawia się nad Audettes na przyjęcie zaręczynowe – powiedziała.

– O tak, cudownie! – odparła Emma. – Zobaczą tylko, czy ona chce termofor – dodała, kierując się w stronę schodów.

– Nic jej nie jest, Emmo – rzucił Andrew bardziej szorstko, niż zamierzał.

Żona panikowała tak, gdy wrócił z Libanu, zasypując go przekąskami, gorącymi napojami i dyskretnymi pytaniami o trawienie. Wiedział, że w ten sposób stara się z tym wszystkim sobie poradzić. Kiedy porzucił pracę korespondenta zagranicznego, Emma dała spokój z tą duszącą troską i była to jedna z niewielu dobrych rzeczy, które z tego wynikły. Mimo to, wnosząc plecak Olivii do domu, poczuł ukłucie nostalgii i czegoś na kształt zazdrości.

– Kto jest tam szefem od PR? – zapytała Phoebe.

Wiedział, że w ten sposób prosi go, by załatwił Audettes, szalenie modną restaurację w Mayfair, za darmo.

– W Audettes? Chyba ta bidula o bardzo niefortunnym nazwisku Natasha Beard^[1]. Ale dałem im tylko dwie gwiazdki, więc raczej nie będzie się paliła do twojej wielkiej imprezy.

– Wrrrrr. – Phoebe nachyliła się, tak że jej zgrabna broda oparła się o stół, i podniosła wzrok na ojca. Jej oczy przypominały kwiatuszki.

– Zobaczą, co da się zrobić – powiedział, przechodząc przez ciemny korytarz do palarni, swego nieoficjalnego gabinetu.

Cholerny George. Nadal bolało, że oświadczył się Phoebe, nie prosząc go wcześniej o pozwolenie. Emma żartowała, że nie chodzi o to, że Andrew jest taki burżuazyjny (co, jego zdaniem, było prawdą), lecz sugerowało brak szacunku. Mimo to nie powinni dać Phoebe odczuć, że mają jakieś zastrzeżenia. To mogłoby ją od nich odsunąć. Powinien coś o tym wiedzieć – rodzice Emmy nigdy go nie zaaprobowali, a ich wrogość tylko dodała dreszczyku całej ceremonii. Ale to było coś innego. Sir Robert i lady Hartley nie sprzeciwiali się samemu Andrew – choć woleliby, żeby ich córka wyszła za kogoś z wyższych sfer. Problemem był artykuł o Buntym Hartleyu napisany w 1978 roku. Bunty, stryj Emmy, był członkiem

parlamentu z ramienia torysów, a Andrew ujawnił jego powiązania z podejrzaną umową na sprzedaż broni do Iraku. Artykuł opublikowano na długo, zanim poznał Emmę – nie mógł więc już zrobić nic, by to cofnąć, ale Hartleyowie za nic nie chcieli zapomnieć nazwiska „tego okropnego pismaka”, który okrył Bunty’ego wstydem. Jak zawsze w Weyfield na nowo odczuwał ich niechęć. Przyczyniały się do tego portrety przodków Emmy, którzy spoglądali na niego ze złoconych ram na każdym zakręcie. Dzięki Bogu, że rodzice Emmy zmarli, zanim został recenzentem kulinarnym. W ich oczach byłaby to ostatnia kropla przepełniająca czarę nuworyszostwa.

Siedział przy biurku w palarni, którego szuflady wypełniały poźółkle pocztówki, pogięte zdjęcia i wycinki z gazet. Ogród za oknem był ponury i wilgotny, przy murze rosły pozbawione liści grusze. Napisał e-maila do Natashy Beard i natychmiast dostał automatyczną odpowiedź, że nie ma jej w biurze. To powinno zadowolić Phoebe. Próbował rozwiązywać krzyżówkę, lecz dobiegający z kuchni głos Emmy i zawodzące dźwięki kolęd z płyty nie pozwalały mu się skupić. Utknął koc przy drzwiach, by stłumić hałas. Koc wyglądał, jakby miał dwieście lat. Po co Emma go trzyma? Przeczytał „The Economist” i okropnie poirytowała go entuzjastyczna recenzja książki autorstwa jego kolegi z Magdalen College w Oksfordzie. W końcu wyciągnął kopertę z portfela – list, który dostał półtora roku temu. Przeczytał go jeszcze raz, mimo że znał go na pamięć.

*Andrew Birch P.O. Box 07-2416
The World Magazine Riad El Solh
Bedford Sq Bejrut
Londyn 1107 2002
WC1B 3HG
20 czerwca 2015*

Drogi Andrew,

minęło tyle lat, ale mam nadzieję, że pamiętasz nasze spotkanie w Bejrucie. Piszę, by Ci powiedzieć, że po naszym spotkaniu dowiedziałam się, że jestem w ciąży. Chłopczyk urodził się 26 grudnia 1980 roku. Postanowiłam oddać go do adopcji, bo nie byłam w stanie sama go wychować. Chcę Cię bardzo przeprosić za to, że nie poinformowałam Cię o tym wcześniej. Byłam młoda i bałam się, a w tamtym czasie najważniejsza była dla mnie kariera. Bejrut nie był bezpiecznym miejscem dla dziecka. Pomyślałam, że będzie Ci łatwiej, jeśli nie będziesz o niczym wiedział.

Piszę jednak teraz, bo jestem chora. Śmiertelnie. Pogodziłam się z faktem, że umrę, nie zobaczywszy mojego syna. Przez wiele lat miałam nadzieję, że będzie próbował mnie odnaleźć, ale nie zrobił tego. Nigdy nie miałam innych dzieci.

Jeśli skontaktuje się z Tobą któregoś dnia, powiedz mu, proszę, że nie było

dnia, żebym o nim nie myślała. Moim ostatnim życzeniem jest, by był szczęśliwy. Jeśli go zobaczysz, na pewno go rozpoznasz. Był piękny. Dałam mu na imię Iskandar.

Pozdrawiam Cię serdecznie

Leila Deeba

Życzę Ci wszystkiego najlepszego i mam nadzieję, że życie potraktowało Cię laskawie.

Wrócił myślami do dnia, kiedy dostał ten list, w czerwcu zeszłego roku. Znalazł go w szarej kopercie razem z pocztą dostarczoną na Gloucester Terrace przez stażystę z „The World”. Początkowo wątpił w jego autentyczność. Ukryty w nim sceptyk zastanawiał się, czy to nie jest jakieś oszustwo albo zapowiedź prób o pieniądze. Nawet jeśli napisała go Leila Deeba, którą pamiętał, olśniewająca prezenterka Télé Liban, z którą przeżył jedną upojną noc, jak mógł mieć pewność, że dziecko było jego? Ton listu był wyraźnie melodramatyczny, możliwe, że autorka jest niestabilna psychicznie. Pismo też wydawało się bardzo chaotyczne. Ta kobieta mogła mieć jakieś omamy.

Po krótkim zastanowieniu postanowił nie wspominać Emmie o liście. Otworzyłby tylko puszkę Pandory. Chodziło o to, że kiedy przespał się z Leilą, był już związany z Emmą. Spotykali się co prawda dopiero od trzech miesięcy, i to w sekrecie z powodu zamieszania ze stryjem Buntym. Mimo to postąpił źle, pozwalając się uwieść Leili Deebie. Kiedy więc budzący wątpliwości list od Leili przyszedł wiele lat później, pokazywanie go żonie nie miało sensu. Tylko by się zdenerwowała. Zastanawiałaby się, do czego jeszcze był zdolny Andrew, skoro wtedy nie potrafił się oprzeć innym kobietom. A tak naprawdę nie był zdolny do niczego. Spotkanie z Emmą na lotnisku po nocy spędzonej z Leilą było torturą. Trzymała transparent z napisem „Powrót bohatera”. Jeszcze gorsze były następne tygodnie, kiedy pielęgnowała jego ranną nogę (zawsze uważał, że rana od szrapnela była zemstą Allaha). Potem wiedział, że już nigdy nie chce się czuć tak podle. Po roku się oświadczył.

Teraz, kiedy e-mail Jessego potwierdził, że list Leili był autentyczny, żałował, że od razu nie pokazał go Emmie. Milcząc przez półtora roku, zapędził się w kozi róg. Otworzył wersję roboczą e-maila do Jessego. Minął już tydzień od czasu, gdy dostał wiadomość ze Stanów. Musiał coś odpowiedzieć. Na razie napisał:

Drogi Jesse,

dziękuję za mejl. Choć byłoby mi bardzo miło Cię poznać, obawiam się, że grudzień to nie najlepsza pora, gdyż wraz z rodziną przebywamy obecnie na kwarantannie. Moja córka Olivia leczyła chorych na wirusa haag w Liberii i poinstruowano nas, byśmy unikali kontaktu z kimkolwiek poza najbliższą rodziną.

Westchnął. Nie mógł napisać „najbliższa rodzina” do Jessego. To było chamskie. Poza tym list sugerował, że w innych okolicznościach przyjąłby go z otwartymi ramionami. Wstał i spojrział na porcelanowego spaniela na półce nad kominkiem i swoją twarz w lustrze. Nagle wydało mu się, że wygląda na osiemdziesięciolatka. Po chwili, aby oczyścić umysł, rozegrał długą partię scrabble’a w sieci.

– O-oobiad! – zawołała Emma.

Spróbuję jeszcze raz po drinku, postanowił.

Emma

Jadalnia, Weyfield Hall, 14.30

Emma postanowiła, że pierwszy posiłek Olivii w domu musi być idealny. Zamówienie specjalnego kawałka zrazówki, pieczenie crumble (ulubionego deseru Olivii z dzieciństwa) i przygotowanie wszystkiego, by znalazło się na stole półtorej godziny po jej przyjeździe, skutecznie odwróciło jej uwagę od guza. Najgorsze było to, że to już nie był tylko „guz”. Ale po tym posiłku mogła zacząć planować wigilijną kolację i świąteczny obiad. Postanowiła też, że między świętami a Nowym Rokiem zrobią porządek na strychu. Potem skończy się kwarantanna i będzie mogła o wszystkim powiedzieć. Kiedy przyciskała lewą rękę do ciała, czuła głęboko schowany mały guzek. Nicola kazała jej obiecać, że zadzwoni, gdyby była przygnębiona, co było uroczym z jej strony. Ale mając obie córki w domu, poczuła przyływ energii. Poza tym wiedziała, że jeśli zacznie to roztrząsać, ogarnie ją fala paniki i porwie ze sobą.

Jedli w rzadko używanej jadalni. Pogoda była tak paskudna, że Emma zapaliła wszystkie lampy, przez co – o dziwo – pokój wydawał się jeszcze ciemniejszy. Poprosiła też Andrew, żeby rozpałił w kominku, ale jakiś nieszczęsny ptak musiał uwić gniazdo w kominie, bo nad stołem unosiła się wywołująca łyzy mgiełka. Patrząc na płócienne serwetki i specjalne kieliszki do wina (które szybko opłukała i sprawdziła, czy nie ma w nich zdechłych much), zastanawiała się, czy nie lepiej byłoby zasiąść w kuchni. Jadalnia miała nadać posiłkowi uroczysty charakter, lecz teraz wyglądała okropnie oficjalnie. Emma ustawiła cztery krzesła równo wokół stołu w kolorze kasztana, lecz odległości między miejscami i dostępność półmiska z mięsem z obu końców przypominały jej „Piękna i bestię”. Zsunęła wszystkie cztery talerze i krzesła na jeden koniec, będą korzystać tylko z połowy stołu. Tak jest lepiej. Zwykle do posiłku zasiadało tu więcej osób, bo lubiła mieć pełny dom. Wiedziała, że Andrew tego nie znosi, zwłaszcza gdy Nicola zarzucała wszystkich swoimi psychoterapeutycznymi teoriami, lecz to przynajmniej przerywało milczenie, które na pewno zapadnie przy stole, gdy usiądą tylko we czwórkę. Szybko odsunęła od siebie tę myśl i raz jeszcze zawołała rodzinę.

Przynajmniej jedzenie okazało się sukcesem. Olivia wzięła dokładkę zielonego groszku z czosnkiem, a pieczone ziemniaki okazały się triumfem (poczciwa stara Delia^[2]). Emma niepokoiła się tylko, że pieczeń wyszła trochę za sucha. Andrew zawsze podkreślał, że na tym polega problem z pieczeniem mięsa na piecu Aga. Był jednak częścią domu podobnie jak boazeria, osmolone kominki czy wielkie dębowe schody. Nie mogli go wyrwać i wstawić lśniącej kuchenki

Smeg jak w Camden. Emma patrzyła, jak Andrew nabija na widelec kawałek mięsa. Kiedy przełykał, lekko zmarszczył brwi, ale nie podniósł wzroku znad talerza. Czasami żałowała, że zdecydował się prowadzić kolumnę w „The World” – gotowanie dla niego przysparzało jej stresu, czego nie doświadczała nigdy wcześniej. Lubiła cały ten proces, krojenie i ważenie, zdejmowanie ulubionej pomarańczowej brytfanny, mieszanie gulaszu na piecu. Kiedy Andrew był młody i wracał ze stref działań wojennych, mówił, że marzy o jej potrawce z kurczaka. Teraz, gdy od lat jadał w miejscach wyróżnianych gwiazdkami Michelina, było inaczej.

Phoebe pracowicie odcinała kawałki tłuszczu z mięsa, zanim włożyła małe kawałki do ust. Nie chciała nawet zjeść jednego puddingu z Yorkshire, mówiąc, że przypomina jej flanelę. Słyszając to, Andrew parsknął śmiechem. Bon moty Phoebe ostatnimi czasy stanowiły sporą część jego artykułów.

Olivia uśmiechnęła się do Emmy.

– To jest pyszne, mamó – powiedziała.

Emma uświadomiła sobie, że jest cała spocona, nie była pewna, czy z gorąca, z nerwów czy z ulgi, że Olivia bezpiecznie wróciła do domu. Przy stole zapadła cisza, która trwała trochę zbyt długo.

– A więc, Olivio – przerwał ją Andrew. – Najlepsze momenty pobytu?

Spojrzała na niego, przerywając krojenie mięsa.

– To nie była wycieczka tego rodzaju – odparła.

Szyja Andrew poczerwieniała.

– No cóż, w każdej podróży zawsze są jakieś plusy – powiedział i wypił łyk wina. Było to specjalne bordeaux przyniesione z piwnicy po długim namyśle, czy wybrać wino, czy szampana.

– Bardzo podobał nam się twój blog – powiedziała Emma, zanim Olivia zdążyła odpowiedzieć.

– Dziękuję. Pisanie bardzo pomagało.

– Nie jest łatwo pisać o takich okropieństwach i robić to zajmująco – zauważyła Emma. – Ale czemu pisałaś anonimowo? Czy nie byłoby miło, gdyby wszyscy wiedzieli, co robisz? – Olivia była przerażająco chuda. Odziedziczyła smukłą sylwetkę po Andrew, w przeciwieństwie do Phoebe, która była drobna jak ona i mogłaby mieć jej piersi i biodra, gdyby nie narzuciła sobie ostrej dyscypliny. Emmie nigdy nie udawało się przejść na dietę. Może rak mi w tym pomoże, pomyślała ponuro.

– Blog... – rzucił Andrew. – Jakie to brzydkie słowo.

– Ludzie czytają teraz blogi – odparła Olivia.

– Ja nadal lubię trzymać w ręce kartkę – powiedziała Phoebe.

– Racja – zgodził się Andrew. – Dokładnie o to chodzi. Poza tym większość blogów to bzdety. Większość tych ludzi nie ma pojęcia o pisaniu. Nie ty,

oczywiście – dodał. – Ten wpis o piętnie haag na obszarach rolniczych był wyjątkowo dobry. – Emma podsunęła mu go pod nos wczoraj w palarni. Powiedział jej, że nie chce wiedzieć, co robi Olivia, bo to „jest zbyt przerażające, by się nad tym zastanawiać”. Oczywiście, rozumiała jego uczucia. Ale po długich latach spędzonych w roli korespondenta zagranicznego spodziewała się, że bardziej go to zainteresuje. Miała nawet nadzieję, że afrykańska przygoda Olivii trochę ich do siebie zbliży. Olivia pierwszy raz wróciła prosto do domu po podróży. Ale teraz Emma wyzbyła się już złudzeń.

– Podobał mi się wpis o tym, jak miejscowi nazywali twojego kolegę lekarza „Pekinem” – powiedziała Phoebe. Emma zauważyła, że córka jest zdenerwowana.

– Dzięki – odparła Olivia, biorąc dokładkę sosu.

– Kiedy George był w Kenii, nazywali go „Mzungu” – powiedziała Phoebe.

– A co George tam robił? – zapytał Andrew. – Bronił imperium? – Nadal wypowiadał jego imię, jakby robił to pierwszy raz.

– Budował szkołę podstawową czy coś takiego. Jakiś banał związany z roczną przerwą przed studiami.

– Brzmi cudownie.

– Wszyscy tak robią – odparła Phoebe. – Kiedy nie wiedzą, co ze sobą począć przed studiami w Edynburgu.

– Kenia bardzo się różni od Liberii – rzuciła Olivia.

– Wiem, chodziło mi tylko o to, że też leży w Afryce.

– To spory kontynent... – zauważyła Olivia.

Emma żałowała, że nie są już małe, bo mogłaby wtedy powiedzieć: „Olivio, nie bądź protekcyjna”. Jak mogła to zrobić teraz?

– Przypomnij mi, kiedy przestaliśmy to wymawiać Kin-ja? – powiedziała.

Z jakiegoś powodu Olivia wyraźnie zacisnęła szczęki. Emma miała nadzieję, że niechęć nie nałożyła jej kawałka chrząstki.

Crumble ocaliło obiad – gorący owocowy deser rozluźnił Olivię, a Phoebe zaryzykowała kilka dodatkowych kalorii. Nawet Andrew, który z zasady nie lubił deserów, skomplementował gwiazdkę anyżu w sosie. Emma myślała, że po obiedzie przejdą się po terenie posiadłości, jak robiła to z rodzicami, ale kiedy tylko pobierała brudne talerze ze stołu, wszyscy rozeszli się w swoją stronę. Phoebe opadła na sofę w saloniku na tyłach domu, „zbyt pełna, by się ruszyć”. Olivia zniknęła z iPadem w ręce, mówiąc, że musi przeczytać wiadomości.

– Nie masz ochoty oderwać się od tego wszystkiego? – zapytała Emma, lecz Olivia spojrzała na nią, jakby powiedziała: „Zapomnij o tych umierających ludziach. Jesteś teraz tutaj, z nami”. W pewnym sensie to właśnie miała na myśli. Zupełnie jak wtedy, gdy Andrew wracał do domu z Libanu i siedział przyklejony do telewizora. Przynajmniej w tamtych czasach wiadomości kiedyś się kończyły.

Andrew postanowił pójść wykopać choinkę, kiedy było jeszcze jasno. Co

roku, jak niegdyś rodzice Emmy, ubierali to samo drzewko, wykopywane dwudziestego trzeciego grudnia i sadzone z powrotem w święto Trzech Króli. Jakie to miłe, że tak poważnie podchodził do tego męskiego zadania. Poza tym była to jedyna tradycja Hartleyów, jaką zaaprobował, więc zostawiła go w spokoju.

Olivia

Pokój Wierzbowy, Weyfield Hall, 16.30

Sięgając po telefon, by wysłać esemesa do Seana, Olivia przypomniała sobie, że w Weyfield nie ma zasięgu. Pod pewnymi względami Norfolk było bardziej zacofane niż Liberia. Czowała się, jakby nie widzieli się od wieków i miała mu już sto rzeczy do powiedzenia. Przyzwyczała się, że ma go pod ręką albo na WhatsApie. Przez ostatnie dwa tygodnie spędzał każdą noc w jej pokoju, spali nadzy pod jej najłżejszym sarongiem. Wiedziała, że dziś w nocy łóżko wyda jej się za zimne i za duże. Zaczęła pisać do niego e-mail.

TEMAT: Nie ma jak w domu

OD: Olivia Birch <olivia.birch1984@gmail.com>

DATA: 23/12/2016 16.30

DO: Sean Coughlan <SeanCoughlan@gmail.com>

Cześć, Pekin,

już za Tobą tęsknię! Jak minęła reszta podróży? Mam nadzieję, że bezpiecznie dotarłeś na miejsce i miło jest Ci w domu. Nie takie spotkanie z moją matką zaplanowałam... Na szczęście jestem niemal pewna, że niczego się nie domyśliła. Dziwnie jest być tutaj (choć wzięłam najlepszy prysznic w życiu – gorąca i zimna bieżąca woda! Którą można pić!). Chyba doznaję jakiegoś odwróconego szoku kulturowego. Wygląda na to, że przywykłam do chaosu i w Norfolk jest teraz za spokojnie. Nie, w domu panuje chaos, ale bardzo brytyjski. Trochę w stylu panny Havisham... matka nie ma serca, żeby cokolwiek zmienić, bo tutaj dorastała. A tak przy okazji, nie dzwoń ani nie wysyłaj wiadomości, bo nie mam zasięgu. Na razie zostają nam tylko mejle. W Norfolk to norma...

Na razie nie mam nic nowego do napisania, wróciłam do domu, a potem zaraz zasiedliśmy do rodzinnego obiadu. Czy Twój w ogóle to rozumieją? Bo moi nie. Matka stale się nade mną trzęsie, ale tak naprawdę nie chce nic wiedzieć. A moja siostra żyje totalnie w swoim świecie. Stale mam ochotę nią potrząsnąć. Jak już wspominałam, z ojcem prawie nie rozmawiam. Dla niego najważniejszą wiadomością jest otwarcie nowego baru sushi.

No tak. Źle mi, gdy jestem tak daleko od Ciebie. Nawiasem mówiąc, nikomu o nas nie wspominałam – obiecaj, że też poczekaasz do końca tego tygodnia. Napisz szybko. Czuję, że to będzie bardzo długie siedem dni...

Ucałowania i nie tylko

O.

Andrew

Palarnia, Weyfield Hall, 16.50

Obiad ciągnął się w nieskończoność, pomyślał Andrew, gdy znów zasiadł przy biurku w palarni. Udał, że wychodzi po choinkę, by Emma zostawiła go w spokoju. Zrobi to później. Poczł wyrzuty sumienia, że tak źle potraktował blogerów. Tym bardziej że blog Olivii był naprawdę dobry. Co go powstrzymało przed powiedzeniem tego, tak jak zrobiła to Emma? I czemu miał takie problemy z czytaniem wpisów? Nie chodziło o to, że nie mógł znieść krwi i okropieństwa. Przez lata oglądał w Bejrucie gorsze rzeczy.

Otworzył roboczą wersję e-maila do Jessego i jak zwykle zaczął błądzić myślami. Jasne, był ciekawy swojego syna. I jeśli teraz go odrzuci, bez wątpienia straci szansę na kolejne spotkanie. Poza tym zachowałyby się przyzwoicie. Pisząc do niego, Jesse wykazał się sporą odwagą. Wzruszający list Leili z „ostatnim życzeniem” nie dawał mu spokoju. Ale jak Emma zareaguje na Jessego? Raczej nie mógł oczekiwać, że data urodzenia chłopaka pozostanie tajemnicą. Emma odliczy dziewięć miesięcy i od razu uświadomi sobie, że był niewierny. Problem polegał na tym, że nie tolerowała ukrywania informacji – dla niej było to kłamstwem. A jak jego córki potraktują tego bękarta, spółzonego, gdy był związany z ich matką? Olivia już szukała wymówek, by go unikać. A Phoebe, która go uwielbiała, przeżyje tak wielkie rozczarowanie, że pewnie też się od niego odsunie. Nie mógłby tego znieść. Takie rzeczy się zdarzały. Mężczyźni po sześćdziesiątce żyjący samotnie z powodu jakiegoś idiotycznego błędu. Trzeba być stanowczym i całkowicie szczerym. Wino wypite do obiadu dodało mu pewności. Zaczął pisać nową wiadomość:

Drogi Jesse,

dziękuję za mejl. Choć bardzo chciałbym Cię poznać, muszę Cię prosić, żebyś pogodził się z faktem, że jest to niemożliwe. Nie podejmuję tej decyzji lekko...

Stuknęły drzwi. Wsunął list Leili pod stertę książek i zmniejszył okno z e-mailem. Jednak na ekranie nadal widniało zdjęcie, które oglądał. Młody człowiek z ciemnymi lokami, w czarnym krawacie, podpisane: *Jesse Robinson, Pomoc dla Syrii*. Coś powiedziało Andrew, że z wielu zdjęć Jesse Robinsonów, które znalazł w sieci, to właśnie przedstawiało jego syna. Szybko je zamknął.

– Kto to jest? – zapytała Phoebe, wchodząc do pokoju. – Nieźle ciacho.

Żołądek Andrew wykonał salto.

– To aktor, z którym mam przeprowadzić wywiad.

– Jaki? Pokaż.

– No, no, jesteś mężatką... prawie – zaprotestował.

Spojrzała na niego i parsknęła śmiechem.

– Tato!

– Napisałem do La Beard w sprawie twojego przyjęcia, ale dostaniemy od niej odpowiedź chyba po Nowym Roku.

Przysiadła na oparciu fotela. Wolałby, żeby tego nie robiła – był to drogi ergonomiczny tron zakupiony przy Wigmore Street, który nie pasował do biurka Hartleyów i antycznej sofy. Emma zawsze patrzyła na niego z bólem, choć rzadko zaglądała do palarni. Mimo to miała ostatnie słowo w sprawie każdego nowego przedmiotu, który pojawiał się w królestwie jej dzieciństwa.

– Okej – westchnęła Phoebe. – Przyjęcie i tak musi się odbyć w nowym roku. Kiedy wszyscy będą w styczniu obchodzić miesiąc bez alkoholu. – Skubała oczko w rajstopach, a kamień w pierścionku klócił się z odrapanymi turkusowymi paznokciami. – Moglibyśmy zorganizować je dzisiaj, gdybyśmy nie musieli tu tkwić – dodała. Ton jej głosu brzmiał lekko oskarżycielsko, choć Andrew nie przychodziło do głowy, co mógłby zrobić w sprawie kwarantanny. Ale tak już było z Phoebe. Zawsze jej ustępował albo obiecywał spełnić jakieś dziwaczne życzenia. Od kiedy była malutka, chciał ją uszczęśliwić – jak ona jego. Miała taki wpływ na wszystkich, może z wyjątkiem Olivii.

– Cholerne utrapienie z tą kwarantanną, prawda? – powiedział, gładząc ją po plecach. – Co powiesz na Claridge’s? Mam dobre układy z Mayborne Group.

– Może... Myślałam o czymś nowszym... Mógłbyś spróbować w Sexy Fish? Claridge’s trochę przypomina emeryta z Park Avenue. – Naciągnęła skórę i wydeła usta, naśladując zdziwioną kobietę z twarzą wypełnioną botoksem.

– Ha! Marnujesz się za kamerą. Może pożyczę od ciebie to określenie.

– Kiedy tylko zechcesz, tato – odparła. Zsunęła się z oparcia i wyszła. – A może Dean Street Townhouse?! – krzyknęła z holu. – Mają tam osobną salę.

Odetchnął. O mały włos. Powinien bardziej uważać. Wyczyścił ekran i historię przeglądarki. Później wysłał odpowiedź. Phoebe zdekoncentrowała go – nie wierzył, że napisze teraz do Jessego to, co powinien. Poza tym musiał koniecznie pozbyć się listu Leili. To szaleństwo, że trzyma go tak na wierzchu. Kosz na śmieci ani recycling nie wchodziły w grę – na wsi śmieciarze przyjeżdżają chyba raz do roku – a ogień na kominku w jadalni zgasł szybciej niż rozmowa. Komin był pewnie zatkany – jak wszystkie w Weyfield.

Po chwili namysłu wszedł po schodach na strych. Strasznie tam było zimno, pojedyncza żarówka w głównym pomieszczeniu przypomniawszy mu pokój przesłuchań z seriali telewizyjnych. Szybko znalazł neseser z lat osiemdziesiątych na stosie swoich starych rzeczy (kamizelka kuloodporna, duży aparat fotograficzny, kask, notesy), które Emma wywiozła do Weyfield. Wybrał szyfr w zamku, połączenie jego daty urodzenia i kodu do alarmu w Camden. Jeden Dziewięć Pięć

Zero. Wsunął list Leili do kieszonki ukrytej w podszewce i zamknął walizkę. Na razie był bezpieczny. Wiedział, że Emma po świętach będzie chciała rozpaścić ognisko – kolejna tradycja Hartleyów – i że wtedy będzie mógł spalić list. Wsunęty pomiędzy inne nieważne papiery i rzucony na stos, szybko zamieni się w popiół. Nikt się nigdy nie dowie o jego istnieniu. Przemawiała do niego staromodna nieodwracalność tego aktu.

Zamarł, słysząc kroki na schodach. Cholera. Wsunął się do jednej z sypialni na poddaszu i wstrzymał oddech.

Emma

Strych, Weyfield Hall, 17.30

Emma klęczała na strychu, trzymając pudełko z ozdobami świątecznymi. Pierwotnie w pudełku znajdował się zestaw do pieczenia domku z piernika, kupiony, kiedy dziewczynki były małe. Na wieczku widniało zdjęcie dwójki dzieci w sweterkach retro, wpatrzonych z zachwytem w idealny domek. Pamiętała, jak próbowała zrobić podobny z córkami, ale efekt ich pracy w niczym nie przypominał tego na zdjęciu. Dziewczynki z zabawnym przerażeniem obserwowały zsuwający się dach, aż w końcu Andrew zgrabnie podtrzymał go bambusowymi patyczkami.

W tamtych czasach dziewczynki uwielbiały święta. Phoebe nadal je lubiła (cieszyła ją każda okazja do zakupów), ale Olivia w pewnym momencie wyrosła ze świątecznego podniecenia. Emma tęskniła za widokiem, gdy córki były czymś razem pochłonięte. Przecież nie tak dawno otwierały drzwiczki na kalendarzu adwentowym, przytulając do siebie główki – jasną Olivii, ciemną Phoebe. Wtedy Emma zakładała, że jako osoby dorosłe będą sobie bliskie. Na dźwięk hałasu w małej sypialni obok wzdrygnęła się. Miała nadzieję, że to nie szczury. Ani nie ojciec Buxton, który zdaniem księdza straszył w domu. Lekko przestraszona zeszła na dół, przyrzekając sobie, że po świętach zrobią na strychu generalne porządki.

Mimo wszystko dobrze było znaleźć się znów w Weyfield. Wchodząc do salonu, jak zawsze przywitała się z portretem matki. Ukazywał Alice Hartley jako młodą kobietę, niewiele starszą od Olivii, i choć podobieństwo było dość odległe, Emma zawsze czuła, że mama nadal tu jest. Dwa dni temu długo patrzyła na portret, w milczeniu opowiadając jej o guzie. Wczoraj na widok wszystkich rzeczy, które trzeba w domu naprawić, wyszeptła przeprosiny. Tylko wczoraj wieczorem zauważyła złowieszczy przeciek w pokoju dla służby – obecnie składziku – gdy próbowała wysuszyć dodatkowe koce dla Olivii.

Wiedziała, że matka wybaczy jej brak funduszy na remont. Ale bała się, że zasmuci ją fakt, że żadna z jej wnuczek nie była specjalnie związana z domem. Phoebe lubiła się chwalić Weyfield przed przyjaciółmi, ale to było coś innego. Nie kryła się z tym, że wołałaby łazienkę przy każdym pokoju i solidne ogrzewanie. Emma domyślała się, że w podupadłym nieco domu Olivia, podobnie jak Andrew, czuła się nieswojo. On nigdy tego nie mówił, ale można to było wyczytać ze sposobu, w jaki chował się w palarni. Tuż po ślubie miała nadzieję, że nadejdzie taki dzień, gdy Andrew zacznie pasować do Weyfield. Ale nigdy tak się nie stało, nawet po śmierci jej rodziców, więc przestała zwracać na to uwagę. Dzięki temu po przyjeździe mogła się oddawać prywatnej nostalgii. Być może właśnie dlatego nie

chę unowocześnić domu, pomyślała, patrząc czule na wytarte poduszki i dywan. Lubiła rzeczy takimi, jakie były. Żałowała tylko, że inni nie podzielają jej sentymentu.

Usiadła na stołku do pianina i otworzyła pudełko z ozdobami. Było coś uroczonego w zwitkach bibułki, zmiękczonej przez lata odwijania i zawijania. Potrafiła odróżnić dotykiem pamiątkowe ozdoby Hartleyów – bombki, okrągłe i gładkie, szpiczaste gwiazdy i watowane aniołki ozdobione koralikami. W pudełku były też nowsze ozdoby Birchów, błyszcząca nowojorska taksówka, roboty z Muzeum Nauki i łukowate dzwonki, które Andrew przywiózł z Libanu. Najbardziej lubiła szklane kule z lat dziewięćdziesiątych ze sklepu Conrana, jak wielkie bańki mydlane. Pierwotnie mieli dwa tuziny i był taki czas, gdy co roku tłukła się jedna, ale w ostatnich latach bywało spokojniej. Przypomniała sobie, że dziewczęta miały ustalony porządek wieszania ozdób; Phoebe podawała je Olivii, która w wieku dwunastu lat przestała potrzebować drabinki. Domagały się puszczania w kółko jednej piosenki Mariah Carey, którą Emma w sekrecie bardzo lubiła i która zawsze wypędzała Andrew z pokoju. To przypomniało jej, że bardzo długo go nie ma. Na zewnątrz było już ciemno. Ile czasu można wykopywać drzewko?

Andrew

Strych, Weyfield Hall, 17.45

Kiedy Andrew usłyszał, że Emma schodzi na dół (po sapaniu wiedział, że to ona), jeszcze przez chwilę pozostał w ukryciu. Udręką byłoby spotkać się z nią na podeście i wymyślać wytłumaczenie, dlaczego nie wykopuje choinki. Czekając, przerzucił zawartość teczek, która leżała na podłodze. Była pełna starych rysunków i kolaży Phoebe. Jako dziecko była obiecująca, lecz brakowało jej wytrwałości, by iść do szkoły plastycznej. Teraz jej talent artystyczny przejawiał się jedynie w doborze garderoby i zaleceniach, którą koszulę Andrew powinien włożyć. Rozpoznał kartkę na Dzień Ojca, która go wtedy zauroczyła. Była zatytułowana *Mój Tata Bohater*, a dookoła siedmioletnia Phoebe narysowała różne potrawy – spaghetti, sałatki, frytki, zupełnie jakby iluminowała stary manuskrypt. Część opisowa głosiła:

Mój tato jest bohaterem, bo testuje restauracje i mówi ludziom, czy są dobre, czy złe. Rozśmiesza też ludzi, bo pisze bardzo zabawne rzeczy. Często chodzę z nim do restauracji, a on zapisuje, co mówię o rzeczach, które jemy. Ostatni raz zamówiłam hamburgera, który był obrzydliwy, i powiedziałam, że smakuje jak tenisówka z keczupem, a on napisał to w magazynie. Śmiejemy się z innych ludzi w restauracjach i czasami mówimy sekretnym kodem, którego mamusia i moja siostra nie rozumieją. Kocham go, bo jest taki zabawny.

Miło było sobie przypomnieć, że już wtedy przerzucali się żarcikami. Phoebe może i wyglądała jak Emma, ale z pewnością po nim odziedziczyła poczucie humoru i sposób mówienia. Przypomniał sobie, jak wzruszyło go, że dostrzegła bohaterstwo w jego felietonach o jedzeniu, gdy sam czuł się jak sprzedawczyk, porzuciwszy pracę korespondenta zagranicznego. Ale Phoebe zawsze miała taki dar. Potrafiła sprawić, że czuleś się wyjątkowy – a przynajmniej on czuł się jak bohater. A skoro o tym mowa, to musi iść wykopać to cholerne drzewko, zanim Emma wyśle ekipę poszukiwawczą.

Phoebe

Salon na tyłach, Weyfield Hall, 18.00

Phoebe leżała na sofie i oglądała zdjęcia mizdrzących się modelek w magazynach „Panny Młode” i „Ślub” wydawnictwa Condè Nast. Matka kupiła je do czytania podczas kwarantanny, co było urocze, choć Phoebe wiedziała, że nie chce niczego, co reklamują w tego typu czasopismach. Planowała zimowy ślub o tej porze w przyszłym roku – albo zalany blaskiem świec, skandynawski i hygge, albo skrzący się i kiczowaty. Obojętne, co wybierze, nie będzie miał nic wspólnego z bezą.

Matka miała obsesję na punkcie ślubu w lecie i stale powtarzała: „Przecież nie chcesz czekać całe wieki!”, co było totalnie nierealistyczne. Sześć miesięcy nie wystarczy, by wszystko załatwić. Poza tym uwielbiała czas przedświąteczny i zgadzała się ze wszystkimi, że taki ślub będzie bardzo „w jej stylu”. W obu magazynach na ostatnich stronach zamieszczono długą listę spraw do załatwienia przed ślubem, a każda trochę się różniła od drugiej. Planowanie ślubu wyglądało jak praca na pełny etat – i dobrze, bo jej kontrakt przy „Dolemates” niebawem się skończy. Przez rok pracowała jako researcherka w Bright, „butikowej telewizyjnej firmie produkcyjnej”, najpierw przy serii dotyczącej diety i ćwiczeń w średniowieczu, co bardzo rozbawiło rodziców. Teraz utknęła przy „Dolemates”, programie randkowym dla bezrobotnych. Było to okropne połączenie programów „Jeremy Kyle” i „First Dates” i jej koledzy uznali za bardzo zabawne, że „wytworna” Phoebe zajmuje się czymś takim. Matka zawsze podejmowała dzielne próby, by okazać entuzjazm, ale zwykle myliła się w nazwie programu. Ojciec z rozkoszą nazywał go „Zasiłkowi naciągacze”, korzystając z dowcipu Phoebe, który wymyśliła, by ocalić twarz. Wątpiła, by Olivia w ogóle wiedziała o „Dolemates”. Nie była pewna, czy to ją drażniło, czy przepelniało ulgą. Olivia pewnie nadal myślała, że siostra pracuje „w modzie”, z powodu stażu w dziale urody w „Vogue’u” przed laty.

Matka stanęła w drzwiach, wyglądała na zaniepokojoną.

– Widziałas tatę? – zapytała. – Zniknął. A drzewko nadal rośnie w ogrodzie.
– Może uciekł. Po obiedzie był w palarni.
– Phoebe, mówię poważnie. Nie ma go w palarni, nie ma w ogrodzie i nigdzie w domu. – W jej głosie słychać było nutę paniki, która pojawiała się na dworcach kolejowych.

Odpowiedział jej trzask otwieranych drzwi i szuranie gałęzi po ścianie.

– Andrew, dzięki Bogu, gdzie się podziewałeś? – zapytała, gdy wszedł z nosem czerwonym od zimna.

– Wykopywałem choinkę.
– Ale kiedy wyszłam przed chwilą, nigdzie cię nie było!
– Musiałem wysłać esemesa. Ta cholerna sieć działa tylko na końcu podjazdu. No co, pomożecie mi?

Z jakiegoś powodu Phoebe pomyślała, że ojciec ma romans – i natychmiast poczuła odrazę, że coś takiego w ogóle przyszło jej do głowy. Nigdy by tego nie zrobił. Choć wcześniej w palarni zachowywał się trochę dziwnie. Czemu muszą ci przychodzić do głowy takie idiotyzmy? Co się z tobą dzieje? – pytała samą siebie. Natarczywe myśli, tak nazywała je Nicola. Miała nadzieję, że nie stanie się tak zestresowana jak matka.

Kiedy we trójkę ustawili choinkę, lekko przekrzywioną w miedzianym wiaderku na węgiel, poczuła się lepiej. W salonie panował ziąb jak zwykle, lecz zawsze lubiła jego ściany z terakoty, rokokowe gzymsy i żyrandole jak z planu filmowego. Razem z Olivią ślizgały się w skarpetkach po wielkiej wypastowanej podłodze i bawiły się w dom w wielkim kominku. Wielka szkoda, że rodzice pozwolili na to, by dom tak podupadł. Byłby niesamowity, gdyby tylko zainwestowali w niego trochę pieniędzy. Stała przy choince i wciągnęła głęboko powietrze; zapach żywicy przeniósł ją do czasów, gdy miała siedem lat, otwierała z Olivią prezenty i modliła się, by dostać wiatrak firmy Sylvanian Families.

– Wiv! Ubieramy choinkę! – zawołała matka. Gdy włączyła płytę z kolędami, ze starego sprzętu rozległy się pierwsze dźwięki „Once in Royal David’s City”.

Olivia weszła do salonu z iPadem w ręce. Siadając, nie odrywała wzroku od ekranu.

– Dziś zdiagnozowano siedemdziesiąt nowych przypadków – powiedziała.

– To okropne – odparła matka. – Biedni ludzie. Muszę przekazać darowiznę.

Phoebe chciała powiedzieć: „Możesz przestać choć na chwilę mówić o haag?”, lecz wiedziała, że nie powinna. Olivia dopiero co wróciła. Miała na sobie bluzę z kapturem Uniwersytetu Cambridge, która drażniła ją w niewytłumaczalny sposób. Zupełnie jakby Olivia stale szczyciła się swoimi osiągnięciami. Ale przynajmniej zdjęła te okropne szerokie spodnie.

– To nie takie proste. Tam panuje straszna korupcja, organizacje charytatywne niewiele mogą zdziałać.

– To okropnie smutne – powiedziała matka słabym głosem.

Phoebe była na tyle mądra, by wiedzieć, że nie powinna wyrażać swojej opinii. Nie znaczy to, że jakąś miała. To oczywiście okropne, gdy czyta się wiadomości albo myśli, jak niektórzy muszą żyć. Ale co można zrobić? Chyba że jak Olivia jest się gotowym zrezygnować z własnego życia i jechać im pomagać. Ale czy George nie mówił, że jedynym sposobem na mądrą pomoc Afryce jest zaprzestanie posyłania tam pieniędzy, by tamte kraje same musiały rozwiązać

swoje problemy? Od tego wszystkiego kręciło się jej w głowie.

– A teraz – powiedziała matka po chwili – większe ozdoby na dole, delikatne na górze.

Phoebe zaczęła układać znajome błyskotki na dywanie.

– Oooo, jest! – wykrzyknęła, gdy znalazła Elvisa w kostiumie Świętego Mikołaja, którego kupiła w drodze z Las Vegas do San Francisco. Zgodnie z prawdą ozdoby świąteczne znalazły się na liście ulubionych na jej profilu na Instagramie. Uwielbiała tę wymówkę dla blichtru, fakt, że choinka jest taka sama, a jednocześnie inna, rok po roku.

– Rodzina George’a co roku ubiera choinkę w innym kolorze – rzuciła w przestrzeń.

Zawsze czuła się lekko przygnębiona, gdy odwiedzała ich w drugi dzień świąt. Jego rodzice też mieli drugi dom w Norfolk, wyremontowaną stodołę w pobliskim Blakenham. W rzeczywistości ten fakt, odkryty w zatłoczonym klubie studenckim, doprowadził do ich pierwszego pocałunku. Ale pomimo bliskości dom Marsham-Smithów nie mógł się bardziej różnić od Weyfield. Był nowiutki, z wielką przeszkloną ścianą przypominającą ekrany w kinie i sofami wielkości pontonów.

– Boże, jakie to eleganckie – odparła uprzejmie Emma. – Ale ja wolę nasz misz-masz.

Phoebe wiedziała, że matka uważa jednolitą choinkę za trochę kiepską, podobnie jak ona. Ciekawe, czemu w ogóle o tym wspomniała.

– Uwielbiam nasz misz-masz – powiedziała. – To jedyna rzecz, która nie podoba mi się w hotelach. Sztuczne choinki i lameta.

Olivia podniosła wzrok i uniosła niewydepilowane brwi.

Phoebe wiedziała, co siostra myśli. Chciała rzucić: „Żartowałam. Mogłabyś albo sobie stąd pójść, albo pomóc?”, lecz tylko odwróciła się do drzewka.

Olivia podniosła jedną dużą szklaną kulę i powiesiła ją niedaleko czubka.

Phoebe automatycznie przewiesiła ją na niższą gałązkę.

– Duże idą na dół.

– Racja.

– Chodziło mi o to, że zawsze wieszaliśmy na górze te małe.

– Zawsze...

Nie wiedziała, czy siostra się droczy, czy chce się pokłócić. W ostatniej chwili ugryzła się w język, żeby nie powiedzieć: „Wiedziałybyś, gdybyś stale w święta nie pracowała”. Ale nie było sensu. Olivia jak nikt potrafiła dawać odczuć swoją wyższość. Rzuciłaby coś o dyżurach młodszych lekarzy albo stwierdziłaby, że gdyby Phoebe złamała sobie dziś wieczorem rękę, byłaby zadowolona, że oddział ratunkowy jest otwarty.

– No to co powiesimy na samej górze? Aniołka czy Elvisa? – zapytała

Emma.

– Muszę sprawdzić pocztę – powiedziała Olivia, wychodząc.

Godzinę później Phoebe leżała w wannie w Zielonej Łazience (nazwanej tak z powodu linoleum w kolorze mięty). Włączyła grzejnik na pełną moc, lecz uchyliła okienko, by nie zrobiło się duszno. Było coś rozkosznego w sposobie, w jaki mroźne powietrze mieszało się z pachnącą parą, zupełnie jak w spa po nartach. Ale nie mogła się do końca odprężyć. Kiedy Olivia była w domu, Phoebe zawsze była podenerwowana. A w tym roku, gdy matka powitała siostrę jak świętą (którą, oczywiście, była), będzie pewnie najgorzej. Czemu Olivia musi psuć całą zabawę swoją kwaśną miną i pełnymi złości spojrzeniami? Tylko dlatego, że była tak politycznie uświadomiona i miała obsesję na punkcie Afryki. Poczula ucisk w gardle – szukała, za późno, odpowiednio ciętej riposty. Chciała, by Olivia uświadomiła sobie, że potrafi być okropnie protekcyjna i że ona, Phoebe, jest tą ładną siostrą, która wychodzi za męża, ma ekscytującą pracę i bogate życie towarzyskie, a na Instagramie obserwuje ją mnóstwo osób. Choć Olivie pewnie mało to obchodzi.

Wstała, czując, że krew uderza jej z gorąca do głowy, i sięgnęła po telefon stacjonarny, który zabrała ze sobą. Znowu położyła się w wannie, wystawiła zaróżowione jak u homara stopy i próbowała je ochłodzić przy starych kurkach. W Weyfield nigdy nie można było ustawić odpowiedniej temperatury wody: leciał albo wrzątek, albo letnia. Od dawna prowadziła kampanię, by wyremontować wszystkie łazienki albo przynajmniej tę, z której korzystała, lecz matka była osobliwie przywiązana do tych okropnych rur w posiadłości. Phoebe stale żartowała z ojcem na ten temat – Emma nalegała, by Weyfield pozostało jak najmniej wygodne. W jej pokoju było tak zimno, że zeszłej nocy spała w swetrze.

– Cześć – powiedział George, kiedy już myślała, że nie odbierze i że w zasadzie chyba nie ma ochoty rozmawiać.

– Czeeeść.

– Jak tam kwarantanna?

– Wkurzająca. Już. Ubierałyśmy choinkę i...

– Zaczekaj sekundkę, mała.

Czekała, kiedy mówił: „Cześć, stary, najlepszego”, głosem zarezerwowanym dla taksówkarzy i sprzedawców. Pewnie za coś płacił. Miała nadzieję, że to kolczyki Dinny Hall, które bardzo chciała dostać i napomknęła o tym jego siostrze. Potem przypomniała sobie, że dał jej już zapakowany prezent pod choinkę. Był mały i kwadratowy, ale czuła, że to raczej nie są wielkie kółka. Myszka na pewno wszystko pomieszała. Nie знаła się na takich rzeczach.

– A więc kwarantanna to koszmar – powiedział.

Straciła już zapał, by wściekać się na Olivie. I tak trudno byłoby to wytłumaczyć.

- Sam wiesz. Rodzina. Kiedy tu przyjedziesz?
- Jutro rano. I wracam na Nowy Rok. Krótko i urocz.
- Super. – Nie przychodziło jej już nic do głowy, co mogłaby mu powiedzieć lub o co zapytać, więc rzuciła: – Okej, pogadamy później.
- Na razie, mała. Głowa do góry.
- Kocham cię.
- Ja ciebie też.

Rozłączyła się, odsuwając od siebie myśl, że przez sześć lat George nigdy nie wypowiedział słów „kocham cię”. Ale przecież się oświadczył, na miłość boską. Sprawa z „kocham cię” stawała się kolejną natrętną myślą. Sięgnęła po ręcznik – był szorstki i pachniał wilgocią jak wszystkie ręczniki w Weyfield. Zanotowała w pamięci, by trzymać go w pokoju na wypadek, gdyby Olivia skorzystała z tej łazienki. Choć siostra utrzymywała, że nie ma żadnego ryzyka, nadal trochę się przejmowała, że mogłaby się zarazić wirusem. Gdyby tak się stało, przynajmniej zrzuciłaby sporo kilogramów przed ślubem.

Jesse

Stacja w Sheringham, Norfolk, 20.12

Sheringham (Wymawia się h? Nie miał pojęcia) było ostatnią stacją. Przyjechał tu z Norwich śmiesznie małym pociągiem, który wyglądał jak zabawka. To nawet nie była stacja, tylko nieoświetlony peron, z rozchwianą bramą oddzielającą go od chodnika. Wciągnął zimne, słonawe powietrze, myśląc, jakie to szalone, że zaczął dzień nad Pacyfikiem, a teraz stoi nad innym oceanem w Norfolk w Anglii. Nie, chwileczkę, w Wielkiej Brytanii nie ma oceanu. Tylko staroświecko brzmiące „wybrzeże”.

Na High Street w Sheringham wisiały najbardziej odjazdowe świąteczne lampki – migoczące czerwone krewetki i żółte kraby oświetlały zatrzymane w czasie wystawy sklepów. Jesse zrobił kilka zdjęć, by wysłać je na WhatsApie do Dany, zanim zobaczył, że nie ma zasięgu. Przy peronie znajdowała się mała budka z napisem „Cliffords Taxi” i niebawem siedział na tylnym siedzeniu zdezelowanego forda i jechał do hotelu Harbour w Blakenham.

– Jest pan z Ameeeryki? – zapytał taksówkarz, gdy samochód jechał wijącą się wzdłuż wybrzeża drogą. Nigdy nie słyszał takiego akcentu. Miał w sobie dziwny zaśpiew, wznosił się na końcu każdego zdania – nie tak jak u Kardashianki, raczej rzewnie. Będzie musiał przeprowadzić kilka wywiadów z tubylcami do swojego filmu.

– Tak, ale mam też angielską krew. Odwiedzam tu rodzinę – odparł.

Już miał wyjaśnić, że szuka biologicznego ojca, ale mężczyzna tylko chrząknął i włączył radio. To było super. I tak będzie się musiał nauczyć, by nie paplać o wszystkim. Przecież już poszedł na całość i zamroczony z niewyspania opowiedział wszystko tej pani na lotnisku. Razem z Calgary stale pracowali nad jego skłonnością do zwierzeń. Albo, jak określała to Dana, nad „obsesyjno-kompulsywnym syndromem dzielenia się informacjami”. Ale mimo to nadal to robił. Patrzył na coś, na przykład na jakiś fajny znak, i słyszał, że go komentuje, zanim zdążył sobie uświadomić, że myśli na głos. To jak emocjonalne wybuchy; ciężko pracował, by je powstrzymać, ale od czasu do czasu nadal do nich dochodziło. Rodzice adopcyjni, oboje bardzo opanowani, w żartach obwiniali o to „gorącokrwiste” libańskie pochodzenie. Teraz zastanawiał się, czy odziedziczył to po Andrew. Biologiczny ojciec nie miał problemów z dzieleniem się szczegółami z życia prywatnego i zdecydowanie miał problemy, by zapanować nad gniewem.

Gdy wjeżdżali do „miasta” Blakenham, taksówka zwolniła. Okazało się, że składały się na nie dwie małe, kręte ulice wyłożone kocimi łbami prowadzące do nabrzeża i hotelu. Wysiadając, dostrzegł ozdobną fasadę jak z wiktoriańskiej

pocztówki znad morza, wychodzącą na zalany blaskiem księżycy port. W lobby pachniało wybielaczem i stęchłym piwem, podłogę pokrywał dywan w rude esy-floresy. W tle grała cicho świąteczną piosenka Band Aid. Dziewczyna z twarzą obsypaną bolesnym trądzikiem i czapce Świętego Mikołaja podała mu klucz.

– Jaki jest numer na room service? – zapytał. Umierał z głodu, bo na stacji w Norwich zrezygnował ze śmieciowych przekąsek. Patrzyła na niego pustym wzrokiem, więc musiał powtórzyć pytanie trzy razy, pytając najpierw o „concierge”, potem o „menu” i wreszcie o „kolację”.

– Och – odparła. – Kuchnia jest już nieczynna, przepraszam. Zamykamy o ósmej.

– Czy mogę dostać na przykład czipsy? – zapytał, lekko zrozpaczony. Najwyraźniej będzie musiał obniżyć standardy.

– Czipsy? Nie, kuchnia jest zamknięta. – Patrzyła na niego, jakby był bardzo głupi.

– Chodzi mi o chrupki, ziemniaczane – powiedział, przypomniałszy sobie, że czipsy to w Anglii frytki.

– Aaa, chrupki. Tak, w minibarze są Pringles, jeśli ma pan ochotę. Albo możemy panu przygotować zupę – zaproponowała, wyraźnie się nad nim litując.

– Zupa będzie idealna! Dziękuję, jest pani cudowna! – wykrzyknął, kładąc banknot na blacie. Wyglądała na zdziwioną.

– Dopiszemy panu do rachunku – powiedziała.

– Nie, to dla pani. Jestem bardzo wdzięczny.

– Oooh. Racja, dzięki!

Przeszedł chyba z kilometr zatęchłym korytarzem w nadziei, że uda mu się lepiej porozumieć z ojcem. Wystrój pokoju był utrzymany w podobnej rudej tonacji jak lobby, na łóżku leżała błyszcząca narzuta, a zasłony w oknie były udrapowane jak w teatrze kukielkowym. Wszędzie było pełno tabliczek informacyjnych. „Proszę nie wrzucać do toalety niczego poza papierem toaletowym”. „Jeśli to możliwe, proszę korzystać z ręczników kilka razy”. „Informujemy uprzejmie, że późne wymeldowanie się z hotelu pociągnie za sobą dodatkową opłatę”.

Pomyślał, że dobrze by było uwiecznić przyjazd na filmie, ale na razie priorytetem był prysznic. Zamontowano go nad wanną, a ciśnienie wody okazało się żałosne. Usłyszał pukanie do drzwi i szybko wyszedł z wanny, owijając się ręcznikiem. Na korytarzu stała dziewczyna z recepcji z tacą. Zarumieniła się i przez moment wyglądało na to, że może tacę upuścić, zanim mu ją podała i szybko uciekła. Najwyraźniej to, co mówili o spiętych Brytyjczykach, było prawdą. Choć może pokazywanie się nastolatce tuż po wyjściu spod prysznica było trochę okrutne, pomyślał, spoglądając na odbicie torsu w lustrze. Dana i matka stale mu przypominały, że choć jest gejem i tak będzie łamał kobietom serca. Usiadł po

turecku na łóżku, oderwał kawałek gumiatej bułki i ostrożnie spróbował zupy w kolorze mandarynki. Była letnia, o konsystencji sosu i tak słodka, że mogłaby służyć za deser. Wielka szkoda. Raczej trudno się tu spodziewać zdrowej żywności. Wyjął iPada i napisał e-mail do Dany.

TEMAT: Jak na razie w porządku

OD: Jesse Robinson <jesse.iskandar.robinson@gmail.com>

DATA: 23/12/2016 20.40

DO: Dana Robinson <danar_1985@hotmail.com>

Cześć,

siedzę w pokoju w hotelu Harbour w Blakenham z widokiem na piękny port. Spędziłem superdzień z Davidem Rubinem, który w czerwcu przeniósł się do Londynu. Zjedliśmy brunch niedaleko jego mieszkania w Shoreditch, to bardzo ładna okolica.

Nadal nie mam żadnej odpowiedzi od biologicznego ojca... Co mam robić??? Nie jestem pewny, jak długo mogę zwiedzać Blakenham.

Życz mi powodzenia w walce z jet lagiem.

J.

Nie tak wyobrażał sobie swój pierwszy dzień w Wielkiej Brytanii. Naciskając „Wyślij”, poczuł, że ogarnia go fala wątpliwości. Co jest, kurwa? Co on robi w hotelu na prowincji, jedząc okropną zupę, gdy powinien pić szoty w klubie La Descarga, wyprowadzać psa Dany, Flynną, na moło w Santa Monica albo w domu w Iowa pomagać mamie gotować. Nie, zapomnij o tym, teraz powinni go witać z otwartymi ramionami w Weyfield Hall. Albo przynajmniej przysłać mu odmowny e-mail. Ale nie zamierzał powiedzieć nic takiego Danie, która wściekła się, gdy zarezerwował lot, nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi od Andrew. Zastanawiał się, czy nie wysłać jeszcze raz pierwszego e-maila, ale czy to nie wyda się desperackie? Był pewny, że ojciec dostał tę pierwszą wiadomość. Przed wyjazdem z Los Angeles wysłał Andrew wiadomość z fałszywego konta na Gmailu, udając piarowca z Brooklynu, by sprawdzić, czy dostanie odpowiedź. Krótka odpowiedź przyszła niemal natychmiast: „Nie piszę o Nowym Jorku, o czym wiedziałby pan, gdyby zadał sobie trud przeczytania mojej kolumny”. Widok e-maila od Andrew, który nie był zaadresowany do niego, okazał się nieoczekiwanie bolesny.

Może to nie jest najlepsza pora, powtarzał raz jeszcze w duchu. W końcu to Boże Narodzenie. Może Andrew odpisał, ale odpowiedź do niego nie dotarła. Może był tak przytłoczony tą wiadomością, że nie wiedział, jak zareagować. Cała ta sprawa przypominała spotęgowaną udrękę randkowania. Przygotował się na wyważoną odpowiedź. Calgary pomogła mu pogodzić się z faktem, że mimo genetycznego pokrewieństwa mogą się z Andrew bardzo różnić. Ale nigdy się nie spodziewał, że ojciec totalnie go zignoruje. Zaczął się zastanawiać, czy nie byłoby

sensowniej zaproponować spotkanie w Londynie. Nie miał pojęcia, co będzie robić w Blakenham przez tydzień, jeśli milczenie ojca się przedłuży. Wyciągnął się na narzucie, starając się nie myśleć, ile tłustych głów na niej leżało, i otworzył podcast „Pozytywna medytacja” na iTunes.

3

Wigilia 2016

Drugi dzień kwarantanny

Olivia

Kuchnia, Weyfield Hall, 7.50

Realistyczny sen o Abu, chłopczyku, który umarł pod jej opieką, nie pozwolił jej spać. Kiedy zeszła na dół, wszyscy byli już w kuchni i rozmawiali przy szumie Radio Four, tykającego tosteru i ekspresu. Matka zerwała się, zapytała ją, jak spała i czy ma ochotę na jajka, czy woli kawę czy herbatę i może zje rogalika?

Nigdy nie lubiła porannych pogawędek. Nadal była lekko zamoczona i wstrząśnięta scenami, które oglądała na nowo. Sean nie odpowiedział na jej e-mail. Zaniepokoiło ją to bardziej, niż się spodziewała. Nie przywiązuj się zbyt mocno, powiedziała sobie w duchu. W domu może być zupełnie inaczej.

– Temperatura, pamiętasz? – zapytała Emma.

– Oczywiście. W normie. Nic mi nie jest, mam – odparła, przekraczając stos reklamówek, z których wysypywała się niedorzeczna ilość jedzenia.

Przez sekundę bała się, że Emma przerwała kwarantannę, by zrobić zakupy, lecz zaraz uświadomiła sobie, że to internetowa dostawa z Waitrose. Jej oczy musiały przywyknąć do alternatywnej, liberyjskiej rzeczywistości, bo codzienne sprawy wydawały się jak wyjęte z dalekiej przeszłości. Wpatrywała się w woreczek ze szpinakiem na blacie, listki były oczyszczone i przycięte, jakby nigdy nie widziały ziemi, dopóki z zamyślenia nie wyrwało jej zdumione spojrzenie Phoebe.

Wszystko wydawało się takie bezpieczne, takie czyste. Chciała zjeść muesli i próbowała sobie przypomnieć, gdzie są miski i łyżki. Pierwszą szufladę, którą otworzyła, wypełniały złożone szyszki i wstążeczki. Spróbowała w szafce i na twarz o mało co nie spadł jej piknikowy serwis z melaminy. Ten dom jest niedorzeczny. Czemu wszędzie jest aż tyle rzeczy, całe stosy? Żałowała, że nie spędzi kwarantanny w swoim mieszkanku, gdzie nigdy do końca się nie rozpakowywała i bardzo jej się to podobało.

– Na jaką herbatę masz ochotę? – zapytała matka.

– Normalną, proszę. – Marzyła, by matka pozwoliła jej zaparzyć herbatę, dzięki czemu uniknęłyby pytań o czas parzenia i mleko.

– English breakfast czy earl grey? – zapytała Emma. – A może lapsang?

– Lapsang pachnie jak frankfurterki – powiedziała Phoebe, nie podnosząc wzroku znad magazynu.

– Jezu, masz absolutną rację! – wykrzyknął Andrew. – Nie mogłem dojść, czemu nigdy mi nie smakowała.

– Najgorsza na świecie herbata z grilla – powiedziała Phoebe z niemieckim akcentem. – No i masz tytuł.

– Ha! – rzucił Andrew. – Może wysmażę coś na prima aprilis o herbacie robionej z kiełbasy. – Kiedy Olivia usiadła, wstał i powiedział: – Zostawię was same – i wyszedł z krzyżówką z „Timesa”.

Olivia przysunęła do siebie pozostałą część gazety, żeby nie musiała rozmawiać. Phoebe znów na nią patrzyła, przekrzywiając głowę jak u lalki.

– Co jest? – zapytała Olivia.

– Nic. Tylko ta miska jest do makaronu.

– A co za różnica?

– Żadna. Tylko trochę dziwnie wygląda.

Olivia wróciła do gazety. Phoebe zawsze bardzo się bała, by nie wyjść na „dziwną”. Nawet użycie złej miski było powodem do niepokoju. Olivia odwróciła stronę i zamarła. Przez moment myślała, że zwymiotuje. W lewym dolnym rogu pod nagłówkiem „U irlandzkiego lekarza stwierdzono wirusa haag” widniało zdjęcie Seana. Z walącym sercem przebiegła wzrokiem po tekście. Potem przeczytała jeszcze raz, powoli, jakby mogła wszystko odwrócić.

U IRLANDZKIEGO LEKARZA STWIERDZONO WIRUSA HAAG

Irlandzki lekarz, pierwsza osoba w Wielkiej Brytanii, u której stwierdzono wirusa haag, to pediatra Sean Coughlan. Był jednym z pięćdziesięciorga wolontariuszy, którzy w ramach organizacji POMOC leczyli ofiary wirusa haag w Liberii, jednym z największych ognisk epidemii.

Lekarz zgłosił objawy, czekając wczoraj na samolot z Heathrow do Dublina, po czym stracił przytomność. Po przylocie na Heathrow o dziewiątej rano przeszedł obowiązkowe badania, lecz potem czekał dziesięć godzin na samolot opóźniony z powodu mgły. Natychmiast przewieziono go do izolatki na oddziale zakaźnym Royal Free Hospital w północnym Londynie w towarzystwie personelu medycznego w skafandrach ochronnych. Wczoraj wieczorem testy na obecność wirusa haag dały wynik pozytywny.

Sean Coughlan (33 lata) pozostanie w izolatce w szpitalu, gdzie leczy go doktor Paul Sturgeon, jeden z ekspertów w dziedzinie chorób zakaźnych. Stan pacjenta jest krytyczny.

Do tej pory na świecie stwierdzono 15 420 przypadków zachorowań na wirusa haag; 9120 chorych zmarło w czterech krajach: Liberii, Gwinei, Nigerii i Stanach Zjednoczonych.

Jak dotąd nie wynaleziono jeszcze szczepionki przeciwko wirusowi i szczególnie personel medyczny narażony jest na duże ryzyko podczas kontaktu z pacjentami. Wydział Zdrowia potwierdził, że zawiadomi osoby, które mogły się kontaktować z lekarzem, choć eksperci twierdzą, że ryzyko zakażenia jest niewielkie.

Minister zdrowia przewodniczył zebraniu sztabu antykryzysowego COBRA w Whitehall i powiedział, że zbadane zostaną procedury przyjęte przez

wolontariuszy i urzędników pracujących w Liberii. Premier, który dziś będzie przewodniczył kolejnemu posiedzeniu COBRY, zapewnił, że rząd dołoży wszelkich starań, by udzielić wsparcia pacjentowi i ochronić zdrowie publiczne, dodając: „Nasze myśli i modlitwy są z rodziną tego odważnego młodego człowieka”.

– To niemożliwe! – wykrzyknęła Olivia.

Matka i siostra podniosły wzrok znad stron reklamowych „Timesa”.

– Co? – zapytała Phoebe.

– Sean. Sean ma wirusa. Haag. Nie. Nie, to niemożliwe! Kurwa! – rzuciła.

W myślach tworzyła już scenariusz katastrofy: Sean umiera, jego pogrzeb, ona też ma wirusa, „Daily Mail” linczuje ich jako nieodpowiedzialną „parę haag”.

– Haag? – zapytała matka, zrywając się z krzesła.

Olivia przesunęła gazetę w ich stronę i chwyciła iPada. Potrzebowała więcej faktów.

– Pracował ze mną w centrum medycznym. Poznałaś go wczoraj, pamiętasz?

– Och, kochanie, to straszne.

– Jakim cudem się zaraził? – Phoebe otworzyła szeroko oczy, przerażona. –

Nie mieliście na sobie specjalnych kombinezonów?

– Nic nie daje stuprocentowej pewności – odparła Olivia, siłą woli zmuszając strasznie powolne wi-fi w Weyfield do szybszego działania.

Poszukiwania przyniosły setki wyników, lecz był to ten sam artykuł powtarzany raz po raz, trochę statystyk i uwag, zdjęcia Seana z uniesionymi kciukami w lekarskim fartuchu w kolorze terakoty. Za nim dostrzegła znajomą betonową podłogę centrum, brezentowy dach i drzwi prowadzące do Czerwonej Strefy oblepione ostrzegawczymi naklejkami. Wiedziała, że wczesne objawy wirusa pojawiają się stopniowo, czasami przez kilka dni, a potem w ciągu paru godzin dochodzi do gwałtownego pogorszenia. Była to jedna z najbardziej okrutnych chorób, którą często diagnozowano zbyt późno. Jednak mimo to Sean zachowywał się i wyglądał normalnie do czasu, gdy pożegnali się na lotnisku. Przypomniała sobie, że o trzeciej nad ranem odmówił zjedzenia posiłku w samolocie; poczuła wtedy ucisk w piersi. Myśl, że mógł ją ochraniać, robić dobrą minę do złej gry, była nie do zniesienia. Potrzebowała szczegółów, ale miała jedynie adres mejlowy Seana i numer jego komórki – bezużyteczne, gdy leżał w izolatce. Nie miała kontaktu z jego rodziną, poza tym przysięgli, że do końca kwarantanny nikomu nie wyjawią swojego sekretu. Miała ochotę krzyczeć. Wiedziała, że byli bardzo głupi. Czy powinna coś powiedzieć – zawiadomić Wydział Zdrowia, rodzinę? Niemal w tej samej chwili postanowiła, że tego nie zrobi. Jeszcze nie. Będzie tylko wyjątkowo czujna. W końcu od ostatniego ranka w jej pokoju prawie się nie dotykali. Haag nie był wysoce zaraźliwy do czasu ujawnienia się późniejszych objawów. Nic jej nie będzie. Sean nie zdradzał

żadnych objawów, gdy się rozstawali. O ile wiedziała.

– Biedni jego rodzice – powiedziała Emma.

– Dobrze go znałaś? – zapytała Phoebe.

– Średnio.

Phoebe poczuła ulgę.

– Na pewno nic mu nie będzie. Wygląda na to, że jest w dobrych rękach.

– Tak – odparła Olivia, wstawiając miskę do zlewu, i szybko wyszła z kuchni, zanim szloch wyrwał się jej z gardła.

Jesse

Moczary w Blakenham, 9.15

Po mało udanej sesji jogi między łóżkiem a minibarem i śniadaniu na dole („świeżo wyciśnięty” znaczy tutaj coś innego) Jesse wyszedł na spacer. Dzień był przepiękny, niebo przypominało odwróconą niebieską miskę, ziemię przykrył szron. Wziął kilka głębokich wdechów, napełniając płuca mocno naozonowanym powietrzem tak innym od tego na plaży w domu. Zupełny brak wzniesień w Norfolk był dziwaczny. Miejsce przypominało niekończący się basen. Ścieżka przez mokradła ciągnęła się tuż przed nim jak rdzeń kręgowy przez płaski teren aż do morza. Po lewej stronie ocean pierzastych trzcin kiwał głowami i szeptał na wietrze. Cała ta panorama byłaby genialnym ujęciem początkowym jego filmu.

Minęła go para w średnim wieku w kurtkach z goreteksu, uderzając w ziemię zupełnie niepotrzebnymi kijami do nordic walking. Jego „hej”, którym odpowiedział na „dzień dobry” kobiety, zabrzmiało w ciszy arogancko. Od dawna nie czuł się tak wyobcowany. Jeśli uda mu się spotkać z biologicznym ojcem – a ta możliwość zdawała się oddalać z każdą chwilą – musi się jakoś pozbierać. Odwrócił się na głuchy odgłos zbliżających się kroków. W jego stronę biegł chłopak w jego wieku, może kilka lat młodszy. Był nawet całkiem niezły. Kiedy się zbliżył, Jesse zauważył jego niebieskie jak u syjamskiego kota oczy, ciemne włosy i śniadą skórę. Dana wydawała setki dolarów, by osiągnąć taki efekt. Miał mocno umięśnione ramiona i tors, ale zarumienione policzki nadawały mu chłopięcy wygląd. Przypominał mu futbolistę z college’u, Brada Acklanda. Albo brytyjską wersję Leo DiCaprio. Nie ryzykował kolejnego „hej” i tylko się uśmiechnął, szerokim gestem ręki dając chłopakowi znać, by go minął. „Cześć, stary”, wysapał biegacz. Jego ciepły, mydlany zapach unosił się w rześkim powietrzu, gdy Jesse patrzył, jak jego plecy znikają na ścieżce. Wygląda na to, że nie wszystkie ciacha mieszkają w Shoreditch.

Olivia

Pokój Wierzbowy, Weyfield Hall, 10.00

TEMAT: Bez tematu

OD: Olivia Birch <olivia.birch1984@gmail.com>

DATA: 24/12/2016 10.00

DO: Sean Coughlan <SeanKCoughlan@gmail.com>

Kochanie,

wiem, że nie dostaniesz tej wiadomości, a przynajmniej nie dzisiaj, ale nie mogłam nie napisać.

Nic więcej nie przychodziło jej do głowy. Nie byłoby w porządku, gdyby zwierzyła się Seanowi, jaka jest przerażona, choć miała na to wielką ochotę. Jeśli w ogóle do niego napisze, powinna się postarać podnieść go na duchu. Ale przecież to i tak nie miało sensu, bo Sean nie może teraz czytać e-maili. Nawet jeśli jego stan się ustabilizuje, nie pozwoli mu wziąć do ręki żadnych urządzeń, dopóki nie wyjdzie z izolatki. A to może potrwać wiele dni. Bo przecież jego stan się poprawi, prawda? Był w szpitalu Royal Free, nie w Monrovii. Przez dwadzieścia cztery godziny na dobę jest pod opieką najlepszych specjalistów, którzy w zasadzie powinni pojechać do Liberii. Od razu pociechę płynącą z tej świadomości zagłuszył wstyd. Pomyślała o wszystkich pacjentach, których przyjęła do centrum medycznego, gdzie nie było bucących urządzeń, nowych leków ani respiratorów. Nie było boskiej opatrności, która ewakuowałaby ich w bezpieczne miejsce. I nikogo, kto opisałby ich przypadek w gazetach.

Co ona sobie myślała? Jak mogła tak stracić panowanie nad sobą? Widziała, jak inni wolontariusze postępują podobnie – żyją chwilą, jakby się znajdowali w strefie działań wojennych. A ona ich osądzała. Przypomniała sobie, że rozmawiała nawet o tym z kolegą w obozie w Calais w zeszłym roku. Zgodzili się, że najlepiej radzić sobie z emocjonalnym wyzwaniem, skupiając się na pracy, opiece nad chorymi, nauce. Ale z niej pompatyczna suka. Zrobiła coś, czego nie aprobowała. Naraziła wszystkich na ryzyko. Wszystkich i wszystko. Karierę swoją i Seana, reputację organizacji POMOC w Liberii. Czemu się nie powstrzymali, nie stosowali do zasad, tylko zachowali się jak nastolatkwie? Wbiła dłonie w oczy.

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Przygotowuję świąteczne skarpety dla rodziców – powiedziała Phoebe.

Olivia zawahała się. Chciała powiedzieć siostrze, żeby zrobiła to sama, bez niej. Ale musiała zachowywać się normalnie. Jeśli rodzina zacznie coś podejrzewać, sytuacja jeszcze się pogorszy.

– Zaraz zejdę – powiedziała, ocierając łzy, mimo że Phoebe nie mogła ich

widzieć.

– Okej. Będę w Pokoju Werandowym – odparła siostra, a jej kroki ucichły w korytarzu.

Pokój Werandowy znajdował się nad drzwiami wejściowymi i był wąską dziecięcą sypialnią. Nie była pewna czyją. Phoebe wiedziała. Odkąd pamiętała, był to pokój przeznaczony do pakowania prezentów. Komoda przy małym żelaznym łóżku trzeszczała, wypełniona używanym świątecznym papierem, starannie zachowanymi pudełkami na prezenty i specjalnymi pisakami, które nie pisały albo nagle wyrzucały z siebie złote gluty.

W dzieciństwie w Wigilię wystawały z Phoebe przy drzwiach, skamłając o pozwolenie wejścia do środka, i z rozkoszą słuchały surowych nakazów, by „natychmiast stąd poszły”. Jakie to niesprawiedliwe, pomyślała, idąc korytarzem, że niektóre dzieci rodzą się w takim zbytku, a inne w slumsach. Weyfield równie dobrze mogło leżeć na innej planecie niż Liberia. Przynajmniej w Camden można się było poczuć bliżej rzeczywistości, kiedy gawędziło się z bezrobotnymi sprzedającymi numery „Big Issue”^[3].

Znalazła Phoebe na podłodze, otoczoną reklamówkami, czekoladkami, książkami w miękkich oprawkach i ozdobnie opakowanymi mydłami.

– Mam tyle – powiedziała. – To stosik dla mamy. – Wskazała bardziej pienistą i różową kupkę. – A to dla taty. Mamy za mało rzeczy, których nie da się zjeść. Bo w zasadzie to same słodycze. Tak trudno jest mu coś kupić. – Westchnęła teatralnie. – To wkurzające, że nie możemy iść do Holta i coś jeszcze dokupić.

Cień wyrzutu? Olivia usiadła obok Phoebe, obliczając w duchu, że każdy stosik kosztował ponad sto funtów.

– Super! Dobra robota, Phoebie – powiedziała. Czowała się nedorzecznie, roztrząsając zawartość świątecznej skarpety dla dorosłego mężczyzny, kiedy czterdzieści osiem godzin wcześniej pocieszała osieroczonego malucha. Pomyślała o Seanie i poczuła, jak coś powoli, bardzo powoli ściska jej wnętrzności.

Phoebe podniosła głowę i spojrzała na nią podejrzliwie.

– A co ty masz?

– Tylko to. – Rozpakowała dwa drewniane korki do butelek wyrzeźbione na kształt żyrafy i zebry, które kupiła podczas rzadkiego wolnego weekendu z Seanem w Fish Town. Zupełnie nie pasowały do luksusów rozłożonych na podłodze. Papier nadal pachniał przyprawami, których woń unosiła się w powietrzu tamtej niedzieli.

– To wszystko?

– Tak.

– Okej. Do czego są... do wina?

– Tak, do butelki. Chyba do każdej. – Nie myślała o ich przeznaczeniu. Sean kupił podobne dla swoich rodziców, więc poszła w jego ślady. Jak on może teraz leżeć w namiocie tlenowym?

– Są bezpieczne?

– Co? Tak! Musiałyby leżeć w łóżku chorego na haag, żeby stanowić jakieś zagrożenie.

– Dobrze. – Phoebe ujęła je w dwa palce, położyła na kupkach, po czym zamieniła i przełożyła z powrotem. – Chyba tak będzie dobrze. Zebra dla mamy – powiedziała do siebie, marszcząc brwi.

– Przepraszam, że nie miałam okazji, żeby zrobić zakupy – powiedziała Olivia. – Tam było sporo roboty. – Phoebe musiała zrozumieć, że nie była tam na wakacjach. – Ty jesteś w tym taka dobra. Świetnie sobie poradziłaś – dodała głosem, który doprowadziła do perfekcji jako stażystka w szpitalu Great Ormond Street.

Phoebe nie odezwała się, tylko dalej bawiła się kupkami.

– Ale mam to – powiedziała Olivia po chwili, wykładając sześć DVD, które zamówiła, niemal losowo, w zeszłym tygodniu. To był pomysł Seana. Nalegał, żeby skorzystała ze swojego konta na Amazonie i podała adres Weyfield, kiedy przyznała, że nie kupiła żadnych prezentów. – Chciałam je położyć pod choinką – dodała – ale włóż je do skarpet, jeśli wolisz.

– Nie można włożyć do skarpety więcej niż jedno DVD.

– Czemu?

– Bo tak. Prezenty nie będą wyważone. Poza tym teraz oglądają filmy na Netflixie. A co im dasz pod choinkę?

– Na pewno jakoś to przeboleją. Przecież i tak dostaną prezenty, tylko nie pod choinką. – Ta rozmowa musi się skończyć, pomyślała. Nagle poczuła się bardzo zmęczona.

Phoebe przyjrzała się każdej płycie, wzięła dwie i, nie patrząc na siostrę, zaczęła w milczeniu napełniać długie wełniane skarpety leżące na łóżku. Początkowo Olivia próbowała podawać jej prezenty, ale przy każdej próbie Phoebe mówiła coś w stylu: „Nie, właśnie włożyłam mydło. Potrzebne są jakieś słodczyce”, więc zrezygnowała i tylko patrzyła, dopóki skarpety nie wyrzuciły się jak dobrze nakarmione pytony. Właśnie dlatego, pomyślała Olivia, unikam świąt w Weyfield.

Andrew

Palarnia, Weyfield Hall, 11.00

Emma najwyraźniej bardziej przejmowała się wirusem, niż Andrew sobie uświadamiał. Wcześniej wpadła do palarni, trąkając o nieszczęsnym irlandzkim lekarzu, który zaraził się haag. Choć próbował jej wytłumaczyć, że to nie oznacza, że Olivia będzie następnym przypadkiem, powtarzała: „Ale Andrew, ona go znała. Ja też go poznałam na Heathrow, kiedy po nią pojechałam”.

– A czy znała go w sensie biblijnym? Czy lizała mu gałki oczne? Czy pożegnała się z nim namiętnie, całując go z języczkiem?

– Nie żartuj sobie. To poważna sprawa.

– Jestem śmiertelnie poważny. Haag nie przenosi się drogą kropelkową. Żeby się zarazić, musi dojść do wymiany płynów ustrojowych. A ta druga osoba musi już zdradzać objawy choroby. Zakładam, że nie toczył piany z ust? Czy nie badano ich wszystkich po przyjeździe?

– Tak, ale wszystko było fatalnie zorganizowane. Po co snuł się po lotnisku, czekając na połączenie? Nie powinien polecieć prosto do Irlandii?

– Wątpię, by miał jakiś wybór. Aer Lingus chyba nie lata codziennie do Liberii.

Nie wyglądała na przekonaną. Nadal nie mógł się nadziwić, jakim cudem on – racjonalny, poważny dziennikarz – ożenił się z kobietą, którą poruszała każda przerażająca historia drukowana w brukowcach. Poza tym musiał się zająć własnym problemem. Jesse Robinson znów przysłał mu rano e-mail. Co gorsza, jest tutaj, w Norfolk. W drugiej wiadomości zasugerował uprzejmie, że być może pierwsza do niego nie dotarła, przedstawił się jeszcze raz, a potem napisał, że zatrzymał się w Blakenham. Początkowo Andrew odebrał to jako przerażający, szekspirowski zbieg okoliczności. Ale w następnej linijce przeczytał, że Jesse wiedział o wakacjach spędzanych w pobliżu Blakenham i pozwolił sobie „zarezerwować wycieczkę” właśnie tam, dodając mało prawdopodobną wymówkę o filmie dokumentalnym, do którego zbiera materiały. Ciekawe, czy wszyscy młodzi ludzie mają obsesję na punkcie dokumentów?

Jesse zasugerował nawet spotkanie w Weyfield lub „spacer na plaży”. Co go opętało, by lecieć taki kawał drogi, nie otrzymawszy odpowiedzi? Skąd wiedział o Weyfield? Ile jeszcze wie? Do diabła z internetem. Czy coś niszczyło rodziny, związki, cholerną normalność skuteczniej od niego? Chyba nie. Zanotował w pamięci, by poświęcić temu jeden z felietonów. Potem przypomniał sobie, że przez lata pewnie podał w swoich artykułach wszystkie informacje, jakich może zapragnąć nieznanie dziecko. A wszystkie były dostępne w sieci. Czy wspominał

Weyfield z nazwy? Dzięki Google dowiedział się, że chwalił się nim kilka razy. W sieci znalazł też to okropne zdjęcie dla „Country Living”, które podawało dokładną lokalizację posiadłości.

Już po nim. Naprawdę musi odpowiedzieć. Problem polegał na tym, że tłumaczenie się wirusem brzmiało straszliwie nieprawdopodobnie. Poza tym, co się stanie, jeśli Jesse postanowi zaryzykować i dołączy do nich podczas kwarantanny? Istniała taka możliwość, choć mało prawdopodobna. Wydawało się, że Jesse żałośnie dąży do spotkania. Jeśli Andrew miał ochronić Emmę i dziewczęta przed tą całą sprawą, jedynym wyjściem jest nie odpowiadać w ogóle. Szybko usunął oba e-maile od Jessego i wstał. Musiał wyjść, uciec z domu, który stał się powodem całego zamieszania, i diabli go wezmą, jeśli będzie chodził po terenie posiadłości jak więzień. Z pewnością spacer drogą wzdłuż wybrzeża będzie bezpieczny. Dom stał na odludziu. Andrew przeszedł szybko do holu, chwycił kurtkę i wyszedł, przysmykając tylko drzwi, by nikt go nie usłyszał. Potem wrócił i włożył pomarańczową kominiarkę, którą Emma zrobiła na drutach w latach osiemdziesiątych. Mrużąc oczy, spojrzął na swoje odbicie w lustrze przy drzwiach – wyglądał jak wariat, ale nie można go było rozpoznać. Gdyby miał pecha i natknął się po drodze na Jessego Robinsona (jakoś ostatnio nie liczył na przychyłność losu), ten przynajmniej go nie zaczepi.

Szedł drogą w stronę plaży. Zawsze uważał krajobraz w Norfolk za przytłaczający. Niezakłócony niczym horyzont i kopuła nieba uwięzione w słoju wiejskiej ciszy – z wyjątkiem rozlegającego się czasem gruchania grzywacza. Jezu, tutaj nawet ptaki zdawały się cierpieć na depresję. Andrew nigdy nie był i nigdy nie będzie miłośnikiem wsi. Ale Emma nadal była zauroczona Norfolk. Chciała, żeby dziewczęta w dzieciństwie przeżywały takie same wakacje i Boże Narodzenia jak ona. Przez jakiś czas walczył, by dziewczynki oglądały więcej świata. Emma zinterpretowała to, nie całkiem błędnie, jako wyraz jego tęsknoty za podróżami po odejściu z „Timesa”. Po śmierci ojca Emma jeszcze bardziej przywiązała się do Weyfield. Nie było mowy o sprzedaży. Z upływem czasu posiadłość coraz bardziej zaczęła przypominać świątynię. Teraz w zatrzymanych zegarach-kareciakach i wypchanych ptakach kryło się straszne poczucie, że czas się zatrzymał. Wydawało się, że nawet powietrze nie zmieniło się od dziesięcioleci. Już dawno przestał proponować unowocześnienie domu – łatwiej było zaszyć się w palarni. Emma pewnie wyobrażała sobie, że dom nadal go onieśmiela. Już nie. Przede wszystkim zaczął się sypać – a ich nie stać było na generalny remont.

Brązowy byk na łące po prawej stronie rzucił mu spojrzenie wylupiastych oczu, a potem wydał z siebie oskarżycielskie „muuu”. Do diabła z tobą, pomyślał na widok penisa zwierzęcia. Twoje cielaki na pewno nie zaskakują cię e-mailami. Możesz bezkarnie rozsiewać swoje nasienie. Wyjął telefon, by to zapisać, a kiedy podniósł wzrok, natychmiast tego pożałował. Po wale ochronnym ciągnącym się

wzdłuż drogi biegł George i pomimo kominiarki od razu go rozpoznał. Szlag by trafił te metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Chłopak na pewno powie Phoebe, że widział go na spacerze, co doprowadzi do nieprzyjemnej sytuacji. George zeskoczył z grobli na drogę i zatrzymał się; oparł dłonie na umięśnionych udach i, dysząc, spoglądał na Andrew. Miał na sobie strój z lycry, który nie pozostawiał pola wyobraźni.

– George! – zawołał Andrew, ściągnając przepoconą kominiarkę. – Nie zbliżaj się! – dodał, krzyżując palce na znak ostrzegający przed zarazą. Szkoda, że nie mógł tego zrobić za każdym razem, gdy George chciał mu mocno uściskać dłoń. – Wszystko w porządku? – zapytał po chwili, gdyż George nadal sapał w swoim dziwnym stroju.

– Tak, dzięki – odparł w końcu. – Ładne przebranie! Oddalił się pan samowolnie? Phoebe, zdaje się, mówiła, że nie wolno wam wychodzić z domu.

Nie znosił, gdy młodzi ludzie mówili „dzięki” zamiast „dziękuję”.

– Zasadniczo tak. Ale od czasu do czasu mężczyzna musi uciec od tego estrogenu. Byłbym wdzięczny, gdyby to pozostało między nami. – Że też przyjął ten ton „między nami mężczyznami”!

– Kapuję. Ciężka sprawa z tą kwarantanną? – zapytał George, prostując się. Andrew cieszył się, że nadal nad nim góruje, nawet jeśli nie mógł współzawodniczyć z jego siłą młynarza.

– Nie różni się zbyt od innych świąt spędzanych tutaj – odparł. – A ty? Przygotowujesz się na zbliżające się obżarstwo? – Wskazał na buty George’a, zastanawiając się, jak długo mają ciągnąć tę pogawędkę.

– Hm, tak, nie, trenuję na Paryż. Maraton.

Andrew zapomniał o nużących maratonach George’a. Celowo ignorował jego e-maile z prośbą o finansowe wsparcie najnowszego „wyzwania”, z którym się mierzył – choć wiedział, że Emma była bardzo szczodra. Jak często od czasu zaręczyn Phoebe przebiegło mu przez myśl, że jego wnuki będą po części Marsham-Smithami. Nie było to przyjemne.

Przez chwilę wpatrywali się w morze. Ciszę przerwały kościelne dzwony. Na każdym rogu w okolicy stały te cholerne kościoły.

– Lepiej będę ruszał, mama robi pieczeń – powiedział George, podskakując jak bokser przygotowujący się do ciosu.

– Pozdrów rodzinę – odparł Andrew, cofając się, by go przepuścić. Nie mógłbyś powiedzieć „matka” zamiast „mama”?

– Oczywiście, na razie – rzucił George, odbiegając.

Andrew udawał, że podziwia morze, dopóki George nie znalazł się w bezpiecznej odległości. Powietrze w pobliżu plaży było ciepkie – tak jak powinna smakować ryba, zauważyła część jego mózgu, która stale pisała felietony. Wiedział, że George nigdy nie czyta jego recenzji i że to – słusznie – denerwowało

Phoebe. Jesse pewnie czyta je nabożnie, pomyślał. A jeśli, wyrzucając te e-maile, przekreślił na zawsze jedyną szansę na relację ojciec-syn, która nie łączyła go z własnym ojcem i ojcem Emmy i nigdy nie połączy z George'em?

Przypomniawszy sobie, jak był w duchu rozczarowany, gdy urodziła się Olivia. Chciał chłopca. Wierzył, że syn mógłby złagodzić bliznę pozostawioną przez jego nieobecnego ojca. Ale Olivia nie była chłopcem i Phoebe też nie – choć z nią sprawy miały się inaczej. Myśląc o Phoebe, o kartce na Dzień Ojca, wrócił do punktu wyjścia. Wyrzucając te e-maile, podjął słuszną decyzję. Wyobrażenie sobie, że z Jessem mogłaby go połączyć ojcowska więź, było czystą fantazją. A jeśli Andrew nic nie odpowie ani nie zrobi, Jesse wróci do Stanów i cała sprawa się zakończy. Inne wyjście było zbyt kłopotliwe.

Zbliżając się do bramy, usłyszał głos Emmy. Brzmiał lekko histerycznie. Zatrzymał się. „Ale to zrujnuje święta”, powiedziała, a potem: „Nie jestem im nic winna. Poza tym, niebawem to zrobię”. Zaskoczony uświadomił sobie, że Emma rozmawia przez komórkę – myślał, że używa jej tylko w sytuacjach kryzysowych. Co zrujnuje święta? Pewnie jakiś niedostarczony prezent, na punkcie którego miała bzika.

Schował się za słupem bramy, zastanawiając się, co robić, gdy na końcu podjazdu zatrzymała się furgonetka DHL. Hałas przestraszył Emmę. Pobiegnęła w stronę kierowcy, wymachując rękami i wskazując na tabliczkę, którą zawiesiła: „Proszę zostawić wszystkie zamówienia tutaj, ponieważ nie możemy podpisać potwierdzenia. Dziękuję”. Andrew patrzył, jak kierowca patrzy na nią skonsternowany.

– Nie możemy podpisać, możemy mieć wirusa haag! – krzyknęła Emma.

Przerażony mężczyzna rzucił paczkę na podjazd i wskoczył do furgonetki.

Emma

Kuchnia, Weyfield Hall, 15.18

„Objawy wirusa haag”, wystukała Emma na klawiaturze. Samo to słowo brzmi, jakby ktoś umierał, pomyślała. Mniej więcej znała objawy, ale teraz, gdy zachorował kolega Olivii, musi poznać szczegóły. Google pokazał tysiące wyników. Na samej górze pojawiły się makabryczne zdjęcia ludzi, a może ciał, na noszach. Szybko kliknęła na stronę Wydziału Zdrowia, oazy bezpieczeństwa pierwszego świata.

Objawy wirusa haag

Typowe objawy wirusa haag to nudności, torsje, zmęczenie, duszności, ślinotok, ból głowy i czasami, lecz nie zawsze, podwyższona temperatura.

Wczesne objawy pojawiają się od dwóch do siedmiu dni po zarażeniu. Mogą mieć różne formy, od łagodnej po ostrą.

W późniejszym czasie pojawiają się zawroty głowy lub omdlenia, obfite pocenie się, niebieskawa wysypka i zakłócenia w funkcjonowaniu organów wewnętrznych. Te późniejsze objawy pojawiają się gwałtownie, często w ciągu paru godzin.

Choroba w 70-80 procentach przypadków okazuje się śmiertelna. Im szybciej chory uzyska pomoc medyczną, tym większe ma szanse na przeżycie.

Haag jest chorobą zakaźną przenoszoną przez kontakt z płynami ustrojowymi. Chorzy zarażają po ujawnieniu się późniejszych objawów, więc powinno się izolować wszystkich, u których podejrzewa się obecność wirusa, by uniknąć ryzyka zakażenia.

Dalej pisano, że koniecznie trzeba zadzwonić pod numer 999, jeśli ktoś odwiedził Afrykę Zachodnią i podejrzewa u siebie objawy choroby. Zamknęła stronę, a niepokój trzepotał w jej piersi jak ptak. Potem, wiedząc, jak bardzo ją to poruszy, lecz nie mogąc się powstrzymać, wróciła do początku poszukiwań i kliknęła na jedno ze zdjęć wielkości znaczka pocztowego. To było dziecko, z nieproporcjonalnie dużą głową i kończynami pokrytymi niebieskawymi bąblami. Wyraz rezygnacji w jego oczach łamał serce. Na nowo poczuła podziw dla Olivii, która oglądała takie obrazy na żywo. Postanowiła, że będzie bacznie obserwować córkę w poszukiwaniu wczesnych objawów wirusa i wyszukała w Google stronę, przez którą mogła przekazać pieniądze dla ofiar haag. Sama poczuła się dość dziwnie i wyrzuciła do śmieci drożdżówkę, którą skubała.

Problem polegał na tym, że nie dało się uciec od wiadomości o biednym koledze Olivii. W Radio Four mówili o tym bezustannie, a w gazetach rozrzuconych na stole pełno było artykułów o haag. Nie pomagał nawet P.G.

Wodehouse. Próbowwała oderwać się od tego wszystkiego, ozdabiając obrazy ostrokrzewem i bluszczem – tańcząc przy tym do „Step Into Christmas” Eltona Johna. Do kuchni weszła Olivia, wyglądała na poruszoną. Emma zmieszała się; tańcząc, być może wykazała się brakiem wrażliwości. W końcu zadzwoniła do Nicoli, co pociągało za sobą wyjście na koniec zimnego podjazdu, bo nie chciała, by ktokolwiek podsłuchał rozmowę przez telefon stacjonarny. To też nie pomogło. Nicola była bardzo zaniepokojona, że Olivia знаła lekarza chorego na haag, i błagała ją, by powiedziała wszystko Andrew z powodu „podwyższonego ryzyka”. Emma liczyła, że Nicola zapewni ją, że Olivii nic nie będzie, a nie że wpadnie w panikę.

Przelała pięćdziesiąt funtów na konto fundacji wspomagającej dzieci chore na haag, a potem poczuła, że to za mało, i dopłaciła jeszcze dwieście. Potem zabrała się do barszczu, który zawsze gotowała na Wigilię. Kiedy kroїła buraki, a palce zabarwiały się na kolor fuksji, pomyślała o Amerykaninie, z którym rozmawiała na Heathrow. Przypomniała sobie, że Nicola nazywała to „projekcją”. Skupiając się na jakimś mało znaczącym zmartwieniu w chwilach wielkiego niepokoju, mózg próbował się chronić. Ale mimo to była przejęta losem tego sympatycznego młodego człowieka. A jeśli jego biologiczny ojciec nie odpisał mu albo nie chciał się z nim spotkać? A może miał nową rodzinę, która potraktowała chłopaka niezbyt przychylnie? Całe to przedsięwzięcie było ryzykowne. Jakie to straszne, szukać ojca i zostać odrzuconym – na dodatek w Boże Narodzenie.

Do kuchni weszła Phoebe, marszcząc brwi.

– Boże, Olivia jest taka humorzasta – powiedziała.

– Kochanie, ma za sobą naprawdę trudne chwile – odparła Emma, wyrzucając fioletowe obierki na kompost. – A teraz ten jej biedny przyjaciel jest w szpitalu. Musimy okazać współczucie.

– Okazuję. Ale czy musi być aż tak przygnębiona?

– Daj spokój, Phoeb, to niesprawiedliwe. Po tym wszystkim ona potrzebuje miło spędzić tydzień.

– Sama chciała tam jechać.

Emmie nie przychodziła do głowy żadna odpowiedź. Problem polegał na tym, że minęło tyle czasu, od kiedy Olivia była w domu na dłużej, że Phoebe – nadal mieszkająca z nimi – mogła liczyć na niepodzielną uwagę. W zasadzie przez dziesięć lat była jedynaczką. Emma spojrzała na nią, gdy bawiła się szafirem na palcu. Wyglądał zatrwająco drogo. Gdyby George zapytał najpierw Andrew, wolałaby zaoferować pierścionek babci, bardzo piękny. Ale pewnie nie trafiłby w gust George’a. Czuła, że jego zdaniem antyki są raczej obciachowe.

– Myślałaś o ślubie? – zapytała.

– Nie. Za chwilę porozmawiam z George’em na Skypie.

– Wczoraj odbyłam bardzo miłą pogawędkę z młodym człowiekiem na

lotnisku – powiedziała w nadziei, że odwróci uwagę córki, zanim też ogarnie ją przygnębienie. Phoebe odziedziczyła po Andrew niesamowitą zdolność do dąsania się. – Oboje na kogoś czekaliśmy. Przyleciał z Los Angeles. Niesamowicie przystojny.

Phoebe podniosła wzrok.

– Lubisz młodszych, co?

– Jestem niemal pewna, że był gejem.

Pomyślała o badawczych brązowych oczach mężczyzny. Pewnie był po trzydziestce, ale jego chłopięcy urok sprawił, że ogarnęły ją matczyne uczucia. Może to ukryte pragnienie posiadania syna. Obejmujące ją długie szczupłe ręce. Szaleństwo. Lata temu przeszła menopauzę.

Phoebe

Szary Pokój, Weyfield Hall, 16.05

Phoebe umówiła się na rozmowę z George'em na czwartą. Nadal nie powiedziała mu oficjalnie, że chce, by wesele odbyło się w Weyfield. Ustawiała laptopa na stosie książek, by uniknąć podwójnego podbródka na ekranie, i zmierzwiła włosy.

– Cześć, mała – powiedział George, pojawiając się na ekranie.

Ciekawe, tak bardzo do niego przywykła, a czasami odnosiła wrażenie, że spotykają się pierwszy raz. Może to przez kamerę. Miał na sobie tradycyjny świąteczny sweter i tulił Borisa, nowego labradora Masham-Smithów. Ze swoją narciarską opalenizną i oczami zielonymi jak lodowiec Fox przypomniał jej „Pana Grudnia” z kalendarzy, które kupowała jako nastolatka.

– Ślicznie wyglądasz – powiedział. – Pasuje ci ten kolor.

– To twój – odparła z udaną kokieterią, wzruszając lekko ramionami, by sweter zsunął się z jednego.

– Co? – Nachylił się do ekranu. Nie był to najkorzystniejszy kąt dla jego nozdrzy. – Hej, to mój Lyle & Scott! Szukałem go. Tylko go nie wypchaj cycuszkami!

– Byłoby trudno. – Wołałaby, by nie powiedział „cycuszkami”, ale powstrzymała się od komentarza.

– Małe, ale idealnie ukształtowane. Jak cała reszta ciebie. – Uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Zapunktowałeś. Okej, żonkosiu – zaczęła. – Tato spróbuje załatwić nam Sexy Fish na zaręczynowe drinki, ale chyba powinniśmy zacząć wysyłać zawiadomienia, żeby goście mogli zacząć rezerwować hotele.

– Jasne.

– Myślałam też... Co byś powiedział, gdyby wesele odbyło się tutaj?

– Gdzie, w Norfolk? Myślałem, że to już ustaliliśmy.

– Nie, chodzi mi o Weyfield.

– U ciebie? Ale jeśli chcemy, żeby ślub odbył się w grudniu, musimy być pod dachem.

– Zgoda. Salon jest ogromny, jeśli otworzy się podwójne drzwi do jadalni. Organizowaliśmy tu moją osiemnastkę i pięćdziesiąte urodziny mamy. Oczywiście rodzice mieli tu wesele. No i goście mogą się u nas zatrzymać.

– Ilu się zmieści? – Nawet na ekranie widziała panikę w jego oczach.

– Bez problemu sto pięćdziesiąt osób.

– Na siedząco? A tańce?

– Mieliliśmy parkiet na osiemnastkę. A mama wydała zasiadaną kolację. Trzeba tylko przesunąć fortepian i wszystkie meble.

– Okej. – Skrzywił się. – Tylko... Myślałem o Gunston Hall. Jedzenie jest rewelacyjne. A mama sugerowała Dellington Abbey. Will i Poppy tam się pobrali.

– Dellington? Ale tam jest tak samo jak tutaj, tylko nic nas nie łączy z tamtym miejscem. Jest trochę pospolite. – Will i Poppy byli najbardziej prymitywnymi przyjaciółmi George'a – jeśli można być jednocześnie nadętym i prymitywnym.

– To zabrzmiało zbyt ostro.

– Nie chcę brać ślubu tam, gdzie wszyscy – odparła. – Zawsze wyobrażałam sobie, że wyjdę za mąż tutaj. Od dzieciństwa. – Nie spodziewała się, że George będzie miał własne plany. Zawsze wydawał się zauroczony Weyfield. Zwykle to on żartował na temat jej „wiejskiego gmaszyska”.

– Czy to nie będzie za duże obciążenie dla twoich rodziców?

– Ależ skąd. Będą zachwyceni. Zwłaszcza mama. Spodziewa się, że pobierzemy się właśnie tutaj.

– Naprawdę? Ale jeszcze o tym nie rozmawialiśmy.

– Wiem, ale to wiadomo. Śluby Birchów zawsze się tu odbywały. To znaczy śluby Hartleyów. Nie mogę uwierzyć, że tak dziwnie do tego podchodzisz. – Wiedziała, że przemawia jak nadąsane dziecko.

– Nic z tych rzeczy, mała. Na zewnątrz jest rewelacyjnie. Nie jestem tylko pewny, czy miejsce nadaje się na wesele pod dachem. Przecież to dom.

– Ale właśnie dlatego go chcę. Będzie wyjątkowo, intymnie. A kiedy się sprowadzi kwiaty i udekoruje dom, zrobi się bardzo uroczyście. W każdym razie nie chcę, żeby mój ślub wyglądał „ślubnie”. Albo odbył się w jakimś hotelu, gdzie w następną sobotę będzie się bawić następna para. – Urwała, gdy dotarło do niej, że zaraz może obrazić świat George'a.

– Myślałem, że lubisz hotele?

– Lubię, ale to coś innego. To nasze wesele.

– Co za różnica? No i chodzi jeszcze o logistykę. Bar, toalety i tak dalej. Jak to rozwiążemy?

– Logistyka? To nie jest konferencja robocza. Poza tym, wszystko da się załatwić. – Wiedziała, że nie na tym polega prawdziwy problem. George uważał, że wewnątrz domu jest dziwne. To prawda, wystrój wymagał unowocześnienia, ale na zdjęciach prezentował się szykownie, choć jego szyk nieco przyblakł. Przynajmniej miał charakter – w przeciwieństwie do jego wyremontowanej szopy.

Przesunął dłońmi po twarzy i włosach.

– Obejrzyj Gunston i Dellington, zanim je skreślisz? – zapytał.

– Wcale ich nie skreśliłam. A tak przy okazji, co kupiłeś Tomowi i Mattowi? – zapytała pojednawczo. Wiedziała, że w końcu postawi na swoim. A kłótnie w tym nie pomogą.

George zaczął relacjonować niedawny quiz w pubie, w którym zwyciężył z braćmi jako „Team Marsham-S”, i poczuła, że napięcie znikło.

– Mała, muszę kończyć. Idziemy do The Woolmaker’s. – Wigilijne drinki George’a z rodzeństwem były uświęconą tradycją. Zwykle z nimi chodziła i jakaś jej część poczuła niechęć do Olivii, że przez nią nie może im towarzyszyć. Z drugiej strony czuła ulgę, że ominie ją wieczór w towarzystwie Myszki i Camilli, żony Toma. Gdy patrzyła na nie ubrane w koszulki rugby i z perłami w uszach, ogarniało ją jednocześnie poczucie wyobcowania i wyższości.

Po rozmowie zeszła na dół, by poskarżyć się matce. Emma była w kuchni, gdzie słuchała „Archerów” w oparach gotujących się buraków. Na każdą Wigilię przygotowywała taki sam posiłek: gęsty barszcz w kolorze fuksji ze śmietaną i borowikami. Phoebe zawsze odnosiła wrażenie, że zupa zbliża się niebezpiecznie do papki dla niemowląt. Opadła na jedną z ław i oparła głowę na stole. Matka obejrzała się przez ramię.

– Tato zainstalował mi you-playera – rzuciła wesoło, wskazując iPada. – Jakie to zmyślne.

– To się nazywa *i-Player* – odparła Phoebe. – George nie chce, żeby wesele odbyło się tutaj.

– Co? – Emma odwróciła się. – Ale to byłoby cudowne, tym bardziej że Marsham-Smithowie są tak blisko.

– Smithowie – Phoebe poprawiła matkę chyba tysięczny raz. Czemu, po sześciu latach, matka nie może się przyzwyczaić, że nazwisko George’a nie jest tak wytworne jak jej własne? – Nie wiem, chyba cały pomysł nie bardzo mu się podoba.

– A gdzie chce, żeby się odbyło?

– W Gunston Hall. Z powodu jedzenia. Albo w Delling. Bo Linda tak chce.

– Ale... tu jest twój dom.

– On i jego rodzina nie mają takich sentymentów. Są inni.

Matka spuściła wzrok na piec. Phoebe widziała, że próbuje zagłuszyć głos babci, który powtarza jej, że Marsham-Smithowie to nowe pieniądze. Matka była dumna, że nie jest taką snobką jak babcia, ale czasami to było silniejsze od niej. Zwłaszcza kiedy była podenerwowana. Phoebe nagle poczuła dziwny impuls, by bronić George’a.

– A jeśli wesele odbędzie się tutaj, a Gunston zajmie się cateringiem? – powiedziała Emma.

– Nie chodzi tylko o jedzenie. Marsham-Smithowie robią wszystko bardziej tradycyjnie.

– Tradycyjnie? Cóż jest bardziej tradycyjnego od uroczego wesela w domu, a nie w jakiejś obrzydliwie drogiej sali?

Jak mogła to wytłumaczyć? Matka nie miała pojęcia, że wesela stały się

przemysłem i że większość osób organizuje je teraz w wynajętych salach.

Do kuchni wszedł Andrew.

– Phoebe chce chyba powiedzieć, że Marsham-Smithowie wolą wyrzucać pieniądze.

– Hej! Nie o to chodzi – odparła Phoebe, myśląc o matce George’a i jej torebkach Mulberry. Wiedziała, że ojciec ma rację. Zawsze miał.

Andrew bez słowa wziął mandarynkę i wyszedł.

– Wielka szkoda. Mamy tyle miejsca. Czemu mielibyśmy wydawać Bóg jeden wie ile pieniędzy, kiedy mamy do dyspozycji miejsce o tak wielkiej sentymentalnej wartości? – zapytała Emma. Pomachała szpatułką, by podkreślić swoje słowa.

– Rzućmy okiem na Delling – powiedziała Phoebe. Czemu stała teraz po stronie George’a, kiedy przyszła tu w poszukiwaniu wsparcia i je dostała?

Usiadły razem przed iPadem Emmy. Szukanie czegoś z matką w internecie było zawsze irytujące. Emma wpisywała w wyszukiwarkę pełne nazwy, zwykle robiąc kilka literówek, a potem zastanawiała się, czemu nic nie działa. Na ekranie pojawiła się strona Delling Abbey i kliknęły na zakładkę *Zorganizuj wesele w Delling*. Ujrzały kobietę rodem z konkursów piękności z włosami w lokach i mężczyznę w lśniącym garniturze. Krzywili się i schylali w deszczu konfetti. Myśl, że razem z George’em mogliby stać się taką parą, była surrealistyczna. Reklama z boku ekranu przeniosła je na stronę „Weselne Marzenia”. Tutaj wszystkie panny młode mówiły, jak bardzo pragną, by ich ślub był wyjątkowy, ale wszystkie miały kabinę do robienia zdjęć i wąsy na patyczkach. Matka zanosila się śmiechem. Phoebe poczuła, jak skacze jej ciśnienie, choć zgadzała się z Emmą, że wesela wyglądały okropnie. Chciała powiedzieć: „Gdybyś wydała trochę pieniędzy na remont, zamiast pozwolić, by wszystko podupadło, George by się nie stawiał”. Ale wiedziała, że to nie zostanie dobrze odebrane. Będzie musiała przekonać matkę, żeby wyremontowała przynajmniej jadalnię i salon. Ojciec zrozumie.

Zostawiła Emmę z iPadem i wróciła do tablicy pamięci, którą zaczęła dziś rano. Wykorzystywała w tym celu tył powitalnej tablicy dla Olivii, a zielony kolor pasował idealnie do świątecznego tematu przewodniego. Niebawem stół zasłany wycinki z magazynu „Panny Młode”: okrągłe zdjęcia zimowych bukietów, białych futrzanych narzutek i od czasu do czasu mało obrzydliwych sukien.

– O, to wspaniały pomysł – powiedziała matka. – Piramida z cupcake’ów. Podejrzewam, że tradycyjny ślubny tort byłby raczej ciężki.

– Rewelacja! – odparła Phoebe. Matka nie miała prawa wiedzieć, że szaleństwo na cupcake’i przeminęło już parę lat temu. Ale Phoebe musi być wyjątkowo urocza, jeśli jej kampania na rzecz remontu Weyfield ma odnieść sukces.

Do kuchni weszła Olivia. Wyglądała na zmęczoną.

– Można to przesunąć? Nie ma gdzie usiąść – powiedziała, wskazując tablicę pamięci.

Phoebe oparła ją o okno. Poza tym i tak miała się zająć ślubną listą utworów. Myślała o „Baby It’s Cold Outside” albo „Let It Snow” na pierwszy taniec i jej ulubiony od lat „Please Come Home For Christmas” na ostatni. Może nawet Mariah. George nie będzie miał nic przeciwko temu; podzielał typowy dla szkół prywatnych tandetny gust muzyczny. Olivia wpychała do ust kawałki klopsa, jakby była w transie, i przysunęła do siebie dodatek z nieruchomościami – kiedyś przy śniadaniu chowała się tak za pudełkiem z płatkami.

– Jak tam twój biedny przyjaciel? – zapytała Emma.

– Żadnych wiadomości – odparła Olivia, prawie nie podnosząc wzroku. – Choć prasa rzuciła się na niego jak wściekłe psy. Także koledzy Andrew.

On jest naszym tatą, pomyślała Phoebe. Czemu nazywasz go „Andrew”? Po chwili milczenia zebrała swoje papiery i poszła na górę. Wiedziała, że praca w Afryce jest stresująca. Ale wszystko było łatwiejsze i miłsze, kiedy Olivii nie było w domu.

Jesse

Pub The Woolmaker's Arms, Blakenham, 21.16

To Dana powiedziała mu, że siedzenie w pokoju w Wigilię nie wchodzi w grę. Wpadł w nostalgiczny nastrój i szukał u niej współczucia po obejrzeniu w telewizji filmu „To wspaniałe życie”. Przypomnił Danie, że zawsze oglądali go razem, jedząc pikantne kruche ciastka mamy. Ale ona go nie pocieszyła. „Podjąłeś taką decyzję i musisz ponieść jej konsekwencje. Idź i stwórz sobie nowe wspomnienia”, powiedziała. Wziął więc prysznic, spryskał się wodą toaletową i wyszedł na ziąb, by sprawdzić, jak świętują miejscowi.

Popijając piwo, nie wiedział, czy The Woolmaker's Arms w Blakenham przypadkiem nie płała mu figla. Wydawał się częścią starej, dobrej Anglii: niewielki, wyłożony wykładziną, z małymi szybkami w kształcie rombów i tak niskim belkowanym sufitem, że Jesse musiał się schylić. Ławy były ciemne jak w kościele, a piwa nosiły zwariowane nazwy jak „Woodfordes” i „Bullards”. W domu coś takiego byłoby repliką – jak ranczo w Montanie, które zwiedzał ze swoim byłym, Cameronem. Nie chciał okazać się łatwownym turystą, zauroczonym atrapą, ale coś w The Woolmaker's sugerowało, że jest prawdziwy. Żałował trochę, że nie zabrał ze sobą aparatu, ale czuł, że i bez niego za bardzo rzuca się w oczy.

Pub był zatłoczony. W Blakenham Wigilia najwyraźniej była okazją do imprezowania. Zastanawiał się, czy to wieczór z rodzaju takich, gdy świat staje na głowie i wyższe i niższe klasy mieszają się jak w „Titanicu”. W sali prym wiodło trzech młodych mężczyzn z „eleganckim” akcentem. Towarzyszyły im dwie blondynki, które chichotały bez opamiętania. Wszyscy siedzieli przy ogniu, zanosząc się śmiechem z jakiegoś dowcipu, którego Jesse nie usłyszał. Mężczyźni przypominali mu członków bractw z college'u, ale mieli inne ciała – z grubszymi szyjami i pękatymi udami. Dwaj mieli na sobie koszulki w paski z podwiniętymi rękawami, które odsłaniały umięśnione ręce, a trzeci sweter w szpic, naciągnięty na potężnej piersi. Ich stół był zastawiony pustymi szklankami. Mężczyzna siedzący tyłem wstał i odwrócił się, a Jesse rozpoznał w nim gościa, który biegał dziś rano. Ich spojrzenia spotkały się przelotnie. Patrzył, jak chłopak idzie do łazienki, i zwalczył impuls, by ruszyć za nim i sprawdzić, czy ten go rozpozna, gdy znajdą się sami w świetle jarzeniówek.

Chwilę później chłopak stanął obok Jessego przy barze i patrzył prosto przed siebie. Miał ładny, lekko zadarty nos, niemal kobiecą linię szczęki, niepasującą do uszu sportowca, i wilgotne włosy – pewnie przygładził je w łazience. Jesse spojrzał na jego nadgarstek, jasne włoski na opalonej skórze, drgające mięśnie, gdy bawił

się dwoma banknotami. Na małym palcu widniał złoty sygnet, a obok zegarka marki Hublot bransoletka z bladezielonych koralików. Zabawne, że moda z Los Angeles dotarła aż tutaj. „Jeszcze trzy woodfordy i dwa dżiny z tonikiem, stary”, powiedział do barmana. Miał głęboki, lekko chrapliwy głos, który przypominał Jessemu księcia Harry’ego – znajdującego się na szczycie listy „celebrytów, z którymi wolno nam się przespać” stworzonej z Cameronem. Chłopak odwrócił się do Jessego i uniół brwi.

– Biegałeś dziś rano, prawda? – rzucił Jesse, zanim zdążył się powstrzymać.

– Tak. Bez powodzenia.

– Jak to?

Chłopak wydawał się zmieszany. Jego policzki lekko się zaróżowiły.

– No wiesz, złe ukształtowanie terenu – powiedział i Jesse usłyszał w jego głosie cudzość, lecz nie był pewien, do czego chłopak robi aluzję. To pewnie ta słynna brytyjska ironia.

– Jasne – odparł.

– Jesteś na wakacjach? – zapytał chłopak, udając nowojorski akcent.

– Tak jakby. Ale też pracuję.

Już miał zacząć mówić o adopcji, jak na lotnisku, ale się powstrzymał.

– A co robisz?

– Zbieram materiały. Kręcę film krótkometrażowy.

– Super.

Czekał, by chłopak zapytał, o czym będzie film albo dlaczego pracuje w czasie świąt, ale tamten milczał.

– Jesteś stąd? – zapytał Jesse, bojąc się, że to koniec rozmowy.

– Mamy tu dom.

– Super. Musi być miło tu wypoczywać.

– Tak. Tu jest pięknie. Uwielbiam morze, to powietrze. Rewelacja.

– Rzeczywiście jest pięknie.

Barman postawił drinki.

– I piwo dla tego miłego dżentelmena – powiedział chłopak, wskazując Jessego.

– Hej, dzięki. Doceniam to.

Chłopak schylił się w parodii ukłonu, bez słowa położył banknoty na barze i próbował zebrać naraz wszystkie szklanki.

– Pomogę ci – zaproponował Jesse, biorąc dżin z tonikiem.

– Dzięki. Tak przy okazji, jestem George.

– Jesse.

– Jesse. Miło cię poznać, stary.

Ruszył za George’em przez tłum, czując się podekscytowany jak w szkole średniej, gdy zapraszano go do popularnego stolika.

Stawiając szklanki z dżinem, nie wiedział, czy ma dołączyć do grupy, czy wrócić do baru. Wszyscy zdawali się zbyt pijani, by zauważyć jego niezdecydowanie. Jeden z mężczyzn, który wyglądał na samca alfa, był właśnie w połowie opowieści.

– A potem – sapnął głosem stłumionym od powstrzymywanej wesołości – Chingers siada i mówi: „Mmm, Toby, czemu mam w ustach twoje jaja?” – Jakby na dany znak wszyscy przy stoliku wybuchnęli śmiechem.

– To jest Jesse – oznajmił George.

– Jessie? Przepraszam, masz na imię Jessica? – zapytał samiec alfa, wybuchając jeszcze bardziej gromkim śmiechem.

– Przestań – syknęła siedząca obok niego dziewczyna, uderzając go w ramię.

– Przepraszam za niego, nigdzie nie można go zabrać – powiedziała, zasłaniając towarzyszeni usta dłonią. – Cześć – dodała, patrząc na Jessego. – Skąd jesteś?

– Z Los Angeles. – Jesse już dawno przekonał się, że to wywołuje lepszą reakcję niż „Iowa”.

– A cóż cię opętało, żeby spędzać święta w Blakenham? – zapytał samiec alfa. Mówił jak pięćdziesięciolatek, choć wyglądał na trzydzieści pięć.

– Kręci film – wyjaśnił George. Więc jednak usłyszał, co Jesse mówił.

– Jezu – odparł samiec alfa. – Co oni tu kręcą? Dramat z epoki?

– To film dokumentalny.

Dziewczęta przyglądały mu się uważnie. Pewnie myślały, że jest aktorem. Kobiety często tak miały.

– A gdzie reszta twojej ekipy? – zapytała druga, młodsza dziewczyna. Miała taki sam profil jak mężczyźni i Jesse domyślił się, że jest ich siostrą.

– Przyjechałem wcześniej. Chciałem poczuć to miejsce.

– Jesteś sam w święta? – zapytała pierwsza dziewczyna.

– To nic takiego. W domu niedawno świętowaliśmy Dziękczynienie. A dodatkowo to fajna okazja, żeby wybrać się w podróż.

– Nie możesz być sam w święta! Zajmiemy się tobą – powiedziała dziewczyna, którą wziął za ich siostrę, i przesunęła się na ławie, by zrobić mu miejsce.

Zaczęła przedstawiać siedzących przy stole. Sama nazywała się, nie wiadomo czemu, Myszka, a trzech mężczyzn byli jej starszymi braćmi, jak się domyślił. Samiec alfa, Tom albo Tommo, był najstarszy. George był najmłodszy, a średni miał na imię Matt. Obok samca alfa siedziała Camilla, jego żona. Ze sposobu, w jaki Myszka odrzucała włosy, domyślił się, że nie ma w sobie radaru pozwalającego wykryć geja. Ale też ludzie często nie od razu uświadamiali sobie, że jest gejem. Ze spojrzeń rzucanych mu przez Matta domyślił się, że facet sądzi, że Jesse chce poderwać jego siostrzyczkę. Bardzo dobrze, nie zdawał sobie sprawy, że podoba mu się jego brat. Kilka razy wyczuł, że George spogląda na niego kątem

oka, ale kiedy na niego zerkał, George odwracał wzrok. Był zdecydowanie najprzystojniejszy z braci. Tylko on jeden miał cudowne, błękitne oczy. Ciekawe, czy George się domyślił, że jestem gejem, pomyślał Jesse.

– Gramy w picie! – ryknął samiec alfa. – Nigdy przenigdy, świąteczna kolejka.

Wszystko, co opowiadali o picciu Brytyjczyków, okazało się prawdą. W barze zamówiono szoty i rozegrali kilka rundek „Nigdy przenigdy”, podczas których okazało się, że Matt puścił pawia na plecy szefa podczas imprezy w firmie, a samiec alfa zrobił kupę do buta kolegi w szkole z internatem. Jesse nie był pewny, co jest celem tej gry, bo wszyscy i tak znali swoje sekrety.

– Okej, moja kolej – powiedziała Camilla. – Nigdy nie zrobiłam laski instruktorowi narciarskiemu – zagruchała, patrząc na Myszkę.

Powodowany impulsem, Jesse wychylił miodową zawartość kieliszka na stole. Zapieкло go w gardle. Zamrugał i zobaczył, że cała grupa patrzy na niego oniemiała. Na sekundę spojrział w oczy George’owi.

– No co? – powiedział do wszystkich. – Tylko mi nie mówcie, że myśleliście, że jestem hetero?

Samiec alfa zaczął chichotać i uderzać dłonią w blat stołu, a jego śmiech szybko osiągnął crescendo.

– A więc to taki film – prychnął. – Ja pieprzę. Świąteczne drinki w The Woolmaker’s zamieniają się w gejowskie porno. Ja pieprzę.

Próbował wszystko wyjaśnić, ale nie było sensu płynąć pod prąd – chcieli, żeby był gwiazdą porno, więc był, mimo że nie potrafił odpowiedzieć na coraz bardziej jednoznaczne pytania Toma i Matta.

Zaczęli wymyślać dla siebie pseudonimy rodem z filmów porno, ale nastrój wyraźnie się zmienił. Myszka przestała odrzucać włosy. Matt czuł wyraźne obrzydzenie po rewelacjach Jessego, kilka razy określając coś jako „pedalskie”, a potem znacząco przepaszając. Samiec alfa był pijany w sztok i nie ruszyła go nawet informacja, że Jesse zaczął uprawiać seks z pręgowcem amerykańskim. Domyślił się, że dziewczęta chcą się okazać liberalne. Wyobrażał sobie, jak po latach opowiadają całą historię: „Pamiętacie, jak rozmawialiśmy w pubie z gwiazdą porno?”.

Oczywiście wygadywał bzdury. Rzadko jeździł na nartach. Ale musiał się dowiedzieć, czy to, co wyczuł w George’u, było prawdziwe, czy też alkohol i zbyt długa samotność stępiły mu mózg. Zawsze miał słabość do wyglądających na hetero sportowych typów.

George ostro pił. Wyglądało, jakby miał do wypełnienia jakąś misję. Wychylił dwa duże piwa, szklankę grzanego wina i kilka szotów, a teraz wrócił z baru z następnymi piwami – jednym dla siebie, drugim dla Jessego. Pozostali odmówili, gdy zaproponował ostatniego drinka. Camilla wróciła z łazienki.

– Moi drodzy, jestem wykończona. Wracamy do domu – powiedziała stanowczo, patrząc na męża.

– Ja też – odparła Myszka.

Samiec alfa i Matt wstali niepewnie. George nie ruszył się z miejsca.

– Dokończę piwo. Dogonię was – powiedział, lekko się zacinając.

– Jak chcesz – rzucił samiec alfa.

– Zadbaj, żeby bezpiecznie wrócił do domu – powiedziała Camilla do Jessego. Już zachowywała się jak kwoka.

– Żadnego bzykanka – dodał samiec alfa, a George pokazał mu środkowy palec. Matt wyglądał na wstrząśniętego.

Zostali we dwóch. George oparł się wygodnie i oczy zaczęły mu się zamykać.

– Ostatnie zamówienia! – krzyknął barman.

– Już zamykają? – zapytał Jesse.

– To Norfolk, stary. Nie jesteś na Manhattanie.

– LA. Pochodzę z Zachodniego Wybrzeża.

– Żadna różnica.

Zachowywał się jak kutas czy była to niezgrabna próba flirtu? Ciszę przerwał dzwonek telefonu i George sięgnął do kieszeni. Spojrzał na ekran komórki, wyciszył i położył brzęczącą na stole.

– Nie krępuj się – powiedział Jesse, spijając chłodną pianę z piwa. Pierwsze pił bardzo długo i zrobiło się ciepłe.

– Nie będę odbierał.

– Dziewczyna? – zapytał Jesse. Spędził wystarczająco dużo czasu z mężczyznami hetero, by odczytać znaki.

– Narzeczona.

– Poważna sprawa.

– Wiem. Szczerze mówiąc, nie jestem pewien, jak do tego doszło.

– Domyślam się, że kupiłeś pierścionek?

George jęknął. Niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w telefon.

– Jak długo jesteście razem?

– Sześć lat. Nie zrozum mnie źle, to wspaniała dziewczyna. Na sto procent. Ale to ogromne zobowiązanie. Jeszcze tyle rzeczy chcę zrobić, zanim się ustatkuję i będę miał rodzinę z dwójką dzieci. Ale ty chyba tego nie rozumiesz.

– Kończymy, chłopcy. Zamykamy – oznajmiła zwalista barmanka w średnim wieku.

– Gdzie się zatrzymałeś? – zapytał zniecierpliwiony George.

– W hotelu Harbour.

– Bar będzie jeszcze otwarty?

– Może.

- Napijemy się szybkiego strzemiennego?
- Rodzina nie będzie się martwić, gdzie się podziałeś?
- Wiedzą, że potrafię zadbać o siebie.
- Okej. Jasne.

Wyszli razem w noc.

4

Pierwszy dzień Bożego Narodzenia 2016

Trzeci dzień kwarantanny

Olivia

Pokój Wierzbowy, Weyfield Hall, 5.30

Blog haag 10:

Co się dzieje w SOO, zostaje w SOO

Po trzech miesiącach w Liberii znów jestem na brytyjskiej ziemi. Reszta świata świętuje Boże Narodzenie, lecz dla mnie i moich kolegów to trzeci dzień kwarantanny. Dwa razy dziennie musimy zgłaszać pomiar temperatury do Wydziału Zdrowia. Wyposażono nas w „zestawy szybkiego reagowania”, które zawierają środek dezynfekujący, gumowe rękawiczki i tajemniczą pomarańczową łopatkę, najprawdopodobniej przeznaczoną do szybkiego pochówku... Mając pod ręką namacalne dowody istnienia haag, trudno się wyłączyć i poddać świątecznemu nastrojowi.

Okazuje się, że powrót do domu może oznaczać samotność. Przyjaciele i rodzina albo nie chcą słyszeć o rzeczach, które oglądałeś, albo nie zadają pytań w obawie, by cię nie zdenerwować. „Jak tam było?”, pytają. „No wiesz, otworzyły mi się oczy”, odpowiadasz, szukając jakiejś możliwej do przyjęcia prawdy. „Oczywiście. To musiało być straszne”, rzucają zmieszani i rozmowa jakoś toczy się dalej. Chcą dobrze. Ale próbując cię oszczędzić, i siebie, bezwiednie wszystko pogarszają. Nie mogąc znaleźć ujścia, wspomnienia bolą jak niezagojone rany.

Powrót do domu wiąże się z jeszcze jednym bolesnym wstrząsem: są nim wspomnienia. Mój kolega, który ma większe doświadczenie w leczeniu epidemii ode mnie, zwykł mawiać: „Co dzieje się w SOO, zostaje w SOO” i teraz rozumiem, co miał na myśli. Pozwólcie, że wam wytłumaczę. Do Czerwonej Strefy, jak nazywa się oddział, na którym leczy się pacjentów z wirusem haag, można wejść tylko w pełnym SOO. Dla laików: to Sprzęt Ochrony Osobistej: kombinezon ochronny, gogle, kalosze, ciężki fartuch, podwójne gumowe rękawice. Wszystko, co znalazło się w Czerwonej Strefie, po wyjściu musiało zostać zdezynfekowane lub spalone. Sprzęt zakładaliśmy zawsze z kolegą, by nawzajem wszystko – potrójnie – sprawdzić. Im więcej miało się na sobie sprzętu ochronnego, tym trudniej było się porozumiewać, aż w końcu oboje stawaliśmy się bezkształtnymi potworami wykonującymi dziwny taniec, z przesadą unosząc w górę kciuki. Jeśli kiedykolwiek nurkowaliście z akwalungiem, macie pewne pojęcie, o czym piszę. I podobnie jak pod wodą, SOO tłumi wszystkie zmysły. Po kilku minutach gogle zachodzą parą, nie czujesz niczego poza własnym zapachem – potu, oddechu. Słuch jest przytłumiony, dotyk stepiony. Kiedyś pięć minut zajęło mi ustalenie, czy kobieta nie żyje. Gdybym nie miała na sobie SOO, zajęłoby mi to pięć sekund.

Potem wchodzisz do Czerwonej Strefy i robisz, co do ciebie należy. Ze

swojego kokonu widzisz okropne rzeczy. Dzieci przyzywają krzykiem matki, które płaczą, bo nie mogą dotknąć swojego dziecka. Ludzie błagają, by nie pozwolić im umrzeć, kiedy możesz im tylko zaoferować kilka słów w kreolskim z kiepskim akcentem. Pacjenci wykrwawiają się tak szybko, że świeżo zmieniona pościel po kilku minutach przesiąknięta jest krwią. Ciała leżą całymi godzinami, bo nie ma czasu, by się nimi zająć. Żywi są ważniejsi.

Kiedy kończy się twoja zmiana, jesteś emocjonalnie wyczerpany. Wychodzisz z kolegą z Czerwonej Strefy i natychmiast spryskują cię roztworem chloru, a potem próbujesz się wyswobodzić z SOO. Potem czas na prysznic z roztworu chloru. Następny krok to trzykrotne umycie rąk, wyszorowanie kranu, z którego korzystałeś, przebranie się w zdezynfekowane, śmierdzące chlorem ubranie i suche kalosze. Ale w tym czasie coś się dzieje. Godzina rytualnego rozbierania się, mycia i ubierania to bufor pomiędzy Czerwoną Strefą a rzeczywistością. I najdziwniejsze jest to, że wspomnienia zostawały w tym podwodnym świecie SOO, jak obiecał mój kolega.

Tylko że teraz, kiedy siedzę bezpiecznie w domu i mam dużo czasu, powracają obrazy najgorszych rzeczy, jakie oglądałam. Nawiedzają moje sny i osaczają mnie podczas rodzinnych obiadów. W Liberii spałam jak suszeł, kołysana do snu szumem generatora i hałasem ulic w Monrovi: okrzykami ludzi, szczekaniem psów, pianiem kogutów. Tutaj, na cichej angielskiej prowincji, cisza jest złudna. Kiedy zamykam oczy, słyszę tylko płacz dzieci.

Nigdy nie zapomnę mężczyzny, który zwalczył wirusa, by zaraz potem stracić trzyletniego synka Abu. Przywiązałam się do Abu zbyt mocno – trudno było tego nie zrobić. Aż do dnia, gdy walczył o życie, uśmiechał się i wyciągał rączkę, żebym przybiła mu piątkę, gdy robiłam obchód. Pamiętam, że kiedy Abu umarł, jego ojciec kołysał się, zanosząc się płaczem. Powtarzał, że to on powinien odejść, że nie chce już żyć, rzuci się ze skały. Przykryłam drobne ciało Abu białym prześcieradłem i odmówiłam modlitwę, trzymając jego ojca za rękę. Modliłam się ze względu na ojca. Tamtego popołudnia trudno było wierzyć w Boga.

Ale te rozpaczliwe wspomnienia sprawiają, że chcę wrócić do Liberii. Kiedy mija kolejny bezczynny dzień w Anglii, zdaję sobie sprawę, że tam umierają ludzie, a ja mogłam tej śmierci zapobiec. A przynajmniej mogłam im ulżyć w ostatnich godzinach życia. Brytyjscy lekarze-wolontariusze mogą leczyć chorych na haag tylko przez dwanaście tygodni. Ponieważ większość z nas przyjechała w październiku, w centrum medycznym pozostało niebezpiecznie mało rąk do pracy. Co dzieje się w SOO, może i zostaje w SOO – przynajmniej początkowo – ale nasza praca jeszcze się nie skończyła.

Olivia wrzuciła tekst na blog i opadła na poduszkę. Pisanie było oczyszczeniem, ale bardzo chciała wspomnieć o Seanie – napisać, że to on ukuł powiedzenie o SOO i to on był jej kolegą z Czerwonej Strefy. Pamiętała, że

ubieranie i rozbieranie było naładowane seksualnym napięciem na wiele tygodni, zanim do czegokolwiek między nimi doszło. Ale nie mogła ryzykować i wymieniać w sieci nazwiska Seana teraz, gdy znajdowało się w nagłówkach wielu gazet. Ich sekret czaił się pod jej skórą. Od czasu diagnozy Seana mierzenie temperatury nabrało większego, przyprawionego adrenaliną znaczenia. Nawet normalny odczyt, który zanotowała o piątej rano, przynosił niewielką ulgę – na własne oczy widziała pacjentów z objawami haag, którzy nie mieli gorączki. Teraz było dopiero wpół do siódmej. Nigdy nie czuła się mniej usposobiona do świąt.

Andrew

Pokój Chiński, Weyfield Hall, 6.30

Andrew obudził się przed piątą – ostatnimi czasy często mu się to zdarzało. Chciał zrzucić winę na ptaki, lecz za oknem było cicho, a przez ciemnozielone kotary wokół łóżka nie wpadało żadne światło. Nigdy nie lubił wielkiego łoża, w którym sypiali w Weyfield – należącego wcześniej do rodziców Emmy – tak jak nie lubił olbrzymiej sypialni. Bał się, że pewnego dnia zachoruje, a gdy przyjedzie lekarz i zobaczy ekscentryczne łóżko, skreśli go jako zaniedbanego i zniedołężniałego lorda. Po latach narzekań na kręgosłup Emma zgodziła się wymienić materac z końskiego włosia na tak miękki, że chciało się założyć maskę do nurkowania. Pod żadnym pozorem nie zdecyduje się jednak na wymianę łoża.

Leżąca obok niego Emma chrapała. Przed laty uważał ten dźwięk raczej za wzruszający. Jako młody człowiek czuł się zaszczycony, że może słyszeć odgłosy Emmy Hartley, która wyglądała jak laleczka z porcelany, a chrapała jak pijak. Teraz tylko okrutnie mu przypominała, że sam nie może spać. Emma oczywiście nie miała z tym żadnych problemów. Jej sumienie było tak czyste jak w dniu, w którym się poznali. Nigdy nie kłamała, nigdy niczego nie ukrywała. Być może właśnie dlatego oddalili się od siebie. Leżał, wpatrując się w baldachim nad łóżkiem, a oddech Emmy działał mu na nerwy. Próbował sobie wyobrazić jej chrapanie jako trójwymiarowe przedmioty, myśląc, że byłoby to niezłe ćwiczenie pisarskie. Miały wystające czubki – jak bezy albo psie gówienka. Od czasu do czasu chrapanie nabierało rozmachu, jakby ktoś wyciskał je z rękawa do dekoracji ciast. Przewrócił się na bok, tyłem do niej i cieszył chłodnym dotykiem poduszki. W łóżku panowała okropna duchota. Może Emma ma znowu uderzenie gorąca, pomyślał, gdy chrapanie na moment ustało. A potem rozległo się znowu, jeszcze głośniejsze.

Nie obudził go jednak świt, łóżko ani chrapanie Emmy. Usunięcie e-maili od Jessego nie zakończyło sprawy, jak liczył. Nie zmieniło faktu, że on tu był, niecałe dwa kilometry od niego. A głos Jessego, dobiegający z przeszłości, otworzył w umyśle Andrew puszkę Pandory – wspomnienia z Bejrutu, które pogrzebał na dobre. Od czasu drugiego e-maila w jego snach pobrzmiwała kanonada wystrzałów i nawoływania do modlitwy. Widział rzeczy, których nie oglądał od lat – dym unoszący się nad gruzami, zrównane z ziemią budynki, ludzi uciekających przed pożarem, zalane krwią chodniki. Wzdrygał się, gdy trzaskała zasuwa na drzwiach wejściowych, i siadywał tyłem do ściany – jakby w spizarni mógł czaić się snajper. Szaleństwo. Ale nie mógł nic na to poradzić ani oczekiwać, że ktoś go zrozumie. Stale miał przed oczami ciało dziecka, które eksplozja wyrzuciła

w powietrze. Dobrze się stało, że Jesse nie dorastał w Libanie. Przynajmniej będzie mógł niebawem zniszczyć list Leili. Jak się spodziewał, Emma zarządziła ognisko po „świętecznych porządkach”. Andrew poczuje się lepiej, gdy list zniknie z domu.

Ciemność rozdarł dźwięk budzika i Andrew zerwał się z łóżka. Czuł za sobą, jak Emma po omacku wyłącza budzik i wstaje. Co ona wyprawia? Potem sobie przypomniał – skarpety. Nawet teraz były z Phoebe dziwnie przywiązane do tego rytuału z dzieciństwa.

– Mogę zapalić światło? – zapytała, oślepiając go lampką przy łóżku, zanim zdążył odpowiedzieć.

Patrzył, jak nachyla się nad dwoma wypchanymi wełnianymi skarpetami w wielkiej jak namiot koszuli nocnej, w jakiej teraz sypiała. Wielka szkoda, bo w przeciwieństwie do żon przyjaciół zachowała świetną figurę. Ale jakie to miało znaczenie, gdy widywał, jak się rozbiera, tylko przypadkiem, a seksu nie uprawiali od wielu miesięcy. Przypomniał sobie dawne święta, kiedy udawało im się zaliczyć szybki poranny numerek, gdy dziewczynki były zajęte skarpetami. Ale w jakimś momencie, przed laty, dotarło do niego, że uprawiają seks, ponieważ była do tego okazja, jakby Emma czuła się w obowiązku skreślić go z listy razem z przygotowaniem idealnego świątecznego obiadu i przybrania domu gałązkami jedliny.

Mniej więcej w tym samym czasie Emma przechodziła menopauzę i zaczęli spać pod dwiema kołdrami. Była to niewielka zmiana, lecz symboliczna, która otoczyła ich dyskretnymi osobnymi kokonami. Wrócił myślami do świątecznego poranka sprzed roku, kiedy ze smutkiem pomyślał, że Phoebe pojawi się dopiero za parę godzin i mogliby z Emmą kochać się leniwie i bez pośpiechu – jeśli by zechciała. Ale Emma była na dole i nadziewała całego indyka tylko dla ich trójki.

Emma

Schody na tyłach, Weyfield Hall, 7.00

Emma zawsze lubiła przygotowywać skarpety dla córek. Kiedy były małe (no, do czasu, gdy były nastolatkami), zakradała się do ich wspólnego pokoju w specjalnym czerwonym szlafroku. Kładła skarpety w nogach łóżek, nachylała się, by spojrzeć na ich uśpione buzie; pamiętała, jak ogarniała ją wielka fala czułości. Teraz, kiedy były dorosłe, wszyscy oglądali skarpety razem, przy śniadaniu. Przez lata Phoebe uroczym sposobem przygotowywała skarpety także dla Emmy i Andrew, więc każdy miał swoją. W tym roku Emma zadała sobie szczególny trud z Olivią. Dołożyła kilka tubek eleganckiego kremu do rąk, romans Georgette Heyer, który powinno się miło czytać, i skórzane rękawiczki, które kupiła w oszołomieniu u Johna Lewisa po spotkaniu z Nicolą.

Kiedy patrzyła na spierzchnięte zaczerwienione dłonie Olivii, czuła, jak ogarnia ją ta sama czułość – choć teraz wiedziała, że nie jest mile widziana. Mogła tylko próbować ją rozpieszczać i nakłaniać w duchu, by się otworzyła. Miała nadzieję, że Phoebe nie będzie miała nic przeciwko temu, że skarpeta Olivii jest większa. Pod tym względem potrafiła być głupiutka. Może jednak zrozumie, że przez kilka ostatnich lat skarpety omijały Olivię.

Ziewnęła. Strasznie długo nie mogła zasnąć i walczyła z niepokojem do drugiej w nocy. Za dnia odsuwała od siebie myśli o guzie, lecz czekały cierpliwie i osaczały ją nocą. Spała tylko kilka godzin, gdy zadzwonił budzik. Andrew już się obudził. Ostatnimi czasy kiepsko sypiał – może przez te obfite posiłki, które musiał zjadać. Był taki czas, kiedy czuła się w obowiązku uprawiać seks w świąteczny poranek, lecz przez ostatnie półtora roku Andrew nawet przestał próbować. Nie miała mu tego szczególnie za złe; prawdę mówiąc, czuła ulgę, że się jej nie naprzykrza. Ale to było do niego niepodobne. Zabawne, im dłużej człowiek obywa się bez seksu, tym mniej mu go brakuje. Trzymała wypchane skarpety w ramionach jak niemowlęta, by nie rozsypać ich zawartości. Na schodach przy kuchni unosił się zapach wczorajszego barszczu. Otworzyła drzwi i krzyknęła z zaskoczenia. Phoebe siedziała przy stole i z płaczem patrzyła na iPada Emmy. Emma pomyślała od razu, że pokłóciła się z George'em.

– Phoeb! Co się stało?

– Masz raka! – Phoebe szlochała teraz rozpaczliwie, a kąciki ust opadły jej jak u smutnego klauna.

Emma usiadła na ławie, by ją objąć, i przez chwilę kołysały się razem, a Phoebe płakała w szyję matki. Pachniała snem i szamponem. Emmę bolał bok, lecz Phoebe przytulała się do jej szyi jak malutkie dziecko.

– Wszystko w porządku, kochanie. Wszystko jest w porządku – powtarzała, dopóki Phoebe się nie wyprostowała.

– Przepraszam, wiem, że nie powinnam czytać twoich mejli, ale kładłam na stole skarpetę i chciałam coś sprawdzić na stronie Delling, więc zajrzałam do historii i zobaczyłam wszystkie te linki. Szukałaś chłoniaka Hodgkina. Zajrzałam więc do twojej poczty i zobaczyłam mejl od Nicoli. Czemu nic nie powiedziałaś, mamo? Czemu nam nic nie powiedziałaś?!

Niech to licho, pomyślała. Gdyby tylko nie zostawiła iPada na wierzchu.

– Zamierzałam. Naprawdę. Czekałam tylko, aż skończy się ta kwarantanna. Chciałam, żebyśmy mieli miłe święta. Nie było sensu ich rujnować! – powiedziała.

– Niczego byś nie zrujnowała. Nie możesz trzymać czegoś takiego w tajemnicy.

– Ale czuję się dobrze, skarbie. To tydzień Olivii.

Phoebe czknęła.

– Mimo wszystko! Co zamierzasz?

– No cóż... Mam bardzo dobrego lekarza, aniołku, najlepszego w tych sprawach. Pewnie będę musiała poddać się chemioterapii, ale on mówi, że powinnam całkowicie wyzdrowieć. To nie jest bardzo agresywny rak. – Wiedziała, że nie cytuje dokładnie słów doktora Singera, ale odruchowo chciała chronić Phoebe. W porównaniu z Olivią nadal była bezbronna i... taka młoda.

– Wypadną ci włosy?

– Możliwe. Ale to niewielka cena. – Zmusiła się do radosnego uśmiechu. – Zaoszczędzę fortunę na fryzjerze.

Phoebe uśmiechnęła się dzielnie.

– A odrosną na ślub?

O tym nie pomyślała. Piękny obrazek – matka panny młodej łyśa jak kolano. Jeśli w ogóle dożyje.

– Mam nadzieję. Dobrze, że na ślub zakłada się kapelusz! – odparła. – A teraz przestań się już mazać, nic mi nie będzie. Muszę być w formie, przecież wychodzisz za mąż!

To nie pocieszyło Phoebe. Córka siedziała wpatrzona w poinsecję na parapecie, pociągając nosem.

– Tato wie, prawda? – zapytała.

– Jeszcze nie – odparła Emma, siląc się na lekki ton.

– Co? Czy nie powinien... nie powinniście...

– Powiem tacie i Olivii po zakończeniu kwarantanny – odparła, zanim Phoebe zdążyła udzielić jej małżeńskiej porady. – Chcę, żeby święta były radosne. To tylko ich zdenerwuje. Będziemy tu siedzieć nachmurzeni, nie mogąc nigdzie wyjść. Za kilka dni dostanę nowe wyniki badań. Wtedy będziemy mogli o tym porozmawiać.

– Ale...

– Proszę cię, żebyś nic nie mówiła. Niech to na razie zostanie między nami, dobrze?

Kiedy Phoebe czuła się wyjątkowa, zawsze można ją było przeciągnąć na swoją stronę, nawet gdy była bardzo mała. Przestała marszczyć czoło.

– Okej. Ale obiecaj, że zaraz potem powiesz tacie, dobrze? I Olivii? Jest lekarzem, na miłość boską. Inaczej znowu zwieje do Afryki.

– Phoebe. To nie było miłe. Obiecuję. Teraz wracaj do łóżka. Muszę tu jeszcze się pokrzątać.

– A ty nie powinnaś też wrócić do łóżka?

– Nie jestem inwalidką.

– Mogę ci pomóc? Nakryć do stołu albo coś takiego?

– Nie, nie. Wystarczy, że jesteś sobą.

Kiedy Phoebe poszła na górę, Emma przez chwilę siedziała przy stole. Była zmęczona sileniem się na wesołość. Zaparzyła sobie filiżankę earl greya i wyjrzała przez okno na przystrzyżony trawnik. Pomyślała o swoich rodzicach i świętach z dzieciństwa. Nagle zapragnęła porozmawiać z mamą. Zabawne, nawet jeśli ma się własne dzieci, nie przestaje się potrzebować matki. A nawet potrzebuje się jej jeszcze bardziej.

Phoebe

Zielona Łazienka, 7.30

Phoebe wiedziała, że nie będzie mogła już zasnąć. Przygotowała sobie pachnącą różami kąpiel i leżała w wannie, spoglądając przez okno na kwadrat białego nieba. Na widok słów na ekranie iPada matka zrobiło jej się niedobrze: guz, wzrost, biopsja, tomografia komputerowa. Należały do życia innych ludzi. Uświadomiła sobie, że jakaś okropna jej część nie może znieść myśli o zrujnowanych świętach. I w przyszłym roku też. To miał być jej rok, wypełniony przygotowaniem do ślubu, a wszystko odsunie się na drugi plan. Raczej nie mogła teraz prosić matki o remont w Weyfield. Wiedziała, że nie powinna tak myśleć.

Zastanawiała się, czy nie zadzwonić do George'a, ale na pewno jeszcze śpi. Stłumiła wewnętrzny głos, który jej powtarzał: „Powinnaś móc zadzwonić do przyszłego męża o każdej porze, zwłaszcza w takiej chwili”. Zamiast tego poszła pobiegać – puszczając na cały regulator listę utworów do biegania. Ale Miley Cyrus jakoś nie bardzo pasowała do wypielegnowanego trawnika. Robiąc kolejne okrążenia, myślała obsesyjnie, czy George kupił jej w prezencie kolczyki Dinny Hall – to przecież ostatnia rzecz, o jakiej powinna teraz myśleć. Ale świadomość, że mógłby kupić jej niewłaściwy prezent, tak jak kupił trochę niewłaściwy pierścionek (okej, bardzo niewłaściwy), znów przywołała gulę w gardle.

Najgorsze było to, że nienawidziła siebie za to, że jest takim rozpuszczonym bachorem. Czy kiedykolwiek dorośnie i będzie taka jak Olivia, przestanie jej zależeć na rzeczach?

Olivia naprawdę wkurzyła ją przy śniadaniu. Nawet kiedy oglądali skarpety, zerkąca pod stół na iPada. Phoebe chciała nią potrząsnąć i powiedzieć: „To mogą być ostatnie święta mamy! Przynajmniej patrz na nią, a nie na wiadomości, przez pięć minut!”. Milczała jednak, nawet wtedy, gdy Emma musiała trzy razy pytać Olivię, czy ma ochotę na babkę drożdżową.

Potem Phoebe poszła na górę, żeby zadzwonić do George'a. W telefonie, jak dwa razy wczoraj wieczorem, odezwała się poczta głosowa. Będzie musiała zadzwonić do Marsham-Smithów, co oznaczało rozmowę z matką George'a.

– Halo, Dalgrave Barn? – zaczęła Linda.

– Cześć, Lindo. Mówi Phoebe. Wesolych świąt.

– Phoebe! Przyszła panna młoda! Wesolych świąt! Jak się miewasz?

Dziwne, jak bardzo jej głos różnił się od chrapliwego warkotu George'a. Linda zawsze mówiła zbyt głośno i ze zbyt snobistycznym akcentem.

– Świetnie! Mamy kwarantannę, ha, ha, ale jest w porządku.

– Oczywiście. A co u twojej siostry? Tam muszą mieć bardzo prymitywne

warunki. Mają bieżącą wodę, toalety?

– Miewa się dobrze. Musi tylko przez cały czas mierzyć temperaturę.

– Naprawdę? To dobrze. Znała tego lekarza z Irlandii?

– Słucham?

– No wiesz, tego, który zachorował.

– A, tak. Chyba trochę. – Czemu Linda zawsze musi zadawać milion pytań?

– Powinien być bardziej ostrożny. To skrajnie nieodpowiedzialne narażać nas wszystkich na takie ryzyko. Sprawdzę, czy George już wstał. Wrócili naprawdę bardzo późno.

– Ach. – Starła się, by zabrzmiało to, jakby o wszystkim wiedziała.

Usłyszała, jak Linda woła George'a.

Jego „Cześć, mała”, kiedy odebrał, zabrzmiało ochryple.

– Cześć. Wesołych świąt.

– A, tak. Wesołych świąt.

– Twoja mama mówiła, że ostro wczoraj zabalowaliście.

– Tak? Nieszczególnie, byliśmy tylko w The Woolmaker's.

– George, jesteś sam?

– Tak.

– Okej, mam złe wiadomości. Właśnie się dowiedziałam... – Urwała, by się upewnić, że zauważy niepokój w jej głosie – że mama ma raka.

– Co? Twoja mama? Cholera. – Wydawał się strapiiony.

– Tak. Chłoniak ziarniczny. Nie, zczekaj, nieziarniczny.

– No to ma, czy nie ma?

– Nazywa się nieziarniczny, to taka odmiana nowotworu. – Łzy znów napłynęły jej do oczu i trochę przesadziła ze szlochem, by George nie pomyślał, że tylko zamilkła. Nie płakała zbyt często w jego obecności, zważywszy, jak łatwo to robiła w obecności rodziny.

– Nie płacz. Wyzdrowieje – powiedział sztywno.

– A jeśli nie? To jakiś koszmar! Nie może, po prostu nie może nie wyzdrowieć.

– Nie myśl tak.

– Dowiedziałam się przez przypadek. Szukałam czegoś na jej iPadzie i zobaczyłam historię przeszukiwań, a potem mejl od Nicoli.

– Nicoli?

– To jej najlepsza przyjaciółka. Poznałeś ją. Hałaśliwa blondynka.

– A, tak. Posłuchaj, mała, bardzo mi przykro, ale muszę kończyć. Mamy śniadanie z szampanem. Mama na pewno wyzdrowieje. Pogadamy później.

Odłożył słuchawkę.

Jesse

Pokój 17, hotel Harbour, Blakenham, 10.00

Jesse obudził się w ubraniu, leżąc na kołdrze. W głowie mu pulsowało. Marzył o świeżo wyciśniętym soku, ale jedyną w miarę oczyszczającą rzeczą była torebka herbaty rumiankowej w minibarze. Stał, popijając słaby napar, i wyglądał przez okno na mokradła. Trudno było uwierzyć, że to pierwszy dzień Bożego Narodzenia. W pokoju pachniało wodą kolońską George'a, drzewną i świeżą – być może Egoiste Chanel albo Boss. Położył się i zaczął wpatrywać w żółtawą plamę na suficie, odtwarzając w myślach wydarzenia minionej nocy.

Wyszli z baru. Pamiętał, jak George naciągnął wełnianą czapkę, ale nie miał kurtki i na zimnie jego mięśnie atlety wyglądały potężnie. Księżyc świecił tak mocno, że wszystko rzucało cienie. Z poszycia wyskoczył bażant, krzyżąc i machając skrzydłami, a oni zderzyli się ramionami, odruchowo się schylając. Przez resztę czasu rozlegał się tylko chrzęst ich kroków na zmrożonej drodze.

– Jesteś blisko z braćmi? – zapytał, pragnąc przerwać ciszę.

– Jasne. Są moimi kumplami. Kiedy mieliśmy siedem lat, wysłano nas do szkoły z internatem, więc trzymaliśmy się razem.

– Siedem lat?

– Yhm.

– Jezu. Przykro mi.

– Niepotrzebnie. Było w porządku.

Szli dalej w milczeniu i skręcili w alejkę z tak niskimi gałęziami, że bardziej przypominała tunel. To George zaproponował, żeby pili dalej, ale raczej nie palił się do rozmowy. Jesse nie potrafił go rozgryźć. W towarzystwie był hetero, ale czasami faceci, którzy wydawali się jak najbardziej hetero, chcieli poeksperymentować. W jakim innym celu miałyby sugerować, żeby poszli do hotelu? Chyba że był po prostu pijany. Jego profil był pozbawiony wyrazu. Jesse spróbował innej taktyki.

– Myślisz, że dlatego oświadczyłeś się swojej dziewczynie? Szukałeś bezpieczeństwa? Chciałeś naprawić zło z dzieciństwa? Całe to gówno. – Gdy George gwałtownie się odwrócił, pomyślał, że może posunął się za daleko. Ale George był tylko rozbawiony.

– Jakie zło?

– Rodzice wysłali cię do szkoły. Porzucili cię. Może chciałeś to naprawić własnym szczęśliwym zakończeniem.

– Ha. Szczęśliwe zakończenie – prychnął, jakby Jesse powiedział coś obraźliwego. – Czy wszystko musi mieć jakiś powód?

– Wszystko dzieje się z jakiegoś powodu.
– Racja... Jesteś scjentologiem?
– Nie. Ale jestem filmowcem, a my głęboko drążymy. Kondycja człowieka i tak dalej.

– Myślałem, że grasz w pornosach.
– Coś ty! To tylko twój brat wyciągnął pochopne wnioski. Na początku trochę grałem, ale wolę stać za kamerą. Poza tym jestem za wysoki na aktora.

– To w czym grałeś? Znam coś? – Pytanie zabrzmiało lekko szyderczo, jakby George chciał ukryć zainteresowanie – albo karierą aktorską Jessego, albo jego wzrostem.

– To głównie amerykańskie seriale. „Spring Break”? „Willow Drive”? Zagrałem epizod w „Curb Your Enthusiasm”.

– Nooo! Poznałeś Larry’ego Davida? – Podekscytowany wyglądał młodziej.

– Jasne. To znaczy, nie rozmawialiśmy zbyt wiele, ale go poznałem.

Doszli do hotelu. Przyćmione światła odsłoniły pusty hol i metalową kratę przed barem. Wyczuł, że nastrój pryska, a George ma wątpliwości.

– Mam alkohol w pokoju – rzucił powodowany impulsem. Pewnie był bardziej pijany, niż mu się zdawało. A może po prostu potrzebował towarzystwa. Od wielu dni nie prowadził prawdziwej rozmowy.

George ruszył za nim schodami. Nagle Jesse stał się bardzo świadomy ciała towarzysza, korytarz był tak wąski, że musieli iść jeden za drugim. W pokoju usiedli obok siebie na łóżku z rudą narzutą. Jesse wlał dwie miniaturki jacka danielsa do szklanek.

– Cin cin! – powiedział George.

– Wesółych świąt.

– Spędzasz święta tutaj? – zapytał George, opierając się na łokciach i omiatając spojrzeniem pokój.

– Na to wygląda – odparł. Włączył MTV, lecz wyciszył dźwięk.

– Czemu?

– Nie planowałem... Chodzi mi o to, że nie tak miało być.

George wyglądał na skonfundowanego.

– Okej, jestem adoptowanym dzieckiem. I szukam biologicznego ojca. Mieszka tu w okolicy. Pomysł polegał na tym, że spędzę święta u niego w domu, ale okazało się, że nie jestem mile widziany. – Wiedział, że znów mówi za dużo, ale był zbyt pijany, by o tym myśleć. Słyszał monotony głos terapeutki: „Wydaje ci się, że wyrzucasz wszystko z siebie, bo chcesz się od czegoś uwolnić?”. Zamknij się, Calgary, pomyślał.

– Zaczekaj. Co? Szukasz prawdziwego, znaczy się biologicznego ojca, a on kazał ci spadać? – George był bardziej ożywiony niż przez cały wieczór.

– Nie całkiem. Ale wysłałem mu kilka mejli, a on nie odpowiedział.

– Nic?

– Cisza. Napisałem mu, że pracuję w Norfolk i moglibyśmy się spotkać na neutralnym gruncie. Byłoby super. I tak musiałem tu przyjechać z powodu pracy. Wiedziałem, że ryzykuję.

– Stary, to naprawdę okropne. Powinien mieć na tyle przyzwoitości, by odpowiedzieć, do kurwy nędzy.

– Może nie dostał mejla.

George nie wyglądał na przekonanego.

– Wiesz, gdzie mieszka?

– Tak. To niedaleko. Myślisz, że powinienem do niego pójść?

– Masz jego adres? Jasne, czemu nie? Posłuchaj, albo dostał twój mejl i cię ignoruje, a w takim przypadku jest palantem. Albo go nie dostał, a ty stracisz okazję, żeby poznać ojca.

– Chyba tak. Ale nie jestem pewny, czy to takie proste.

– Stary, co masz do stracenia? Zawsze powtarzam, że żałuje się rzeczy, których się nie zrobiło, a nie tych, które się zrobiło.

– Racja. Jesteś pierwszą osobą, która to powiedziała. – Uśmiechnął się od ucha do ucha na znak, że żartuje.

Rozmowa stała się zbyt emocjonalna. George odpowiedział mu uśmiechem. Usta miał poplamione grzonym winem. Jesse chciał spróbować, jak smakują. Usiadł i przeciągnął sweter przez głowę, starając się, by wyglądało to jak niedbały gest. Kiedy się wyłonił, zobaczył, że George ogląda jego mięśnie brzucha w miejscu, gdzie odsunął się podkoszulek. Wiedział, że to robi. Też oparł się na łokciach i teraz oboje patrzyli przed siebie na wyginającą się na ekranie Beyoncé. George opadł na narzutę obok niego. Nogi mieli nadal przerzucone przez łóżko, stopy opierali na podłodze.

– Jestem wykończony – rzucił George w przestrzeń.

Jesse spojrzał na niego.

– Pokój wiruje? – zapytał.

– Jak karuzela, stary.

– Możesz się przespać tutaj, jeśli chcesz. – Wyciągnął się na wznak jak George. Ich głowy znajdowały się o kilkanaście centymetrów od siebie.

– Chyba będę musiał.

George zamknął oczy. Jesse poszedł w jego ślady. Był zbyt zdenerwowany, by oddychać. Wyobraził sobie tylko, czy ręka George'a przysunęła się do niego, tak że czuł, jak stykają się włoski, a knykcie George'a dotknęły jego dłoni? Nieznacznie przysunął rękę w jego stronę. Wydawało się, że leżą tak przez wieki. Jesse wyciągnął się, by zgasić lampkę; pokój oświetlał teraz tylko migający ekran telewizora. Czuł whiskey w oddechu George'a. Sam zaczął oddychać wolniej, by wyglądało na to, że zasypia. A potem poczuł, jak George się odwraca i w mroku

przesuwa ustami po jego szyi.

Musieli zasnąć, bo obudził go szcęk klamki. Zegar przy łóżku pokazywał 5.08. George stał przy drzwiach tyłem do niego. Poruszał się jakby ukradkiem i Jesse zorientował się, że nie chce, by go widziano. Znów zamknął oczy i usłyszał, jak drzwi uchylają się, a potem cicho zamykają. Kroki George'a oddaliły się w korytarzu. Jesse leżał nieruchomo i zastanawiał się, czy wyobraził sobie to wszystko, co wydarzyło się w rozmytym blasku świtu, aż pełny pęcherz zmusił go, by wstał z łóżka.

Olivia

Salon, Weyfield Hall, 11.00

Olivia sprawdzała wiadomości zaledwie przed godziną, lecz palce już ją swędziały i chciała dotknąć iPada, jakby był bezpośrednim połączeniem z Seanem. Dziś nie było żadnych nowych wieści o stanie jego zdrowia, a w gazetach dominowały doniesienia o „najbardziej deszczowych świętach w historii”.

– Brak wiadomości to dobre wiadomości – powiedziała matka, gdy oglądali skarpety przy śniadaniu.

– To znaczy tylko, że jego stan ani się nie pogorszył, ani nie polepszył. A wczoraj był krytyczny, więc to nic dobrego.

– Mam nadzieję, że mimo to uda ci się miło spędzić święta.

Olivia zmusiła się do uśmiechu i udała, że interesuje ją marmolada od Fortnuma i szwajcarski scyzoryk wyłaniające się z czerwonej skarpety.

Teraz siedzieli we czwórkę w salonie, a ojciec rozpałał ogień starymi miechami. Przerwał, by opowiedzieć, jak rozpalili ognisko za pomocą szkła powiększającego na pustyni podczas wojny radziecko-afgańskiej. Wiedziała, co zaraz usłyszą, zanim przysiadł na piętach i zaczął: „To przypomina mi...” Nigdy nie opowiadał o Afgańczykach ani polityce tamtych czasów – snuł tylko swoje skautowskie wspomnienia. Ale tak zawsze było w domu, wszyscy trzymali się scenariusza i po raz kolejny opowiadali te same anegdoty. Z głośników znów płynęła „Cicha noc”. Powietrze było gęste od dymu i duszącej mieszanki skórki pomarańczowej i środka do pielęgnacji mebli. Nieprzyzwoicie było tak siedzieć z włączonymi na maksimum kaloryferami i ogniem płonącym na kominku. Jediną rzeczą, która pozwalała Olivii oderwać myśli od Seana, było planowanie powrotu do Liberii w przyszłym roku. Była ogarnięta potrzebą zrobienia czegokolwiek.

Phoebe nurkowała pod choinkę, wyjmowała błyszczące paczki i rozdawała je, aż wszyscy mieli u stóp kupkę prezentów. Olivia wysunęła iPada spod kanapy i odświeżyła poszukiwanie wiadomości o Seanie Coughlanie. Nic nowego.

– Okej, to dla ciebie od mamy – powiedziała Phoebe do Andrew, wybierając prezent do odpakowania. – A to dla ciebie ode mnie – zwróciła się do Emmy. Spojrzała na kupkę Olivii. W przeciwieństwie do czasów dzieciństwa była wyraźnie większa, choć Olivia z radością oddałaby ją siostrze. – To od Iriny – powiedziała Phoebe, wskazując jarmarczną złotą paczkę.

– Kto to jest Irina?

– Sprzątaczką – wyjaśniły chórem Emma i Phoebe i wybuchnęły śmiechem.

Nie była pewna, czemu to jest zabawne. Bulwersował ją fakt, że mieli sprzątaczkę, kiedy matka nie pracowała. A ta biedna kobieta wydaje pensję na

prezenty. Irina (przypomniała sobie mgliście Rumunkę krzątającą się po mieszkaniu przy Gloucester Terrace) dała jej pudełko czekoladek Lindta i błyszczącą kartkę z życzeniami bezpiecznego powrotu z Afryki. Matka pewnie mówiła o tym non stop. Przynajmniej nie rozsyłała już świątecznych listów, które niezmiennie zaczynały się od: „Rok był pełen nowych akademickich sukcesów Olivii”.

Olivia poczęstowała wszystkich czekoladkami, choć tylko matka wzięła jedną. Znow sięgnęła po iPada, chowając go pod poduszką na kolanach, i udawała, że patrzy, jak pozostali rozpakowują prezenty. Matka kwitowała każdy hałaśliwym wybuchem radości. Andrew zachowywał ten sam niewzruszony wyraz twarzy jak zawsze, gdy coś dostawał, aż otworzył ten od Phoebe i wyglądał na szczerze ucieszonego z aeratora do wina.

Phoebe trzymała małe, profesjonalnie zapakowane pudełko.

– Okej, teraz George – powiedziała. Na widok turkusowego wieczka wyduła usta jak w dzieciństwie, gdy zbierało się jej na płacz.

– Och, Tiffany! Kolejna błyskotka! – wykrzyknęła Emma.

Phoebe otworzyła pudełko i westchnęła.

– Wiedziałam, że ich nie kupi.

– Co się stało, aniołku? – zapytała Emma. – Pokaż.

Phoebe podniosła kolczyki z perłami.

– Urocze! Bardzo piękne, klasyczne. Będziesz je nosić latami.

– Nigdy nie noszę pereł.

– Może George chciałby, żebyś nosiła – powiedział ojciec. – Ładna koszulka do rugby i perła, bardzo w jego stylu.

Emma rzuciła mu mordercze spojrzenie.

– Prosiłam go specjalnie o obręcze Dinny Hall. Wysłałam Mysce link. Wiedziałam, że wszystko schrzani.

– Te też są piękne. Przymierz! Może obręcze mogą poczekać?

Phoebe oparła się o sofę, przygryzając dolną wargę.

– Możesz to odłożyć? – warknęła nagle do Olivii. – Są święta!

– Okej, uspokój się. Już. – Olivia demonstracyjnie wyłączyła iPada i przykryła go kocem.

– Nigdy tego nie zrozumiesz, prawda? – zapytała Phoebe.

– Nie? To nie ja płaczę, bo dostałam nieprzyzwoicie drogie kolczyki, kiedy miliony dzieci nie mają co jeść.

– O mój Boże, zawsze musisz do wszystkiego mieszać Afrykę?

– Nie tylko w Afryce. Ale skoro o tym wspomniałaś, w tym miesiącu setki ludzi zmarły na haag.

– Dziewczęta, proszę, dajcie spokój – powiedziała Emma. – A to dla taty. – Podała Andrew prezent zapakowany w kwiecisty papier, a on niezgrabnie poklepał

ją po ramieniu, gdy nachyliła się, by głośno pocałować go w policzek.

Otwierał prezent nieznośnie długo, korzystając ze scyzoryka, jakby byli na obozie przetrwania. Wreszcie wyjął książkę z papieru Williama Morrisa, przytrzymał ją na długość ręki i obwieścił:

– *Gdzie jadają szefowie kuchni: przewodnik po ich ulubionych restauracjach.* Cudowna, bardzo mi się spodoba. Dziękuję, kochanie – powiedział, przebiegając wzrokiem po informacjach na okładce.

Olivia zastanawiała się, czemu matka kupiła mu książkę o czymś, co znał na wylot. Ale wiedziała, że nie o to chodzi. Chodziło o tradycję wręczania sobie coraz większej ilości prezentów co roku. Matka dała jej jakieś dwadzieścia tubek kremu do rąk – wszystkie o przytłaczającym zapachu. Phoebe kupiła jej sweter, który wyglądał jak coś, co sama chętnie by nosiła, a który powstał w jakiejś nędznej fabryce w Bangladeszu. A ojciec dał jej bezsensowny album na zdjęcia – bez wątplenia wybrany przez Emmę. Na karteczce napisał: „Olivia, Wirusowych Świąt, A.”. Co jest z nim nie tak? Czy dziennikarze nie mogą się powstrzymać od zabaw słownych? Spojrzała na podłogę zarzuconą nowymi przedmiotami, papierem i wstążeczkami i uświadomiła sobie, że robi się jej niedobrze. Wymruczała przeprosiny i poszła na górę, by w spokoju sprawdzić wiadomości.

Andrew

Jadalnia, Weyfield Hall, 16.00

Za oknem było już ciemno, ale oni jeszcze kończyli obiad, mając na głowach papierowe korony wyjęte ze strzelających świątecznych tubek. Protestował, utrzymując, że wyglądają w nich jak staruszkowie w domu opieki. Ale Emma i Phoebe uparły się, a Olivia miała zboląły wyraz twarzy – nic się więc nie zmieniło. Czy jest coś bardziej ponurego, pomyślał, niż widok dorosłych w papierowych koronach? Czuł się straszliwie pełny. Resztki indyka odstawiono na bok, na stole nadal tkwił przypominający smołę pudding. Po nim zupełnie niepotrzebnie zjedli ser Stilton, a Emma częstowała teraz wszystkich truflami Charbonnel et Walker. Pisząc o jedzeniu i jadając stale poza domem, doszedł do przekonania, że mniej znaczy więcej. Gdy był korespondentem zagranicznym, często musieli się zadowalać – z radością – chrupkim chlebem i gorącą wodą.

Emma włączyła trzeszczące „White Christmas” na starym gramofonie stojącym w kącie. Przypomniał sobie, jak tańczyli do tej piosenki zaraz po poznaniu się, kiedy wiedział już, że się z nią ożeni. Teraz piosenka brzmiała ckliwie.

Phoebe domagała się kalamburów, kiedy rozległ się dzwonek przy drzwiach naciskany długo jak przez obcą osobę. Nikt nigdy nie korzystał z dzwonka. Po nim rozległo się głośnie pukanie.

Spojrzeli na siebie.

– Kto to? – zapytała Phoebe.

– Nie widzieli tablicy przy bramie? – zdziwiła się Emma.

Andrew szybko wstał. Wiedział, że powinien był odpowiedzieć na e-mail Jessego, powinien go odstraszyć.

– Pójdę otworzyć – powiedział. Ale ktoś już się mocował z drzwiami wejściowymi.

– Nie pozwól nikomu wejść – rzuciła ostro Olivia.

– Na pewno! – zawołał, czując ucisk w żołądku, gdy przebiegał przez kuchnię w najkrótszej drodze do holu. Wzdrygnął się, gdy stuknęła zasuwa – wydawało się, że głośniejsze niż kiedykolwiek.

Zanim dotarł do holu, usłyszał donośny głos: „Wesooołych świąt wszystkim” i zobaczył George’a zdejmującego puchową kamizelkę.

– Panie B.! – wykrzyknął z lekko szalonym uśmiechem. – Nie mogłem nie przyjść!

Andrew zastanowił się, czy chłopak jest pijany. Trochę się zacinał, ale to mogła być sprawka wstrętnego akcentu.

– George... – Nie wiedział, co powiedzieć, ale na szczęście w holu pojawiła się Phoebe.

– Małaaaa! – zawołał George.

– Skarbie! Co ty tu robisz? Nie wolno ci! – Ona też była trochę wstawiona. Podbiegła do George’a, który uniósł ją z podłogi. – Dziękuję za kolczyki – powiedziała. – Są piękne. – Pocałował ją w usta, jakby chciał ją pożreć.

Andrew zakaszłał.

– Ta świąteczna demonstracja uczuć jest urocza, ale my, Birchowie, mamy kwarantannę. George, chyba nie powinno cię tutaj być.

George spojrział na niego. Miał na ustach szminkę Phoebe, ale nosił ją jak zwycięzca. Do holu weszły Emma z Olivią.

– Co u...? Nie powinien tu być – odezwała się Olivia.

– Też miło cię widzieć, Liv.

– Nie możemy się z nikim spotykać do trzydziestego. Nie wyjaśniłaś mu? – powiedziała Olivia do Phoebe. Wyglądała na niezwykle podenerwowaną.

– Oczywiście, że wyjaśniłam! On wie. Ale przecież może tu zostać do trzydziestego, prawda|?

– Jestem rodziną! Prawie – odparł George, uśmiechając się jeszcze szerzej.

– Będzie musiał – powiedziała Olivia. – Właśnie wymienili, Bóg jeden wie, ile bakterii.

– Musi zostać? – zapytała Phoebe z nadzieją w głosie.

– Tak! Jeśli wyjdzie, będzie zagrażał bezpieczeństwu publicznemu – oświadczyła Olivia. – A ty nie możesz nigdzie wychodzić do piątku, wiesz o tym? Nie możesz nawet opuścić terenu posiadłości. Wszyscy musimy zostać tutaj.

Emma wróciła do zapomnianej roli gospodyni.

– Oczywiście, że musisz zostać, choć nie ma żadnego ryzyka. Cudownie. Napijesz się kawy? Zakładam, że jadłeś obiad?

Wrócili do jadalni; Phoebe i George szeptali za plecami Andrew.

– Nie mogę uwierzyć, że przyszedłeś! Oszalałeś – powiedziała tym samym głosem małej dziewczynki, którym prosiła Andrew o pieniądze.

– Tęskniłem za tobą, mała. I martwiłem się o ciebie. Wszystko w porządku?

– Mmm. Dzięki, że przyszedłeś.

Andrew zastanowił się przez chwilę, o czym George mówi, ale znając Phoebe, nie chodziło o coś więcej niż złamany paznokieć. Zawsze miała skłonności do dramatyzowania. Mimo to był zaskoczony, że George ryzykował zarażenie wirusem z powodu jednego z jej kryzysów. Zdaniem Andrew to nie było w jego stylu. Może wiedział, że wpakował się w tarapaty z powodu kolczyków. A może był po prostu strasznie głupi. Jakkolwiek było, będzie się musiał przyzwyczaić do obecności George’a w domu.

Emma

Kuchnia, Weyfield Hall, 17.00

Emma stała przy zlewie i zmywała ręcznie specjalne talerze. Wszystko poszło zgodnie z planem, ale świąteczny obiad ją wyczerpał. Choć byli tylko we czwórkę, przypominał operację militarną. Zawsze się bała, że indyk będzie niedopieczony albo że go „zbombarduje”, jak mawiał Andrew. Mimo to brukselka według przepisu Ottlenghiego bardzo się udała, a pudding wybuchnął błękitnym płomieniem, jakby rzuciła na niego czar. Najważniejsze jednak, że nikt się nie pokłócił. Obawiała się, że dziewczęta będą sobie dogryzać po spięciu przy choince. Rozumiała racje obu i czuła się rozdarta. Phoebe może i była trochę zepsuta, ale Olivia nie wiedziała, że siostra nadal przeżywa to, co zobaczyła rano. A to, że stale zerkala na iPada, kiedy mieli się cieszyć swoim towarzystwem, było raczej niegrzeczne. Z drugiej strony może cierpieć na zespół stresu pourazowego jak żołnierz. Mając w pamięci korespondencje wojenne Andrew, wiedziała, że nigdy nie zrozumie tego, co oglądała Olivia. Mimo to żałowała, że nie może się uwolnić od poczucia, że w oczach Olivii ich świąteczna radość jest trochę groteskowa. Zaczęła spryskiwać blat środkiem czyszczącym i poczuła nagły przymus, by oczyścić tacę pod tosterem. Wycierając energicznie uchwyt lodówki, pomyślała, że takie myśli zwykle są jej obce. Miała nadzieję, że nie przejawia syndromu OCD^[4], o którym mówiła Phoebe. A może to jakiś zespół?

Zadzwonił telefon. Nicola.

– Emmo, kochana, wesołych świąt. Jak się masz? – zapytała tonem, jakby siedziała przy łóżku pacjenta.

– Wspaniale! Mamy za sobą taki radosny dzień. I pogoda też jest piękna. Ale powiedz, co u ciebie, jak tam twoi chłopcy?

Nicola nie chciała rozmawiać o swoim życiu. Stale wracała do Emmy i Weyfield.

– Powiedziałaś im? Dziewczętom i Andrew? – zapytała scenicznym szeptem.

– Jeszcze nie. Pamiętasz, że nie chciałam zakłócać atmosfery świąt? Niestety, Phoebe się dowiedziała. Dziś rano. Przeczytała nasze wczorajsze mejle.

– Biedactwo. Bardzo się zdenerwowała? – W głosie Nicoli rozbrzmiewała nadzieja, że tak.

– Obawiam się, że bardzo. Ale po obiedzie niespodziewanie zjawiał się George i to chyba pomogło. Pewnie mu powiedziała. Choć prosiłam, żeby zachowała to dla siebie. Dyskrecja nigdy nie była jej mocną stroną.

– George? A co z kwarantanną?

– Teraz musi zostać z nami.

– Och. Młodzieńcza miłość! To urocze, że ryzykuje życie.

– Chyba tak. Ale nie ma żadnego wielkiego ryzyka. Pewnie wyczuł, że jest przygnębiona. Muszę przyznać, że byłam trochę zaskoczona. Wiesz, nigdy nie uważałam, że on jest taki...

– Wrażliwy?

– Mmm. Myślałam, że jest bardziej... – zniżyła głos – ...sztywny, że to taki typ żołnierza.

– Sądziłam, że pracuje w finansach.

– Jego ojciec był w wojsku, zanim zarobił miliony. A brat jest w marines. W każdym razie, z tego, co opowiadała Phoebe, wywnioskowałam, że cała rodzina raczej nie jest zbyt uczuciowa. Choć Andrew i Olivia też zbyt nie okazują emocji. Za to my z Phoebe wyrabiamy rodzinną normę naszymi łzami.

– A jak się miewa Olivia? – Nicola wróciła do szpitalnego tonu. – Widziałam dziś jej nowy wpis na blogu. Nie myślimy o tym, że powrót do domu bywa trudny, prawda?

– Na blogu? Myślałam, że już nie pisze.

– Pisała o powrocie do Anglii.

– O jej, powinnam była przeczytać. Co tam... czy napisała, że w domu jest okropnie, a my jej nie rozumiemy?

– Nie! Jasne, że nie. Tylko... no wiesz, musi się przystosować. Nie doszukuj się tragedii, Em. Nie powinnaś, zwłaszcza teraz.

Poczuła, że Nicola się wycofuje. Wiedziała, że musi zajrzeć na bloga, teraz, zaraz. Wymówiła się, że musi posprzątać po obiedzie, i natychmiast tego pożałowała, bo Nicola przypomniała jej, żeby się „nie przemęczała” i „była dobra dla siebie”, co było raczej irytujące. Czekać, aż blog się załaduje, myślała o tym, co Nicola powiedziała o młodzieńczej miłości i jak przybycie George’a przeraziło Olivię. Zastanawiała się, czy nie przeszkadza jej, że nie ma swojego księcia z bajki. Emma miała nadzieję, że Olivia kogoś pozna i niedługo będzie wychowywała własne dzieci. Czy nie o to w życiu chodziło? Ale Olivia zawsze wydawała się taka niezależna, więc wątpiła, czy podziela jej odczucia.

Łącznik z internetem – czy jak tam się to nazywało – chyba zastrajkował. Emma obiecała sobie, że przeczyta blog Olivii później.

Phoebe

Bungalow, Weyfield Hall, 18.00

Phoebe czuła się ospała po całym dniu picia i pochłaniania większej ilości jedzenia niż zwykle. Siedzieli z George'em w bungalowie, którego tył wychodził na podjazd. Matka stale mówiła, że trzeba go przerobić na domek gościnny, ale nigdy nie wcieliła planów w życie. Phoebe rzadko tu przychodziła. Należał do innych, nastoletnich czasów, gdy służył najpierw jako sypialnia dla jej najlepszych przyjaciółek, Saskii i Lary, a potem do palenia skrętów i obcałowywania się z chłopakami. W środku nadal znajdowały się relikty tamtych dni – twarz Paris Hilton na okładkach starych czasopism, stół do ping-ponga i unoszący się w powietrzu zapach tytoniu i odświeżacza. Olivia nie uczestniczyła w życiu bungalowu, choć Phoebe przypominała sobie, że spróbowała raz zorganizować przyjęcie dla swoich nudnych przyjaciół medyków. Spóźniła się o dekadę. Nawet chłopaka miała dopiero w Cambridge, podczas gdy życie miłosne Phoebe zaczęło się w szanowanym wieku czternastu lat.

Gdy włączyło się oba grzejniki, w bungalowie było dużo cieplej niż w lodowatym domu. Phoebe zwinęła się w kłębek obok George'a na sofie, na której przed laty straciła dziewictwo z Sebem, o rok starszym kolegą ze szkoły Westminster. Sięgnęła po czekoladkę i próbowała wymyślić coś, co mogłaby powiedzieć do George'a albo o co go zapytać.

– Każ mi przestać jeść! – rzuciła po chwili. – Poważnie, w tym tempie przed ślubem zrobię się gruba jak beczka. – Tak naprawdę wcale się tym nie przejmowała, utrzymywanie wagi poniżej pięćdziesięciu kilogramów było jej drugą naturą. Jej wzrok nieustannie biegł jednak do chudych jak u modelki nóg Olivii. Siostra była tak szczupła jak w szkole, kiedy Phoebe żyła w nieustannym strachu, że Olivie zagarnie jakaś agencja (na szczęście nie była dość ładna).

George odsunął czekoladki i ujął w palce jeden perłowy kolczyk. „Są piękne. Jak ty”, powiedział, przesuwając palcem po płatkach jej ucha. Był bardziej ckliwy niż zwykle. Teraz, kiedy tu był, przeboleła już obręczę Dinny Hall. Najgorsze, że Olivia miała rację; dorosłym nie powinno tak zależeć na otrzymaniu właściwego prezentu; nie powinna się też przejmować, że George napisał na karteczce: „Z miłością”, a nie: „Kocham cię nad życie”. Ale nic nie mogła na to poradzić. Nie dość, że była rozczarowana, to jeszcze musiała się wstydzić – jakby jadła kanapkę z paskudnymi dodatkami.

– Nie wierzę, że tu przyszedłeś – powtórzyła, opierając mu głowę na ramieniu. Myślała, że wiadomość o chorobie mamy nie w pełni do niego dotarła. Ale może właśnie taki był – cenił czyny, nie słowa. Bawił się starą zapalniczką,

prezenterem od Phoebe z Paryża, gdzie była przed podjęciem studiów. – Jesteś pewny, że twoi rodzice nie odchodzą od zmysłów?

– Podchodzą do tego na luzie. Jeśli zachorujemy na haag, zachorujemy razem – powiedział, przyciągając ją bliżej.

– Twoja mama wydawała się zaniepokojona, kiedy rozmawiałam z nią rano.

– Tak? Nie powinna czytać „Mail”. Potem do nich zadzwonię.

– Wiedziałaś, że będziesz musiał zostać?

– Jasne! Dlatego przyszedłem. Chciałem być jeńcem razem z tobą. – Pocałował ją w czubek głowy.

Wtuliła się w niego. To nie było podobne do George’a. Oprócz wakacji chyba nie spędzili ze sobą więcej niż dwie noce z rzędu. Zawsze musiał wracać do pracy albo na siłownię czy na jakieś inne zajęcia sportowe. Ale podobało jej się to. Poza tym po ślubie będą musieli się przyzwyczaić do życia razem. Ta myśl nadal wydawała się jej mało realna.

– Nawiasem mówiąc, czuję się lepiej.

– Słucham?

– Jeśli chodzi o mamę.

– A, tak. Paskudna sprawa.

– Martwisz się kiedykolwiek o rodziców, że na przykład zachorują?

Rzadko prowadzili takie rozmowy i nie chciała jej kończyć.

– Raczej nie. To trochę makabryczne.

– Chyba tak. Tylko nie wiem, co bym zrobiła, gdyby... gdyby... – Na samą myśl o wypowiedzeniu słów: „gdyby mama umarła”, poczuła ucisk w gardle, jakby ktoś dłubał tam łyżką.

– Przestań. Wszystko będzie dobrze. Pobieramy się, pamiętasz?

Pociągnęła nosem i odsunęła od siebie złe myśli.

– Może się przekonasz do wesela tutaj po tej kwarantannie?

– Syndrom sztokholmski?

– A co to takiego? – Wiedziała, ale udawanie głupiotkiej przy George’u weszło jej w nawyk. Zdawało się go uszczęśliwiać.

– Nie martw się. – Pocałował ją powoli w usta. Podrapał ją zarostem, a kiedy się odsunęła, dostrzegła cienie pod jego oczami.

– Kocham cię, Phoebe Birch.

– Ja ciebie też – odparła.

Chciała się zerwać i okrążyć bungalow w rundzie zwycięstwa. Powiedział to. Wreszcie wypowiedział te słowa.

Jesse

Pokój 17, hotel Harbour, Blakenham, 19.00

Po spacerze w wilgotnym powietrzu i obrzydliwej „wegetariańskiej pieczeni” w restauracji hotelu Harbour Jesse spędził popołudnie, leżąc na łóżku. Obejrzał przemówienie królowej i trzy odcinki niezrozumiałego serialu „Tylko głupcy i konie”. Tak miały wyglądać święta. Miał je spędzać w Weyfield Hall z nową rodziną – choć teraz cały ten pomysł wydawał się naiwny. Rozmowa z rodzicami, których okłamał, mówiąc, że świetnie się bawi, i słyszał w tle śmiechy, tylko wszystko pogorszyła. Zwłaszcza smutek w głosie ojca, gdy powiedział: „Uważaj na siebie, synu. Nie rób niczego, czego ja bym nie zrobił”.

Nadal nie miał żadnej odpowiedzi od Andrew. Whisky Glenmorangie, którą kupił na lotnisku, wiedząc, że to ulubiony trunek Andrew, stała na szafce. Za każdym razem, gdy na nią patrzył, czuł się poniżony. Gdyby nie miał takiego kaca, sam by ją otworzył. Niczego nie nakręcił. Myśl o powrocie do domu ze zdjęciami z Norfolk, ale bez ujęć ojca, była zbyt przygnębiająca.

Zastanowił się nad słowami George’a: „Co masz do stracenia?”. Brzmiało trywialnie, ale może miał rację. Być może poza krótką fizyczną rozkoszą wszechświat zesłał mu George’a z tego właśnie powodu – by nakłonić go do spotkania z Andrew Birchem. Podniósł wzrok na głupi prezent ze strefy wolnocłowej i poczuł, jak budzi się w nim bunt. Może nadal był pijany. Czemu nie miałby wybrać się do Weyfield? Jeśli nawet nie zapukałby do drzwi, to przynajmniej zobaczyłby dom, może znalazł nową inspirację do filmu. Poza tym musiał się przekonać, że dom jest prawdziwy, że nie wymyślił tego wszystkiego.

Znalezienie Weyfield Hall nie było tak proste, jak zakładał. Ponieważ nie miał zasięgu w komórce, musiał korzystać z małej skserowanej mapy z pakietu informacyjnego, który znalazł w pokoju. Tuż za Blakenham skończył się chodnik i nigdzie nie było żadnych znaków. Zapytał o drogę dwie mijane pary. Pierwsza przyjechała z Francji i nie mogła mu pomóc. Od drugiej usłyszał: „Trzymaj się lewej strony i kieruj w stronę morza”, co było bardziej przydatne. Zapadał zmrok, przed oczami tańczyło mu kilka samotnych płatków śniegu. Stopy zmarzły mu na kość. Wielka szkoda, że nie odziedziczył brytyjskiej odporności na zimno. Kiedy już miał zrezygnować, czując coś na kształt ulgi, zauważył cztery kominy wystające z kępy drzew po drugiej stronie łąki. To musiał być ten dom. Sądząc z mapy, znajdował się we właściwym miejscu. Puls mu przyspieszył. Pieprzyć drogi. Przeszedł pod drutem kolczastym i ruszył prosto przez zamrażającą ziemię.

Za łąką znalazł bramę prowadzącą na zwirowany podjazd. Wyglądała, jakby zawsze była otwarta, jedno skrzydło zwisało z zawiasów i porastał je bluszcz. Do

bramy przymocowano tabliczkę: „Proszę zostawić wszystkie zamówienia tutaj, ponieważ nie możemy podpisać potwierdzenia. Dziękuję”. Dziwne. Może jednak wcale ich tu nie ma. To miejsce było bardziej zaniedbane, niż się spodziewał. O zmroku wyglądało trochę upiornie, szkielety drzew rysowały się na tle nieba jak czarna koronka. A może to tylko nerwy? Zanim zdążył stchórzyć, zaczął iść szybkim krokiem przez podjazd, mijając kilka budynków gospodarczych. Przypominał sobie w duchu, że jeśli kogoś zobaczy, zawsze może się odwrócić i uciec. Kiedy wyszedł zza zakrętu, w odległości dziesięciu metrów ujrzał dom.

Przez chwilę tylko spoglądał na ogromną kwadratową fasadę, w której kilka okien zdradzało oznaki życia. Serce waliło mu tak, jakby przez godzinę ćwiczył na siłowni. To było zdecydowanie Weyfield; rozpoznał je ze zdjęcia w „Country Living”. Przypominało mu domek dla lalek, który Dana miała w dzieciństwie, z odsuwaną frontową ścianą. Zwolnił i podszedł bliżej, starając się nie robić zbyt głośno. Teraz widział cały dom – czerwone cegły, duże dostojne okna i mały kamienny ganek porośnięty mchem. Przez chwilę stał przy drzwiach wejściowych, wstrzymując oddech, starając się usłyszeć jakieś dźwięki ze środka. Dobiegł go jednak tylko szum wiatru wśród nagich drzew i przejeżdżających w oddali samochodów.

Mój ojciec jest w tym domu, pomyślał. Mój ojciec jest za tymi drzwiami.

Nie zdecydował się nacisnąć omszałego dzwonka i sięgnął do kołatki tylko po to, żeby ją poczuć, bo nie wiedział, czy będzie miał dość odwagi, by zastukać. Miała kształt lwa, który trzymał między zębami gałązkę jemioly. W oknie tuż nad drzwiami zapaliło się światło, a potem rozległy się kroki. Jesse zmarł. Ktoś szedł szybko w stronę drzwi, jakby wiedział, że on stoi po drugiej stronie. Kto się zbliżał? Co, u diabła, ma powiedzieć? Był na planie filmowym bez scenariusza – totalnie nieprzygotowany i bez żadnych prób.

Odkoczył, gdy z otworu na listy wypadła kartka papieru. Gdy klapka się zamykała, zauważył koniuszki palców. Na kartce, która wylądowała u jego stóp, ktoś napisał złotym pisakiem: „Cześć. Nie możemy otworzyć. Zadzwoń na telefon stacjonarny”. Nagle się wkurzył. Co sobie myślał, przychodząc tu tak bez przygotowania? Co to za miejsce, gdzie ludzie piszą płynnym złotem i nie chcą otworzyć drzwi ani odebrać poczty? Odwrócił się i szybko ruszył podjazdem, pewien, że jest obserwowany. Kiedy dotarł do łąki, puścił się biegiem. Znalazł miejsce, w którym przeszedł pod drutem, i tym razem przeskoczył go, zahaczając o kolec. Zaklął głośno – w równym stopniu z frustracji co bólu.

Już przeklinał się w duchu za to, że jest takim tchórzem, że nie krzyknął do osoby za drzwiami. Ale co jeszcze mógł zrobić? Z ulgą ujrzał reflektory samochodów na drodze wzdłuż wybrzeża i domki w pobliżu hotelu, których okna rozświetlał blask telewizorów. Dobrze jest wrócić nawet do tego obskurnego pokoju, pomyślał, polewając rozciętą dłoń wodą z kranu. Brytyjczycy są naprawdę

ekscentryczni. Przynajmniej będzie mógł opowiedzieć Danie coś ciekawego.

5

Boxing Day^[5] 2016

Czwarty dzień kwarantanny

Olivia

Pokój nad gankiem, Weyfield Hall, 9.00

Teraz, kiedy nie było już prezentów do pakowania, pokój nad gankiem stał się jej azylem. Tutaj czytywała jako dziecko, by uciec od ślizgawek i długich wypraw łódką, których domagała się przebojowa Phoebe. Na łódce Olivia zawsze wymiotowała – boleśnie świadoma, że to ona jest tą starszą, a psuje wszystkim zabawę. Teraz skuliła się na ławeczce pod oknem i zaciągnęła zasłony, tak jak robiła, gdy miała dziewięć lat. Nie było jej wygodnie – czuła każdy kręg oparty o boazerię – ale przynajmniej była sama.

Wyjrzała na nagi ogród, tak odmienny od tropikalnej roślinności w Liberii. Zaledwie w trzy miesiące przywykła do jej dzikiej, przyspieszonej roślinności. Pamiętała, jak pnącza zakradały się do centrum medycznego kilka dni po ścięciu gałęzi, jak nad padliną roiły się owady. Wtedy było to niepokojące. Teraz, ciche bezpieczeństwo Norfolk, nagie gałęzie i brak sępów wydawały się tak mało naturalne jak życie na Marsie. Żałowała, że nie może o tym porozmawiać z Seanem. Wczoraj napisała do niego kolejny e-mail, starając się utrzymać optymistyczny ton, i postanowiła, że będzie pisać codziennie, nawet jeśli on przeczyta wszystko dopiero po wyjściu z izolacji. Jednak taka jednostronna korespondencja była trudna. Postanowiła, że napisze później, gdy będzie miała więcej do powiedzenia. Próbowowała czytać e-booka, ale jej palce uparcie wyszukiwały w Google jego nazwisko. Do prasy zakradły się opinie krytyczne. Jeden felietonista oskarżył Seana o „rażący brak poszanowania dla Wielkiej Brytanii”. W każdej gazecie pojawiały się artykuły kwestionujące, czemu Seanowi i innym wolontariuszom z Irlandii pozwolono czekać na Heathrow, gdy ich lot się opóźniał – jakby to była wina Seana. Świąteczny wpis na blogu miał być ostatnim, ale Olivia znów się zalogowała.

Blog haag 11:

Dlaczego nasza prasa z rozkoszą pogrąża innych?

Nie miałam w planach pisać ponownie, ale jestem wściekła. Świąteczne dzwoneczki dzwonią bez końca, lecz pozytywny wynik testu mojego kolegi Seana Coughlana zniszczył nadzieje na wesołe święta. Najbardziej wścieka mnie reakcja brytyjskich mediów na jego diagnozę. Powinniśmy się skupić na odwadze Seana i jego powrocie do zdrowia. Zamiast tego wielu dziennikarzy postanowiło szukać winnych i spekuluje, że to wina Seana. Okrucieństwo wirusa haag polega na tym, że przenosi się dzięki współczuciu. Zarażają się nim matki, ponieważ nie mają serca, by pozostawić wymiotujące dziecko same. Pielęgniarki zarażają się od pacjentów, którymi zbyt dobrze się opiekowały. Nikt nie wie, jak zaraził się Sean.

Ale mogę was zapewnić, że wszyscy byliśmy poddani bardzo surowym zasadom bezpieczeństwa. Nikt z nas, także Sean, nie naraziłby się świadomie na ryzyko. Kwestia zasadnicza: próbowaliśmy opanować rozprzestrzenianie się śmiertelnego wirusa, mając do dyspozycji podstawowe środki.

W przeciwieństwie do komentatorów, którzy zdecydowali się kwestionować profesjonalizm Seana, pracowałam u jego boku. Był jednym z dwóch pediatrów w centrum medycznym i ulubionym lekarzem personelu i pacjentów. Inspirowało nas nie tylko jego doświadczenie, lecz także jego człowieczeństwo. Widziałam, jak siedział z rozpaczającymi matkami długo po tym, jak skończyła się jego zmiana. Widziałam, jak rozśmieszał chore dzieci, gdy wkłuwał im wenflony, cały czas ubrany w ogromny kombinezon, i przekonywał przerażone maluchy, by wypily napój nawadniający (każdy rodzic powie wam, że to trudna sztuka). Widziałam, jak dzień po dniu wraca z uśmiechem do naszej przypominającej rozgrzany piekarnik kwatery, kiedy inni byli na skraju załamania. Chętnie bym więc zwymyślała tych dziennikarzy, którzy bez żadnych dowodów oskarżają go o „egoizm”. Niech spróbują wykonywać ciężką, paskudną pracę w upale, jak to robił Sean.

Jane Falcon, felietonistka magazynu „The World”, opisuje nas, wolontariuszy, jako «naiwnych idealistów, którzy narażają na szwank zdrowie Brytyjczyków, by realizować swoją postkolonialną fantazję ratowania świata». Dalej radzi, byśmy «pozwolili Afryce samej rozwiązać polityczne problemy, przerywając krąg rozdawnictwa dóbr». Oba te komunały stały się wygodną wymówką dla Zachodu, by siedzieć z założonymi rękami. Tak, każdą pomoc wysłaną do Liberii zawsze skomplikuje kolonialny kac i, co ważniejsze, głęboka korupcja na miejscu. Ale czy to powód, by odwracać wzrok? I czemu nasza prasa z taką rozkoszą potępia bohatera? Tak trudno jest uwierzyć, że niektórymi ludźmi kieruje szczerze pragnienie czynienia dobra? Być może Falcon i jej podobni nie potrafią zrozumieć altruizmu, bo sami kierują się wyłącznie wrzaskiem własnych głosów.

Obojętność świata w stosunku do Afryki dręczyła mnie od dawna. Tym razem jednak coraz trudniej jest zignorować ten kryzys. Mam nadzieję, że – jeśli z tej okrutnej epidemii ma wypłynąć jakieś dobro – okaże się nim przebudzenie Zachodu i wrażliwość na cierpienie innych. Albo przynajmniej dziennikarze chwilę się zastanowią, zanim zaczną krzyczeć.

Zamieściła wpis. Wiedziała, że powinna odczekać godzinę, sprawdzić go później, lecz wściekłość sprzyjała zniecierpliwieniu. Poczula się trochę lepiej, wysyłając ziarno prawdy ludziom siejącym panikę. Miała nadzieję, że ojciec to przeczyta. Pracując w „The World”, był współwinny, myślała, nawet jeśli dziennikarską władzę przejawiał w niszczeniu restauracji. Ale jakie to miało znaczenie, skoro on nigdy tego nie przeczyta, a jeśli nawet, to zaraz wytoczy jakieś argumenty za wolnością słowa.

Jeszcze tylko trzy dni, powiedziała do Kakao, który leżał jej na kolanach. Zaspane oczy kota wyglądały, jakby rozumiał. A teraz George jest tutaj. Nigdy go nie lubiła. Czuła, że niechęć jest wzajemna. Dziwiło ją, co Phoebe w nim widzi, poza ich wspólną historią. Był nadziany i atrakcyjny, jeśli lubiło się wygląd chłoptasia ze szkoły prywatnej (porażające, ale siostra najwyraźniej lubiła). Ale w przypadku partnera życiowego to za mało. Przypominał Olivii rugbyistów z Cambridge – był tylko głupszy. I co sobie w ogóle wyobraża, wpadając tu tak, jakby kwarantanna była jakimś idiotycznym wymysłem? Zezłościło ją, że Emma go wpuściła.

Dlatego też, gdy wczoraj wieczorem ze swojego punktu obserwacyjnego nad gankiem zauważyła, że do domu podchodzi jakiś nieznajomy, wysunęła przez szparę na listy wiadomość. To mógł być ktokolwiek (kto puka do drzwi w Boże Narodzenie?), ale bała się, że mężczyzna jest krewnym George'a, który go szuka. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowali, był klon George'a siedzący z nimi w domu przez trzy dni.

George i siostra byli wczoraj wieczorem nie do wytrzymania. Phoebe kazała wszystkim oglądać specjalny odcinek serialu z listy świątecznych przebojów opublikowanej na Netflixie, który George raz po raz kwitował określeniem „kupa śmiechu”, zamiast „Władcy Pierścieni”, którego Olivia uwielbiała. Później poszli do bungalowu jak nastolatki. Nigdy nie rozumiała wyborów Phoebe. Dziwiło ją, jak młodsza siostra mogła się spełniać, pracując w telewizji albo w modzie, czy co tam teraz robiła. Nie chodziło o to, że goniła za pieniędzmi: zarabiała tak mało, że nadal mieszkała z rodzicami – choć spieszyło się jej, by się wyprowadzić. Olivia sama uciekła z Gloucester Terrace po ukończeniu Cambridge. Znalazła przez internet pracę i możliwość dalszej nauki w Ugandzie, a potem, ku rozpaczy matki, zamieszkała w akademiku na uniwersytecie w Londynie. Phoebe nie miała nawet prawa jazdy. Sądząc po okropnej tablicy pamięci w kuchni, jej jedynym celem było małżeństwo. Praca miała zapełnić dni do daty ślubu. Olivia patrzyła, jak za oknem pada deszcz. Dziwne, że tak wielki dom może być taki klaustrofobiczny.

– Wiv, idziesz?! – zawołała matka z korytarza. Zarządziła na dziś sprzątanie strychu.

Na samą myśl Olivia czuła się wyczerpana. Na strychu dostawała gęziej skórki. To Phoebe uwielbiała się tam bawić, przymierzała pachnące talkiem suknie i czasem, gdy rodzice przyjmowali gości, schodziła na dół w pełnym kostiumie z epoki, by wszyscy mogli gruchać z zachwytu i wyjmować aparaty fotograficzne.

– Za sekundę! – odkrzyknęła. Już dwa razy zignorowała wołanie matki. Jednak będzie musiała się pojawić.

Strych w Weyfield zajmował całą górną kondygnację, lecz pomieszczenia były obskurne i niskie – pod spadzistym dachem nawet Phoebe musiała się schylać. Składał się nań jeden główny pokój, trzy mniejsze i przypominające cele sypialnie,

które – jak wyjaśniła matka – należały do nastoletnich pokojówek. Olivia czuła się przez to haniebnie, jakby wbrew jej woli wciśnięto ją w system kastowy. Znalazła Emmę i Phoebe w głównym pomieszczeniu, gdzie siedziały po turecku na podłodze obok pudła z poślizniętymi papierami.

– Liv! To nasze raporty o wynikach w nauce – powiedziała Phoebe. – To ja w siódmej klasie, chemia, doktor Spiro. „Phoebe przeszkadza innym” – odczytała, sepleniąc przesadnie. – „W przeciwieństwie do siostry nie potrafi się skupić na nauce. Powinna pamiętać, że szkoła to nie spotkanie towarzyskie, lecz okazja, by się czegoś nauczyć”. – Jej głos do złudzenia przypominał doktora Spiro. Zawsze potrafiła genialnie wszystkich naśladować.

Matka śmiała się do łez, czytając:

– Semestr jesienny, 1991: „Olivia w roli rzepy w szkolnym przedstawieniu «Wesołe żniwa» była rewelacyjna”.

– O mój Boże, ta sztuka! Byłam wróżką! – pisnęła Phoebe.

Olivia pamiętała to jak przez mgłę, nie z taką ostrością, z jaką Phoebe przywoływała każdą chwilę z dzieciństwa.

– W tamtym kącie jest cały stos twoich rzeczy, Wiv – powiedziała matka. – Co chcesz zrobić z kompaktami? I twoje notatki do egzaminów końcowych w szkole średniej. Będą ci jeszcze potrzebne?

Olivia zaczęła przeglądać pudła. Notatki z biologii i pierwsze kompaktki – Blur, Coldplay i The Verve. Przypomniała sobie ostrą kłótnię z Phoebe na tylnym siedzeniu samochodu o wyższości muzycznych dokonań Davida Bowie nad Britney Spears, kiedy miały piętnaście i dwanaście lat. Wtedy zaczynało do niej docierać, że Phoebe nie ma o niczym pojęcia.

Słyszała teraz, jak siostra zastanawia się, czy powinna wziąć ślub tutaj czy w Gunston Hall; dom jest bardziej w jej „stylu”, ale może w Gunston uda się lepiej osiągnąć klimat „Zimowej krainy cudów”, który jej się marzy. Jej roszczeniowe podejście do życia nie mieściło się w głowie. I nie tylko nastawienie Phoebe, ale całego kraju. Przesunęła pudło, które opróżniła, i zauważyła obluźowaną deskę w podłodze, którą od razu rozpoznała. Chowały pod nią z Phoebe różne rzeczy, gdy jeszcze się razem bawiły. Uniosła deskę i znalazła pod nią opakowania po jajkach-niespodziankach i pudełko po dziecięcych butach Start Rite. Na wieczku napisała swoim dziecięcym pismem: *KAPSUŁA CZASU 1992 NIE OTWIERAĆ PRZED 2092*.

– Phoebe, znalazłam naszą kapsułę czasu! – wykrzyknęła bez zastanowienia. Siostra rzuciła się w jej stronę.

– No nie! – zapiszczała. – Tak dobrze ją pamiętam! Otwieraj!

Olivia oderwała lepiącą się po latach do rąk taśmę klejącą i zdjęła wieczko. W pudełku znajdował się królik z rodziny Sylvanian, opakowanie twardych jak kamienie cukierków owocowych, zdjęcie ich pierwszego kota, pachnąca gumka do

mazania, kulka do kąpieli, ulotka nawołująca do ochrony lasów deszczowych, czysta kasetka i Filofax – jej skarb. Na środku stał słoik po dżemie z szarą wodą na dnie.

- Ile miałyśmy wtedy lat, osiem i pięć? – zapytała Phoebe.
- Chyba tak, jeśli to rok dziewięćdziesiąty drugi.
- Podpatrzyłaś ten pomysł w programie „Blue Peter”? Dla mnie był super.
- A co to jest? – zapytała Olivia, sięgając po słoik.
- Nasze perfumy, pamiętasz? Róża Doliny.

Olivia zauważyła małą naklejkę ze starannie wypisanym jej ręką „Róża Doliny”. Spojrzały na siebie i znów ujrzała w Phoebe swoją małą uczennicę, która nie odstępowała jej ani na krok.

– Pewnie strasznie śmierdzi – powiedziała.

– Wtedy też śmierdziało, prawda? Odważysz się? – zapytała Phoebe, podsuwając otwarty słoik pod nos siostry, zanim ta zdążyła odpowiedzieć.

Słyszając jej na wpół śmiech, na wpół krzyk, gdy odpychała Phoebe, matka podniosła wzrok.

– Spójrz, tu jest list – powiedziała Phoebe, rozkładając kartkę z nadrukiem postaci z bajek Disneya. – „Do osoby, która otworzy kapsułę” – zaczęła czytać. – „Nazywamy się Olivia i Phoebe Birch, mamy osiem i pięć lat. Chodzimy do szkoły Świętego Edwarda. Kiedy dorosnę, będę lekarzem, a Phoebe chce być gwiazdą pop. Lubimy grać w «Operację», «Świńską grę», grać na game boyu i bawić się figurkami Sylvanianów. Nasi rodzice mają na imię Emma i Andrew, mamy też rudego kota, który nazywa się Piegus. Na taśmie są piosenki nagrane przez nasz zespół Sugar 'n' Spice”.

– Sugar 'n' Spice! – wykrzyknęły chórem, sięgając po taśmę. – Mamo, znalazłyśmy taśmę naszego girlsbandu – powiedziała Phoebe. – Gdzie jest ten walkman?

Kiedy Olivia zaczęła się śmiać, nie mogła przestać. Chciała powiedzieć: „Pamiętasz *Rainbow of Love*”? ale nie mogła wydusić ani słowa. Bolały ją policzki, łzy zebrały się w kąciakach oczu na wspomnienie, jak ustawiały aparat na statywie i próbowały przyjmować seksowne pozy.

– Płaczesz! – zawołała Phoebe i też wybuchnęła śmiechem. Zaraz zaczęła śpiewać – „Raaainbow of Love, you're red like a ruby” – po czym wstała, by odtńczyć układ. Włożyła kasetę do zakurzonego walkmana marki Sony, który – o dziwo – zaczął działać. Rozległ się pisk. Ośmioletnia Olivia śpiewała: „Laaand ahooy! Laaand ahooy!”

– To szanta! – wykrzyknęła Phoebe, lecz Olivia trzęsła się od śmiechu.

W końcu się opanowała i leżała na podłodze, chwytając powietrze. Czuła się lekka, jak wtedy, gdy trzymała Seana za rękę.

Andrew

Palarnia, Weyfield Hall, 10.00

Andrew siedział w palarni z miską owsianki i czuł się jak wygnaniec. Jadł śniadanie w kuchni, dopóki nie zjawił się tam George i nie zaczął się częstować – usmażył nawet jajka. Zasiadł potem z talerzem pełnym tostów (Andrew powstrzymał się od komentarza na temat racjonowania jedzenia podczas kwarantanny) i bez słowa zaczął je chrupać. Andrew nie znał nikogo, kto jadłby tosty tak głośno. Zupełnie jakby odpalano fajerwerki. Kiedy hałas stał się nie do zniesienia, powiedział, że wzywa go praca, i zabrał owsiankę do palarni. Wyskrobując ostatnią łyżkę, zrobił to co zawsze, gdy był sfrustrowany – napisał e-mail do wydawcy, skarżąc się na redaktorów.

TEMAT: Tekst na 27 grudnia

OD: Andrew Birch <andrew.birch@the-worldmag.co.uk>

DO: Gibbs, Sarah <sarah.gibbs@the-worldmag.co.uk>

DATA: 26/12/2016 10.05

Sarah,

właśnie dostałem korektę artykułu na 27 grudnia – zbyt późno, dodam, by móc wprowadzić jakieś poprawki. Czy mogę zapytać, czemu redaktor (zakładam, że to Ian Croft) uznał, że należy usunąć słowo „słonawą” ze zwrotu „smętną słonawą fałdkę”? Chyba nie muszę pisać, że bez przymiotnika całe zdanie traci na ostrości. Boli mnie, że muszę tłumaczyć, że połączyłem „słonawy” z „fałdką” dokładnie dlatego, że w parze posiadają podwójne znaczenie (odnoszące się do żeńskich narządów płciowych). „Smętna fałdka” jest pozbawiona tego znaczenia i przez to mało wyrazista.

Ciężko pracuję, by pisać prozę, którą ludzie będą chcieli czytać i do niej wracać, i nie podoba mi się, gdy ktoś przy tym majstruje. Jeśli koniecznie chcesz skrócić artykuł, to proszę, napisz do mnie, a ja z radością zrobię to sam. Wkurza mnie, Sarah, gdy moje teksty okrawają redaktorzy-analfabeci. W tym przypadku, bez wątplenia, ktoś postanowił, że jako „słonawe” można opisać tylko morze albo płyn do soczewek kontaktowych. Dlatego powinno im się pozwalać wstawiać lub usuwać tylko pauzy.

Wiem, uznasz, że się czepiam. Ale chyba wszyscy zapominacie, że na początku artykułu widnieje MOJE nazwisko. Odpowiedzialność spoczywa na moich barkach, jak mógłby powiedzieć nasz drogi Barak.

Wesołych świąt,

Andrew

PS Nie zachwyca mnie też kiczowate wprowadzenie. Może coś

o kwarantannie?

Nacisnął „Wyślij” i czekał, by poczuć się lepiej. Przez cały ranek był podenerwowany po koszmarnym śnie, w którym Jesse Robinson jako snajper w przebraniu Świętego Mikołaja zakradał się przez komin i zabijał Phoebe. To niedorzeczne, ale wynikający z tego lęk był jak najbardziej prawdziwy. Spoglądając na kalendarz na biurku, przypomniał sobie, że dziś są urodziny Jessego, jak wspomniała w liście Leila Deeba. List – strych! Wszystkie są na górze i przeglądają szpargały. Cholera.

Wbiegł na schody. Musiał się dostać do neseseru, zanim zrobi to Emma albo któraś z córek. Tupiąc na ostatnich wąskich stopniach, usłyszał, że są w największym pokoju. Gdy wpadł do środka, zobaczył, że córki skrzęcają się ze śmiechu. Widok był tak nieoczekiwany, że na chwilę odwrócił jego uwagę. A potem zobaczył Emmę, która trzymała jego neseser i zgrabnie otwierała zamki.

Emma

Strych, Weyfield Hall, 11.00

Emma uwielbiała Boxing Day. Przygotowania do Bożego Narodzenia były oczywiście bardzo przyjemne i radosne, ale zawsze z ulgą opadała na fotel 26 grudnia. W tym dniu wszyscy mogli się obijać, czytać książki i zajadać resztkami. Smuciło ją, że Andrew nigdy nie cieszył się tym dniem tak jak ona. W roku, w którym urodziła się Phoebe, wyjechał do Bejrutu dzień po Bożym Narodzeniu. Przed wyjazdem na lotnisko strasznie się pokłócili, a ona uspokoiła Olivię płatkami, żeby mogła sama płakać w spokoju w poduszkę. Pamiętała, jak wściekała się w rozmowie z Nicolą, że wszystko spada na nią i że Andrew nie interesował się wcale prezentami dla Olivii, a Nicola powiedziała, że być może czuje się „porzucona” (to wtedy rozpoczęła kurs terapii dla par).

Spoglądając wstecz, doszła do wniosku, że powodem wszystkiego była nieuleczalna nerwowość Andrew – i poczucie skrępowania, jakie towarzyszyło mu w Weyfield. Już się tak nie kłócili. Na pewnym etapie przyjęła do wiadomości, że nie wygra, i krzyki ustały, razem z pocałunkami i godzeniem się, trzymaniem się za ręce i rozmowami w łóżku. Nadal jednak mieli kilka swoich prywatnych żartów, zawsze wymyślanych przez Andrew, nierzadko kosztem innych. Ale kiedy wspomniała o tym Nicoli, licząc na aprobatę, przyjaciółka oświadczyła, że humor jest mechanizmem obronnym – sposobem, by trzymać emocje na wyciągnięcie ręki. Emma obawiała się, że Nicola ma rację. Lekceważący ton Andrew tylko pogłębiał dzielącą ich przepaść. Nawet członkinie klubu książki wiedziały o jej codziennych troskach więcej niż mąż.

Obudziła się bardziej zmęczona niż zwykle. Modliła się, by nie miało to nic wspólnego z guzem, lecz wiedziała, że niemal na pewno ma. Doktor Singer zaklasyfikował ją jako „asymptomatyczną” i trzymała się tego terminu jak boi na wzburzonym morzu. Może i miała raka, ale nie czuła się, jakby go miała. Nawet nie wyglądała na chorą na raka. Choć podejrzewała, że wygląd charakterystyczny dla nowotworów pojawia się później, po rozpoczęciu chemioterapii. Długo leżała w łóżku, walcząc ze zmęczeniem, które umiejscowiło się za kolanami i łopatkami, i w końcu wstała. Jeśli rozsiądzie się w fotelu, może tam zostać na całą wieczność, więc zagnała dziewczęta na strych. Od dawna marzyła o porządkach, bo obie córki wykorzystywały Weyfield jako nieoficjalny magazyn rzeczy nieużywanych. Cieszyła się bardzo, że się na to zdecydowała – choć stale coś odwracało ich uwagę. Phoebe i Olivia śmiały się razem. Uświadomiła sobie, że nie widziała ich takich od lat. Patrzyła, jak zanoszą się od śmiechu nad jakimś pudełkiem ze skarbami i oczy zaszyły jej łzami. Kiedy umrze i będą musiały same się sobą zająć,

muszą być dla siebie rodziną. Miała nadzieję, że o tym wiedzą. A jeśli to jej ostatnie święta?

Z zamyślenia wyrwały ją kroki na schodach i wpadający do środka Andrew.

– Emmo! – warknął.

– Co? Co się stało?

– Nic, chciałem tylko... Napiałabyś się kawy? Miałem właśnie zaparzyć – powiedział zdyszany. – To moje? – zapytał, spoglądając na stary nesoser.

– Tak. Chyba już go nie potrzebujesz?

– Nie mogę go wyrzucić! Teraz to już zabytek. Jezu, pomyśleć tylko, że takie nosiliśmy! – powiedział, wyrywając jej nesoser z rąk. – Teraz mamy te okropne iPady. – Wstał i przycisnął nesoser do piersi.

– Miałam sprawdzić, czy coś jest w środku.

– Nic nie ma. Pamiętam, że go opróżniłem, gdy go tu wyniosłaś. To była pamiętna chwila. Ten nesoser był ze mną wszędzie.

Więc nadal mi nie wybaczył, pomyślała, gdy Andrew wyszedł do bocznego pomieszczenia z cennym nesoserem. Przykucnęła przy pudełku ze starymi akcesoriami kuchennymi, lecz nie mogła się skupić.

Kiedy Andrew w 1987 roku zrezygnował z pracy w Bejrucie i traktował ją tak opryskliwie, obwiniała o to macierzyństwo. Przeszkadzało mu, że zmieniły się jej priorytety. Ale teraz widziała, że najbardziej złościły go jej nalegania, by wrócił do domu. Z przykrością myślała, że po tych wszystkich latach jeszcze się z tym nie pogodził. Miała mu za złe, że widzi w niej smutasa psującego zabawę – tym bardziej że zrezygnowała z własnej kariery, gdy urodziła się Olivia. A mogła odnieść spory sukces w cateringu. Marzyła o własnej firmie, Potrawy Emmy, albo po prostu: U Emmy. Nie ona ponosiła winę, że jako felietonista Andrew nie był powszechnie znany.

Andrew

Strych, Weyfield Hall, 11.15

Przyciskając neseser do piersi, Andrew siedział na szkolnym kufrze Emmy na poddaszu, gdzie ukrył się w piątek. Drżącymi palcami otworzył zamki i wsunął list Leili do kieszonki na piersi – przysięgając w duchu, że spali go jutro w ognisku. Dzięki Bogu, że wszedł na strych w samą porę.

Czekając, by puls się uspokoił, zauważył stos starych numerów „Timesa” w pudełku przy nogach. Na pierwszej stronie leżącego na górze widniało jego nazwisko – był to raport z 1985 roku o Hez-bollahu i kryzysie, który nastąpił po porwaniu Aleca Colletta. Przeczytał go łapczywie i inne pod spodem też. O tym powinien pisać nadal, a nie rozwodzić się nad kartami dań. Tyle wiedział w tamtych czasach, tak bardzo zależało mu na opublikowaniu prawdy, by ludzie ją przeczytali i zrozumieli. Idealizm młodości, pomyślał. Skończył czytać ostatni artykuł i poszukał głębiej. Na samym dnie leżał stosik listów w staromodnych niebieskich kopertach poczty lotniczej. Na niektórych widniało jego pismo, na innych Emmy.

Otworzył jeden ze swoich listów:

4 kwietnia 1981

Brązowooka Dziewczyno!

Piszę ten list z obozu, w którym siedzimy od czterdziestu ośmiu godzin. W porównaniu z nim nasz obskurny hotel wydaje się luksusowy. Od dwóch dni racjonują nam jedzenie – dostajemy tylko krakersy, gorącą wodę i liofilizowane posiłki dla kosmonautów. Powinienem pisać artykuł o mudzahedinach, ale myślę tylko o Tobie. To beznadziejna sprawa – nawet kiedy wydawca mnie pogania, myślę tylko, jak bardzo pragnę Cię przytulić, całować Twoją smukłą szyję, czuć, że jesteś obok mnie. Chcę Cię dotykać, zawsze. Tak bardzo za Tobą tęsknię, Emmo. I chcę się Tobą chwalić. Żałuję, że napisałem ten artykuł o Buntym i musimy się ukrywać. Miałaś rację, powinniśmy byli powiedzieć Twoim rodzicom od razu. Teraz jeszcze bardziej wszystko skomplikowałem. Co myślisz o pomysle ze ślubem Diany i Karola? Moglibyśmy zacząć na nowo, nie musieliby wiedzieć o zeszłym roku. Zaczekasz na mnie, prawda? Dręczą mnie koszmary, że wychodzisz za mąż za jakiegoś obleśnego baroneta, którego zaaprobowali Twoi rodzice. Nie zrobisz tego, prawda?

Przesyłam cały ocean całusów

A.

PS Twoja jasna królewska cera potrzebowałaby tu mnóstwo kremu do

opalania. Dobrze, że jesteś bezpieczna w domu w mrocznych ostępach Battersea. Nie zrezygnuję jednak z zamiaru, by przenieść Cię na północny brzeg rzeki. Pewnego dnia ujrzysz światło.

Przypomniał sobie, jak pisał ten list w obozie, w którym stacjonował krótko podczas wojny radziecko-afgańskiej. Otworzył następny, tym razem od Emmy.

10 kwietnia 1981

Najdroższy Andrew!

Uwielbiam wysyłać listy do Ciebie, to takie romantyczne i staroświeckie. I uwielbiam dostawać je od Ciebie, napisane tym Twoim pełnym zawijasów charakterem pisma – Twoje ts i ks wyglądają jak Ty, są wysokie i chude. Powinnaś się streszczać, bo za chwilę muszę zejść do kuchni (wydajemy jutro z Arabellą przyjęcie dla dzieci i zażyczyli sobie kotlety de volaille). Najpierw musiałam jednak odpisać na Twój list – czy tam jest okropnie gorąco? Naprawdę żywisz się krakersami i zupkami w proszku? To nie do zniesienia. Może wyślę Ci coś dobrego? Na co miałbyś ochotę? Nie mogę się już doczekać Twojego powrotu. Też bardzo za Tobą tęsknię. Chciałabym, żebyś mnie całował TERAZ. Ja też nie mogę skupić się na pracy. Wczoraj o mało co nie zrobiłam słonych bez i to byłaby wyłącznie Twoja wina.

Proszę, uważaj na siebie

Całuję mocno

E.

PS Zastanowię się nad tym ślubem. A może lepiej byłoby powiedzieć prawdę? Może rodzice przeboleją Bunty'ego?

PPS Nie wyjdę za mąż za baroneta. Nie znoszę baronetów, nawet jeśli nie są obłeśni.

PPS Nigdy się nie dam namówić na przeprowadzkę do Camden.

Listy mieściły się w kilku pudełkach datowanych od 1980 do 1984 roku, kiedy urodziła się Olivia i zastąpiły je nerwowe rozmowy telefoniczne. Kiedy przeczytał je wszystkie, zeszywniał mu kark i ścierpła noga. Czuł się tak, jakby wynurzył się na powierzchnię po kilku godzinach spędzonych pod wodą. Emma musiała zachować listy – nie widział ich od tamtych czasów, choć wyraźnie pamiętał, jak je pisał w dręczącym upale, i z jakim podnieceniem otwierał niebieskie koperty od Emmy. Dlaczego więc teraz czuł się tak, jakby czytał o dwojgu obcych ludziach?

Phoebe

Kuchnia, Weyfield Hall, 17.00

Jak miło było znów śmiać się z Olivią. Pamiętała, jak chichotały w dzieciństwie. Ale ich żarciki ustały, kiedy Olivia wyrosła i wyszczuplała. Phoebe nie była pewna, jak dokładnie to się stało, lecz pamiętała, że z każdymi urodzinami siostra stawała się coraz poważniejsza. Nawet w wieku czternastu lat wkurzała się z powodu zmian klimatu, a jej śmiech zaczął brzmieć jak zardzewiała, rzadko używana maszyna – zaskakując tym wszystkich, także samą Olivię. Wspomnienia Phoebe dotyczące czasów nastoletnich to jedno pasmo wybryków – głównie w ostatnich ławkach podczas lekcji, gdzie rozwalala się razem z Saskią i Larą. Teraz już tyle się nie śmiała. Pewnie dlatego, że jest dorosła.

Sortowały rzeczy jeszcze po obiedzie, nie rozmawiając przy tym zbyt wiele; od czasu do czasu pokazywały sobie tylko coś zabawnego, co znów wywoływało wybuch śmiechu. Dzięki temu mogła z ulgą oderwać się od myśli o chłoniaku nieziarnicznym. George miał rację – nie było sensu się martwić, gdy nic nie mogła zrobić. W południe przyszedł na strych i skonsternowany stał w drzwiach, dopóki nie zapewniła go, że nie jest tu potrzebny. Nie była pewna, czy chce, żeby usłyszał taśmę z Sugar 'n' Spice albo zobaczył jej zdjęcia ze szkoły z mocno kręconymi włosami. Nie do końca pasowały do odmalowywanego przez nią obrazu nastolatki jako szalonej dziewczyny (mimo to koncept ten był, co niezrozumiałe, egzotyczny). Kiedy niebo za oknem mansardowym zrobiło się żółte, zeszły na dół, pozostawiając na podłodze sporą kupkę rzeczy do spalenia w ognisku.

Phoebe miała nadzieję, że Olivia posiedzi z nią w kuchni. Jednak kiedy stanęły na szczycie schodów na tyłach, siostra oświadczyła, że najpierw musi zmierzyć temperaturę. Phoebe zaparzyła dzbanek jaśminowej herbaty i wyjęła z pudełka trzy lepkie daktyle. Dodała diadem vintage do tablicy pamięci. Łatwiej byłoby zrobić wszystko na Pinterescie, ale widok starych kolaży i rysunków na strychu przypominał jej, jak bardzo lubiła zajęcia plastyczne. Plastyka była jedynym przedmiotem, w którym była dobra – a przynajmniej lepsza od Olivii.

Olivia weszła do kuchni ze zmarszczonymi brwiami. Stała przy stole i zaczęła niecierpliwie przerzucać „Financial Times Magazine”. Wyglądało na to, że nastrój ze strychu wyparował.

– Po co to kupują? – zapytała, podnosząc wzrok na Phoebe. – To nieprzyzwoite.

– Tato potrzebuje do pracy. Ja też powinnam; mam czytać wszystkie gazety. Ale nie potrafię ogarnąć tych zawiłości finansowych. Dopiero niedawno dowiedziałam się, jak się pisze FTSE 100. – To stwierdzenie zawsze rozśmieszało

ojca i George'a, ale nie ułagodziło Olivii – choć otwarcie pogardzała bankierami.

– A co „FT” ma wspólnego z programami typu reality?

Wyczuła, że Olivia chce się kłócić i, co było jeszcze bardziej irytujące, była na tę kłótnię gotowa.

– To nie tylko reality, lecz także fabuła. Nie ustawiamy tylko kamer telewizji przemysłowej, trzeba też wykazać się kreatywnością.

Olivia jakby jej nie słyszała. Patrzyła na tablicę pamięci.

– Myślałam, że wychodzisz za mąż dopiero w święta przyszłego roku.

– Tak. Ale czas szybko leci. Mnóstwo osób potrzebuje na przygotowania półtora roku albo dłużej.

– Czemu?

– Bo trzeba załatwić milion rzeczy. – Olivia na pewno o tym wiedziała. Miała przyjaciół, chodziła na śluby. A może nie? Niewiele wiedziała o życiu siostry poza pracą.

– Na przyjęcie? – Olivia wypowiedziała słowo „przyjęcie”, jakby ją brzydziło.

– Tak. Sale rezerwuje się z dużym wyprzedzeniem.

– Myślałam, że chcesz, żeby wesele odbyło się tutaj?

– Bo chcę, ale to normalne, że wesele planuje się przez rok. Nie musisz sprawiać, żebym czuła się, jakbym robiła coś strasznego! – Ostatniemu słowu towarzyszyło drżenie. Kiedy była zła, łzy zawsze były jej piętą achillesową.

– Normalne? Uważasz, że to normalne?

– Tak! Gdybyś była bardziej normalna, zrozumiałabyś.

– Przykro mi, że dla ciebie nie jestem dość „normalna” – odparła Olivia. Ukroiła nierówny kawałek babki i wyszła, mruczając pod nosem: – Tak między nami, ten dom nie jest normalny.

– Nie chodziło mi o ten dom! – krzyknęła za nią Phoebe. – Chodziło mi o PLANOWANIE WESELA. – Wykrzyczane słowa zabrzmiały tak głupio, że ucieszył ją brak reakcji Olivii.

– Hola! Teren czysty? – zapytał George, wychodząc ze spiżarni z talerzem sera Stilton i krakersami Bath Oliver. Wzdrygnęła się, nie wiedziała, że on tam jest.

– Przepraszam za to – powiedziała, opierając brodę na stole i podnosząc na niego wzrok. – Ona potrafi być taka dziwna.

Usiadł obok niej. Kiedy rozłożył łokcie na stole, zajmował połowę blatu.

– Brzmiało dość ostro – powiedział z pełnymi ustami.

– Przed chwilą świetnie się bawiliśmy na strychu. Masz szczęście, że jesteś tak blisko z Mattem i Tommo. My z Liv bardzo się różnimy. Wygląda na to, że łączy nas tylko dzieciństwo.

– To przez klaustrofobię. Za długo tu siedzicie – powiedział. Sięgnął po jej dłoń i pocałował, zostawiając na knykciu okruszek stiltona. Od kiedy pojawił się

wczoraj, był niezwykle czuły. Uprawiali seks dziś rano i wczoraj wieczorem, co było niesłychane. George nie pragnął seksu tak bardzo, jak jej byli. Ale jak powiedziała Saskii, kiedy raz o tym rozmawiały, w seksie chodzi przecież o jakość, nie o ilość.

Saskia dopytywała się o jakość. Phoebe odparła, że „nie może się skarżyć”. Co nie było do końca kłamstwem, ale zabrzmiało lepiej niż w rzeczywistości.

– Musisz stąd wyjść, mała. Dziś wieczorem jest impreza u Charliego Ingrama – powiedział George. – To niedaleko, w Glandford. Moglibyśmy pójść piechotą.

– Skarbie! Mamy kwarantannę.

– Daj spokój. Naprawdę? Mówiłaś przecież, że to przesada.

– Wiem. Ale nie możemy tak po prostu wyjść. Olivia dostanie szafu.

– Czemu nie? Poważnie, nie kapuję, jak to działa. Przecież przeszła przez całe ogromne lotnisko, a potem przyjechała tutaj.

– Zgoda, ale to było nieuniknione. Jakoś musiała dostać się do domu.

– Ale gdyby naprawdę stanowiła zagrożenie dla zdrowia publicznego, wsadziliby ją do kwarantanny w Liberii. – Nachylił się, patrząc na nią intensywnie i bawiąc się jej lewą dłonią. Sygnet błyszczał na jego małym palcu. Ojciec kazał je zrobić dla wszystkich synów dziesięć lat temu.

– Chyba tak. Ale...

– Ale co? Twoja siostra na pewno nie ma wirusa. W czym więc problem? Czemu mamy poddawać się kwarantannie, jeśli nikt nie jest chory?

– A nie chodzi o okres inkubacji?

– Pieprzyć to. Muszę się stąd wydostać. Twoja rodzina mnie przytłacza.

– No to idź. – Jak mógł się wypowiadać na temat jej rodziny, skoro ona nigdy nie krytykowała Marsham-Smithów? Przynajmniej nie w jego obecności.

– Nie mogę iść bez ciebie! Chcę, żeby wszyscy zobaczyli moją olśniewającą narzeczoną. Prooooozę. – Otworzył szeroko jasne oczy, tak że wyglądał jak na negatywie zdjęcia.

– Może – odparła, ale już czuła, że ulega. Miała ochotę poflirtować i upić się, zapomnieć o raku. Andrew zawsze mówił, że imprezy są dla niej jak tlen.

– No... Uciekniesz ze mną? – zapytał.

– Może gdybym powiedziała, że będziemy spać w bungalowie, niczego by nie odkryli.

– Genialnie! Powiem Chingersowi – rzucił, wstając.

Myśl o naruszeniu zasad narzuconych przez Olivię była zbyt kusząca. Będzie miała za swoje za to, że jest taką suką.

Spojrzała w lustro w ciemnej łazience w bungalowie. Zostawiła liścik na stole w kuchni: *Jemy z George'em kolację w bungalowie. Zostaniemy tam na noc, mamy pościel itd. Całuję, P.*

Była na dziewięćdziesiąt procent pewna, że nikomu nie przyjdzie do głowy, by im przeszkadzać, gdy zasugerowała gorącą randkę. Ułożyła włosy na szczotce (przy suszarce z Weyfield dawało marny efekt, ale zawsze lepsze niż nic) i w sukience czuła się, jakby zmieniła się z poczwarki w motyla. Spotkała przyjaciela George'a Charliego Ingrama *alias* Chingersa tylko kilka razy i uznała, że jest okropny, ale był wtedy zalany w trupa. Wszystkie pozostałe dziewczęta na przyjęciu będą podobne do Camilli i Myszki – blondynki po szkołach z internatem i tak dalej. Pewnie już kiedyś je poznała i zdążyła zapomnieć.

Gdy wyszła z łazienki, George palił skręta. Obrzucił ją pełnym uznania spojrzeniem.

– Prezent od Matta – zapiszczał, pokazując skręta. Przytrzymał go dla niej.

Nie miała ochoty – trawka zawsze ją usypiała. Ale odmowa zniszczyłaby konspiracyjny nastrój wieczoru. Usiadła obok George'a, wdychając jego „wyjściowy” zapach Chanel Egoiste i żując gumę. Trzy płytkie sztachnięcia poszły jej prosto do głowy. Kiedy przez wyrwę w żywopłocie wyszli na drogę (to było bezpieczniejsze niż przejście podjazdem), chichotali jak nastolatki. George, zgięty wpół w ciemnościach, o mało się nie potknął, co wywołało jeszcze większy wybuch śmiechu. Już na drodze wyprostował się i zawołał:

– Wolnoooooość! Tak!

– Byłeś tu tylko dwadzieścia cztery godziny, dupku!

– Najdłuższe dwadzieścia cztery godziny w moim życiu – powiedział, odsuwając się od niej i śpiewając „Freedom” George'a Michaela.

– Hej, zaczekaj! Jestem w szpilkach! – Drobiła za nim, ciesząc się z chłodu nocnego powietrza na twarzy i podniecenia płynącego z ryzykownej wyprawy.

Kiedy zbliżyła się do George'a, usłyszała mijający ich ze świstem rower. Zatrzymał się z piskiem. Z roweru zsiadła Olivia. Była tak wściekła, że Phoebe znów wybuchnęła śmiechem.

– Śledziłaś nas! Nie mogę uwierzyć, że naprawdę nas śledziłaś.

– Phoebe! Co ty wyprawiasz?

– Ups – odparła, próbując powstrzymać uśmiezek.

– Zabawne, prawda?

– Hej, wyluzuj – powiedział George. – Wyszliśmy tylko na spacer. Nie mieliśmy zamiaru nikogo zarazić tym twoim śmiertelnym wirusem.

– Racja. W szpilkach – odparła Olivia, spoglądając na stopy Phoebe.

– Przebraliśmy się do ko... – zaczęła, lecz znów zaczęła chichotać na myśl o kolacji w strojach wieczorowych w bungalowie. Śmiech zaczął ogarniać całe jej ciało, wywołując ból w piersi i na twarzy, aż nie pamiętała już, czemu się tak śmieje, i starała się tylko nie posikać.

– Jesteś pijana – rzuciła z obrzydzeniem Olivia.

– Nie. Nie jestem pijana. Ja... my... – zaczęła, lecz ugryzła się w język,

zanim wyznała Olivii, że palili trawkę. Udało jej się przestać śmiać, ale z trudem utrzymywała się na nogach.

Olivia była wściekła.

– Do kurwy nędzy, Phoebe. Kiedy wreszcie się opamiętasz? Nie możesz przerywać kwarantanny tylko dlatego, że masz na to ochotę. To tylko tydzień, na miłość boską! Nie możesz przez tydzień pomyśleć o innych?

– O kim?

– O wszystkich! Wszystkich poza tobą i twoim chłopakiem – powiedziała Olivia, pierwszy raz spoglądając na George'a. – To kwestia zdrowia publicznego. Nawet nie powinno nas tu być. A ty na pewno nie powinnaś iść tam, dokąd się wybierasz.

– To jakim cudem widziałem waszego tatę w Wigilię? – zapytał George.

– Co? – zapytały chórem.

– Andrew szedł na plażę. Przedwczoraj. Rozmawialiśmy.

– Tato! Nic nie powiedział – rzuciła Phoebe.

– O mój Boże – powiedziała Olivia, dramatycznym gestem przykładając dłoń do czoła. – Ta cała rodzina jest tak... tak cholernie egoistyczna. Co z wami jest nie tak?

– My jesteśmy egoistyczni? – Teraz, kiedy wesołość wyparowała, Phoebe rozjaśniło się w głowie i była wściekła. Za kogo Olivia się uważa, żeby ich krytykować?

– Tak! Fakt, że nawet nie potraficie niczego zrozumieć, mówi wszystko. Jesteście totalnie pochłoniętą sobą zgrają egoistów!

– My? Tylko dlatego, że jeździsz na misje, nie jesteś Matką Teresą. Masz takiego bzika na punkcie Trzeciego Świata, że nawet nie zauważasz, co się dzieje w twojej rodzinie.

– O co ci chodzi? Co się dzieje?

– Mamusia ma raka! Gdybyś była dobrym lekarzem, zauważyłabyś.

Wiedziała, że posunęła się za daleko. Ale nie mogła się oprzeć, by wstrząsnąć Olivią i zamknąć jej usta.

– Co? Jakiego raka? Od kiedy?

– Panie, zostawię was same – powiedział George. Odwrócił się i zaczął oddalać.

– Zaczekaj! Dokąd idziesz? – zapytała Phoebe.

– Wracam do Weyfield. Nie mogę stwarzać zagrożenia dla „zdrowia publicznego”! – odkrzyknął, nawet się nie odwracając.

Olivia spojrzała ze złością w jego stronę.

– Mama ma raka? – zapytała raz jeszcze.

– Tak. Chłoniaka niezier... nieziar... – Nawet nie pamiętała, jak się to nazywa.

– Nieziarniczego? – zapytała Olivia.

– Tak. Dowiedziała się tuż przed świętami. W nowym roku musi się poddać chemioterapii.

– Cholera. Które stadium?

– Co? Nie wiem, nic o tym nie wspominała. Powiedziała tylko, że jeszcze będzie robić badania.

– Czemu nam nie powiedziała?

– Nie chciała zrujnować świąt. Żebyśmy się nie martwili. Powiedziała, że to się da wyleczyć. – Głos zaczął jej drżeć. – Ma naprawdę dobrego prywatnego lekarza.

– Jest okej – powiedziała Olivia, obejmując ją ramieniem; drugą ręką przytrzymała rower. Phoebe czuła się dziwnie z głową na wysokości szyi Olivii.

– Te chłoniaki mają dobre prognozy. U jakiego lekarza się leczy?

– Nie wiem, nie pytałam. – Miała nadzieję, że Olivia nie zacznie narzekać na prywatną służbę zdrowia.

– Ale czy ten lekarz nie zalecił jej... Chodzi mi o to, że przebywanie ze mną może być dla niej niebezpieczne. – Olivia wyglądała na przerażoną.

Phoebe uświadomiła sobie, że od lat nie słyszała takiej niepewności w głosie siostry.

– Naprawdę? Nic o tym nie mówiła. Założę się, że nic nie powiedziała tacie. Była taka podekscytowana, że wracasz do domu, że wszyscy będziemy razem. Nigdy nie wracałaś do domu na Boże Narodzenie.

Olivia milczała. Phoebe miała nadzieję, że wzbudziła w niej wyrzuty sumienia. Powinna się czuć winna. Wszyscy wracali do domu na święta. Tak się po prostu robiło.

W ciszy ruszyły w stronę domu. Olivia nie wyłączyła lampy przy rowerze. Jej promień, oświetlający drogę przed nimi, sprawiał, że las po obu stronach wydawał się jeszcze gęstszy i ciemniejszy.

– Liv?

– Tak?

– Nie mów mamie, że ci powiedziałam, dobrze? Nie chciała, żebym komukolwiek mówiła. Nie powiedziała nawet tacie.

– Naprawdę? To czemu powiedziała tobie?

– Chyba potrzebowała ramienia, żeby się wypłakać. Powiedziała tylko mnie i Nicoli.

– Nicoli?

– Twojej matce chrzestnej.

– A racja. Tej Nicoli.

– A jakiej innej? – Znów poczuła, że ogarnia ją gniew. – Jak możesz nie wiedzieć, kto jest twoją matką chrzestną? Kim są przyjaciele mamy? Zupełnie

jakbyś była dumna z tego, że jesteś beznadziejna. To niegrzeczne.

– Phoeb, możesz mnie oszczędzić? Nie można sobie wybierać, kiedy się odbędzie kwarantannę, ale wcale cię nie krytykuję.

– Krytykujesz! Właśnie to robisz. Śledziłaś nas! Bo nie masz nic innego do roboty poza szpiegowaniem mnie i George’a. – Phoebe przypomniała sobie o przyjęciu. I tak nie miała już na nie ochoty. Buty strasznie ją uwierały. Ale mimo wszystko.

– Uwierz mi, mam lepsze rzeczy do roboty niż śledzenie ciebie i twojego chłopaka.

– Narzeczonego.

– Jezu. Przepraszam, jak mogłam zapomnieć, że wychodzisz za męża?

– Fakt, że nie obchodzą cię takie rzeczy, nie oznacza, że mnie mają nie obchodzić. Większość dziewczyn, ludzi, chce wziąć ślub. To nie jest nic dziwnego.

– Racja. Za nic nie chciałam zasugerować, że jesteś dziwna.

Phoebe nie przyszła do głowy żadna kąśliwa uwaga, więc milczała. Tak zawsze kończyły się ich kłótnie w dzieciństwie: Olivia miała ostatnie słowo, a ona stała, otwierając i zamykając usta jak wściekła ryba, by na koniec krzyknąć: „Nienawidzę cię!”.

Przez chwilę szły w milczeniu.

– Wiesz, kiedy mama zamierza o tym porozmawiać? – zapytała w końcu Olivia.

– Kiedy skończy się twoja kwarantanna.

– To nie jest tylko moja kwarantanna.

Już miała zaprzeczyć, kiedy wysoki obcas buta wykrzywił się na zamrożonej ziemi. Chwyciła Olivię za rękaw, by uchronić się przed upadkiem, lecz kostka wykrzywiła się pod jej ciężarem. Poczowała, jak w środku coś chrupnęło.

– Au, au, au. Cholera. Auć – powiedziała, przywierając do ramienia Olivii i unosząc bezwładnie nogę. Cała stopa pulsowała, ból rozlewał się po kostce jak ukrop. Phoebe poczuła, że lekko kręci się jej w głowie, nie wiedziała, czy z bólu, czy po wypaleniu trawki, a może z obu powodów.

– Przytrzymaj się tego – powiedziała Olivia, odwracając kierownicę w jej stronę. Przykucnęła, by obejrzeć stopę w świetle lampy. – Możesz na niej stanąć?

Phoebe dotknęła ziemi palcem u nogi i skrzywiła się, gdy ból ogarnął też łydkę.

– Nie! Jest złamana! Złamałam kostkę!

– To pewnie tylko skręcenie. Potrafi nieźle boleć. Zdejmij buty – powiedziała Olivia, podtrzymując siostrę ramieniem.

– Nie mogę. Nie mogę iść. Strasznie mnie boli. – Sięgnęła w dół, by dotknąć stopy, która była już spuchnięta i obolała.

– Okej, pojedziemy obie na rowerze. Siadaj z przodu.

Powoli zaczęły jechać w stronę domu, Phoebe odsunęła kolana od kół, Olivia pedałowiała z tyłu.

Kiedy dotarły do bungalowu i znalazły kostki lodu w prehistorycznej lodówce, nie widziały sensu kontynuowania kłótni.

– Przepraszam za wcześniej – powiedziała Phoebe.

– Nie ma sprawy – odparła szorstko Olivia. – Będziesz tu spała? Może i lepiej, bo nie ma schodów.

– Racja. Czy rodzice wiedzą, że pojechałaś za nami?

– Nie powiedziałam im, że wyszliście. Nie widzieli mnie.

– Super. Jeśli ich teraz zobaczysz, powiedz, że siedziałaś tu ze mną i George'em.

Olivia nie wyglądała na przekonaną, ale się zgodziła.

– A jutro powiemy, że pośliznęłam się w ogrodzie, dobra?

– Dobrze. Trzymaj nogę w górze.

Jakie to dla niej typowe, że mnie nie przeprosiła, pomyślała Phoebe. To tyle, jeśli chodzi o siostrzaną więź ze strychu. Pokuśtykała do sypialni. George leżał już z twarzą ukrytą w poduszce i chrapał.

Jesse

Pokój 17, hotel Harbour, Blakenham, 23.55

To były koszmarnie urodziny. Chyba jeszcze gorsze niż pierwszy dzień świąt. Rano Jesse poszedł pobiegać, mając cień nadziei, że spotka George'a. Po południu pojechał taksówką do słynnego miasteczka o nazwie Cromer i spacerował po nim przez godzinę, sprawdzając pocztę za każdym razem, gdy tylko miał zasięg. Nadal zero odpowiedzi od Andrew. Poszedł do pustej kafejki na molo i zamówił kubek czarnej herbaty (czy oni mają tu bzika na punkcie herbaty z mlekiem?) i twardą babeczkę; był zbyt głodny, by się powstrzymać od jedzenia przetworzonych węglowodanów. Potem stał całe wieki na kamienistej plaży, patrząc, jak mewy lotem nurkowym wpadają w czarne morze. Poszedł do kina i obejrzał okropny świąteczny hit, jedynie w towarzystwie podejrzanego mężczyzny w parce. Gdy przyjechał do Norfolk, kino Regal bawiło go: te malutkie ekrany i reklamy lokalnych budek z rybami i frytkami. Teraz tylko go to przygnębiało, bo wszystko wyglądało, jakby miało trzydzieści lat. Nawet nie wyjął kamery z torby. Nie było sensu.

Po powrocie do hotelu zaczął się pakować. Pociąg odjeżdżał dopiero późnym rankiem, ale musiał zrobić coś praktycznego. Przez cały dzień rozważał myśl, czy nie wrócić do Weyfield. Ale co miałby powiedzieć, gdyby łaskawie mu otworzono? „O, cześć! Jestem twoim prostackim bękartem i zjawiam się bez zaproszenia!” Tyle tylko... Jeśli tam nie pójdzie, co wtedy? Czy naprawdę się podda, poleci do domu i będzie udawał, że nigdy go tu nie było? Dopisze tę podróż do listy życiowych doświadczeń jako „Najbardziej parszywe wakacje w życiu”? Pomyśleć tylko, że wyobrażał sobie, że nakręci przełomowy dokument o swojej podróży. Przez cały czas prawie nic nie sfilmował, zrobił tylko kilka ujęć plaży. Kamera była niepotrzebnym ciężarem, który musiał dźwigać, a nic się nie wydarzyło. Nic z wyjątkiem George'a. Myśląc o tym, czuł się obrzydliwie. Facet był zaręczony – cała ta afera była wstrętna, nie w jego stylu. Przynajmniej nie wyszli poza całowanie.

Napisał e-mail do Dany: *Nie mam zasięgu. Połącz się ze mną jak najszybciej na Skypie.* To powinno przemówić do jej poczucia dramatyzmu. Zbliżała się północ, a to oznaczało, że w sieci pojawi się cotygodniowa recenzja Andrew. Jesse skulił się na łóżku, niepewny, czy w ogóle chce ją czytać, po czym wszedł na stronę „The World”. Nagłówek nowego felietonu Andrew zamieszczono na głównej stronie.

NAJPIĘKNIEJSZY CZAS W ROKU (HO HO)

Szefowie kuchni, możecie się wypchać ze swoim alternatywnym indykiem.

W święta najważniejsi są bliscy, pisze Andrew Birch przed tygodniem spędzonym z rodziną w Norfolk.

Kiedy miał kliknąć na „czytaj więcej” w rogu ekranu pojawił się numer Dany i jej zdjęcie profilowe. Odpowiedział i znów zaczęli roztrząsać jego dylemat.

– Teraz nie mam pojęcia, co robić – zakończył. – Nie chcę tak po prostu wyjechać, nie próbując jeszcze raz. Ale kiedy wczoraj poszedłem do tego domu... Sam nie wiem, nie mam już siły. Nie dlatego, że nie odpisał. Potrzebuję pewności. Chciałbym to wszystko odkreślić grubą kreską.

– Jasne. Rozumiem – odparła Dana. Był wdzięczny, że nie rzuciła: „A nie mówiłam”, choć wiedział, że właśnie tak pomyślała.

– Nie mogę wysłać kolejnego mejla. I nigdzie nie mogę znaleźć numeru domu.

– A co powiesz na list? Mógłbyś go dostarczyć jutro osobiście. Wiesz, że ktoś tam jest. Napisz na kopercie „wiadomość prywatna” i „proszę przekazać Andrew Birchowi” albo coś w tym stylu. W ten sposób będziesz wiedział, że go dostanie, a dodatkowo...

Ekran pociemniał, głos Dany się załamał.

– Dana, połączenie się rwie – powiedział, lecz twarz siostry zastąpiła na ekranie informacja o błędzie. Wi-fi padło. Znowu. Pieprzyć to miejsce, pomyślał. Czemu w Norfolk nic nie działa?

Może sugestia Dany nie była taka zła. List niósł ze sobą pewien ciężar. Mógłby go dostarczyć jutro rano, przed odjazdem pociągu. Poza tym nagłówek felietonu Andrew był jak znak. Nadal widział go na stronie głównej „The World”, choć nie miał dostępu do reszty. Przeczytał go raz jeszcze. Wyglądało na to, że Andrew rzeczywiście jest tutaj, w Norfolk. Jego ton nie był tak uszczypliwy jak zawsze. „W święta najważniejsi są bliscy”. To chyba znak od losu. Wziął kartkę hotelowego papieru i zaczął pisać.

6

27 grudnia

Piąty dzień kwarantanny

Olivia

Pokój Wierzbowy, Weyfield Hall, 7.00

Olivia leżała w ciemności z kolanami podciągniętymi do piersi. Prawie nie spała tej nocy. Kłótnia z zeszłego wieczoru brzęczała jej w głowie jak uwięziona osa. Zwykle po starciach z Phoebe czuła, że miała słuszość, lecz wczoraj poczuła się zaskoczona. Raz po raz wracały do niej słowa siostry: „Gdybyś była dobrym lekarzem, zauważyłabyś”. Jednak Emma nie wyglądała inaczej niż zwykle. Była rozgorączkowana, ale zawsze tak się zachowywała. Mimo wszystko Olivia była wstrząśnięta. Matka nigdy nie chorowała.

Na dodatek ostatni wpis na blogu zebrał wiele złośliwych komentarzy. Zobaczyła je, gdy mierzyła wczoraj temperaturę po zejściu ze strychu. Teraz żałowała, że wyładowała się na ślubnym kolażu Phoebe. Siostra najwyraźniej chciała się od tego wszystkiego oderwać i była w stanie zajmować się tylko wyborem diademu. Dlatego jeszcze dziwniejsze wydało się Olivii to, że Emma zwierzyła się Phoebe – ostatniej osobie, do której Olivia zwróciłaby się w kryzysowej sytuacji. Wiedziała jednak, czemu matka nie powiedziała niczego jej. Phoebe miała rację, matka bała się, że Olivia zrezygnuje z odbywania kwarantanny w Weyfield. Że kolejne święta spędzi poza domem. To nie była przyjemna myśl.

Zaburczało jej w brzuchu. A może to kac, mdłości? Jej żołądek, który zdecydowanie skurczył się w Liberii, na pewno wywraca się od nadmiaru jedzenia i picia alkoholu za dnia. No i jeszcze stres. Stres zawsze atakuje jej żołądek, pomyślała, przypominając sobie, jak wymiotowała przed egzaminami. Na wszelki wypadek zmierzyła temperaturę, choć przed godziną wynik był normalny. Wydawało się, że trwa to wieczność. Uświadomiła sobie, że wstrzymuje oddech. W końcu radośnie zamigotał wynik: 37 stopni. Widzisz? – powiedziała w duchu. Nic ci nie jest. Poświęteczny spadek formy nie jest niczym niezwykłym. Nie wpadaj w paranoję. Musisz zachować trzeźwy umysł, dla Seana.

Sygnał w radiu oznajmił wiadomości i Olivia wyciągnęła po omacku rękę, by pogłodzić. Przyzwyczała się, że przez całą noc radio nastawione jest na World Service, więc kiedy budziły ją koszmary, mogła wysłuchać kojącej prognozy pogody dla statków. Ton lektora zmienił się, sygnalizując pozytywne wiadomości.

– Poprawia się stan zdrowia Seana Coughlana, irlandzkiego lekarza, u którego stwierdzono obecność wirusa haag. Lekarze informują, że jego stan jest stabilny, pacjent siada, je i może czytać.

Zerwała iPada z ładowarki. Nagłówki brzmiały podobnie: stan Seana jest stabilny – badania na obecność wirusa nadal dają wynik pozytywny, ale wszystko

wskazuje na to, że wyzdrowieje. Ujrzała swoje odbicie w lustrze oświetlone blaskiem padającym z ekranu – uśmiechała się od ucha do ucha.

TEMAT: PRZECZYTAJ TO NAJPIERW! Nie wcześniejsze mejle!

OD: Olivia Birch <olivia.birch1984@gmail.com>

DATA: 27/12/2016 7.05

DO: Sean Coughlan <SeanKCoughlan@gmail.com>

Cześć, Pekin,

zdrowiejesz! Tak się ucieszyłam, gdy usłyszałam o tym dziś rano (nawiasem mówiąc, jesteś gorącym tematem). Wiem, że dziś tego nie przeczytasz, bo nadal będziesz w izolatce, mając do dyspozycji tylko magazyn „Heat” i inne łatwopalne lektury. Ale i tak piszę, żebyś odebrał, kiedy tylko wyjdiesz. Chcę, żeby moja wiadomość była pierwsza. Tak bardzo się o Ciebie martwiłam, kochanie. Pewnie źle to zabrzmiało, ale gdy dowiedziałam się o pozytywnym wyniku badań, uświadomiłam sobie, jak bardzo mi na Tobie zależy. To nie znaczy, że wcześniej mi nie zależało! Uff, wiedziałam, że zabrzmiało to paskudnie – w tych sprawach jestem do niczego. Nie mogę tylko uwierzyć, że cztery miesiące temu nawet nie wiedziałam o Twoim istnieniu, a teraz nie mogę przestać o Tobie myśleć.

Z góry przepraszam za mój historyczny mejl w Wigilię (jeśli postąpiłeś zgodnie z instrukcjami w nagłówku, jeszcze go nie czytałeś. Po zastanowieniu, zignoruj go całkowicie).

Jak się czujesz? Podejrzewam, że podle. Jak już wspominałam, odchodziłam tu od zmysłów, żałując, że nie mogę niczego zrobić albo po prostu być z Tobą. Poza tym nic mi nie jest, nie panikuj. Gdyby coś było nie tak, już bym wiedziała. Trzymam za to kciuki. Tak dziwnie się czułam, czytając o Tobie i słysząc Twoje nazwisko, ale nie mogłam z Tobą porozmawiać ani nikomu o nas powiedzieć. Mam nadzieję, że ty też nic nie powiedziałaś. Nie było sensu denerwować moich rodziców, potencjalnie pakować nas w bagno itp. Ale bardzo trudno było zachowywać się normalnie – albo tak normalnie, jak można się było tego po nas spodziewać po Czerwonej Strefie. Nie oznacza to, że moja rodzina cokolwiek rozumie. Nawiasem mówiąc, dzięki, że zepsułeś święta całemu narodowi. Żartuję.

Kiedy Ty zdrowiejesz, ja mam złe wieści. Okazuje się, że w zeszłym tygodniu u mojej mamy zdiagnozowano chłoniaka. Nie miałam o niczym pojęcia – siostra wyrwała się z tym wczoraj w nocy. Jej chłopak George wdarł się do nas w pierwszy dzień świąt, więc teraz mieszka tu z nami (nie jestem pewna, czy to wszystko nie zostało zaplanowane, wcale bym się nie dziwiła). W każdym razie wczoraj wieczorem oboje się wkurzyli i postanowili wyjść z domu... Wiem... Widziałam, jak wychodzą, i pojechałam za nimi na rowerze. Między mną i Phoebe wywiązała się okropna kłótnia i w jej trakcie rzuciła tę bombę.

Najwyraźniej mama nic mi nie powiedziała, bo nie chciała „zrujnować świąt”, co jest dla niej typowe. Ale oczywiście sytuacja jest daleka od ideału,

z osłabioną odpornością nie powinna przebywać ze mną pod jednym dachem, gdy mogę stanowić zagrożenie. Nie chcę nikogo straszyć, wspominając o nas, kiedy mamy przed sobą tylko dwa dni kwarantanny. Phoebe powiedziała, że mama czeka na wyniki badań, więc pewnie zaczniesz leczenie jak najszybciej. Sama nie wiem, czy mam coś mówić, ponieważ mama chce utrzymać to w tajemnicy i czuję, że powinnam to uszanować. Ale ponieważ znam tylko pokręconą wersję siostry, nie mam pojęcia, które to stadium, jak szybko się rozwija itd. Często czuję, że jako ostatnia dowiaduję się o rzeczach dotyczących mojej rodziny. Jakby to, że mam swoje życie i nie mieszkam w domu, zatrzymana w rozwoju jak Phoebe, oznaczało, że nie muszą mi nic mówić. Koniec z narzekaniem. Przepraszam, że zarzucam Cię tym wszystkim, kiedy pewnie jesteś jeszcze mało przytomny po lekach. Ale ulżyło mi, gdy ubrałam to w słowa. Twoi rodzice na pewno strasznie się martwią. Czy przynajmniej są w Londynie? Obiecuję, że przyjadę do Ciebie, kiedy tylko wyjdiesz z izolacji, a ja wyrwę się z tego domu wariatów. Nie mogę się doczekać.

Odpoczywaj. Kocham Cię.

Olivia

PS Nie jestem pewna, jak powiem o wszystkim rodzicom – pamiętacie tego Seana Coughlana z wiadomości? Bzykaliśmy się w Liberii. Szaleję za nim. Hohoho.

Wysłała e-mail i odwróciła iPada – ekran raził ją w oczy.

– Wiv! – zawołała matka z dołu. – Wstałaś już? Trzeba rozpaść ognisko, zanim lunie deszcz! Zejdź do nas! Zrobiłam jajecznicę.

Żołądek Olivii wywrócił się na myśl o ciepłych, lepkich jajkach. Ale nie mogła teraz nie zjeść wielkiego śniadania Emmy. Karmienie ich prawdopodobnie trzymało matkę przy zdrowych zmysłach.

Ognisko było świątecznym rytuałem w Weyfield. Olivia pamiętała, jak w dzieciństwie tańczyły z Phoebe wokół ognia, szalone jak Rumpelstiltskin, ale jako nastolatka wymawiała się koniecznością powtórzenia materiału do szkoły. Dziwiło ją, że pozostali członkowie rodziny nadal hołdowali tej tradycji. Mimo wszystko dobrze było się znaleźć na świeżym powietrzu. Teraz czuła się już dobrze, więc pewnie po przebudzeniu miała niższy poziom cukru we krwi. Ojciec ułożył ognisko na zwykłym miejscu na skraju sadu. Teraz szedł po opadającym łagodnie trawniku, niosąc kilka pudeł. Matka stała przy stosie gałęzi, przerzucając stare czasopisma i szkolne wypracowania ze strychu. O dziwo, na koniec nie zostało zbyt wiele do spalania.

– Bajecznie – powiedziała Emma. – To będzie prawdziwe oczyszczenie. Skarbie, nie masz do spalenia jakichś pozostałości po haag?

Najwyraźniej matka nie do końca ogarnęła pojęcie skażenia. Ale ma przecież mnóstwo na głowie, skarciła się Olivia w duchu.

– Wszystko spalono albo zdezynfekowano, kiedy byliśmy jeszcze na miejscu

– odparła.

– Oczywiście. Głuptas ze mnie. Może powinnam pójść po Phoebes – rzuciła Emma, w połowie do siebie.

Olivia starała się spojrzeć na nią lekarskim okiem. Nie zauważyła wyraźnych oznak zmęczenia, typowych dla chorych na raka, ani utraty wagi.

Andrew zbliżył się do nich chwiejnym krokiem, niemal upuszczając pudła.

– No, nieźle sobie poradziłeś! – wykrzyknęła Emma. – Nie wiedziałam, że masz tam tyle szpargałów.

– Byłem bezlitosny. To głównie śmieci z pracy. I jedna okropna próba napisania powieści. Obawiam się, że to miał być thriller. Bóg jeden wie czemu. Mówiłem ci o tym? Już nie pamiętam. W każdym razie, im mniej będzie się mówić o moich próbach beletrystycznych, tym lepiej. No to odpalamy! – powiedział i zaczął układać gałęzie w kształt wigwamu.

Olivia pomyślała o tym, jak wymknął się na spacer w Wigilię. Czasami czuła, że nie ma dla ojca żadnego szacunku. Był tak okropny jak Phoebe – oboje uwielbiali frywolność, zrobili z niej swoje zajęcie i nade wszystko cenili własną przyjemność. Fakt, że najwyraźniej nie miał pojęcia o chorobie żony, tylko potwierdzał jego groteskowe ego.

Na dróżce z bungalowu pojawiła się kuśtykająca postać w czapce z pomponem.

– George jeszcze śpi – powiedziała Phoebe, gdy zbliżyła się na tyle, by mogli ją usłyszeć.

– I dobrze – odparła matka i podbiegła, by ująć ją pod rękę. – Nikogo do niczego nie zmuszamy. Musimy się zrelaksować. Jak tam twoja biedna stopa?

Phoebe opowiedziała więc wszystkim o swojej kontuzji, pomyślała Olivia. I dobrze, bo nie chciała dla niej kłamać. Phoebe krzywiła się z bólu, gdy szła, trzymając się Emmy, a potem chwyciła Andrew. Miała na dłoniach ozdobione dżetami mitenki. Unikała wzroku Olivii. Pewnie jeszcze jej nie wybaczyła wczorajszej kłótni. Typowo dziecinne zachowanie. Zwłaszcza po tym, jak Olivia odprowadziła ją do domu, opatrzyła stopę i zgodziła się milczeć.

Andrew rzucił zapałkę na stos suchego drewna i papieru i do góry wystrzeliły trzaskające płomienie.

– Niezwykłe, że w obozie musiało nam wystarczyć szkło powiększające – powiedział.

Matka zaczęła wrzucać pudła do ognia, pokrzykując przy tym zabawnie. Phoebe zapomniała na chwilę o swojej stopie w ferworze palenia starych podręczników. Olivia cofnęła się i zaczęła oddychać przez usta, by uniknąć gryzącego zapachu. Przypominał jej o masowych kremacjach, które rząd Liberii zarządził w listopadzie. Czyżby wracały mdłości? Nie myśl o kremacjach, nakazała sobie w duchu. Sean ma się lepiej i tobie też nic nie jest. Przestań się wygłupiać.

Jesse

Podjazd, Weyfield Hall, 9.32

W świetle dnia Weyfield Hall wyglądało inaczej. Spoglądał na nie, stojąc na zakręcie podjazdu. Powietrze było ciężkie od nadciągającego deszczu, przez nisko wiszące szare chmury przebijało się blade światło. Na jego tle dom wyglądał olśniewająco. Nawet chwasty na podjeździe wydały mu się romantyczne. Wyjął list z niezaklejonej koperty i przeczytał ostatni raz.

27 grudnia 2016

Drogi Andrew,

piszę ten list, bo wierzę, że jesteś moim biologicznym ojcem. Moja zmarła biologiczna matka była Libanką i nazywała się Leila Deeba. Wydaje mi się, że spotkałeś ją w Bejrucie w 1980 roku, kiedy pracowałeś jako reporter. Matka tuż po urodzeniu oddała mnie do adopcji i wychowałem się w Iowa.

Przed Bożym Narodzeniem wysłałem do Ciebie dwa mejle. W okresie świątecznym pracowałem w Norfolk. Miałem nadzieję, że zechcesz się ze mną spotkać, ale ponieważ nie dostałem od Ciebie żadnej odpowiedzi, nie jestem pewny, czy ich nie dostałeś, czy też może wolisz nie nawiązywać kontaktu. Mam nadzieję, że w grę wchodzi pierwsza ewentualność, ale zrozumiałem, jeśli myśl o spotkaniu ze mną nie jest dla Ciebie zbyt komfortowa. Nie mam pojęcia, czy w ogóle wiedziałeś, że moja biologiczna matka była w ciąży, więc rozumiem, że ten list może okazać się wstrząsem. Jednakże ponieważ jestem w Norfolk i nie mam pewności, czy moje mejle do Ciebie dotarły, pozwalam sobie dostarczyć ten list osobiście. Mam nadzieję, że mi wybaczysz taką bezpośredniość.

Parę słów o mnie: mieszkam teraz w Los Angeles, gdzie produkuję filmy dokumentalne, głównie dotyczące zdrowia i zdrowego sposobu życia. Jestem gejem i obecnie nie jestem z nikim związany. Podobnie jak Ty lubię dobre jedzenie i podróże (zawsze czytam Twoje felietony!). Gdybyś chciał się ze mną skontaktować, podaję mój adres mejlowy: jesse.iskandar.robinson@gmail.com.

Pozdrawiam serdecznie

Jesse

Musi wystarczyć. Dziś rano tyle razy pisał i przepisywał list, że zatrzymał się w Weyfield w drodze na pociąg. Nie był pewny ostatniego akapitu, który przypominał informacje zamieszczane na portalu randkowym, ale chciał, żeby Andrew coś o nim wiedział, gdyby cała sprawa miała się na tym zakończyć. Na papier spadła kropla deszczu i Jesse szybko schował list do koperty, gdy kropel przybywało. Szedł podjazdem, czując się, jakby był nagi. W domu paliło się tylko

jedno światło, ale na podjeździe stały te same samochody co wcześniej. Być może goście zostali na noc.

Nagle niebo nad domem rozdarła błyskawica i rozległ się grzmot. Jesse był przyzwyczajony do burz w Iowa, lecz ulewa, która nadeszła, zupełnie go zaskoczyła. Przebiegł ostatnie dziesięć metrów do frontowych drzwi Weyfield, naciągnął kurtkę na głowę i wsunął kopertę do otworu na listy, patrząc w oczy lwu na kołatce. Dokonało się. Gotowe. Na chwilę schronił się na ganku. Fronton ledwo go zakrywał – deszcz zacinał ze wszystkich stron, moczając mu włosy i ubranie. Przycisnął plecy mocniej do drzwi i poczuł, jak ustępują pod jego ciężarem, tak że prawie wpadł do domu. Wyprostował się, chwytając się framugi. Wiedział, że powinien wyjść na deszcz i zatrzasnąć za sobą drzwi. List leżał na dywaniku. Jesse zrobił to, po co przyszedł. Ale coś kazało mu podnieść kopertę i rozejrzeć się po ciemnym holu.

Olivia

Sad, Weyfield Hall, 9.40

Pobiegli we czwórkę do domu, Olivia pierwsza. Deszcz różnił się od ciepłych grubych kropel z Liberii i smagał ich jak lodowate różgi. Frontowe drzwi były uchylone jak zwykle i wbiegła prosto do holu. Jej okrzyk zdumienia, gdy zobaczyła stojącego tam wysokiego mężczyznę, zabrzmiał nietypowo dziewczęco.

– Przepraszam! Przepraszam, wystraszyłem cię – powiedział z amerykańskim akcentem. Trzymał w ręce kopertę i wyglądał na jej rówieśnika. Kiedy jej oczy przywykły do światła, ujrzała jego twarz wyraźniej. Było w niej coś niepokojąco regularnego, co sprawiało, że mężczyzna nie wyglądał na prawdziwego. Miał wielkie ciemne oczy, jak w kreskówkach manga.

– Cześć – powiedział. – Czy... Jesteś Olivia?

– Tak. A kim ty jesteś?

– Czy Andrew jest w domu? Miałem nadzieję, że uda mi się z nim porozmawiać.

– Nie powinno cię tu być. Jak się tu dostałeś?

– Drzwi były tak jakby otwarte.

Już miała odpowiedzieć, gdy pojawił się ojciec. Krew odpłynęła mu z twarzy. Stali wpatrzni w siebie, jakby byli sami. Andrew otworzył usta, lecz spłynęło z nich tylko ochryple: „Ach”, gdy do holu weszła Emma.

– Jestem cała przemoczona! – zawołała, strzepując rękawy. W tej chwili zauważyła mężczyznę. – Witam! – zawołała, zdziwiona, lecz jednocześnie zachwycona, jakby się już wcześniej spotkali. – Jak się tu...?

– O cholera – mruknął mężczyzna. Ciemne brwi poszybowały w górę, a oczy przypominały reflektory. – O mój Boże, to szaleństwo. Wariactwo. Nie wiedziałem, to znaczy, nie miałem pojęcia...

– Co się dzieje? – zapytała Olivia. – Mamy kwarantannę, nie możemy...

– Ciii – przerwał jej ojciec. – To jest... – Zawahał się. – To jest...

– Jesse – dokończył mężczyzna.

– Wiem – odparł Andrew.

– Chwileczkę... zaczekaj... o mój Boże – powiedziała Emma z wyrazem konsternacji na twarzy. – Chryste, Andrew! – Spojrzała na niego błagalnie.

– Co się dzieje? – zapytała Phoebe, stając w drzwiach. – Cześć – rzuciła na widok mężczyzny i przywołała na twarz uśmiech zarezerwowany dla nieznanomych. Zdjęła czapkę i podniosła rękę, by wygładzić włosy.

– Dziewczęta, idźcie, proszę, na górę – powiedziała Emma.

– Czemu? Co się dzieje? – dopytywała się Phoebe.

– Nic. Możecie iść na górę?

Mężczyzna wyglądał na jeszcze bardziej zakłopotanego i przebiegał spojrzeniem sarnich oczu po całej czwórce.

– Nie powinno go tu być... – zaczęła znów Olivia. Czemu nikt z rodziny nie pojmuje, co oznacza kwarantanna?

– Olivio, proszę cię. Idź na górę. Wszystko wyjaśnimy – uspokoiła ją Emma. Z wyrazu twarzy matki wyczytała, że nie ma wyboru.

– Chodź – powiedziała do Phoebe.

Kiedy wchodziły na schody, obejmowała siostrę ramieniem. Nikt w holu nie odezwał się ani słowem. Gdy dotarły do pierwszego podestu, usłyszały głos ojca.

– Czy wy... już się spotkaliście?

– Zaczekaj... ciii – szepnęła Phoebe i zatrzymała się. Nachyliła się nad poręczą, by posłuchać, więc Olivia musiała iść w jej ślady.

– Na Heathrow, kiedy odbierałam Olivię – powiedziała piskliwie Emma. – Rozmawialiśmy! Jesse, wchodź do środka. Czas na herbatę.

– Co? Kto to jest? – wyszeptała Phoebe. Jej drobna dłoń zacisnęła się na ramieniu Olivii.

– Co ona wyprawia? Zaprasza go do środka? – dziwiła się Olivia.

– Paskudna pogoda! – Usłyszały jeszcze głos Emmy, gdy rodzice weszli z mężczyzną do kuchni. Drzwi zamknęły się i głosy ucichły.

Phoebe usiadła na górnym stopniu.

– Kto to jest? – powtórzyła.

Andrew

Palarnia, Weyfield Hall, 9.59

Siedząc przy kominku, Andrew szukał na twarzy Jessego podobieństwa do dziewczyny, którą mgliście pamiętał z Bejrutu. Nie dostrzegał jednak żadnego i z pewnością – poza wzrostem – nie widział w nim też siebie. Widział tylko zaskakująco przystojnego młodego Amerykanina, różnego od nich obojga. Jesse siedział na sofie, Andrew w fotelu. Na stoliku między nimi stały dwa kubki bardzo słodkiej herbaty, którą zaparzyła dla nich Emma, jakby znajdowali się na planie „EastEnders”. Słyszał ją teraz, jak tłucze się po kuchni, gdzie ją zostawili.

Andrew nadal nie mógł się nadziwić, jakim absurdem było spotkanie Jessego z Emmą na Heathrow. Pal licho „EastEnders”, to była czysta telenowela. Emma zajrzała do pokoju z dwoma kawałkami świątecznego ciasta i cicho przeprosiła, że przeszkadza. Jej poczęstunek stał nietknięty obok koperty, którą Jesse miał dla niego zostawić. W liście napisał mniej więcej to samo co w e-mailach, lecz wyczuwało się w nim ton porażki. Był bardziej pożegnaniem niż powitaniem, ze swoim smutnym wyliczeniem hobby, stanu cywilnego i preferencji seksualnych. Starał się odsunąć ten ostatni fakt, by zająć się nim później. Choć w zasadzie nie było się czym „zajmować”. Miał mnóstwo przyjaciół gejów, nie tylko w pracy. Był wolnym od uprzedzeń mieszkańcem wielkiego miasta, pisarzem – och, zamknij się, Birch, skarcił się w duchu. Po prostu się zamknij.

Jesse nachylił się i uprzejmie wypił łyk herbaty.

– Przepraszam za to – powiedział Andrew, wskazując swój kubek. – To brytyjska reakcja na szok – okropna herbata. Bardziej przydałaby się brandy.

Jesse zaśmiał się. Jest niesamowicie piękny, myślał raz po raz Andrew, zdumiony, że mógł spłodzić tak idealną istotę. Zdjęcie, które znalazł w internecie, nie oddawało synowi sprawiedliwości. Nawet jego brwi były niezwykle – jakby ktoś narysował je za pomocą szablonu. I miał też te bardzo amerykańskie zęby, białe jak klawisze fortepianu. Jego adopcyjni rodzice musieli o to zadbać.

– A to był szok? – zapytał.

– No cóż, niecodziennie zaginiony syn wyłania się z lasu, jeśli można to tak ująć.

Czemu przyjmował ten dziwny, jowialny ton?

– Nie dostałeś moich mejli w zeszłym tygodniu? – zapytał Jesse po chwili, spoglądając na list.

– Dostałem. Przepraszam. Powinienem był odpowiedzieć szyb--ciej. Miałem taki zamiar. Szczery zamiar. Ale znaleźliśmy się tu w dość niezwykłej sytuacji. Czytałeś dziś rano mój felieton? – Bełkotał. Starał się oddychać głęboko.

– Twój felieton? – Jesse wyglądał na skonsternowanego. – Próbowałem, ale wczoraj wieczorem tak jakby nie mogłem wejść do internetu. Pisałeś o moich mejlach?

– Mejlach? Ależ skąd. Nie, pisałem, że my, Birchowie, poddaliśmy się „dobrowolnej kwarantannie”. Moja córka, Olivia, pracowała w Liberii, leczyła ofiary wirusa haag. Przez tydzień mamy unikać kontaktu z ludźmi, od dziś jeszcze przez trzy dni.

– Ja piep... cholera, zupełnie zapomniałem.

Andrew zdumiał się.

– Zapomniałeś?

– Emma opowiadała mi o tym, kiedy tak jakby spotkaliśmy się na lotnisku. Mogę tu być? – zapytał Jesse, spoglądając na drzwi.

– Oczywiście. To tylko formalność. Te organizacje pozarządowe są przesadnie ostrożne. Nie ma potrzeby wpadać w panikę. – Kiedy Jesse już tu jest, nie może go przecież wyrzucić na deszcz. I uświadomił sobie, że chce, żeby został. Mimo wszystko. Co za zamęt. I wstrząs, że spłodził kogoś, kto co chwila mówi „tak jakby”.

– Nie odpowiedziałeś. Nie chciałeś zarazić mnie wirusem? – zapytał Jesse.

– Tak, ale też... To skomplikowane. – Andrew urwał. Wolał nie zagłębiać się w brudne szczegóły, ale gdy tak rozmawiali w cztery oczy, kwarantanna wydawała się zbyt marną wymówką. – Tamtej nocy... – Znow urwał. Jak można wyjaśnić komuś, że jest owocem bzykanka bez znaczenia i że jego ojciec jest draniem? – Tamtej nocy, kiedy twoja matka i ja... spotkaliśmy się... byłem już z Emmą. Byliśmy parą. Więc... Nie popisałem się zbyt dużo.

– Zaczekaj, myślałem, że poznaliście się latem w osiemdziesiątym pierwszym? Przeczytałem o tym cały artykuł. Ty byłeś reporterem na ślubie Diany i Karola, a ona gościem, zgadza się?

– Wtedy tak mówiliśmy. Ale „chodziliśmy” ze sobą wcześniej, jeśli mogę to tak ująć, w tajemnicy. Przez ponad rok. Opisałem w prasie skandal związany ze stryjem Emmy i wiedziałem, że jej rodzina rozpozna moje nazwisko i mnie nie zaakceptuje. Trzymaliśmy więc wszystko w sekrecie, a potem, kiedy stało się to nie do zniesienia, zostałem przedstawiony pod pretekstem, że poznaliśmy się niedawno na ślubie następcy tronu. Z perspektywy czasu wydaje się to idiotyczne. Wątpię, by choć przez chwilę nam uwierzyli. Ale na naszą obronę mogę powiedzieć, że byliśmy młodzi. I oboje byliśmy na ślubie w rodzinie królewskiej – to akurat prawda.

Przestań paplać, poinstruował swój mózg. Wszystko zaczynało brzmieć coraz gorzej. Jesse powinien tylko wiedzieć, że zdradził Emmę z Leilą. Co było wystarczająco złe. Fatalny początek.

– Jezu, przepraszam. Gdybym wiedział, nigdy bym tu nie przyszedł. Czy

Emma wie?

– Nie.

Jesse odgarnął włosy i Andrew zobaczył w tym geście siebie – i własną kwadratową linię włosów. Nareszcie miał dowód, że przyczynił się do narodzin tego Adonisa.

– Rozumiem, dlaczego przyszedłeś. Przepraszam, że nie odpisałem ci wcześniej – powiedział. – Miałem szczerzy zamiar napisać. – Wypowiedziane na głos zdania zabrzmiały beznadziejnie nieporadnie.

– Nie ma sprawy. Rozumiem. – Przez chwilę pomyślał, że Jesse wstanie, by mogli się po męsku uścisnąć i poklepać po plecach. Ale on wypił tylko łyk herbaty.

– Gdzie poznaliście się z Emmą? – zapytał.

– Z Emmą? – Pytanie go zaskoczyło. Jakie to ma dla niego znaczenie? – Zajmowała się cateringiem na imprezie dla mediów, na które musiałem pójść. Wtedy rozkręcała biznes kanapkowy. Nasze spojrzenia spotkały się nad półmiskiem z pasztecikami.

– Fantastycznie! – wykrzyknął Jesse, jakby okazja do pozytywnej reakcji sprawiła mu wielką ulgę.

Andrew zwalczył impuls, by zauważyć, że paszteciki raczej nie mają nic wspólnego z fantastyką, w prawdziwym znaczeniu tego słowa.

– A jak się czuje Emma? – zapytał Jesse po chwili.

– Słucham?

– Jak się miewa? Podjęła już decyzję w sprawie leczenia?

– Leczenia?

– Chodzi mi o chemię. Ma, tak jakby, raka. Powiedziała mi, gdy się poznaliśmy. – Na jego twarzy pojawił się wyraz przerażenia, taki sam jak w holu. – O cholera. Ty nic nie wiesz?

Phoebe

Dębowe schody, Weyfield Hall, 10.34

Wydawało im się, że siedzą na górnym stopniu od wieków. Phoebe ścierpły pośladki i chciało jej się sikać. Nie była pewna, na co czekają, i podejrzewała, że Olivia też nie wie. Ale wyglądało na to, że zawarły milczący pakt, by zostać razem.

– O mój Boże, mama opowiadała mi o nim – powiedziała Phoebe, gdy rodzice z nieznanym weszli do kuchni. – O tym facecie, z którym rozmawiała na lotnisku. Powiedziała, że jest gejem. Myślisz, że jest chłopakiem taty? – Zadrżała, myśląc o dniu, gdy Andrew strasznie długo wykopywał choinkę. Może dzwonił do tego chłoptasia. Wiedziała, że coś jest na rzeczy.

– Phoeb! Pewnie istnieje jakieś rozsądne wytłumaczenie.

– Ale czemu mama zachowuje się tak dziwnie? Może powinniśmy pójść sprawdzić, czy wszystko z nią w porządku?

– Nie! Zostaw ją w spokoju.

Phoebe bała się, że Olivia znów zacznie ją wypytywać o diag--nozę Emmy. Żałowała, że powiedziała siostrze o wszystkim. Gdy wiedziało o niej więcej osób, choroba stawała się bardziej rzeczywista. Olivia powiedziała jednak:

– Chyba zrozumieją, że on teraz nie będzie mógł stąd wyjść, kimkolwiek by był?

Phoebe uświadomiła sobie, jak rzadko siostra pytała ją o opinię w jakiejś sprawie.

– Chyba tak – odparła. – Pozwolili George’owi zostać tutaj, a był przecież w domu jakieś pięć sekund.

– To prawda.

– Dlaczego tak się denerwujesz tymi zasadami? Myślałam, że to tylko środek ostrożności. Tak przynajmniej mówiłaś przed wyjazdem.

– Nie denerwuję się. Chodzi tylko o Seana, to wszystko.

Phoebe spojrzała na profil siostry. Zacisnęła szczęki.

– Seana?

– Seana Coughlana – odparła Olivia powoli, patrząc na siostrę, jakby była głupia. – Mojego kolegę chorego na haag. Nie czytujesz wiadomości?

– A, racja. O niego. Przepraszam. Chyba wydaje mi się, że wiadomości i prawdziwe życie to dwie odrębne sprawy.

– No właśnie. Nie twój problem.

– To niesprawiedliwe. Chodzi o to, że kiedy o tym czytam, to jest takie smutne, a nic nie mogę zrobić... – Wiedziała, że Olivia uzna to za nieprzekonujące.

– Nie pracuję w wiadomościach, więc nie myślę o tym przez cały czas. – Czuła, że

zbliża się kłótnia, podobna jak wczorajszej nocy. A nie chciała się kłócić. Obojętne, co działo się na dole, czuła instynktownie, że muszą trzymać się razem.

– Nie chodzi o to, czy „pracujesz w wiadomościach”, czy nie, ale... Przepraszam, jestem tylko... – Olivia wzięła głęboki wdech, jakby brakowało jej powietrza. – Żyję tylko w stałym niepokoju – powiedziała. Patrzyła prosto przed siebie, nie na Phoebe.

– Ale czy Sean Coughlan nie chodził do szkół i tam się zaraził? A mama mówiła dziś rano, że on czuje się lepiej.

– Tak. Chodził. I czuje się lepiej. Ale mimo wszystko.

Urwała, jakby dusił ją własny głos, i Phoebe od razu zrozumiała.

– Chyba z nim nie spałaś? – zapytała. Widziała zdjęcia lekarza w gazetach, był bardzo przystojny. Według standardów siostry.

Olivia nie odpowiedziała, lecz zacisnęła wargi, a po policzku spłynęła jej jedna łza. A więc dlatego była taką suką przez cały tydzień.

Phoebe przysunęła się, by ją objąć, i przez chwilę trwały w uścisku. Przyszło jej do głowy, że Olivia jest straszną hipokrytką. Krzyczała na nią, że wymyka się z kwarantanny, a sama bzykała się z chorym na haag kolegą. Było miło choć raz mieć moralną przewagę.

– Jestem pewna, że nic mu nie będzie – powiedziała, starając się, by tę pewność słyszeć było w jej głosie.

– Nie chodzi tylko o mnie. Teraz martwię się też o mamę. Na wszelki wypadek – odparła Olivia.

– Z mamą wszystko w porządku. To twarda sztuka. W każdym razie na pewno nie zachorujesz na haag! – Wiedziała, że daleko jej do pewności, którą deklarowała. – Z Seanem było na poważnie? Mogę zobaczyć zdjęcia?

Olivia skinęła głową i wytarła nos w rękaw.

– Mam mnóstwo na iPadzie. Pokażę ci później.

Phoebe przebiegło przez myśl, że smarki Olivii mogą być zainfekowane wirusem i leciutko się odsunęła. Czasami szokowała nawet samą siebie tym, jak szybko działa jej umysł. Olivia miała rację – była egoistką.

– Od kiedy jesteście razem? – zapytała.

– Od pięciu tygodni. Ale czuję, jakbyśmy znali się dłużej.

Phoebe pomyślała, jak często czuła, że spotyka George'a pierwszy raz. Zawsze powtarzała sobie w duchu, że to bardzo romantyczne.

– Jest naprawdę niezwykle osobą – ciągnęła Olivia, rozglądając się. – Był szefem pediatrii. To, co robił na oddziale, było niesamowite. Zreorganizował całą pracę papierkową, cały protokół. Uratował tyle dzieci. – Głos znów się jej załamał.

– Och, Viv. Wygląda na to, że naprawdę jest niezwykle. Na pewno wyzdrowieje. – Nigdy nie widziała takiej siostry. Kiedy opowiadała o swoim byłym – Nudnym Benie, jak nazywali go między sobą Phoebe i Andrew – zawsze

brzmiało to tak, jakby mówiła o bardzo suchej relacji.

– Tak. Wiem. Będzie chciał tam wrócić, nawet po tym wszystkim. Taką właśnie jest osobą. – Grzywacz za oknem zagruchał swój smutny refren.

– Nie mów mamie, Andrew ani George’owi, dobrze? – dodała Olivia. – Ani nikomu. Mogłabym się znaleźć w poważnych tarapatach. Tam panowała zasada „Nie dotykać”.

– Jasne – odparła Phoebe. W przeszłości każda wiadomość o życiu osobistym Olivii trafiała natychmiast do Emmy. Matka była zawsze żałośnie wdzięczna. Jednak tym razem Phoebe postanowiła uszanować życzenie Olivii.

– A ty? Jesteś podekscytowana ślubem? – zapytała Olivia. Zawsze to robiła – zmieniała temat, kiedy rozmawiały o niej. To przed laty wyleczyło Phoebe z zadawania pytań.

– Oczywiście.

– Wyprowadzisz się wcześniej z Gloucester Terrace?

– Może. Ale wygodnie jest mieszkać w domu przy całym tym zamieszaniu. Skoro rodzice płacą.

– A tak, racja.

Wiedziała, co siostra myśli: jak można wyjść za kogoś, z kim się nigdy nie mieszkało?

– W każdym razie – ciągnęła – myślę, że miło jest zamieszkać razem dopiero po ślubie. To wyjątkowe, jak za dawnych czasów.

– Jak śmierć przy porodzie i pieniądze na dom od męża?

– No właśnie! Bardzo chciałabym dostawać pieniądze. Koniec z gównianą pracą w telewizji.

– Dobrze się dogadujesz z jego rodziną? – zapytała Olivia.

Zadanie tego pytania zajęło jej sześć lat, pomyślała Phoebe.

– Tak. Są w porządku. Są całkiem... – Urwała. Wiedziała, że Olivia nie zrozumie skrótów, których Phoebe używała w rozmowach z przyjaciółmi. – Chyba bardzo się od nas różnią.

– W dobry sposób?

– Ani w dobry, ani zły. Są po prostu inni.

– Ale on jest Brytyjczykiem w twoim wieku, skończył uniwersytet, mają drugi dom w Norfolk. George dorastał w Londynie. Nie są chyba aż tak inni?

– W południowym Londynie.

Olivia parsknęła śmiechem.

– Jesteś śmieszna – powiedziała, lecz tym razem zabrzmiało to czule.

– To jest różnica – odparła Phoebe. – Ogromna.

– A gdzie on teraz jest?

– Jeszcze śpi. Nigdy nie wstaje przed jedenastą.

Modliła się, żeby mężczyzna na dole nie był kochankiem ojca. Musiała się

dowiedzieć, co się dzieje, żeby mogła wysnuć odpowiednią historię dla George'a – albo przynajmniej coś zabawnego. Czemu jej rodzina musi być taka dziwna?

Nowa strona

Emma

Kuchnia, Weyfield Hall, 11.02

Emma oparła czoło o blat. Jej umysł przypominał stary mikser stojący obok, wirował i wirował, aż jej myśli zamieniły się w papkę. Andrew i Jesse siedzieli w palarni od ponad godziny. Kręciła się po kuchni, nie mogąc usiedzieć na miejscu. Nie miała pojęcia, gdzie są Phoebe i Olivia. Liczyła, że nie pojawią się, dopóki nie będzie miała okazji porozmawiać z Andrew.

Myśl o córkach przypomniała jej, że jest matką. Przeżyła wstrząs, ale nie wolno jej wpadać w histerię. Przycisnęła policzek do chłodnego marmuru i próbowała ogarnąć fakty. Andrew miał jeszcze jedno dziecko – syna, który wyglądał na rówieśnika Olivii. A jeśli przez cały czas wiedział o tym dziecku, swoim pierworodnym? Poczowała ucisk w gardle, gdy przypomniała sobie, jak nie podzielał jej radości z narodzin Olivii. Może teraz – w końcu – poznała powód. Spłodził już wcześniej inne dziecko i wiedział o tym. Ale przecież, pomyślała, unosząc gwałtownie głowę, Jesse może być młodszy od Olivii. To w pewnym sensie byłoby jeszcze gorsze. Czy matka Jessego była przygodą na jedną noc, czy też łączył ich dłuższy romans? Czy były inne kobiety, gdy Emma siedziała w domu z dwójką dzieci? Dlatego tak nie znosiła sekretów. Kiedy wychodzą na światło dzienne, co jest nieuniknione, otwierają cały labirynt innych niewiadomych. Zaszlochała cicho z wściekłości. Czy w ciągu godziny wszystko stanęło na głowie? Wsunęła palce pod bluzkę i pod pachę, gładząc guz pod skórą jak paciorek różańca.

Nadal nie mogła uwierzyć, że spotkała Jessego na lotnisku i tak długo rozmawiali. Byłoby to nawet zabawne, gdyby nie wiązał się z tym taki okropny zamęt. Kiedy spojrzała na jego bagaż przy stole, pewna myśl przebiegła jej przez głowę – w jego paszporcie jest data urodzin. Szpiegowanie jest złe, ale w tym przypadku wybacalne. Rozpięła zamek mniejszej torby i znalazła w kieszonce paszport z rachunkiem z hotelu Harbour. Przeczytała: *Jesse Iskandar Robinson, urodzony 26 grudnia 1980*. Był starszy od Olivii. Ale skoro urodził się w grudniu 1980 roku, musiał zostać poczęty w tym samym roku. Pierwszy raz pocałowali się z Andrew 4 stycznia 1980 roku – ta data mocno wryła się jej w pamięć. Co oznaczało, że albo poznał tę kobietę później, albo już był z nią związany, choć powiedział, że jest wolny. Drań. Znowu przyjrzała się zdjęciu w paszporcie. Jesse wyglądał jak gwiazdor filmowy. Jego matka musiała być olśniewająco piękna. A więc na dodatek Andrew spłodził dziecko piękniejsze od ich dwóch córek, bez niej. Przestań, Emmo! – skarciła się w duchu. Nawet o tym nie myśl.

Spoconymi dłońmi wsunęła paszport z powrotem do torby i uzmysłowiła sobie, że wczoraj były urodziny Jessego. Biedactwo. Musiał przeżyć okropny

dzień, siedząc samotnie w hotelu. Wróciła myślami do rozmowy na Heathrow. Czy nie powiedział, że nie ma pewności, czy ojciec wie o jego istnieniu? Zapamiętała, że ojciec nie odpisał na e-maile. Czemu, na Boga, Andrew nie odpowiedział? I czemu nie pokazał jej tych e-maili? Byli małżeństwem – miała prawo wiedzieć. Nic dziwnego, że był taki rozkojarzony i nie interesował go powrót Olivii do domu.

Usłyszała, jak otwierają się drzwi do palarni, i odsunęła się od bagażu Jessego, zmuszając się do uśmiechu. Nic z tego nie jest jego winą, pomyślała. Zasluguje na to, by poznać ojca – każde dziecko zasługuje na ojca. Akurat Andrew powinien coś o tym wiedzieć. Poza tym, czy przez cały czas nie martwiła się o Jessego? To byłoby niesprawiedliwe odrzucić go teraz tylko dlatego, że jego biologicznym ojcem okazał się jej mąż. Mogła przynajmniej zgotować mu tradycyjne powitanie w Weyfield.

Andrew

Kuchnia, Weyfield Hall, 11.10

Emma była nadal w kuchni, gdy przyszedł jej szukać. Zostawił Jessego, by rozejrzał się po palarni. Wiadomość o diagnozie Emmy i fakt, że ją przed nim ukryła, były jak cios prosto w twarz. Ile wstrząsów może przyjąć człowiek jednego ranka? Pomyślał, że byłoby to zgrabne pierwsze zdanie jakiegoś felietonu. Emma opierała się o piec ze słabym uśmiechem na twarzy.

– Obejrzałam jego paszport – powiedziała. – Na wypadek, gdybyś to także próbował ukryć.

– Emmo – rzucił, nie mając pojęcia, co mówić dalej.

– Kim ona była?

Z bliska zauważył, że Emma ma zaszklone oczy. Uświadomił sobie, że od dawna nie widział, jak płacze. Nie płakała od czasu pogrzebu kuzynki w zeszłym roku; kuzynka zmarła na raka. Dlaczego Emma nie powiedziała mu, że jest chora?

– Emmo, posłuchaj – zaczął.

– Możesz się wytłumaczyć później – odparła. – Gdzie on jest? Gdzie go zostawiłeś?

– W moim gabinecie.

– W palarni?

– Tak.

– I co teraz? Powiedziałeś mi, że musi tu zostać?

– Wspominaliśmy o tym, ale mieliśmy inne...

– Andrew! Trzeba to wytłumaczyć jak należy. Ja pójdę.

Jesse stał w palarni wpatrzony w rycinę przedstawiającą polowanie.

– Macie piękny dom – powiedział do Emmy, gdy weszli z Andrew do pokoju.

– Dziękuję – odparła, uśmiechając się ciepło. W niesamowity sposób potrafiła wyłączyć gniew, mając na względzie dobre manieri. To efekt wychowania. – A teraz przejdźmy do tego nudnego tematu kwarantanny – zaczęła.

– Pamiętam! – wykrzyknął Jesse. – Tablica, którą zrobiłaś dla Olivii, rozmawialiśmy o tym.

– To urocze z twojej strony. Widzisz, skoro znalazłeś się u nas w domu, nie powinieneś stąd wychodzić do końca kwarantanny. To tylko do trzydziestego. Obawiam się więc, że jesteś na nas skazany. – Roześmiała się trochę szaleńczo. – Nazywamy to aresztem haag!

– Ale dziś po południu mam samolot.

– Będziesz musiał zarezerwować inny lot – odparła Emma. – Oczywiście na

nasz koszt. Tylko tyle możemy zrobić. Nic cię nie nagli do powrotu?

– Chyba nie. Ale jesteście pewni? Nie chcę się narzucać. Źle się z tym czuję... pewnie potrzebujecie trochę przestrzeni... – Urwał.

– Ależ skąd! Cała przyjemność po naszej stronie – powiedziała Emma. – Zastanawiałam się, jak się dogadujecie. Co za nieprawdopodobny zbieg okoliczności. I tak nalegalibyśmy, żebyś został. Jesteś członkiem rodziny.

Teraz trochę przesadza z tym zachowaniem w stylu Pollyanny, pomyślał Andrew.

– Ryzyko jest naprawdę niewielkie – ciągnęła Emma. – Ale musimy być podwójnie ostrożni, bo jeden z kolegów Olivii zachorował w Wigilię. Już czuje się lepiej, ale niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło.

– Sean Coughlan? – zapytał Jesse, otwierając szeroko oczy.

– Tak, ten chłopiec z Irlandii. Ale on odwiedzał szkoły i dużo ryzykował, a Olivia była bardzo ostrożna. W każdym razie Pokój Różany jest gotowy. Może pójdziemy na górę i rozpakujesz się?

Nie była to odpowiednia pora, by korygować teorie Emmy dotyczące Seana Coughlana. O ile Andrew zdążył się zorientować, chłopak miał pecha, a nie był nieostrożny, lecz pewnie Emma czuła się bezpieczniej, tak właśnie myśląc.

Ruszyli na górę, Andrew niósł bagaż, Jesse pieścił dłonią poręcz, jakby zrobiono ją z czystego złota. Pewnie wydaje mu się, że wylądował w okazałej rezydencji, pomyślał Andrew, a nie w lekko rozpadającym się, pełnym przeciągów starym dworze.

W Pokoju Różanym Jesse odwrócił się cały rozpromieniony.

– Jest taki piękny! Dziękuję.

Andrew najmniej lubił ten pokój. Był zbyt pretensjonalny, a poczesne miejsce zajmowała w nim mahoniowa szafa, którą Hartleyowie nazywali Potworem. Naprzeciwko łóżka wisiał portret babki Gwendoline, która patrzyła na niego ze złością podczas męczących podwieczorków.

– Bardzo proszę – odparła Emma z lekkim amerykańskim akcentem.

Zawsze tak się działo, gdy rozmawiała z obcokrajowcami. To przejaw jej empatii, bezinteresowności, pomyślał z podziwem Andrew. Emma zachowywała się jak żołnierz.

– Będziesz korzystał z Zielonej Łazienki z Phoebe, na lewo w korytarzu. Połóż tam czyste ręczniki. Potrzebujesz jeszcze czegoś?

– Na razie nie. Bardzo dziękuję, Emmo. Jestem wdzięczny za wszystko. Przełożę lot, dam wam trochę czasu. Musicie porozmawiać z Olivią i Phoebe, prawda?

– Porozmawiamy – odparła Emma. – A ty się rozgość i czuj się jak w domu. Obiad będzie koło pierwszej.

Gdy wyszli na korytarz, Andrew w milczeniu ruszył za Emmą do sypialni.

Zamknęła drzwi i usiadła na szezlongu. Andrew stał z rękami założonymi na piersi, przestępując z nogi na nogę.

– Kiedy planowałeś mi o tym powiedzieć? – zapytała. – A może myślałeś, że jeśli go zignorujesz, zniknie?

– Emmo. Nie miałem o niczym pojęcia. Napisał do mnie tuż przed świętami i wtedy pierwszy raz o nim usłyszałem.

– Mówisz szczerze? Nie wiedziałeś o nim wcześniej?

– Widziałaś daty. Kiedy to się... stało, dopiero co się poznaliśmy. I nie potrafię nawet powiedzieć, jak bardzo to było nieistotne. Pijany, zupełnie pozbawiony znaczenia błąd. Jedna noc. Byłem w Libanie, tęskniłem za tobą. Chodzi mi o to, że byliśmy tacy młodzi. I to się po prostu stało, nie wiem jak. Nigdy wcześniej jej nie spotkałem i nigdy potem nie widziałem. Nic dziwnego, że mi nie powiedziała.

– Nie była... Nie zapłaciłeś za nią, prawda?

– Chryste, nie! Emmo! Za kogo mnie uważasz? Wiem, że wtedy powinienem był coś powiedzieć. Chciałem. Ale umówiliśmy się tylko kilka razy. Nie wiedziałem, jak to zrobić. Bałem się, że cię stracę. To nie było tego warte. Powiedziałbym ci tylko dlatego, by uspokoić własne sumienie. To w zasadzie byłoby bardzo egoistyczne.

– Andrew! Nie tyle chodzi o to, co się wydarzyło, lecz o to, że mi nie powiedziałaś. Zaczynam się zastanawiać, co jeszcze przede mną ukryłeś.

Chciał wspomnieć o ukrywanej diagnozie, ale być może chwila nie była odpowiednia.

– Nigdy nie było nic innego ani nikogo innego, przysięgam. Na życie Phoebe. Potem czułem do siebie odrazę. Naprawdę. Nigdy sobie tego nie wybaczyłem. – Uklęknął, by znaleźć się równo z nią, i kolana zatrzeszczały w proteście.

Emma nic nie powiedziała, ale kiedy patrzył prosto w jej duże jasnobrązowe oczy, czuł, że mu wierzy. Ulżyło mu, że po tylu latach wszystko się wyjaśniło. Prawie wszystko. Wystarczająco.

– To było tak dawno temu – powiedziała w końcu, skubiąc nitkę na szezlongu. – Ale co z tymi mejlami biednego Jessego? Powinieneś mi być powiedzieć w chwili, gdy je dostałeś. Jestem twoją żoną, Andrew. Mamy się dzielić wszystkim! I powinieneś być mu odpisać. Bez względu na wszystko nie myślałam, że jesteś tchórzem albo że...

– Chwileczkę – przerwał jej. – To niesprawiedliwe. Nie tylko ja mam sekrety. Jesse powiedział mi o twojej diagnozie. Na miłość boską, Emmo! Jeśli mamy dzielić się wszystkim, uważam, że to było bardzo ważne.

Ujrzał szok w jej oczach i poczuł satysfakcję. Otworzyła i zamknęła usta jak złota rybka. Phoebe robiła to samo, gdy przyłapywano ją na kłamstwie.

Zabawne, jak działają geny.

– To zupełnie inna sprawa – powiedziała.

– Czyżby?

– Zamierzałam ci powiedzieć. Nie chciałam tylko zrujnować świąt.

– Emmo, nie jestem dzieckiem! Gdybym się czegoś dowiedział albo coś by u mnie wykryto, dowiedziałabyś się jako pierwsza. – Potrzebowałby, żeby wiedziała. Potrzebowałby jej pomocy. Cemu ona nie potrzebowała jego?

– Teraz już wiesz. Zaczę leczenie w przyszłym roku. Teraz powinnam porozmawiać z dziewczętami – rzuciła beznamiętnie i wstała.

Nie miał poczucia, że coś rozwiązali. Ale jeśli była gotowa wyjaśnić wszystko Phoebe i Olivii, nie będzie jej zatrzymywał. Sam nie wiedziałby, od czego zacząć.

– Iść z tobą? – zapytał, wiedząc, że odmówi.

– Raczej nie powinieneś – odparła. Wyszła, a on został na klęczkach na dywanie.

Miała rację. Był tchórzem.

Phoebe

Jadalnia, Weyfield Hall, 13.12

– O rety, jakoś nie mogę się po tym wszystkim otrząsnąć – powiedziała Emma, składając serwetki z precyzją podszytą lekką paniką.

Phoebe czuła się, jakby utknęła w jakimś sennym koszmarze. Żałowała, że matka nakrywa do stołu w jadalni. Tam wszystkie posiłki były dziwnie oficjalne – a przecież obiad w towarzystwie Jessego będzie wystarczająco niezręczny. Wyglądało na to, że ojciec się ukrywa. Myśl, że uprawiał seks z jakąś pierwszą lepszą przyprawiała ją o mdłości. Co gorsza, na widok swojego przyrodniego brata pomyślała, że niezłe z niego ciacho.

– Czy to nie jest niezwykle, że spotkałam Jessego? – zauważyła Emma lekko. – Wiesz, od tamtej pory nawet o nim myślałam i miałam nadzieję, że wszystko mu się ułożyło. Zastanawiam się, czy być może podświadomie coś wiedziałam.

– Ale mimo to dobrze się masz, mamo? – zapytała Olivia. Mówiła swoim lekarskim głosem, jakby chciała się upewnić, czy Emma nie przeżyła załamania nerwowego. Bo rzeczywiście wydawała się przesadnie pobudzona. Wszystko im wcześniej wyjaśniła, siedząc między nimi na schodach. Ale zanim zdążyły to przetrwać, zapędziła je do kuchni, by „przygotować pyszny obiad”.

– Bardzo dobrze – odparła Emma. Zatrzymała się i wyprostowała, jakby chciała w ten sposób pokazać, jak się czuje. – W młodości ludzie robią głupstwa. Tato powinien był mi powiedzieć. Ale najważniejsze jest to, że to nie jest wina Jessego. – Dokładnie to samo powiedziała przed dziesięcioma minutami na schodach. Czasami wyglądało na to, jakby cierpiała na amnezję. – Kiedy spotkałam Jessego na Heathrow, byłam przekonana, że zasługuje na to, by poznać ojca i swoją nową rodzinę. Kim więc bym była, gdybym o tym wszystkim zapomniała? Tylko dlatego, że tato popełnił głupi błąd? To było bardzo dawno temu!

– Byłabyś normalna – odparła Phoebe.

– Phoebis, nie utrudniaj.

– Zdajesz sobie sprawę, jakie to druzgocące?

– Wiem, że to dla was szok, aniołku, ale jesteśmy dorośli – powiedziała dziarsko Emma. – Czy George do nas dołączy?

– Nie. Jeszcze nie wstał. – Phoebe zadzwoniła do bungalowu, kiedy matka nakrywała do stołu, bo bardzo chciała opowiedzieć mu o Jessiem. Ale George oświadczył, że jest zbyt wykończony, by jeść obiad, więc postanowiła, że opowie mu o wszystkim później. Nadal nie wiedziała jak.

– I dobrze. Wszystko w porządku, Wiv? Wyglądasz na zmęczoną.

Siostra rzeczywiście nie wyglądała najlepiej. Może była wstrząśnięta, choć zawsze wydawało się, że do wszystkiego podchodzi spokojnie. Zanim zdążyła odpowiedzieć, do jadalni weszli Andrew i Jesse. Ich pokrewieństwo zdradzał tylko wzrost. Stojąc obok siebie, wyglądali jak chińskie pałeczki.

– Wszyscy muszą się sami częstować, tutaj nie mamy żadnych zasad – objaśniła Emma, mieszając sałatkę i poprawiając bagietkę. Phoebe przechwyciła spojrzenie Olivii.

– Wygląda niesamowicie – powiedział Jesse, siadając. – Dziękuję.

Phoebe wcześniej widziała go w kurtce. Teraz miał na sobie obcisłe džinsy, kaszmirowy kardigan i niewielki szalik. Wyglądał jak model firmy Uniqlo. Na pewno nie da mu odczuć, że jest tu mile widziany. Jeśli możliwe, w ogóle się do niego nie odezwie.

– Próbowalas przykładać maść z arniką? – zapytał, spoglądając na jej stopę. – Mama opowiadała mi o twoim upadku.

Phoebe spojrzała na ojca. Często żartowali między sobą o braku skuteczności arniki. Ale on tylko z namaszczeniem odkrawał plastry szynki.

– Jesse, musisz spróbować tej wędzonej szynki. To z naszej lokalnej farmy – powiedział Andrew.

Jak on może się zachowywać, jakby Jesse był zwyczajnym gościem?

– Jestem weganinem – wyznał Jesse przepraszającym tonem. – No, przynajmniej taki mam cel. Ale każde wegetariańskie danie jest w porządku. Nie mam z tym problemu.

– Weganinem? To bardzo interesujące – odparła matka, gdy usiedli. – Ostatnimi czasy wegańskie jedzenie stało się bardzo popularne. I przypomnij mi, nie wolno ci też nosić skóry, prawda? Nie masz przez to problemów z kupnem butów?

– Aż tak daleko się nie posuwam. Chodzi mi bardziej o aspekty żywieniowe.

– Zdecydowałeś się więc na to z powodów zdrowotnych, a nie z miłości do zwierząt? – zapytał Andrew.

– Chyba z obu powodów. Wychowaliśmy się z siostrą, moją adoptowaną siostrą, wśród zwierząt. A dodatkowo w Los Angeles jest teraz mnóstwo wegańskich knajpek. Tam to praktycznie norma.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Jego uśmiech i gładkie odpowiedzi zgrzytały. Mógłby mieć przynajmniej tyle przyzwoitości, by czuć się nieswojo, pomyślała Phoebe, skoro wdarł się do domu bez pukania.

Spojrzała na Olivię, pragnąc wymienić z nią kolejne spojrzenie, lecz siostra wpatrywała się w talerz, nic nie jedząc.

– Czy weganom nie brakuje żelaza? A może wapnia? – zapytała matka.

Jesse wyglądał, jakby miał zaraz rozpocząć wykład o składnikach odżywczych, lecz otworzyły się drzwi i do jadalni wszedł George. Cholera. Miał

siedzieć w bungalowie.

– Och! Wow. Cześć! – powiedział Jesse, podnosząc na niego wzrok.

George wyglądał na wstrząśniętego. Phoebe żałowała teraz, że go nie ostrzegła.

– To znaczy, cześć, jestem Jesse! – dodał, lekko machając.

Amerykanie byli tacy sztuczni. Witali nieznajomych jak przyjaciół.

– Cześć – odparł sztywno George.

Phoebe musiała przejąć inicjatywę, zanim rodzice powiedzą cokolwiek.

– Jesse, George jest moim narzeczonym. George, to jest Jesse, nasz przyrodni brat. – Zabrzmiało to przekonująco normalnie. Być może George pomyśli, że opowiadała mu o przyrodnim bracie, a on zapomniał.

Przez chwilę George wyglądał na totalnie zdumionego, co było zrozumiałe. Potem doszedł do siebie.

– Miło cię poznać, stary – powiedział.

– Nawzajem – odparł Jesse.

– Wszystko w porządku, George? – zapytała matka. – Phoebes mówiła, że nie czujesz się najlepiej.

– Już dobrze, dziękuję. Muszę wypić klina! – powiedział, sięgając obok Phoebe po wino.

– Dolać ci? – zapytał Andrew, który pił jako jedyny.

– Czemu nie?

Phoebe zauważyła, że George dwukrotnie spojrzał na Jessego. Ale nie pytał, skąd się nagle wziął ten brat, nie rzucał w jej stronę zdumionych spojrzeń. Czasami czuła, że prawie go nie zna.

Olivia

Szopa na drewno, Weyfield Hall, 15.50

– Tutaj jesteś – powiedziała Emma. – Pomyślałam, że napijemy się wszyscy herbaty. Co robisz?

– Zbieram podpałkę – odparła Olivia. – Koszyk był pusty.

– Dziękuję, kochanie. – Matka wyglądała na zaskoczoną, jakby nie spodziewała się po niej takiego gestu.

Zatrzymały się na chwilę w szopie, będącej niegdyś wychodkiem z dużą dziurą w dachu. Za nimi stała dostojna wiktoriańska toaleta, z pajęczynami opadającymi ze zbiornika na wodę aż po rzeźbioną deskę.

– Rety, tu musiało być rześko! – stwierdziła matka, patrząc na toaletę.

Olivia już miała odpowiedzieć, że cały świat rozwijający się nadal ma toalety na zewnątrz, ale powstrzymała się, widząc, jak bardzo Emma jest zmęczona.

– W każdym razie, Wiv, chciałam ci coś powiedzieć. Wiem, że przeżyłaś już dziś spory wstrząs. Ale powinnam była powiedzieć tobie jako pierwszej, jesteś przecież lekarzem! – powiedziała, śmiejąc się piskliwie.

Olivia udawała zdziwienie.

– Kilka tygodni temu odkryłam guzek, o, tutaj. – Emma przesunęła palce pod pachę. – I obawiam się, że to jest rak. – Urwała, sapiąc lekko. – Chłoniak nieziarniczny. Mówię ci o tym teraz, ponieważ... – Znów urwała. – Chciałam powiedzieć o tym wam wszystkim po kwarantannie, ale Phoebe to odkryła i teraz...

– Odkryła?

– Tak, przypadkiem. Zabrzmiało trochę wariacko, ale kiedy spotkałam Jessego na lotnisku, o wszystkim mu opowiedziałam. A on uznał, że Andrew wie o wszystkim, więc rak wyskoczył z pudełka! – Znów zaśmiała się dźwięcznie. – Przepraszam, wiem, że powinnam wam była powiedzieć od razu. Ale nie chciałam zakłócać świąt. Szczerze mówiąc, mnie samej trudno było o tym myśleć.

Olivia wiedziała, że powinna teraz powiedzieć coś pokrzepiającego. Nie powinna wyciągać z matki, jak „odkryła” to Phoebe. Ani straszyć jej, wskazując na ryzyko wspólnej kwarantanny. I tak było na to za późno.

– Musiałaś być przerażona, mamo – zaczęła ostrożnie. – Cieszę się, że mi powiedziałaś. Ale ten rodzaj raka łatwo się leczy. I są niemal stuprocentowe szanse na pełne wyleczenie.

– Mój lekarz też tak mówił.

– Które to stadium?

– Mam nadzieję, że wczesne. Ale czekam jeszcze na dalsze wyniki badań.
– Jakże? Miałaś tomografię komputerową?
– Tak. Jeszcze rezonans magnetyczny i mnóstwo badań krwi. Ale dowiem się dopiero po Nowym Roku.

– Czy lekarz przedstawił ci możliwości leczenia?

– Tak, przelotnie. Ale nie ma się co martwić na zapas – powiedziała, podnosząc koszyk z drewnem, jakby dawała znak do zakończenia rozmowy. – Mamy już dość zamieszania z tatą i Jessem.

Szły razem przez podmokły trawnik; matka rozprawiała o tym, że Andrew i jego syn mają identyczne uszy. Czy Olivia zauważyła, że tak samo odgarniają włosy i czy to nie jest niezwykle, że obaj interesują się jedzeniem? Na horyzoncie wystrzeliwały grube pasma szarego światła. Olivia przypomniała sobie, jak matka mówiła – po śmierci babci – że to zjeżdżałnie z nieba. Co by się stało, gdyby mama tak szybko nie odkryła guzka?

– Jeśli masz jeszcze jakieś wątpliwości, z chęcią ci doradzę – powiedziała Olivia, gdy dotarły do ganku. Czemu zabrzmiało to tak, jakby zwracała się do pacjenta, a nie do mamy? Pomyślała, jak inaczej rozmawiają ze sobą Emma i Phoebe. Ciekawe, że matka mimo wszystko nie zwierzyła się Phoebe. Siostra w typowy dla siebie przebiegły sposób dała jej do zrozumienia, że to ona została wybrana.

– Mmmm – odparła Emma. – Dziękuję, perełko. Muszę przynieść WD40 i spryskać te przeklęte drzwi.

Jesse

Pokój Różany, Weyfield Hall, 22.56

Jesse leżał na łóżku i rozglądał się po pokoju. Lampy przy łóżku rzucały bursztynowy blask i pokój wyglądał jak na starej fotografii w kolorze sepii. Patrząc na antyczną szafę i portrety przodków, czuł się, jakby cofnął się w czasie – choć kiedy spróbował nakręcić pokój, wyglądał zaskakująco złowieszczo, a jego głos brzmiał śmiesznie. Być może za dnia wyjdzie lepiej. Planował nakręcić po południu kilka ujęć w domu, ale wydało mu się to zbyt niegrzeczne, za szybko po przybyciu. Może jutro. Znów musiał iść do łazienki – Andrew przy kolacji stale napełniał mu kieliszek – ale zbiornik z wodą działał tak głośno, że Jesse postanowił poczekać. W swoim pokoju czuł się bezpiecznie, jakby był jego małym azylem. Wystarczyło mu, że musi przepracować w głowie fakt, że znalazł się tutaj, w Weyfield – bez względu na zbiegi okoliczności, jakie wszechświat rzucił mu pod nogi. Prawie się zadławił, gdy George wszedł do jadalni podczas obiadu.

Jesse wyłączył śmieszny staromodny grzejnik, który Emma przyniosła na górę w obawie, że „zmarznie”. W pokoju było strasznie gorąco. Próbował uchylić okno, ale bluszcz porastający mur na zewnątrz skutecznie je unieruchomił, rozebrał się więc do slipów. Wyjął iPada – Dana odpisała na krótki e-mail, który wysłał przed obiadem, i pewnie czeka na odpowiedź. W tym obcym otoczeniu dobrze było mieć połączenie z domem. Raz jeszcze przeczytał wiadomość od siostry.

TEMAT: Re: Wielkie wieści

OD: Dana Robinson <danar_1985@hotmail.com>

DATA: 27/12/2016 17.03

DO: Jesse Robinson <jesse.iskandar.robinson@gmail.com>

Jesse!!!! Wariuję tutaj, proszę, obiecaj mi, że nie zachorujesz na Haag! Jesteś pewny, że ryzyko jest minimalne? Czy jakiś lekarz z Irlandii już nie zachorował? Mama wpadłaby w szal, gdyby się dowiedziała, gdzie jesteś. To SZALEŃSTWO, że spotkałeś żonę Andrew na lotnisku!!!! Zupełnie jakby Bóg chciał, żeby wszystko się ułożyło. Choć mam nadzieję, że nie przeszkadza im zbytnio, że musisz tam zostać? Czujesz, że twoje przyrodnie siostry nie mają z tym problemu? Jakie są? Opowiedz mi wszystko.

Cieszę się ze względu na Ciebie

Buziaki

D.

TEMAT: Re: Wielkie wieści

OD: Jesse Robinson <jesse.iskandar.robinson@gmail.com>

DATA: 27/12/2016 23.05

DO: Dana Robinson <danar_1985@hotmail.com>

Nie wariuj!! Obiecuję, że nie zachoruję na Haag. Powiedzieli mi, że kwarantanna to tylko formalność, trudno się zarazić wirusem. Musi dojść do wymiany płynów ustrojowych. Na dodatek dom jest ogromny (jadalnia jest rozmiarów Twojego mieszkania), więc nie siedzimy sobie na głowie. Przylecę do domu 1 stycznia – możesz mnie jakoś wytłumaczyć przed rodzicami? Masz u mnie dług!

To naprawdę niesamowite, że miałem dziś wyjechać, nie mając wiadomości od Andrew, a teraz jestem gościem w jego domu... Emma przywitała mnie bardzo serdecznie, ale to mnie nie zdziwiło, bo taka sama była na lotnisku. Nadal nie mogę uwierzyć, że nie wiedziałem, kim ona jest, ale nie przedstawiliśmy się i mało rozmawialiśmy o jej rodzinie. Na dodatek ona wygląda zupełnie inaczej niż na zdjęciu w internecie. Chyba wyobrażałem sobie „szanowną Emmę Hartley” jako bardziej wyniosłą, arystokratyczną czy coś w tym stylu.

Mam poczucie, że pozostali potrzebują więcej czasu, by się rozruszać. Olivia niewiele mówi, ale jest bardzo mądra. Jest wysoka i szczupła jak Andrew (i ja!) i wygląda dokładnie jak ojciec. Phoebe jest urocza – wygląda tak jak na zdjęciu i wydaje się zabawna. Jest tu też jej narzeczony. Andrew jest okropnie brytyjski i sztywny, jak oczekiwałem, choć otworzył się trochę, kiedy pokazywał mi „posiadłość”. Bardzo różni się od Taty – jak na razie jedyne podobieństwo, jakie dostrzegłem, to uniwersalna męska fascynacja rozpalaniem ognia. Ale myślę, że dogadaliby się, gdyby mieli się kiedyś poznać.

Jedna rzecz nie jest zbyt miła – okazało się, że Andrew był już z Emmą, kiedy zostałem poczęty. Jeszcze przed słynnym ślubem w rodzinie królewskiej łączył ich sekretny romans. Nie do końca to rozumiem. Chyba Andrew bał się, że rodzice Emmy go nie zaaprobują. Ale sprowadza się to do tego, że zdradził Emmę z moją biologiczną matką, a Emma aż do dziś nie miała o tym pojęcia. Zachowuje się, jakby to nie miało znaczenia, ale oczywiście czuję się przez to nieswojo. Na dodatek spaprałem wszystko, pytając Andrew o coś, co powiedziała mi na lotnisku – że wykryto u niej raka. Założyłem, że Andrew o tym wie, ale okazało się, że nie miał pojęcia (?). To bardzo dziwne i wiem, że to nie moja wina, ale czuję teraz, że wdarłem się tu i narobiłem kłopotów.

Urwał. Chciał być szczery, ale nie wystawiał najlepszego świadectwa Andrew i jego rodzinie. Osądy Dany były szybkie i trwałe. Jeśli Jesse się przyzna, że czuje się w Weyfield równie skrępowany co podekscytowany, Dana nigdy nie polubi Birchów. Zwłaszcza jeśli napisze, że jego przyrodnia siostra najwyraźniej go nienawidzi. Podczas obiadu Phoebe prawie na niego nie patrzyła i przez całe popołudnie nie widział ani jej, ani George'a. „Kolację” zjedli sami w letnim domku, który nazywają bungalowem. Jesse poczuł się paskudnie. Zasiadł z pozostałą trójką w dużej przytulnej kuchni – Andrew wypytywał go o Trumpa,

jakby chciał uniknąć osobistych tematów. Olivia niewiele się odzywała, nawet kiedy Jesse próbował wciągnąć ją do rozmowy, choć czuł, że to normalne. Jednak w przypadku lekarza wydawało się dziwne. Czy lekarze nie powinni komunikować się bez problemu? Jeszcze dziwniejsze było to, że nikt nie wspominał o chorobie Emmy. Jego rodzina zachowywałaby się zupełnie inaczej. Kiedy w zeszłym roku matka przeszła drobny zabieg, wszyscy zwarli szyki, trzęśli się nad nią, zaopatrywali lodówkę, wykonywali wszystkie prace, żeby mogła odpocząć. Ale może milczenie było mechanizmem obronnym Brytyjczyków.

Oprócz tego wszystkiego był jeszcze George. Jesse nadal nie powiedział Danie, co się wydarzyło w Wigilię, napisał tylko, że poznał kilkoro młodych Brytyjczyków. Teraz było mu jeszcze bardziej przykro. Zdecydowanie nie zacznie dziś tego wszystkiego wyjaśniać. Dana na razie miała wiedzieć tylko tyle, że wszystko układa się dobrze.

Drzwi otworzyły się i Jesse szybko narzucił koc na krocze. Wszedł George, przekręcił zardzewiały klucz w zamku i stanął tyłem do drzwi.

– Hej – zaczął Jesse. – To wcześniej...

– Posłuchaj, stary – odparł George. Jego oczy błyszczały lekko szaleńczo. Jesse zastanawiał się, czy znów jest pijany. – Tamta noc w ogóle się nie wydarzyła, okej? – powiedział, zniżając głos. – Byłem zalany. Nie wiem, co... To nie byłem ja.

– Jasne. Kapuję. Byłem twoim eksperymentem.

– Niczym nie byłeś! Nic się nie wydarzyło. Nigdy się nie spot-kaliśmy.

– W porządku. Nigdy w życiu cię nie widziałem.

– Zgadza się.

– Okej. Chwileczkę, jak to się stało, że byłeś poza domem? Myślałem, że kwarantanna zaczęła się dwudziestego trzeciego?

– Nie było mnie tu wtedy. Przyszedłem w pierwszy dzień świąt, żeby zrobić niespodziankę Phoebes.

Wyrzuty sumienia, pomyślał Jesse.

– Jesteś pewny, że chcesz to ciągnąć? – zapytał.

– Co?

Jezu, ten gość jest taki tępy.

– Małżeństwo.

– Co jest, kurwa? Jasne, że tak! Jak już mówiłem, tamtej nocy to nie byłem ja. Nie zrobiłeś nigdy nic głupiego, kiedy byłeś zalany?

„Zalany” znaczy tutaj „pijany”, przypomniał sobie Jesse.

– Jasne, ale nigdy nie przestałem być gejem.

George wziął głęboki wdech przez nos, a jego drobne nozdrza zadrgały. Jesse dziwił się, jak mógł pomyśleć, że on jest słodki. Wyglądał jak czerwony, łysiejący mops.

– Jeśli wspomnisz o tym choć słowem – zaczął George, a ścięgną na jego masywnej szyi poruszyły się – osobiście cię zabiję. Okej?

– Stary, wyluzuj. Niczego nie powiem. To twoja sprawa. Wydaje mi się tylko, że masz sporo do przemyślenia. Żenisz się... – Gdzieś w korytarzu zamknęły się drzwi. Zniżył głos. – Żenisz się z Phoebe, a to wielkie zobowiązanie. Nie chcesz mieć żadnych wątpliwości, gdy będzie szła do ołtarza. Tylko tyle chcę powiedzieć.

– Nie mam żadnych wątpliwości! Posłuchaj, nie wiem, w co pogrywasz, przychodząc tutaj, ale Phoebe jest załamana.

– Sam kazałeś mi tu przyjść, pamiętasz?

– Słucham? Po co, kurwa, miałbym to robić?

– Zapomnij. Co chcesz przez to powiedzieć, że Phoebe jest załamana?

– A jak myślisz? Zniszczyłeś cały obraz jej ojca. Ona uwielbia ziemię, po której on stąpa, a ty pokazałeś, że tak naprawdę jest dupkiem. Opowiedziała mi całą historię.

– Hej, mówisz o moim ojcu.

George prychnął.

– Ha! Twoim ojcu od pięciu minut. Czemu, do kurwy nędzy, nie mogłeś do niego najpierw napisać, jak normalne adoptowane dziecko, i spotkać się z nim w cztery oczy?

Gdzieś zagulgotało w rurach.

– W każdym razie – ciągnął George zduszonym szeptem – nic nie mów. Okej?

– Uwierz mi, nie powiem.

– I dobrze.

Wyszedł, a Jesse leżał wpatrzony w wykończony ząbkami lambrekin. Nie zazdrościł Phoebe, że poślubi takiego idiotę. Ciekawe, czy pozostali Birchowie lubili George'a. Poczł się okropnie, gdy przypomniał sobie, co George mówił o Phoebe. Niczego nie zaplanował – drzwi wejściowe po prostu się otworzyły i jakoś wszystko samo się stało. Poza tym, gdyby Andrew odpowiedział na jego e-maile, spotkałby się z nim w cztery oczy.

Na iPadzie zamigotało przypomnienie – nadal nie przeczytał ostatniego felietonu Andrew. Recenzja dotyczyła pubu o nazwie The Perch, lecz głównie pisał o kwarantannie. Nagłówek „Rodzina na pierwszym miejscu” był tematem zastępczym. Andrew wyrażał się o rodzinach pogardliwie. Ciekawie było czytać felieton biologicznego ojca, kiedy już się go poznało. W rzeczywistości przemawiał tym samym wyniosłym tonem, lecz Jesse czuł, że pod spodem czai się coś cieplejszego. Było tylko głęboko ukryte.

Andrew

Korytarz na pierwszym piętrze, Weyfield Hall, 23.48

Wychodząc z Zielonej Łazienki, zaskoczony Andrew spotkał w przejściu George'a. Wcześniej odniósł wrażenie, że zakochane gołąbki na dobre wyniosły się z głównego budynku. George kopał pająka przy listwie podłogowej, ale podniósł wzrok i powiedział: „Wezmę dodatkowy koc dla Phoebes, w bungalowie jest trochę zimno” i wszedł do Szarego Pokoju. Andrew zastanawiał się, co George – ze swoim boleśnie konwencjonalnym poglądem na świat – pomyślał o przybyciu Jessego. Miał nadzieję, że Phoebe nie jest zbyt załamana, ale nadzieja chyba była płonna. Z całą swoją brawurą młodsza córka potrafiła być raczej konserwatywna – stąd wybór takiego, a nie innego męża.

Andrew zszedł do palarni. Następny felieton miał się ukazać dopiero za parę dni, ale powiedział Emmie, że gonią go terminy, by nie iść jeszcze spać. Łatwiej było się położyć, kiedy ona będzie już chrapać. Albo może rozbije obóz w palarni. Wiedział, że i tak nie zmruży oka.

Nalał sobie dużą szklaneczkę porto, zdając sobie sprawę, że wypił już więcej, niż powinien, i usiadł przy biurku niemal w ciemności. Pociągnął duży łyk, próbując sobie przypomnieć posiłek w nowej bliskowschodniej restauracji w St. John's Wood. Pamiętał, jak wszyscy patrzyli na Phoebe w krótkiej sukience, jaki był z niej dumny i jak wzdrygnęła się, gdy właściciel założył, że ona jest jego młodą żoną. Pamiętał, jak rozmawiali o tym, że media nie są już takie jak kiedyś i że powinna zmienić pracę. Powiedziała też, że chce znaleźć zabawną pracę, jak on, bo życie jest za krótkie, by zajmować się czymś poważnym. Ale nie pamiętał niczego, co dotyczyłoby jedzenia. Czy podawano je na małych talerzach (ulubionych przez Phoebe), czy na dużych półmiskach, które tak lubiła Emma? A może był to jego osobisty koszmar spod znaku „uliczne jedzenie”. Ostatnimi czasy coraz częściej zapominał, co jadł. Mimo to zaczął pisać – jutro może zapytać Phoebe, co zamówili. Jeśli mu odpowie.

Hourani & Co, Welbeck Street

Jedzenie??

Nastrój??

Bejrut: 1980. O świcie słońce zalewa srebrnym blaskiem ruiny szkoły podstawowej. Adhan, wezwanie do modlitwy, wzmocnione przez głośniki zapowiada nowy dzień. Jakiś mężczyzna przedziera się przez ruiny, niosąc na głowie poobijaną miedzianą tacę z kostkami z ciasta filo i pistacji zalanymi pachnącym miodem

Usunął tekst. Nie był w lirycznym nastroju. Zaczął jeszcze raz:

Czytelnicy tych felietonów znają mnie jako recenzenta kulinarnego – głównym ryzykiem związanym z tym zajęciem jest zgaga. Ale w latach 1977-1987 pracowałem w Bejrucie jako korespondent wojenny. Z całą swoją udręczoną historią Liban pozostaje jednym z najbardziej

To też usunął. Był zbyt pijany, by trzymać się faktów. Spróbował z innej strony:

Wy mówicie Tabbouleh, ja mówię Tabboulah

To mu się bardziej spodobało, choć nie wiedział, co pisać dalej. I tak nie było dwóch różnych sposobów na wymawianie tego słowa. Zawsze z pogardą podchodził do pisarskiej blokady – jeśli ktoś był pisarzem, pisał. Ale teraz znalazł się w rozterce. Wielu znanych mu felietonistów wykorzystałoby przybycie Jessego jako chwytliwe wprowadzenie. Z pewnością powstałby z tego zgrabny wstęp do recenzji bliskowschodniej restauracji. Ale coś go powstrzymywało. Myśl, że jest ojcem Jessego, nadal nie miała dla niego sensu. Nie spodziewał się, że będzie podchodził do tego z taką rezerwą, tak inaczej niż Jesse. Chłopak wydawał się taki radosny, taki wdzięczny, kipiał „pozytywną energią”. Był weganinem, na miłość boską. Należał do tego rodzaju osób, z których z Phoebe szydzili, zapewne praktykował też medytację mindfulness. To nie była tylko kwestia jego amerykańskiego wychowania. Byli zupełnie inni. Jeśli już, Jesse był bardziej podobny do Emmy.

Próbował podzielić się tymi obserwacjami z Emmą wcześniej, w sypialni, ale brzmiało to bardzo pompatycznie. Rzuciła ostro: „Nie bardzo to rozumiem. To uroczy młody człowiek z dobrymi manierami. Pomyślałabym, że ci ulżyło?”. Kiedy zaprotestował, że nie ma nic przeciwko Jessemu, tylko nie może uwierzyć, że to jego krew, wróciła do swojego zarządzania kryzysowego, powtarzając, że są to winni Jessemu, muszą go serdecznie przyjąć i dodała: „Tylko tyle możesz zrobić po tych wszystkich latach. Jesteś jego ojcem”.

Zupełnie jakby go karała tą uprzejmością. Pewnie myślała, że przeszkadza mu, że Jesse jest gejem – lecz oczywiście nie przeszkadzało. A jeśli nawet czuł się lekko zbity z tropu, to tylko dlatego, że podkreślało to różnicę między nimi. Niepokoila go reakcja Phoebe – przy obiedzie milczała, a potem ukryła się w bungalowie. Ale kiedy poruszył ten temat z Emmą, położyła się i powiedziała: „Znasz Phoebe. Przeraziła się. To ty masz być dla niej przykładem. Jesteś dorosły. Teraz muszę się trochę przespać”. Potraktował to jako sygnał do wyjścia.

Dopił resztkę porto – smakowało jutrzejszym bólem głowy. Jak mogli dojść do tego, że u jego żony wykryto raka, a ona nic mu nie powiedziała?

7

28 grudnia 2016

Szósty dzień kwarantanny

Olivia

Pokój Wierzbowy, Weyfield Hall, 9.18

TEMAT: Fiu, fiu!

OD: Olivia Birch <olivia.birch1984@gmail.com>

DATA: 28/12/2016 9.18

DO: Sean Coughlan <SeanKCoughlan@gmail.com>

Właśnie się dowiedziałam – jesteś oficjalnie wolny od wirusa! Jabulani! Jak się czujesz? Mam nadzieję, że szybko wyjdiesz z izolatki, przeczytasz moje mejle i odpiszesz. Tak bardzo za Tobą tęsknię. Tęsknię za Twoim głosem. Tęsknię za tym, jak mówisz, że wszystko jest „super”, nawet kiedy jest tak bardzo niesuper, że już bardziej być nie może. Nawiasem mówiąc, ja nadal czuję się dobrze, nie martw się.

W sennym Norfolk rozegrał się kolejny akt dramatu: niespodziewanie pojawił się Amerykanin, który twierdzi, że jest synem mojego ojca. Mam więc przyrodniego brata, o którym nic nie wiedziałam... W zasadzie nikt nie wiedział, do niedawna nawet mój ojciec. W skrócie: jakaś kobieta zaszła z nim w ciążę, gdy w latach osiemdziesiątych pracował na Bliskim Wschodzie, i oddała dziecko do adopcji, nie mówiąc ojcu ani słowa. Pewnie dobrze się stało, bo moi rodzice w tym czasie dopiero zaczęli się spotykać (nie osądzaj). W każdym razie dziecko – teraz dorosły mężczyzna o imieniu Jesse – wyśledził ojca i napisał do niego mejl, na który nie dostał odpowiedzi (typowe dla ojca). Pewnie miał nadzieję, że jeśli nic nie zrobi, ten nieślubny syn zniknie. Tymczasem Jesse odnalazł nasz adres i tak po prostu wszedł do domu... Kiedy o tym piszę, brzmi trochę wariacko, ale taka jest prawda. Przyjechał aż z Kalifornii, więc musiał być zdesperowany. W każdym razie, kiedy już znalazł się w naszym domu, musi zostać z nami do końca kwarantanny.

Jeszcze bardziej nieprawdopodobne jest to, że mama poznała Jesego i rozmawiała z nim na Heathrow 23 grudnia – poważnie, jakie było prawdopodobieństwo, że tak się zdarzy? Wylądował w Londynie tego samego dnia co my i oboje czekali w hali przylotów (faktem jest, że mama rozmawia praktycznie ze wszystkimi). Niezwykle tolerancyjnie podchodzi do „niedyskrecji” taty (jak sama to nazywa). Bardzo jej jednak współczuję, bo na pewno to przeżywa. Wczoraj powiedziała mi przynajmniej o swojej diagnozie. Ale ponieważ dalej zachowuje się jak idealna gospodyni, trudno jest jej pomóc. Chciałabym jakoś ją wesprzeć, ale od razu wpadam w tryb zawodowy, jakby była pacjentem, a ona chyba tego nie chce.

Dziwne... wiem, że Jesse jest moim bratem i mamy to samo DNA, ale jest

dla mnie kompletnie obcym człowiekiem. Nie mogę go nawet traktować jak dalekiego kuzyna – zupełnie jakby nie było między nami żadnego związku. Wydaje się jednak bardzo miły. Zadał mi kilka bardzo celnych pytań o Liberię, w przeciwieństwie do pozostałych domowników. Jest chyba po trzydziestce i wiem tylko, że jest gejem, wychował się na Środkowym Zachodzie, ale teraz pracuje w Los Angeles – w filmie albo w telewizji. Moja siostra jest do niego wrogo nastawiona – po części dlatego, że jest z gruntu irracjonalna, lecz także dlatego, że jest córeczką tatusia i musi się teraz pogodzić z myślą, że ojciec nie jest półbogiem... Myślę, że mnie jest łatwiej, bo nigdy nie widziałam w nim bohatera jak ona. Aż do teraz prawie zapomniałam, że pracował w strefie wojennej. Ale nie o tym chciałam pisać. To, co zrobiliśmy, było dość głupie... Lecz nigdy nie będę tego żałowała.

W każdym razie mam nadzieję, że dostarczę Ci trochę rozrywki podczas rekonwalescencji. Dla Ciebie to pewnie nic takiego, z tym twoim plemieniem pięćdziesięciorga rodzeństwa (wszyscy, oczywiście, z prawego łóża). Niebawem wyślę następny odcinek sagi.

Kocham Cię i bardzo za Tobą tęsknię.

Całuję

O.

Nacisnęła „Wyślij”. Pisanie pozostających bez odpowiedzi e-maili do Seana stało się naturalne, lecz myśl, że tym razem może coś od niego dostać, wywołała szeroki uśmiech na jej twarzy. Prawie dodała PS, że Phoebe domyśliła się ich sekretu, ale rozmyśliła się. Gdyby się dowiedział, że powiedziała siostrze, mógłby zacząć o nich opowiadać, zanim byłoby to bezpieczne. Internetowe strony z wiadomościami odwróciły jej uwagę od mdłości, które znów czuła po przebudzeniu. Nie oznaczało to, że miała zaraz zwymiotować ani nic takiego. To bardziej przypominało ucisk, jakby żołądek powoli wywracał się na drugą stronę. Odsunęła od siebie myśl, że mdłości są pierwszym głównym objawem haag. Poza tym wczoraj czuła się dobrze po zjedzeniu śniadania. Najprawdopodobniej to kolejny kac – wczoraj wieczorem ojciec dolewał wszystkim bez opamiętania.

Rozległo się pukanie do drzwi. Siostra. Zwykle nigdy nie przychodziła do jej pokoju.

– Cześć. Co robisz? – zapytała.

– Piszę mejl.

– Do Seana?

– Tak. Wścibska jesteś.

– Wszystko z nim dobrze?

– Tak, testy dały wynik negatywny, wszędzie o tym piszą! – Czuła zbyt wielką ulgę, by skarcić siostrę za niewiedzę. Albo wyciągać z niej, jak „dowiedziała się” o diagnozie Emmy.

– Super! Czuje się więc lepiej?
– Nie bardzo. Ale nie stanowi już zagrożenia. Będą go mogli przenieść z izolatki.

– Rewelacja – odparła słabo Phoebe. Przysiadła na brzegu łóżka i westchnęła.

– Co?

– Nie wiem. Jakoś nie lubię tego Jessego.

– Nie lubisz jego, czy faktu, że istnieje? Tego, co zrobił Andrew?

– On, zawsze tylko on! Chyba jedno i drugie. To przerażające, gdy rozpada się wszystko, w co się wierzyło. – Opadła na plecy u stóp Olivii i wsunęła ręce pod głowę. – Strasznie jest dowiedzieć się, że wszyscy żyliśmy w kłamstwie.

– Nie żyliśmy w kłamstwie, tylko nie wiedzieliśmy o pewnych rzeczach. Tak to już jest w rodzinach.

– Czyżby? W każdym razie, tato nie jest osobą, za jaką go uważaliśmy. Nie mogę uwierzyć, że zrobił coś takiego mamie.

– Popęłnił błąd. W młodości. Wiem, że trudno o nim myśleć jako o młodym mężczyźnie. Ale nikt nie jest idealny.

– Ja nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła. Nie wyszłabym za kogoś, nie mówiąc, że go zdradziłam.

– Ale on wiedział, że to ją zdenerwuje. Jeśli to było bez znaczenia, po co kogoś unieszczęśliwiać, wracając do tego po latach? Przecież nie wiedział, że ta kobieta była w ciąży. I wygląda na to, że dopiero co poznali się z mamą.

– Nie zastanawiasz się, co jeszcze zrobił?

– Nieszczęśliwie. Od czasu, gdy się urodziłaś, pracował w domu. Kiedy miałby mieć te gorące romanse?

Phoebe wpatrywała się w końcówki włosów.

– W każdym razie nie możesz oczekiwać, że zrozumiesz relacje pomiędzy innymi ludźmi – dodała Olivia. Na tym polegał problem z Phoebe. Myślała, że ma prawo wiedzieć wszystko o wszystkich.

– Liv! To nie są „inni ludzie”. To nasi rodzice!

– Mimo wszystko. Każdy ma prawo do prywatności. Mama też nie chciała mówić o swojej diagnozie, dopóki nie była gotowa. Nawiasem mówiąc, wczoraj mi powiedziała.

Patrzyła prosto na Phoebe, ciekawa, czy siostra przyzna się do kłamstwa. Ale Phoebe była na fali.

– To co innego – rzuciła z gniewem. – To nie ma z tym nic wspólnego. W każdym razie zamierzała o tym powiedzieć, tylko nie wcześniej niż musiała. Nie chciała wszystkich denerwować przed świętami.

– Czy nie tak dokładnie postąpił Andrew? Czemu miałby o tym wspominać, zanim musiał, jeśli to tylko wszystkich by zdenerwowało?

– Mogliśmy się do tego przygotować! Myślę, że mama ma rację, tato powinien był odpowiedzieć na mejle Jessego. Nie byłoby to takim szokiem. Dla nas.

– Rozumiem. Nie chciał robić zamieszania. Nie przed końcem kwarantanny.

Olivia wstała z łóżka i poczuła kolejną falę mdłości. Żołądek gwałtownie opadł, ślina napłynęła jej do ust. Później porozmawia z Phoebe o jej kłamstwie.

– Wszystko w porządku? – zapytała nerwowo Phoebe.

– Tak. Dziwne, jestem naprawdę skacowana. Nie wiedziałam, że aż tyle wypiałam.

Formowała słowa z ogromnym wysiłkiem. Zdławiła torsje podchodzące jej do gardła.

– Doskonale wiem, o czym mówisz. Mam taką słabą głowę. Mogę wypić dosłownie jeden kieliszek, a następnego dnia czuję się okropnie. Zaszкодziło ci pewnie dlatego, że jesteś teraz taka chuda.

– Może – odparła Olivia, wkładając szlafrok. Kiedy próbowała zawiązać pasek, ręce miała zdrętwiałe.

– Owsianka zawsze stawia mnie na nogi – powiedziała Phoebe, wychodząc za nią z pokoju. Olivia przypomniała sobie, jak wszędzie się za nią snuła, gdy były małe.

Kiedy schodziły po schodach, z kuchni dobiegł je zapach smażonego bekonu i Olivia wiedziała już, że musi zwymiotować. Szybko mruknęła do Phoebe, żeby wzięła jej iPada, i pognęła do łazienki. Trzy okropne skurcze szarpnęły jej ciałem. Uklękła przy toalecie, próbując uspokoić oddech, i zacisnęła powieki, by nie oglądać zawartości swojego żołądka w muszli. Po chwili wstała i spojrzała w lustro, zaciskając dłonie na umywalce. Jej twarz była żółtozielona, a oczy przekrwione. Kurwa, kurwa, kurwa, pomyślała.

Emma

Kuchnia, Weyfield Hall, 10.12

Gotowanie i głos Jenni Murray w radiu były jak kotwice trzymające ją przy normalności. Przygotowała jedną patelnię pieczarek i pomidorów dla Jessego i drugą, z bekonem i jajkami, dla pozostałych. Kiedy śniadanie skwierczało na piecu, zaczęła przygotowywać obiad – wegańskie curry, według przepisu, który znalazła w Google. Zeszłej nocy Andrew spał w palarni. Gdy zeszła na dół, był już ubrany i rozmawiał z Jessem. zaproponował, żeby poszli obejrzeć pokój z bronią, więc zaczęła gotować w samotności. Przynajmniej Andrew zdobył się na jakiś wysiłek, po tym jak idiotycznie skarżył się wczoraj wieczorem, że nie mają z Jessem nic wspólnego. Uzmysłowała sobie, że jakaś złośliwa jej część chce, żeby Andrew się natrudził. Nigdy nie robił niczego, czego nie chciał.

W kuchni zjawiała się Phoebe otulona swetrem George'a. Emma nie widziała jej od wczorajszego obiadu. Miała nadzieję, że córka szybko przywyknie do Jessego. To było krępujące, gdy dąsała się jak nastolatka.

– Co to takiego? – zapytała Phoebe, zaglądając do rondla na piecu.

– Curry z bakłażana. Ani grama mięsa.

Phoebe przewróciła oczami.

– Myślałam, że podoba ci się wegańskie jedzenie?

– Mnie? Skąd. Choć hasztag „czystejedzenie” jest wygodną przykrywką dla anoreksji – odparła Phoebe udawanym beztróskim tonem, który zawsze bawił Andrew.

Ma dużo na głowie, pomyślała Emma.

Zjawił się George w wełnianej czapeczce. Nie zdejmował jej z głowy, mimo że w kuchni było gorąco. Podejrzewała, że chce ukryć zakola, biedactwo. Jakże to straszne tracić włosy, pomyślała, a potem przypomniała sobie o czekającej ją chemioterapii.

– Dzień dobry, pani B. Cześć, mała – rzucił. – Chyba wyczułem bekon.

Emma nadal miała nadzieję, że George zmieni zdanie w sprawie wesela w Weyfield. Być może mogłaby zagrać kartą raka. Linda Marsham-Smith nie mogłaby jej przebić.

– Gdzie jest tato? – zapytała Phoebe.

– W pokoju z bronią. Pokazuje Jessemu sprzęt dziadka do polowań.

– Broń? On chyba jest Amerykaninem – odparła Phoebe, jakby to była jakaś wstydliva choroba. George usiadł okrakiem na ławie przy stole, a Phoebe przysiadła mu na kolanie. Kakao, który leżał u stóp George'a, wstał i poszedł sobie.

– Myślałem, że gejów broń nie interesuje – powiedział George.

Phoebe zachichotała. To nie było do niej podobne – miała kilku przyjaciół gejów, których określała mianem „odprowadzaczy”. George wziął banana z miski z owocami i wsunął niemal całego do ust. Mimo że byli dorośli, Emma w ostatniej chwili powstrzymała się, by powiedzieć: „Robię pyszne śniadanie, a ty psujesz sobie apetyt”.

– Czy jest coś złego w byciu homoseksualistą? – zapytała zamiast tego. Mówiła lekkim tonem, ale uzmysłowiła sobie, że groźnie trzyma drewnianą łyżkę.

– Tutaj są – powiedział Jesse, wchodząc do kuchni. Jego uśmiech sugerował, że niczego nie usłyszał – dzięki Bogu. Ale George wydawał się bardzo niespokojny, jak osaczone zwierzę.

Zapadła krępująca cisza.

– To ostatni banan? – zapiszczała w końcu Phoebe. – Ostatni, ty idioto! Zawsze jem owsiankę z bananem, wiesz o tym.

– Przepraszam – odparł George, mrugając, i podał jej ostatni kawałek.

– Zakupy z Waitrose przywiozą dopiero wieczorem – powiedziała Emma.

– Ups.

Phoebe nie odezwała się, ale mimo kontuzji udało jej się wypaść z kuchni. George nerwowo poprawił czapkę, gdy Phoebe krzyknęła z korytarza:

– Wezmę prysznic! W bungalowie. Boli mnie noga, gdy chodzę po schodach.

Emma zastanowiła się, czy powinna iść za Phoebe i namówić ją, by zjadła śniadanie, ale zrezygnowała. Wczoraj, widząc, jak Phoebe przyjęła pojawienie się Jessego, uświadomiła sobie, że rozpieściła młodszą córkę. Może dlatego, że Olivia zawsze sprzeciwiała się pieścizom. Phoebe wpadła w histerię z powodu banana. Mimo wszystko nie było to zbyt rycerskie ze strony George’a.

– Nie sprawdzicie, czy wszystko z nią w porządku? – zapytał Jesse.

Jest szalenie bezpośredni, pomyślała Emma.

– Z Phoebis? Nic jej nie jest. Musi tylko trochę ochłonąć, przeczytać ślubne czasopismo lub coś w tym stylu.

Spojrzała na George’a pochłoniętego układanką, którą rozłożyła na końcu stołu. Miał twarz, która nie będzie się ładnie starzeć. Przypomniała sobie, jak chłopięco wyglądał zadarty nos i mocno zarysowana szczęka, gdy poznali się z Phoebe, lecz teraz jego rysy zaczęły wyglądać ociężale. Oczy nadal miał ładne, lecz zawsze uważała ich wilczy blask za niepokojący.

– Mogę pomóc, Emmo? – zapytał Jesse, lecz gestem zbyła jego propozycję.

– Jak się poznaliście? – zapytał George’a, siadając na ławie tyłem do stołu. Wyciągnął i skrzyżował nogi, zupełnie jak Andrew, jakby chciał je uporządkować.

– Słucham? – odparł George, podnosząc głowę, jakby był sam w kuchni.

– Ty i Phoebe.

– Na uniwerku w Edynburgu – powiedział George. – Dla ciebie

w college'u – dodał z dziwnym niby-amerykańskim akcentem, który zabrzmiał bardziej jak z Kornwalii.

– Od razu wiedziałeś, że to ta jedyna?

– Ona wiedziała.

– Od początku byli jak papużki nierozłączki – pospieszyła z pomocą Emma, czując, że George jest zbyt lakoniczny.

Choć prawdę mówiąc, początek ich związku pełen był niejasności. Emma przypomniała sobie, jak myślała, że to nie przetrwa. Ale okazało się, że nie miała racji, i George zagościł w ich domu na dobre. Nigdy nie roztrząsała tego z Andrew. Gdy tylko próbowała poruszyć ten temat, powtarzał, że najmniejszy cień dezaprobaty tylko zachęci Phoebe. Podejrzewała, że był to ukryty przytyk do jej rodziców, i rozumiała aluzję.

– Gdzie ją zabrałeś na pierwszą randkę? – dopytywał się Jesse.

– Czy to jest gra w dwadzieścia pytań? – warknął George. – Nie było żadnej „randki”. Spiknęliśmy się w knajpie The Mock Turtle. W wieczór Gangstas and Hoes. – Uśmiechnął się.

Emma nie miała pojęcia, co może się za tym kryć. Czy to jakiś taniec ludowy, jak szkocki reel? Wyglądało na to, że Jesse wie, więc to musi być coś amerykańskiego.

George wstał, wrzucił skórkę banana do śmieci i naciągnął czapkę. Emma zanotowała w pamięci, by później wrzucić skórkę na kompost.

– Pójdę po Phoebę – powiedział.

Emma i Jesse milczeli, gdy jego kroki oddalały się w korytarzu,

– Cieszysz się, że za niego wychodzi? – zapytał Jesse, gdy kroki ucichły.

Może jest trochę zbyt bezpośredni, pomyślała.

– To nie od nas zależy. Wywiera na nią dobry wpływ. Nie toleruje żadnych jej wygłupów. – Od dawna mówiła tak o George'u. W pewnym sensie była to prawda.

– Kto nie toleruje? – zapytał Andrew, wchodząc do kuchni.

– George. Nie mam racji?

– Można tak to ująć – odparł Andrew. Objął ją w talii i powąchał patelnię, której zawartość mieszała. Zesztywniała lekko w jego uścisku.

– A to – dodał – pachnie rewelacyjnie. Czy wiesz, Jesse, że choć od lat recenzuję nagradzanych gwiazdkami Michelina szefów, kuchnia Emmy nadal jest najlepsza, jaką znam?

– Nie wątpię – odparł Jesse.

– Zważywszy, jak złośliwie traktujesz większość restauracji, nie jestem pewna, czy mam to potraktować jak komplement – odparła. Ciało Andrew przy jej ciele wydawało się jednocześnie obce i znajome. Co oni wyprawiają, zachowując się, jakby wszystko grało?

– To niesprawiedliwe. Jeśli otwierają jakieś okropne miejsce, ludzie mają prawo, by ich ostrzec. Niewiele jest większych rozczarowań niż paskudna kolacja w restauracji.

– Niczego nie ukrywasz, to pewne – odparł Jesse. – Po przeczytaniu twoich felietonów trochę bałem się z tobą spotkać.

– Mam nadzieję, że cię nie rozczarowałem? – zapytał Andrew.

– W bezpośrednim kontakcie jesteś inny – powiedział Jesse po chwili zastanowienia. – W recenzjach wydajesz się, sam nie wiem, sfrustrowany. – Sposób, w jaki podkreślił pierwszą sylabę, sprawił, że słowo zabrzmiało bardziej rozpaczliwie. Dziwne, że obcy człowiek potrafi tak trafić w sedno.

– Dziennikarstwo to frustrujące zajęcie – odparł Andrew, puszczając Emmę.

– Wszyscy czepiają się twoich słów. Wiecie, że w moim ostatnim felietonie wyrzucili „słonawa” z wyrażenia „smętna słonawa fałdka”? – Spojrzał na nich z niedowierzaniem. Potem dodał zupełnie innym, niepodobnym do niego tonem: – Ale masz rację. Nie warto tego roztrząsać. Mamy ważniejsze zmartwienia na głowie. A skoro o nich mowa, jak tam sytuacja na froncie z kawą?

Wziął łyżkę od Emmy i odsunął dla niej ławę, po czym uciszył ich warkotem młynka. Udała, że czyta felieton Indii Knight. A więc tak przeczekają tę burzę. Im mniej się mówi, tym szybciej wszystko się naprawi.

Olivia

Łazienka Muszelkowa, Weyfield Hall, 10.30

Olivia poprawiła się na stołeczku, na którym w dzieciństwie stawały z Phoebe, by myć zęby. Była prawie pewna, że nie zwymiotuje jeszcze raz. Powoli uniosła głowę, którą trzymała między kolanami, i odetchnęła. W łazience pachniało mydłem Pears i plamą pleśni na ścianie. Po chwili czuła się na tyle pewnie, by wstać. W szafce nad umywalką znalazła stary rtęciowy termometr i zmierzyła temperaturę. Była normalna. Czy mimo to powinna coś powiedzieć? Nie. Nie ma sensu. Wszyscy tylko wpadną w panikę – zwłaszcza matka, a była to ostatnia rzecz, jakiej potrzebowała po przybyciu Jessego. Będą się domagali, żeby pojechała na badania; będzie musiała im powiedzieć o sobie i Seanie, i zanim się zorientuje, na trawniku przed domem wyląduje helikopter medyczny, narażając Wydział Zdrowia na olbrzymie koszty, a ją i Seana prasa ukrzyżuje – najprawdopodobniej za nic. Przecież nie miała żadnych innych objawów (zmęczenie się nie liczyło – jasne, że była zmęczona).

Na pewno zaszkodziło jej wino do kolacji. Poza tym torsje nie były dla niej niczym niezwykłym. W każdych innych okolicznościach przypisałyby je stresowi. Kwaśny posmak w ustach przypominał jej czasy, gdy w dzieciństwie była chora, a matka gładziła ją po głowie. Przypomniała sobie okropną noc po zjedzeniu nieświeżej małży, kiedy siedziały w tej łazience aż do świtu. Słyszała teraz głos matki na dole, unoszący się nad głosami innych. Będzie musiała w końcu do nich dołączyć, pomyślała, opierając czoło o szybę i próbując zebrać siły. Łzy zapiekły ją pod powiekami, gdy zapragnęła uścisku silnych ramion Seana. Przecież w domu nikt nie powinien się czuć tak samotny?

Kiedy zeszła na dół, w kuchni zastała tylko Emmę i Jessego; wkładali naczynia do zmywarki. Na chwilę zatrzymała się w progu, gdy uzmysłowiła sobie, o czym rozmawiają.

– Udowodniono, że komórki rakowe żywią się cukrem – powiedział Jesse. – W badaniach jedna grupa pacjentów jadła normalnie, a druga była na diecie bezcukrowej i u niej guzy praktycznie zniknęły.

– O rety – odparła Emma. – To moje zamiłowanie do słodczy...

– Nie, nie rób sobie wyrzutów. Cukier jest dobrze ukryty. A jest wszędzie: w keczupie, bajglach, nawet w owocach. Ludzie zakładają, że najbardziej szkodzi im tłuszcz, ale tak naprawdę musimy ograniczać cukier.

– Przynajmniej nie jadam dużo keczupu! – stwierdziła Emma z wymuszonym śmiechem.

– Powinnaś to sprawdzić na portalu TED Talk. Prześlę ci link.

– Świetnie! – rzuciła.

Olivia mogła się założyć, że matka nie ma pojęcia, co to takiego TED.

– Jest mnóstwo naturalnych leków na raka, ale nikt o nich nie wie, bo to nie leży w interesach firm farmaceutycznych. A istnieje całe podziemie walczące z rakiem bez chemii.

– Naprawdę? Czy to rozsądne?

– To skrajne rozwiązanie, na pewno. Ale wszystko zależy od decyzji chorego. Nikt nie powinien czuć się zobowiązany do podejmowania agresywnego leczenia.

– Tak sędzę.

– Nawet samo odkwaszenie diety może pomóc.

Olivia wycofała się z kuchni, zanim ją zauważyli. Stała przy drzwiach, zastanawiając się, co robić, gdy oni rozmawiali dalej o dietach sokowych i superfoods – Emma gruchała cicho, gdy wrzucili w Google frazę, „jak jeść, by wygrać z rakiem”. W innej sytuacji Olivia weszłaby do kuchni i stawiała czoło Jessemu – poprosiłaby go, by poparł swoje teorie dowodami, pokazałaby mu procentowe statystyki WHO. Ale był synem jej ojca, jej bratem przyrodnim; to byłoby bardzo niezręczne. A teraz czuła się zbyt zmęczona, by się spierać. Mimo wszystko, może Phoebe nie myli się tak bardzo w stosunku do niego.

Phoebe

Salon, Weyfield Hall, 11.00

Jeszcze jeden dzień tego piekła, pomyślała Phoebe, leżąc na sofie. Jeszcze jeden dzień i będą mogli uciec z George'em do Londynu. Demonstracyjnie zrezygnowała ze śniadania i była teraz głodna, ale słyszała, że matka i Jesse jeszcze są w kuchni. To niesprawiedliwe, że była zmuszona ukrywać się we własnym domu. Przynajmniej trochę schudnie, opuszczając tyle posiłków. Nachyliła się, by obejrzyć spuchniętą stopę, na wpół ciesząc się z bólu, który poczuła, i zsunęła skarpetkę, by obejrzyć siniaka. Skóra była zielonofioletowa, lekko połyskująca jak tani cień do powiek. Phoebe położyła się z powrotem, pozwoliła, by Kakao wskoczył jej na brzuch, i zaczęła się wpatrywać w choinkę.

Wszystko wydawało się takie inne, takie dorosłe. Wczoraj wieczorem opowiedziała George'owi całą historię Jessego, nie poszło dobrze. Wiedziała, że ich osądza. Kiedy próbowała wyjaśnić, czemu Jesse ją denerwuje, George powiedział tylko, że ona nie radzi sobie z myślą o bracie-geju. To nie było problemem – problemem był sam Jesse. Jego radosna kalifornijskość. Gorący weganin. W innych okolicznościach rozbawiłoby to ojca. Nawet jego twarz rodem z katalogu J-Crew była irytująca. Olivia nie rozumiała takich rzeczy, ale przynajmniej była gotowa o nim rozmawiać – w przeciwieństwie do George'a. A skoro już o tym myśli – siostra nadal nie zeszła na dół. Phoebe rozważyła, czy nie powinna sprawdzić, czy wszystko z nią w porządku. Ale stopa za bardzo ją bolała. Olivia pewnie czyta gdzieś wiadomości.

Obejrzała na YouTube kilka pierwszych tańców na weselu, by oderwać się od tego wszystkiego. Młode pary były po amerykańsku roześmiane, jak Jesse. Potem przerzuciła egzemplarz czasopisma „Panny Młode”. Zawsze otwierał się na tej samej stronie, z nagłówkiem „Jak sprawić, by wesele było naprawdę TWOJE”. Zdecydowała się na zimową krainę cudów, ale nie mogła ruszyć dalej. Kiedy wyobrażała sobie ślub, zawsze widziała, jak idzie przez kościół z Andrew albo jak wszyscy tłoczą się wokół niej – samej – na weselu. W jej wizjach nigdy nie pojawiał się George. Myślała, że wspólna kwarantanna będzie okazją do burzy mózgów. Jednak za każdym razem, gdy wspominała o ślubie, mówił: „Trochę na to za wcześnie, prawda?”. Od wczoraj był drażliwy, a przecież w święta był taki czuły.

Ciekawe, czy Olivia i Sean się pobiorą, pomyślała. Olivia wydawała się zadurzona po uszy. Nigdy nie widziała jej w takim stanie. Phoebe nie była pewna, czy sama jest zadurzona w Geor--ge'u. Sięgnęła po laptopa i bez chwili zastanowienia wpisała w Google: „Shaun Cofflan”. Otrzymała pełną wyrzutu

odpowiedź: „Chodziło ci o Sean Coughlan?”. Ujrzała zdjęcie Seana w otoczeniu roześmianych czarnych dzieci. Miał na sobie ubranie typowe dla rozsądnej osoby w gorących krajach: krótkie spodnie-bojówki i sandały Velcro. Miał duży nos, ale ładne oczy i niezłe ciało.

Do salonu weszła Olivia i Phoebe zmniejszyła okno. Siostra wyglądała na spiętą, bardziej niż zwykle.

– Możemy pójść w jakieś ciche miejsce? – zapytała. – Na strych? Muszę zobaczyć jakieś gołe cztery ściany.

– Jasne. Jeśli pomożesz mi wejść na schody.

Zdziwiło ją, że Olivia przyszła z nią porozmawiać. I uświadomiła sobie, że jest zadowolona, gdy ramię w ramię wchodziły na schody.

Weszły do pomieszczenia, w którym znalazły kapsułę czasu, i usiadły na pełnych grudek kołdrach, które na Portobello Road kosztowałyby pięćdziesiąt funtów.

– Martwię się, bo Jesse udziela mamie szarlatańskich rad – powiedziała Olivia.

Dyszała bardziej niż Phoebe. To wieczorne bieganie z George'em opłaciło się.

– Szarlatańskich?

– Nieprawdziwych.

– W związku z czym?

– Jej diagnozą!

– Och – odparła Phoebe.

Ostatnią rzeczą, o jakiej chciała teraz rozmawiać, był rak. George nie wspominał o nim i udało się jej schować myśli o guzie głęboko, jak straszego diabła w pudełku. Żałowała, że powiedziała Olivii. Nicola pisała w e-mailach o „narośli”. Na sam dźwięk tego słowa robiło się jej niedobrze.

– Podśluchałam, jak mówił w kuchni, że można „zwalczyć” raka za pomocą superfoods. Wspominał nawet o rezygnacji z chemii. A przecież nie jest lekarzem. Wkurza mnie to.

– Co takiego? Przecież ona nie zrezygnuje z chemioterapii?

Olivia opadła na kołdry.

– Nigdy nie wiadomo. Cały czas oglądamy pacjentów stawiających sobie diagnozy, którzy wierzą we wszystkie bzdury wyczytane w internecie. To doprowadza nas do szału.

– Zaczekaj. Skąd Jesse w ogóle o tym wie?

– Powiedziała mu, kiedy poznali się na lotnisku. Mama jest taka szalona. A Jesse powiedział Andrew, więc teraz wszyscy wiedzą.

– Och. Myślałam, że ona jeszcze nie chce o tym rozmawiać.

– Tak naprawdę niczego mi nie powiedziała. Usłyszałam tylko: „Nadal

czekam na wyniki, więc nie ma się czym martwić”. To nic niezwykłego w przypadku chorych na raka. Różnie sobie z tym radzą.

– Ale rozmawiała o tym z Jessem?

– Czasami pacjentom łatwiej jest rozmawiać z obcymi. Co jest frustrujące, skoro jestem lekarzem. Nawiasem mówiąc, udałam zaskoczenie. Nie zdradziłam, że mi powiedziałaś.

– Dzięki. – Phoebe czuła się źle, że pozwala Olivii myśleć, że dowiedziała się jako ostatnia. Przesunęła palcami po kołdrze.

– Przynajmniej teraz wszystko wyszło na jaw – powiedziała Olivia. – Chciałabym się do czegoś przydać. Kazać jej przestać słuchać Jessego.

– Straszny z niego dupek. Czemu mama jest dla niego taka miła? Na jej miejscu kazałabym mu spadać.

– Nie wiem. Początkowo myślałam, że on jest okej. Ale teraz zaczynam mieć wątpliwości. Te bzdury, które jej opowiada, są niebezpieczne.

– Ale... Może ona posłucha ciebie, jeśli jej to powiesz? To twoja praca.

– Niekoniecznie. Już się do tego zapaliła, szukała w sieci różnych diet. Na dodatek ona nie widzi we mnie autorytetu. Dla niej jesteście tylko „dziećmi”.

– Nie możesz porozmawiać z ojcem? Poprosić, żeby z nią pomówił? Jego posłucha.

– Nie jestem pewna, czy to zadziała.

Phoebe odwróciła się do niej. Olivia patrzyła przed siebie, a żarówka nad ich głowami rzucała cienie pod jej kośćmi policzkowymi. Jest niepokojąco chuda, pomyślała Phoebe z zazdrością.

– Czemu nie?

– Po prostu. Ja i Andrew to nie to samo co ty i on – odparła Olivia. – Niewiele z sobą rozmawiamy.

– Może powinniście. On nienawidzi medycyny alternatywnej. Ma obsesję na punkcie książki *Zła nauka*.

– Naprawdę? Uwielbiam ją! – odparła Olivia, odwracając się. Wyglądała na zadowoloną, jakby nie miała pojęcia, że coś jednak łączy ją z Andrew.

– Jesteście do siebie za bardzo podobni, na tym polega cały problem – oświadczyła Phoebe.

– Co masz na myśli?

– Uparci. Macie obsesję na punkcie wiadomości i Trzeciego Świata. Nie rozmawiacie o uczuciach.

– Przecież powiedziałam ci o mnie i Seanie.

– Dopiero wtedy, kiedy zadałam ci pytanie. Tęsknisz za nim?

– Bardzo bym chciała z nim porozmawiać. Kiedy wszędzie słyszę jego nazwisko, jakby był jakimś tajemniczym zjawiskiem, czuję się dziwnie.

– Myślisz, że się pobierzecie?

– Co? Nie wiem. Czemu wszystko musi się sprowadzać do ślubu?

Phoebe widziała, że siostra powstrzymuje uśmiech.

– Pobierzecie się! Wyjdiesz za niego!

Olivia uśmiechała się od ucha do ucha. Phoebe skorzystała z okazji.

– Liv, przepraszam, ale dowiedziałam się o chorobie mamy przypadkiem. Zauważyłam mejla na jej iPadzie i zapytałam. Powinnam była ci powiedzieć. To nie było w porządku.

Olivia milczała. Phoebe nie zaryzykowała i nie spojrzała na siostrę.

– Nie chciałam, żebyś źle się z tym poczuła, byłam tylko strasznie wkurzona, że śledziłaś mnie i George’a – dodała szybko. – Ale rozumiem, nie powinniśmy byli opuszczać domu. Nawiasem mówiąc, to był jego pomysł.

– Nie ma sprawy. Powiedziała mi, że dowiedziałas się przypadkiem. Ale dzięki.

– Och. Okej. – Policzki Phoebe płonęły. Czemu w wieku dwudziestu dziewięciu lat nadal pakuje się w takie sytuacje? Ale poczuła się lepiej, gdy przeprosiła.

Zadzwęczał telefon i szybko go chwyciła.

– No nie! Nie miałam pojęcia, że tutaj jest zasięg! – pisnęła.

To była wiadomość od George’a. Napisał tylko: *Przepraszam*. Odpisała: *Możesz mi to wynagrodzić. Ale nigdy więcej nie podjadaj moich bananów. Buźka*. Powiedziała Olivii, że pójdzie go poszukać. Ulżyło jej, że może uciec przed skrępowaniem z powodu swojego wyznania.

Od czasu pojawienia się Jessego bungalow był ich azylem. Zabawnie było bawić się tam w dom z George’em, nawet jeśli był chorobliwie pedantyczny. Zawsze się wściekał, że Phoebe zostawia ubrania na krześle. Przez tatę-żołnierza miał dziwne zachowania obsesyjno-kompulsywne. Pewnego dnia, fantazjowała, zamieszkają w wielkim białym domu na Primrose Hill i będzie miała własną garderobę. Jednak kiedy podskakując na zdrowej nodze, dotarła do bungalowu, w środku było ciemno. Otworzyła drzwi i zapaliła światło. Wnętrze wyglądało inaczej i uświadomiła sobie, że zniknęły wszystkie rzeczy George’a, nawet jego torba. Na stole do ping-ponga leżała złożona kartka papieru. Coś zmroziło Phoebe. Rozłożyła kartkę i przeczytała wiadomość napisaną ściśniętym uczniowskim charakterem pisma:

Ph, Mała, przepraszam, ale chyba już dłużej nie mogę. Potrzebuję trochę przestrzeni, by pomyśleć w samotności. To chyba nie będzie dla Ciebie wstrząsem, ale wszystko dzieje się dla mnie zbyt szybko. Mam nadzieję, że zrozumiesz. Proszę, nie kontaktuj się ze mną, potrzebuję czasu, by wszystko przepracować.

G.

PS Nie przejmuj się pierścionkiem.

Rozejrzała się, by sprawdzić, czy George nie wyskoczy z szafy z okrzykiem:

„Mam cię!”, lecz cisza w pokoju była zbyt prawdziwa. Co miał na myśli, pisząc, że to nie będzie szokiem? Podniosła słuchawkę telefonu w bungalowu i zadzwoniła do domu. Odebrała Emma. Na dźwięk jej głosu Phoebe wybuchnęła płaczem.

– Kochanie? Co się stało? Co się dzieje?

– Przyjdź tutaj – wychrypiła.

Minutę później usłyszała kroki i głosy za drzwiami. Myślała, że matka przyjdzie sama, ale zjawili się wszyscy, nawet Jesse. Wyglądali na zatroskanych. Choć była zapłakana, uznała, że to miłe.

– Spójrzcie – powiedziała, podsuwając im liścik. Rzuciła się twarzą w dół na sofę, by płakać dalej. Nie obchodziło jej, że widzi to Jesse.

Jakaś ręka zaczęła ją gładzić po plecach i w szparze pomiędzy twarzą a poduszką dostrzegła, że to Olivia. Pozostali czytali liścik przy stole do ping-ponga.

– Co za... świnia – powiedziała matka. – Co on, u licha, sobie wyobraża, pisząc, że to „dzieje się za szybko”? Dopiero co poprosił cię o rękę!

– A co z kwarantanną? Nie powinien... – zaczęła Olivia.

– Czy jego rodzice wiedzą o tym? – przerwał jej ojciec.

– Dopiero co to znalazłam – powiedziała Phoebe do poduszki, która nadal pachniała George’em – jego włosami i szyją – i zaczęła szlochać tak przeraźliwie, że czuła, jakby się dusiła.

Chcę się udusić, pomyślała. Dobrze mu tak, jeśli się uduszę, płacząc z powodu tego, co zrobił. Jej myśli pędziły jak szalone, każde nowe upokorzenie wypierało poprzednie. Plany zarezerwowanych drinków. E-mail z datą do zarezerwowania, który wysłała chyba do stu osób. Okropne, zawstydzające współczucie. Wolna. Powrót do punktu wyjścia. Znowu zaczęła szlochać, jeszcze bardziej histerycznie.

– Phoebe, oddychaj – mówiła Olivia. – Dokąd on mógł pójść? Przychodzi ci coś do głowy? Powinniśmy go tu z powrotem ściągnąć. Nie może tak po prostu sobie iść.

– Kusi mnie, żeby zadzwonić do jego wstrętnych rodziców i powiedzieć im, jakim... – Andrew zawiesił głos. – Jakim palantem jest ich syn. Liścik! I do tego źle napisany!

– Może za bardzo go naciskałam – powiedziała Phoebe.

Nie miała pojęcia, dokąd mógł pójść – pewnie do domu. To był najmniejszy z jej problemów. Całkiem spodobał jej się pomysł, że cała rodzina Marsham-Smithów zarazi się haag. Nadal miała zamknięte oczy, więc tylko czuła wilgotny ręcznik na twarzy, zapach George’a i słyszała głosy rodziny.

– Hej, to nie twoja wina! – powiedział amerykański głos. Jesse. Obejrzała się przez ramię. – To znaczy... nie powinnaś się obwiniać. Tu chodzi o George’a.

– Co? – Pierwszy raz zwróciła się do niego bezpośrednio, poza „cześć”.

– To jego sprawa. On musi za to odpowiedzieć.

– Słucham? – odparła, patrząc na niego bardziej przytomnie. Wiedziała, że jest niegrzeczna, i wiedziała, że wygląda okropnie, ale nic jej to nie obchodziło. Po chwili dotarło do niej, że wkurzyło ją, że Jesse też tu przyszedł.

– Chodziło mi o to, że to w stu procentach jego sprawa.

– Jaka sprawa?

– Wygląda na to, że musi to trochę przepracować.

Teraz wszyscy patrzyli na Jessego. Widać było, że czuje się nieswojo, będąc w centrum zainteresowania. I powinien.

– Przepracować? To jakieś terapeutyczne bzdury z Los Angeles? Poznałeś go dopiero wczoraj! – Poczula satysfakcję, mogąc się na kimś wyżyć.

– Phoebe... – uspokoila ją matka.

– Przepraszam. Chciałem tylko... – zaczął Jesse.

– Myślę, że najlepiej będzie, jeśli pogadamy z Phoebe same – przerwała mu Emma. – Przyjdziemy do was później. Dacie sobie radę z obiadem, prawda? W spizarni jest ser i szynka. A ty, Jesse, możesz sobie odgrzać wczorajsze curry.

Matka odpuszczała karmienie innych tylko w kryzysowych sytuacjach. Phoebe przypomniała sobie, że specjalnie gotowała to coś z bakłazanów i że rezygnowała z tego, by zostać z nią. Kiedy wszyscy wyszli i Phoebe siedziała, szlochając w ramię Emmy, uświadomiła sobie, że nie płacze tylko z powodu George'a. Dręczyła ją myśl, że kiedyś będzie sobie musiała radzić z takimi dorosłymi sprawami bez matki.

Jesse

Kuchnia, Weyfield Hall, 13.00

Andrew i Olivia siedzieli po jednej stronie stołu, a Jesse po drugiej, jakby go przesłuchiwali. Na blacie stało porzucone wegańskie curry. Andrew skubał plaster szynki z plamką złotej musztardy, która wyglądała jak farba. Olivia jadła tosty z białego pieczywa ze śmierdzącą pastą marmite – tak samo jak wczoraj. Czy brytyjscy lekarze nic nie wiedzą o przetworzonym jedzeniu? Jesse przeżuwał lekkie risotto, jak mu nakazano. Nie miał pojęcia, jak je odgrzać na piecu, który nazywali Aga, a nikt się nie zaoferował, żeby mu pokazać. Ale to i tak nie miało znaczenia – ta chwila w bungalowie skutecznie pozbawiła go apetytu. Czemu nie potrafił trzymać gęby na kłódkę? Nikt nie wspominał o tym, jak przed chwilą odezwała się do niego Phoebe. Być może tak sobie tutaj radzili z paskudnymi sprawami.

Za oknami było szaro od deszczu i Andrew nachylił się, by zapalić obrotowy świecznik z aniołkami, mówiąc: „Nie wolno nam obniżać standardów”. Trzymał zapaloną zapałkę przy knocie i powiedział: „Wiesz, Jesse, kiedy byłem reporterem w Afganistanie, nauczyłem się rozpalać ogień za pomocą szkła powiększającego”. Mówił to samo poprzedniego wieczoru – Jesse domyślił się, że to jedna z jego mantr. Jego ojciec, Mitch, robił to samo. Już miał poprosić Andrew, żeby rozwinął temat, ale widząc spojrzenie Olivii, tak pełne złości, domyślił się, że słyszała tę historię już z dziesięć tysięcy razy.

– George nie powinien się tak snuć po okolicy – powiedziała nagle. Miała na nosie okulary, ale nie zakrywały cieni pod jej oczami. Czas spędzony w Liberii musiał być wyjątkowo trudny, choć nigdy o tym nie opowiadała. Najwyraźniej w tym domu wszystko kręciło się wokół Phoebe.

Andrew nalał sobie drugi kieliszek czerwonego wina i nappełnił też kieliszek Jessego. Olivia odmówiła. Jesse żałował, że nie był w stanie tego zrobić, zwłaszcza po piekielnie mocnym dżinie z tonikiem, który Andrew przyrządził im w południe. Już kręciło mu się lekko w głowie, ale nie chciał być niegrzeczny. I tak czuł się nieswojo, że nie je tego, co wszyscy. Z drugiej strony czuł się swobodnie, widząc, że jego biologiczny ojciec pije o każdej porze dnia. Jemu samemu alkohol też dobrze robi.

– Przepraszam za to wszystko – zwrócił się do niego Andrew, ignorując słowa Olivii. – Zwykle nie jest tu tak dramatycznie. Phoebe nic takiego nie miała na myśli.

– Nie ma sprawy. Jest w szoku.

– Co za kretyn – powiedział Andrew. – Tak uciec. I ten okropny liścik. To

podłe. Ludzie, którzy nie potrafią pisać, nie powinni tego robić – dodał, jakby styl George'a obraził go bardziej niż treść.

– Wiedzieliście, że są jakieś problemy? – zapytał Jesse. Domyślił się, że Phoebe nie miała pojęcia, że George jest biseksualistą albo gejem, ale może jej rodzina coś podejrzewała.

– Nigdy nie myślałem, że zrobi coś takiego – odparł Andrew. – Być może byłem naiwny.

– Lubiałś go? – zapytał Olivię. Przestała przeżuwać, jakby zaskoczyło ją, że pyta o jej opinię.

– Myślałam, że Phoebe jest z nim szczęśliwa – odparła. – Z wyjątkiem tego, że kupił jej złe kolczyki.

– Kolczyki?

– Prosiła go o konkretne kolczyki pod choinkę, a on kupił inne. Wpadła w szal – wyjaśniła znużonym głosem.

– To właśnie miałem na myśli – powiedział Jesse. Wydawało się najbezpieczniej rozwijać poruszoną przez nią myśl. – Wiem, że dopiero co go poznałem, ale czułem, że nie do końca do siebie pasowali. To wydawało się trochę wymuszone. Jakby bawili się w udawanie normalnej pary.

W chwili gdy powiedział „normalnej”, pożałował, że nie może tego cofnąć, ale pojawienie się Emmy odwróciło uwagę Andrew i Olivii.

– Biedna Phoebs – powiedziała, przysiadając na rogu ławy obok Andrew. Jesse siedział teraz naprzeciwko całej trójki. – Nie posiada się z gniewu. – Znów się zerwała, jakby w ogóle nie powinna była siadać. – Zrobię jej kanapkę. Może zje później.

– Emmo, możesz na chwilę usiąść? – zapytał Andrew.

– Tak. Ja jej coś zaniosę, mam – zaoferowała się Olivia.

Emma patrzyła na nich z powątpiewaniem, ale usiadła.

– Co miałeś na myśli, mówiąc „normalna para”? – zapytała, patrząc na niego.

Cholera. Przecież obiecał sobie, że nie będzie się w to mieszał.

– Nic. To znaczy... nie miałem pojęcia, że on rzuci Phoebe – odparł. – Wyczułem tylko, że być może nie jest do końca... pewny.

Olivia podniosła wzrok ze sceptycznym wyrazem twarzy.

– Mam taki wewnętrzny radar do tych rzeczy – dodał. Czemu musi wszystko pogarszać za każdym razem, gdy próbuje się wytłumaczyć?

– Jakich rzeczy? – zapytała Olivia.

– Kiedy faceci są, tak jakby, zdezorientowani. – W chwili gdy powiedział „faceci” zamiast ludzie, uświadomił sobie, że nie ma odwrotu. – To znaczy ludzie.

– Sugerujesz, że on jest gejem? – zapytała Olivia. Jej oczy, twarde teraz jak kamień, wyglądały jak oczy Andrew.

– Nie! To znaczy może. Albo jest biseksualny. Nikt nie może być w stu procentach pewny. – Pieprzyć wino. Nie był przyzwyczajony, by pić cały dzień. Przez to mówił rzeczy, których normalnie by nie powiedział.

– Na czym dokładnie opierasz swoje podejrzenie? – zapytała.

– Na niczym jednoznacznym – odparł. – To tylko tak jakby energia, którą u niego wyczułem. Od pierwszej chwili.

Andrew wypił łyk wina i nie odezwał się.

– To spore oskarżenie, by rzucać je tylko na podstawie „energii”.

– Wiem, że tak to zabrzmiało. Ale intuicja potrafi być silna.

– Więc to przeczucie? Żadnych dowodów?

– Jak już mówiłem, mam wyczucie w tych sprawach. – Nie mógł znieść tego przesłuchania. Przecież nie mógł powiedzieć: „Trzy noce temu całowałem się z nim u mnie w łóżku”.

– Co, u diabła? George nie jest gejem! – rozległ się głos w drzwiach. Stała tam Phoebe, rozchełstana i purpurowa na twarzy.

– Hej, o nic go nie oskarżałem. Powiedziałem tylko, że istnieje taka możliwość. Mnóstwo facetów hetero jest zdezorientowanych. To dość powszechne zjawisko.

– Proszę cię! To cholerny brak szacunku. Mówisz o moim narzeczonym. Co, tobie też się podoba?

– Jesse, nie jestem pewna, czy to pomaga – rzuciła szybko Emma. – George i Phoebe byli razem od lat. Oświadczył się jej. To oczywiste, że nie jest gejem ani że...

– Spodobał ci się, prawda? Fantazjujesz na temat chłopca z prywatnej szkoły! – przerwała jej Phoebe.

Czuł, że wszyscy na niego patrzą, osaczając w zamęcie, który sam wywołał.

– Nie strzelajcie do posłańca! – rzucił głośniejszym głosem, niż zamierzał. – To nie o moje fantazje musisz się martwić, lecz swojego narzeczonego! – Wiedział, że dotarł do punktu, z którego nie ma już odwrotu. Wszyscy patrzyli na niego.

– Nie krzycz na mnie! – wrzasnęła Phoebe. – Nie masz pojęcia, o czym mówisz! Może zabierzesz się stąd do tej swojej Minnesoty?

Dzwoneczki na świeczniku zadźwięczały w ciszy, która zapadła.

– Co on tu w ogóle robi? – Phoebe zwróciła się do Andrew.

Jesse czuł, jakby odgrywali jakąś scenę.

– Phoebe, uspokój się – powiedziała Emma. – Jesse, może dasz nam chwilę?

Wstał, czując, że nogi ma jak z waty.

– Jasne – odparł. Wstawił pełny talerz do zlewu, starając się iść normalnie. Czuł, że wszyscy na niego patrzą, czekając, by wreszcie wyszedł.

Na chwilę zatrzymał się w ciemnym przejściu za kuchnią ciekawy, czy będą o nim mówić. Ale w kuchni rozległ się tylko głośny szloch Phoebe. Poczuł, że się

poci. Wbiegł na górę po trzy stopnie naraz, jakby to mogło mu pomóc uciec z tego domu i od jego mieszkańców. Długi korytarz na górze wydawał się przytłaczający, a jego pokój obcy. Położył się na boku na łóżku. Wszystko zniszczył. I mógł winić tylko siebie. Znowu zdradził zbyt wiele – zawsze miał problemy z ukrywaniem myśli i emocji. Przez cały czas pracował nad sobą, a potem w jednej chwili jego uczucia wybuchały jak gejzer – bez względu na to, gdzie się znajdował i z kim rozmawiał. Teraz wszyscy go znienawidzą, nawet Andrew. Jego biologiczny ojciec na pewno stanie po stronie Phoebe. Nie tak miało być.

Emma

Kuchnia, Weyfield Hall, 14.30

– Zajmę się zmywarką, skarbie – powiedziała Emma do Olivii.

Córka wkładała wszystko na złe miejsce – bez wątpienia była to chybiona próba, by Emma mogła odpocząć.

– Nie ma sprawy, mamó. Usiądź, odpocznij albo idź zajrzeć do Phoebe.

– Mówię poważnie, Wiv, to żaden kłopot. Lubię wiedzieć, gdzie wszystko jest. Ty idź i odpocznij. – Ostatnią rzeczą, jakiej Emma pragnęła, było przekazanie kontroli nad domem teraz, gdy jej diagnoza wyszła na jaw. Czasami czuła, że kuchnia, jej królestwo, było wszystkim, co miała dla siebie. Przynajmniej Andrew gdzieś się zmył po nieprzyjemnej rozmowie podczas obiadu.

Olivia włożyła łopatkę do pojemnika na drewniane łyżki, stojącym przy piecu. Emma przełożyła ją do szuflady, gdzie trzymała łopatki.

Olivia westchnęła, jakby Emma była krnąbrnym dzieckiem.

– Okej. Zawołaj, gdybyś potrzebowała pomocy.

– Nic mi nie jest, Wiv – odparła Emma.

Ludzie nigdy nie rozumieli, że prace domowe mogą być kojące. Nie wytrzymałyby w Weyfield za czasów babki, gdy wszystko robiła służba.

Sprzątała dalej, myśląc o okropnym liściku George'a i niedawnej kłótni z Jessem. Biedna Phoebe była później niepokieszona. Emma zauważyła nową cechę w przystojnym synu Andrew – w najlepszym przypadku był idiotycznie pozbawiony wrażliwości, w najgorszym – intrygantem. Zawsze miała zastrzeżenia co do George'a, ale nigdy nie odnosiła wrażenia, że ukrywa swoją orientację seksualną. Nie mogła tylko pogodzić się z faktem, że liścik pojawił się bez żadnego ostrzeżenia. Jeszcze dziś rano George wydawał się sobą (wprawdzie lekko wstrętym). Pomyślała o kłótni o banana. Było raczej przerażające, że ktoś mógł zachowywać się normalnie, ze stoickim spokojem, jednocześnie planując coś takiego. Zachował się prawie jak socjopata. Z pewnością to było problemem, a nie jego homoseksualizm.

Kiedy zmywarka zaczęła mruczeć, Emma poszła na górę, by zadzwonić do Nicoli. Rozmawiała z nią długo zaledwie wczoraj wieczorem i opowiedziała jej o pojawieniu się Jessego, wcześniej zobowiązując do zachowania ścisłej tajemnicy. Nicola podeszła do sprawy w typowy dla siebie sposób i powiedziała, że Emma musi „przegadać swoje emocje” z Andrew. W teorii wszystko wydawało się proste, ale w praktyce przypominało gadanie do obrazu. Nicola wypytywała, czy Andrew wcześniej „zachowywał się dziwnie”, jakby Emma potrafiła przewidzieć, że coś takiego nadciąga. Było to dość męczące, ale też i Nicola była męcząca –

w najbardziej uroczy sposób. Tylko dlatego, że bardzo się o nią troszczyła. Wykręciła numer przyjaciółki i zaraz usłyszała jej zbyt głośne: „Halo?”.

– Nicola, tu Emma. Ślub odwołany. George zostawił Phoebe.

– Co? Odszedł? Nie! Biedna mała Phoebs! Co się stało? W Weyfield nie ma ani chwili spokoju, prawda?

Emma opowiedziała jej o liściku i ostrych słowach przy obiedzie.

– Podejrzewam, że George może być gejem – odparła Nicola. – A Jesse wyczuje to bardziej niż Phoebe czy wy wszyscy.

– Tak myślisz? Nie jest nic a nic zniewieściał. Ale geje też potrafią wyglądać na prawdziwych macho.

– A nie jest przypadkiem homofobem? – zapytała Nicola. – Równie dobrze może się w nim pojawić element wyparcia.

– Ale po co się oświadczał, skoro nie był pewny?

– No cóż, pewnie nie chce być gejem – jeśli jest. Na tym polega problem. W innym wypadku nie spędziłby tyle czasu z Phoebe. Wiesz, czy ich pożycie seksualne było zadowalające? Czy w ogóle o tym mówiła?

– Nie! – Kierunek, w jakim zmierzała ta rozmowa, zaczął irytować Emmę. Dlaczego zawsze dzwoniła do Nicoli po współczucie, a potem wpadała w złość?

Do pokoju wszedł Andrew i skorzystała z tej wymówki, by zakończyć rozmowę. Trzymał filiżankę herbaty i pasztecik – domyśliła się, że dla niej, ponieważ sam nigdy nie jadał między posiłkami. Czyli nadal się przed nią płaszczyl.

– Gdzie jest Phoebe? – zapytała, kiedy postawił filiżankę na toalecie. Zagłuszyła w sobie głos matki i nie powiedziała, że na drewnie zostanie ślad. Andrew nie potrafił docenić dobrych mebli.

– Earl grey, madam?

– Dziękuję. Gdzie jest Phoebe? Wszystko z nią w porządku?

– Leży na sofie i użala się nad sobą, wyjadając nutellę prosto ze słoika.

– Okej. To dobrze. Je.

– Musisz przestać martwić się o Phoebe i zająć się sobą – powiedział.

– A gdzie jest Jesse? – zapytała, ignorując jego uwagę. Jak może się nie martwić o Phoebe? – Chyba nie zostawiłeś ich razem?

– Nie ma ani śladu Jessego. Chyba trzyma się na bezpieczną odległość – odparł Andrew.

– Przepraszam cię, ale nie mogę uwierzyć, że mógł zasugerować coś takiego, i to w obecności Phoebe. George nie jest gejem!

– To było dość niefortunne, że to usłyszała, wiem. Wyglądasz bardzo królewsko, siedząc tutaj – powiedział.

– Niefortunne? Gorzej już być nie mogło. Przez niego jest zupełnie rozbita.

– Chwileczkę, to George ponosi winę za wszystko, nie Jesse. Phoebe wpadła

w histerię na długo przed tym, jak cokolwiek powiedział. W każdym razie, czy to całe zamieszanie na koniec nie wyjdzie na dobre?

– Na dobre?

– Daj spokój, Emmo. Żadne z nas nie przepadało za George'em. Tolerowaliśmy go tylko dlatego, że gdybyśmy cokolwiek powiedzieli, Phoebe jeszcze bardziej by się nakręciła.

– No cóż. Wiem, że był trochę... – Urwała, nie wiedząc, jak powiedzieć to, co miała na myśli, nie wychodząc przy tym na snobkę. I tak ta rozmowa była przedwczesna. George dopiero co odszedł. Równie dobrze mogą się jeszcze zejść z powrotem.

– ...popieprzony? – dokończył Andrew.

– Andrew! Wiesz, że nie znoszę tego słowa. I nie, nie to miałam na myśli. Chodziło mi o to, że czasami martwiłam się, że on nie słucha Phoebe – powiedziała. Nie dodała: „I jego rodzice chyba popierali Brexit”, choć miała ochotę.

– Też mi różnica. Jesse powiedział, że uderzyło go, że nie są do końca dopasowani, jakby się bawili w bycie parą. Pomyślałem, że to dość przenikliwa uwaga.

– Och – rzuciła, nie chcąc się z nim zgodzić, choć miał rację. Jesse trafił w sedno. Andrew rzadko chwalił czyjeś opinie.

– Czasami rzeczywiście wydawali się niezbyt dobrze dobrani – przyznała łaskawie.

– Emmo, oni w ogóle do siebie nie pasowali. George to wrzaskliwy rugbysta. A Phoebe raczej nie będzie stała przy linii bocznej i dopingowała go z innymi żonkami. O wiele lepiej się stało, że rozstali się teraz, a nie za pięć lat – po żalonym rozwodzie.

– No, ale to oskarżenie o homoseksualizm. To jakiś absurd. I takie nietaktowne!

Andrew podrapał się po nosie.

– Nie zastanawiałaś się ani przez chwilę, czy Jesse nie ma racji? – powiedział, odwracając się twarzą do niej. – Skoro już mowa o głupich rugbystach?

– Nie! Oczywiście, że nie jest. Wiedzielibyśmy, gdyby był. Czemu miałby wiązać się z Phoebe?

– Zapominasz, jakimi ludźmi są Marsham-Smithowie. To nie jest Primrose Hill. Ani Los Angeles. Jego rodzice wpadliby w furję.

– Ale on ma prawie trzydzieści lat! Na pewno może być gejem, jeśli tego chce. Naprawdę! Przecież mają jeszcze innych synów.

– Najwyraźniej trzeci synowie w rodzinie często są homoseksualni. Nie mają innego sposobu, żeby się wyróżnić.

Postanowiła, że nie zaszczyca odpowiedzią tej głupkowatej teorii. Poza tym, to wszystko graniczyło z przyzwoitością. Podejrzała, że mimo wszystko Andrew jest raczej wstrząśnięty, że jego własny syn jest gejem.

– Rozmawialiśmy o tym z Jessem wcześniej – ciągnął Andrew. – Przeżył okropne chwile, wyznając, że jest gejem, jako nastolatek na Środkowym Zachodzie. To wymagało sporej odwagi.

Zacisnęła palce u nóg. Nic nie mów, nakazała sobie w duchu. Ale ciężko było słuchać, jak Andrew cytuje słowa Jessego, gdy tak rzadko wspominał Olivię. Poza tym, skąd się wziął ten entuzjazm dla nowego dziecka w rodzinie? Wczoraj musiała go nakłaniać, żeby ciepło przyjął chłopaka.

– Przykro mi z tego powodu i wiem, że jest twoim synem, ale kiedy skończy się kwarantanna, będzie lepiej, jeśli wyjedzie – powiedziała. – Phoebe potrzebuje trochę przestrzeni, żeby odetchnąć, podobnie jak my wszyscy.

Wstała i wzięła filiżankę na znak, że rozmowa dobiegła końca. Andrew może się zachowywać, jakby nic między nimi nie zaszło, ale ona potrzebowała więcej czasu.

Olivia

Salon na tyłach, Weyfield Hall, 21.33

Mdłości ustąpiły, jakby właśnie zesza z łódki. Niepokój – to jedyny powód. Kiedy Olivia zwymiotowała, o mało nie napisała do Seana, ale to tylko by go zdenerwowało. Torsje się nie powtórzyły. I nadal nie miała gorączki. Po obiedzie też ją kusiło, by do niego napisać. Wiedziała, że Sean zrozumie, dlaczego tak ją irytowały śmieszne teorie Jessego. Ale powinna pewnie trochę ochłonąć – i przynajmniej poczekać, aż Sean jej odpisze. Nie miała pojęcia, czy w ogóle dostał jej wiadomości, choć po wyjściu z izolátky powinien mieć przy sobie telefon. Czuła, że z tęsknoty za nim jest cała spięta.

Phoebe nadal się ukrywała, a kolacja z Jessem i rodzicami przebiegła w napięciu. Przynajmniej Jesse miał na tyle przyzwoitości, by się nie odzywać. Jego komentarze o George'u, nieoparte żadnymi dowodami, nadal budziły w niej złość. Przypomniała sobie, jak radził Emmie, by zrezygnowała z chemioterapii, i o tym, że Phoebe prosiła, by porozmawiała o tym z Andrew. Było jej żal siostry. Phoebe wyglądała na przerażoną, gdy Jesse zasugerował, że George jest gejem. Olivia chciała mu za to odpłacić. Jak śmiał kopać jej siostrzyczkę, gdy już leżała na ziemi?

– Tak?! – zawołał Andrew, gdy zapukała do drzwi palarni, po czym rzucił: – Olivia! Czemu zawdzięczam tę przyjemność? – Żałowała, że zawsze zwraca się do niej tym sztucznym, oficjalnym tonem. Z Phoebe tak się nie zachowywał.

W rogu kanapy leżała poduszka i koc. Pewnie spał tutaj zeszłej nocy. Być może między rodzicami nie układało się tak dobrze, jak chcieli pokazać.

– Chciałam z tobą porozmawiać o Jessem. O pewnych jego pomysłach. – Czemu zabrzmiało to tak nieśmiało? Musi być dorosła, jak w pracy, musi sobie wyobrazić, że ojciec jest jej kolegą.

– Ach tak. O jego gejowskim radarze?

Nadal stała w drzwiach, podczas gdy on nachylał się nad biurkiem.

– Nie. Choć pewnie to część tego samego zjawiska.

– Wejdz, dziecko.

Usiadła na starej płóciennej kanapie, unikając szarej plamy w kształcie głowy na oparciu. Sprężyny ugięły się pod jej ciężarem i kolana podskoczyły jej pod brodę. Pokój z boazerią z drewna tekowego i ciężkimi dywanami nadal pachniał cygarami i kasztanami – tak że nawet powietrze wydawało się brązowe.

– Dziś rano zasypywał mamę zaleceniami rodem z pseudonauki. Chodziło mu o jej diagnozę.

– Tak?

– Wygadywał bzdury, twierdząc, że chemia nie jest potrzebna. Że można pokonać raka „dieta alkaliczną”, cokolwiek to oznacza. Zarzucał ją tymi alternatywnymi holistycznymi bredniami.

– Ale Emma z pewnością tego nie kupiła? – zapytał Andrew.

– Wygląda na to, że tak. Szukali w internecie diet sokowych i tym podobnych rzeczy.

– Podejrzewam, że chciała mu sprawić przyjemność, wiesz, że zawsze chce być miła. A kilka smoothie z jarmużu chyba nie zaszkodzi?

– Jeśli mają zastąpić chemię, to zaszkodzą. Chorzy na raka są bardzo podatni na sugestie. Bo są zdesperowani.

Andrew nie odezwał się, lecz podszedł do kanapy. Kiedy usiadł, w powietrze wzbija się chmura kurzu.

– On na pewno chce dobrze – powiedział. – Tylko próbuje pomóc. – Z bliska wyglądał na zmęczonego i był nieogolony. Zrezygnował z oficjalnego tonu.

– Może, ale to nieodpowiedzialne. Jesse nie ma pojęcia o medycynie. Światowa Organizacja Zdrowia oficjalnie podważyła tego typu terapie. Nie ma żadnych ważnych badań dotyczących alternatywnych metod leczenia raka, to tylko zgraja szarlatanów-dietetyków niemających pojęcia, o czym mówią. – Urwała. Irytacja tu nie pomoże.

– Olivio, nie musisz mnie przekonywać. Ja też jestem racjonalistą. My, dziennikarze, lubimy fakty, dowody, podobnie jak wy, naukowcy.

– Ale mama tak nie myśli. Jeśli coś napisano w gazecie, to na pewno prawda. – Za późno uświadomiła sobie, że właśnie podważyła jego stwierdzenie dotyczące dziennikarzy. – Porozmawiasz z nią? – dodała. – Ciebie posłucha.

– Mogę spróbować, ale twoja matka i ja... – Zawahał się. – Po tym wcześniejszym zamieszaniu z Phoebe inaczej patrzy na Jessego. Chyba nie musisz się już martwić, że spija każde słowo z jego ust.

– To chyba dobrze.

– Być może, w tym przypadku. Ale szkoda, że wszystko tak szybko się popsuło. – Powiedział to do kominka, nie do niej.

– Z góry było wiadomo, że to okaże się skomplikowane – odparła z wahaniem. Ojciec wyglądał na bardzo zmęczonego. Trochę było go jej żal.

– Jesteś mistrzynią niedopowiedzeń – odparł znów tym sztucznym głosem, lecz spojrzał na nią z uśmiechem. Kiedy się uśmiechał, na jego twarzy widać było cień Jessego. Tak musiał wyglądać w młodości w Libanie. – Mam nadzieję, że ta kwarantanna nie była dla ciebie zbyt uciążliwa – powiedział po chwili. – Wiem, że nie jesteś fanką świąt w Weyfield. Ja kiedyś czułem to samo. Zwykle załatwiałem sobie jakąś robotę na dwudziestego siódmego. To jeszcze jedna wspólna cecha dziennikarzy i lekarzy: zawsze jesteśmy pod telefonem.

– Z pewnością dużo się działo. A teraz jeszcze Phoebe i George. Naprawdę

nie powinien stąd wychodzić, kiedy jeszcze nie jestem czysta.

– Nie przejmuj się tym. Na pewno wszystko będzie w porządku. A jeśli o mnie chodzi, może zarazić Haag całą tę swoją okropną rodzinę.

Olivia uśmiechnęła się wbrew sobie. Jego pewność przynosiła pociechę.

– A ty? – zapytał, patrząc prosto na nią. – Nie jest łatwo wrócić do domu, prawda?

– Dla ciebie to też było trudne? – zapytała.

– Oczywiście. Tym trudniejsze, że mieliśmy czuć ulgę, mając bieżącą wodę, bezpieczne drogi, przyzwoite jedzenie, całą resztę. Ale niekoniecznie tak było. Odkryłem, że człowiek przyzwyczaja się do prostego życia. I jeszcze twoja matka, trzęsąca się nade mną w najlepszej wierze. Widzę, że teraz robi to z tobą.

– Mmmm. Głównie chodzi o Seana. Coughlana – dodała, choć idealnie podsumował dziwny dyskomfort, który czuła w zachodnich luksusach.

– Jasne. Musi ci być trudno, gdy stale słyszysz jego nazwisko w wiadomościach. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko takiemu porównaniu, ale mój operator został postrzelony w Bejrucie i kiedy wszędzie widziałem jego nazwisko, czułem się, jakby ktoś sypał sól na moje rany.

– Wyszedł z tego?

– Nie. Umarł. Byłem przy nim do końca.

– To straszne.

– Zabawne nie było.

– Dlatego z tym zerwałeś?

– Po części. Ale bardziej chodziło o to, że po narodzinach Phoebe zażądała tego twoja matka. Nie poznawałaś mnie, gdy wracałem do domu, i bardzo jej to przeszkadzało.

– Naprawdę? Przepraszam. Nie wiedziałam.

– Nie przepraszaj. Byłaś malutka. Czemu miałybyś mnie poznawać, gdy stale gdzieś wyjeżdżałem?

– Mimo wszystko. Było ci ciężko?

– Nie jest łatwo skończyć z czymś, co jest twoją pasją. Gdyby w Libanie nie było dziennikarzy, mnóstwo ludzi nie zwróciłoby uwagi na ten konflikt. Emma nie chciała znać szczegółów. Była przerażona, że mnie porwą, że zostanę następnym Terryem Waite'em.

– Czy Jesse ci to przypomniał?

– W pewnym sensie. Ale nigdy o tym nie zapomniałem. Jeździłem do Bejrutu przez dziesięć lat. Pamięć jest bardzo dziwna, przynajmniej moja. Żeby móc przetrwać, w większości blokujesz najgorsze chwile, czasami niemal tuż po tym, jak się wydarzyły. A potem po latach nagle powracają.

Przez chwilę patrzyli na siebie. Zupełnie jakby czytał w jej myślach albo jej blog. Wyciągnął rękę i niezgrabnie poklepał ją po dłoni. Przypomniała sobie, jak

mała wydawała się jej rączka w jego wielkiej dłoni, gdy przechodzili przez ulicę po narodzinach Phoebe, gdy ojciec wrócił do domu.

Emma

Sad, Weyfield Hall, 22.02

Emma wracała z bungalowu, oświetlając latarką drogę przez sad. Phoebe nie chciała spać w głównym budynku. Emma wiedziała, że to przez Jessego, choć Phoebe o tym nie wspominała. Czemu miałyby chcieć spać sama w ciasnym bungalowie? Jesse przez całe popołudnie ukrywał się w Pokoju Różanym i dołączył do nich tylko na kolację, której prawie nie tknął. Przeprosił za swoje słowa i nie wątpiła, że jest mu przykro. Ale mimo wszystko. Limit wybaczenia powoli zaczynał się wyczerpywać. Cierpiała na widok rozpaczy młodszej córki. Żałowała, że nie może jej już pocieszyć gorącą czekoladą i Harrym Potterem.

Kiedy mijala resztki ogniska, coś kazało się jej zatrzymać. Przypomniała sobie, jak świetnie się tu wczoraj bawili. Że to był ostatni raz, gdy stali razem jako czteroosobowa rodzina – w pewnym sensie już nigdy nią nie będą. Tylko my, pomyślała. Radośnie nieświadomi. A raczej to ona i dziewczęta były radośnie nieświadome. Kto mógł wiedzieć, co myślał Andrew, mając na sumieniu e-maile od Jessego?

Przypomniała sobie pytanie Nicoli: „Czy Andrew zachowywał się dziwnie?”. Gdy stanęła znów na tym miejscu, uderzyło ją, że przy ognisku Andrew nie do końca był sobą. Coś gadał o pisaniu powieści, o której nigdy wcześniej nie wspominał. I stale poklepywał się po kieszeniach, jak zawsze, gdy czegoś szukał. O mało nie zapytała go, co zgubił. Ale jej uwagę najpierw odwróciła kulejąca Phoebe, potem zabawa przy ognisku, później zaczęło padać, a gdy pojawił się Jesse, o wszystkim zapomniała. Jednak kiedy wracała myślami do tamtej sytuacji, Andrew wydawał się podenerwowany. Przypomniała sobie, jak wpadł na strych i wyrwał jej neseser. Wtedy nie zwróciła na to uwagi. Nie miała powodu. Ale wyglądał na wzburzonego, co było do niego niepodobne. I co potem robił na poddaszu? Siedział tam strasznie długo. Przetrawiała to wszystko wpatrzona w kupkę popiołu i węgielków. Po chwili nie mogła już zignorować palącego pragnienia, by iść – natychmiast – i zajrzeć do neseseru.

Na strychu było tak zimno jak w ogrodzie. W ciemnościach omal nie potknęła się o pudła ustawione na podłodze w głównym pomieszczeniu. Andrew chyba zabrał neseser na poddasze po prawej. Weszła do malutkiego pokoju z mansardowym sufitem i zapaliła górne światło – klosz oblepiały martwe ćmy. Omiotła spojrzeniem podłogę i natychmiast zauważyła neseser. Leżał pod łóżkiem pomiędzy jej starym szkolnym kufrem i zaschniętymi puszkami farby Farrow & Ball. Poczowała suchość w gardle i próbowała przełknąć ślinę. Co neseser tu robi? Czemu go tam schował? Wiedziała, że miała rację. Kobieca intuicja. Choć oddalili

się od siebie, nadal wiedziała, gdy Andrew coś ukrywał. Ta myśl nappełniła ją ponurą satysfakcją.

Usiadła na gołym materacu i położyła neseser na kolanach. Gładkie boki i ostre rogi przeniosły ją do innych czasów – kiedy wydawało się, że niemal stale stoi w holu w szlafroku, podając Andrew bagaże i próbując zapanować nad malutką Olivią. Czy wtedy wszystko zaczęło się psuć? Poruszyło się w niej coś na kształt smutku. Uświadomiła sobie, że nadal jest lekko wstawiona po winie wypitym do kolacji. Przesunęła palcami po mosiężnych okuciach, zastanawiając się, co znajdzie w środku. Dokumenty adopcyjne gromady innych bękartów? Stos zdjęć pięknej, egzotycznej matki Jessego? A może coś bardziej prozaicznie obrzydliwego – zapasowy telefon komórkowy, by łatwiej prowadzić podwójne życie?

Nachyliła się nad zamkami z szyfrem. Jeden Dziewięć Pięć Zero – jej sentymentalny mózg wiedział, że to będzie data jego urodzin. Zamki puściły. Wstrzymując oddech, podniosła wieko. I – nic. Neseser był pusty. Ujęła go za rączkę, by otworzył się cały, potem ujęła za obie, odwróciła do góry nogami i potrząsnęła. Potem rozłożyła go płasko na łóżku i przeszukała wszystkie kieszonki. Nadal nic. Znalazła tylko zmięty paragon z drogerii Boots na lotnisku Gatwick z 1987 roku.

Usiadła na łóżku, czując się totalnie głupio. To przypomina scenę z Northanger Abbey, pomyślała, kiedy Catherine Morland otwiera starą gotycką komodę i znajduje tam jedynie pościel. Jak mogła? Najpierw sprawdzała paszport Jessego, a teraz węszy w neseserze męża? Nie chciała być taką kobietą. Do diabła z Andrew. Oto w co zamieniło ją ukrywanie przez niego e-maili Jessego – w zazdrosną żonę. Zbierało jej się na płacz, kiedy zamykała neseser i wsuwała go na miejsce. Przechodząc przez strych, zatrzymała się, by poprzesuwać pudła pod ściany. Czemu dziewczęta nigdy po sobie nie sprzątają? Była już w połowie schodów, kiedy przypomniała sobie, że neseser miał jeszcze sekretną kieszonkę w podszewce.

Andrew

Palarnia, Weyfield Hall, 22.20

Andrew siedział na sofie i rozmyślał. Jego starsza córka, która zwykle unikała jego wzroku i odpowiadała mu monosylabami, otworzyła się. Odbyli coś na kształt prawdziwej rozmowy.

Potem przypomniał sobie, co było jej powodem – Olivia przyszła poskarżyć się na niestosowne porady Jessego. W ciągu dwudziestu czterech godzin Jessemu udało się zrazić do siebie całą rodzinę – najpierw Phoebe, potem Emmę, a teraz Olivię. Wczoraj, w swojej naiwności zakładał, że Jesse nieźle sobie radzi. Emma przekonała się do niego, Olivia zdawała się go akceptować – bez wątplenia w swoim czasie oczarowałby też Phoebe. To Andrew miał problemy, by jakoś zrozumieć tego słonecznego przybysza.

Lecz dzisiaj Jesse wszystko popsuł swoimi opiniami rzucanymi w dobrej wierze i radami.

Andrew nieoczekiwanie poczuł, że chce go bronić, jakby znał syna o wiele dłużej. Poza tym był przekonany, że Jesse nie myli się co do George'a.

Pomyślał o paskudnej, otwarcie wyrażanej homofobii – nie wspominając już o obrzydliwych strojach z lycry. Phoebe naprawdę miała szczęście, że się od niego uwolniła. Ale kiedy chciał to wszystko wytłumaczyć Emmie drugi raz, przed kolacją, uciszyła go. „To normalne, że próbujesz się pogodzić z faktem, że twój syn jest gejem, ale to nie ma nic wspólnego z George'em”, powiedziała. Cholernie protekcjonalnie. Kiedy zaprotestował, zmieniła front i powiedziała, że jest wyraźnie „zauroczony Jessem”. Nigdy nie trzymała się tematu rozmowy. I nie był wcale zauroczony Jessem. Udowodni jej to, opowiadając o rozmowie z Olivią. Tak naprawdę nie spodziewał się, że Emma poważnie potraktuje wątpliwe medyczne porady Jessego. Ale to była pierwsza rzecz, o którą poprosiła go Olivia od czasu, gdy była dzieckiem. Chciał dotrzymać słowa.

Emma

Korytarz na tyłach, Weyfield Hall, 22.27

Prawie wpadła na Andrew, gdy szła szybkim krokiem do palarni, z której on wychodził. Ujął ją pod łokieć, by ją przytrzymać. Cofnęła się.

– Chodź do piwnicy!

– Co?

– Do piwnicy.

Wyglądał na zdumionego, ale niewiele ją to obchodziło. Tradycją Hartleyów było prowadzenie niewygodnych rozmów w piwnicy – zapewniała prywatność w domu pełnym służby. Choć teraz nie musieli się tym przejmować.

Otwierając drzwi do piwnicy, włączyła latarkę i zaczęła schodzić po kamiennych stopniach z krawędziami zaokrąglonymi przez przodków. W tych głębokich czeluściach domu było coś kojącego. Wdychała wyraźny zapach wilgoci, jak w kościele, rozglądając się po pomieszczeniu w kształcie dzwonu. Na regale na wino po prawej stronie nadal stały ostatnie butelki ich ślubnego clareta, który Andrew oszczędzał Bóg jeden wie na co.

– To – powiedziała, wręczając mu list, który znalazła w podszewce neseseru. Rozpoznał go od razu.

– Skąd... Chryste – powiedział, siadając na ostatnim stopniu i pocierając czoło.

– Tak? – odparła, patrząc na kartkę w jego rękach.

– Emmo, jestem... jestem głupcem. Jestem taki głupi...

– Głupcem? Z pewnością jesteś nieudolny. Zakładam, że nigdy nie zamierzałeś mi o tym powiedzieć? Myślałeś, że to się tak skończy?

– Wydawało mi się, że tak będzie lepiej. Myślałem, że przysporzę ci niepotrzebnego bólu. Jeśli już musisz wiedzieć, planowałem go spalić. Ale potem...

– Lepiej było go spalić? Kłamać, zacierać ślady, jak wąż nocą? – Wiedziała, że mylą się jej metafory, ale nie dbała o to.

– Emmo, pozwól mi dokończyć. Planowałem go spalić, ale potem zjawił się Jesse i pomyślałem, że zasługuje na to, by kiedyś go zobaczyć. To wszystko, co zostało mu po matce.

– A, tak. Jakie to szlachetne z twojej strony. Uważasz, że zasługujesz na medal?

– Proszę, nie bądź sarkastyczna. Musisz zrozumieć, że nie uwierzyłem w ten list, gdy go dostałem. Pomyślałem, że to jakieś oszustwo albo że ta kobieta ma omamy. Dopiero kiedy napisał do mnie Jesse, dotarło do mnie, że to prawda i...

– I trzymałeś go przez cały ten czas? – przerwała mu. – W ukryciu, przez ponad rok. Tak na wszelki wypadek?

– Mmmm.

Żadne z nich się nie odezwało.

– Nie odpisałem jej – powiedział w końcu Andrew. – Nigdy nie prowadziliśmy korespondencji.

– Andrew! Ty nadal niczego nie rozumiesz, prawda? Guzik by mnie obeszło, gdybyś odpisał tej biednej kobiecie. Tak naprawdę, byłoby to jak najbardziej przyzwoite, do kurwy nędzy! – Jak dobrze było przeklinać. Serce waliło jej jak młotem. – Problemem jest to, że kłamiesz. Ukrywasz różne rzeczy, palisz je! Kto się tak zachowuje? Jak mogę ci teraz zaufać? Jak mogę wierzyć w cokolwiek, co powiedziałaś?

– Emmo...

– Nie! Nie chcę słuchać twoich marnych wymówek! Myślałam, że mimo wszystko jesteś przyzwoitym człowiekiem.

– Słucham? Mimo wszystko?

Uświadomiła sobie, że zabrnęła za daleko, by się teraz wycofać.

– Tak. Mimo to jak traktowałeś mnie, nas wszystkie.

– Jak traktowałem ciebie? Czy cię nie wspierałem? – Wstał, górując nad nią. Na jego twarzy malował się gniew.

Cieszyła się. Chciała się pokłócić, tak naprawdę. Chciała, żeby był zły, nie skruszony.

– Ha! Wspierałeś mnie?! – rzuciła. – Masz pojęcie, jak się dla ciebie poświęcałam? Wiesz, jak to jest: zrezygnować ze wszystkiego, na co się pracowało, zajmować się dwójką małych dzieci, żebyś ty mógł robić, co chciałeś?! I odpłacasz mi... – Nie mogła stracić rozpedu. Jeśli mu pozwoli, przypomni jej, że sama chciała zrezygnować z pracy. – Odpłacasz mi naburmuszoną miną, kąśliwymi uwagami, narzekaniem, zmuszając nas, żebyśmy chodziły na paluszkach za każdym razem, gdy redaktor usunie choć słowo z twojego złośliwego felietonu.

– Taką masz opinię o mojej pracy? – zapytał cicho. Zmrużył oczy. – Myślisz, że o tym marzyłem? O recenzowaniu restauracji, kiedy mogłem opisywać, co dzieje się na świecie? Nie ty jedna z czegoś zrezygnowałaś, Emmo!

– Jezu, nadal tego nie przebolełaś. Przepraszam, że ściągnęłam cię tutaj ze strefy wojennej, kiedy miałaś dwie córki! Przepraszam, że zepsułam ci zabawę, bo chciałam, żeby dorastały z ojcem, nie z zakładnikiem albo... nagrobkiem.

– Wojna domowa to nie zabawa. Ale jest ważna.

– Ważniejsza od córek?

Nie odpowiedział.

– Wielki był z ciebie ojciec – dodała. Nie była gotowa, by skończyć kłótnię.

– Słucham?

– Teraz też udajesz, że nie wiesz?

– O czym?

– O tobie i Olivii! Prawie się do niej nie odzywasz! Nawet nie próbujesz z nią rozmawiać. Zawsze byłeś tylko ty i Phoebe. Jak myślisz, co czuje Olivia? Czemu nigdy tu nie przyjeżdża? – Zastanawiała się, czy nie posunęła się za daleko.

– Przykro mi, że tak to odbierasz, Emmo – rzucił cierpko. – Jeśli już o to chodzi, wcześniej odbyłem z Olivią bardzo pouczającą rozmowę. Właśnie cię szukałem, żeby ci o tym powiedzieć.

Zawahała się. Chciała się dowiedzieć, o czym rozmawiali, ale nie zapytała.

– Nie było jej łatwo wrócić – ciągnął. – Bez wątpienia wiesz sobie, że tak się nad nią trzęsiesz. Ale nie masz pojęcia, przez co ona przechodzi, przez co przeszła.

– A ty masz?

– Większe od ciebie.

– Przepraszam, ale co to ma wspólnego z twoim ukrywaniem czegoś takiego? – Wyrwała mu list.

– Sama poruszyłaś ten temat! A tak między nami, nie jestem jedyną osobą w tym małżeństwie, która ma tajemnice. Bóg jeden wie, kiedy planowałaś mi powiedzieć, że masz raka. Gdyby Jesse nie wspomniał...

– Jesse? Jesse! A co z nami? Co ze mną? – Czowała, że traci panowanie nad sobą, że puszczają tamy, które wznosiła przez lata. Chwyciła za szyjkę butelkę wina z regału i trzymała ją nad głową, czując, jakby patrzyła na kogoś innego – na kogoś, komu pomieszało się w głowie. Wszystko widziała w zwolnionym tempie, gdy puściła butelkę, która rozbiła się na kamiennej podłodze.

Andrew wzdrygnął się na widok eksplozji purpurowego płynu i szkła; wino opryskało mu skarpetki i nogawki spodni.

– Co cię, do cholery, opętało?! – krzyknął, cofając się na schody.

Spojrzała na szkło i wybuchnęła jednocześnie płaczem i śmiechem. Cichy głosik w jej głowie zastanawiał się, czy na kamieniach zostanie plama i czy nie powinna pójść po sól.

Olivia

Pokój Wierzbowy, Weyfield Hall, 23.03

Olivia zaciągnęła zasłony, zatrzymując się na chwilę, by wyrzucić przez okno. Zobaczyła kałuże lśniąca jak czarne szkło. Kakao otarł się jej o nogi; podniosła go i oparła policzek o jedwabistą głowę. Tuliła go tak jako nastolatka, szeptała żale do ucha, biorąc jego mruczenie za wyraz współczucia. Mniej więcej w tym czasie przestała nazywać Andrew „tata”, licząc w duchu, że się temu sprzeciwi. Ale przeszkadzało to tylko Emmie. Dziwnie było go teraz słuchać, jakby byli sojusznikami. Odkąd pamiętała, Andrew i Phoebe mieli swój własny świat. I przywykła do tego. Phoebe była tą uroczą siostrą. Ale być może miała rację – może byli z ojcem bardziej do siebie podobni, niż się jej wydawało. Dawno temu założyła, że Andrew sam zrezygnował z pracy korespondenta wojennego, a nie pod naciskiem Emmy. Zupełnie jakby patrzyła z przeciwległej ściany na pokój, który dotąd oglądała tylko z jednej strony. Phoebe i Andrew mieli te swoje prywatne żarciki dotyczące świata mediów, ale jego wcześniejsza praca w strefie wojennej bardziej przypominała jej pracę. I wydało jej się, że on chce, by to dostrzegła. Na myśl o tym poczuła ciepło. Ciepło i niepokojąco łzawy żal w stosunku do siebie jako nastolatki. Tej za wysokiej jak na swój wiek czternastolatki, która tuliła kota i nasłuchiwała, jak Andrew i Phoebe wychodzą do kolejnej restauracji.

Zadzwęczał iPad i Olivia puściła Kakao, żeby odświeżyć pocztę. Wszystko w niej podskoczyło, gdy zobaczyła nazwisko nadawcy: Sean Coughlan. Otworzyła wiadomość i zaczęła czytać.

TEMAT: Re: Fiu, fiu!

OD: Sean Coughlan <SeanKCoughlan@gmail.com>

DATA: 28/12/2016 23.00

DO: Olivia Birch <olivia.birch1984@gmail.com>

Olivia Birch!

Wróciłem do krainy żywych... Z iPadem i wszystkim... Nie będę kłamał, nie były to najweselsze święta. Głównie dlatego, że tak bardzo się o Ciebie martwiłem. Na pewno wszystko jest OK? Obiecuj, że mi powiesz, jeśli tylko coś będzie nie tak. Czuję się okropnie, nie mogąc się z Tobą skontaktować ani sprawdzić, jak się miewasz.

Dobrze było czytać Twoje wpisy na blogu (dzięki, że mnie wspierałaś!) i dostawać Twoje mejle. Wygląda na to, że kwarantanna była pełna wrażeń... Jak rodzina Birchów radzi sobie z pojawieniem się Jessego? Przykro mi z powodu Twojej Mamy, to musiało być trudne. Chyba musisz nadal próbować z nią porozmawiać.

Ja też nie powiedziałem o nas mojej rodzinie, ale chyba będę musiał. Sami się domyślą, patrząc na ten głupi uśmiech, który nie znika z mojej twarzy. Odliczam godziny do końca Twojej kwarantanny i naszego spotkania.

Muszę już kończyć, czeka mnie nakłucie łądzwiowe – stoi nade mną pielęgniarka. Chyba na mnie leci, bo jestem kimś w rodzaju celebryty. Dla Twojej informacji, ma co najmniej sześćdziesiąt lat.

Tęsknię za Tobą, Stóirín. Mnóstwo wolnych od haag całusów!

Czytała e-mail raz za razem. Żałowała, że nie może zamknąć tego uczucia w butelce – cudownego połączenia radości i ulgi. Ten e-mail i wcześniejsza rozmowa z Andrew sprawiły, że dzień jakby się odwrócił. Napiszę do Seana jutro z samego rana, postanowiła, zwijając się w kłębek pod ciężkimi kocami. Za oknem zahukała sowa. Na razie chciała się cieszyć myślą, że nie musi już czekać na odpowiedź.

8

29 grudnia 2016

Siódmy dzień kwarantanny

Andrew

Palarnia, Weyfield Hall, 4.16

Andrew nie mógł się wygodnie ułożyć. W kanapie było pełno zagłębień. Zerwał maskę na oczy rozdawaną w samolotach i wtulił twarz w szorstką poduszkę. Kłótnia nadal wydawała mu się kompletnie nierealna. To było tak niepodobne do Emmy – oskarżenia, całe to przedstawienie, rozbicie butelki. To było margaux z 1980 roku. A wszystko z powodu jego totalnej głupoty, która kazała mu założyć, że uda mu się ukryć przed Emmą list Leili. Co sobie wyobrażał?

Rankiem przed ogniskiem schował list w pudle z gazetami, które mieli wrzucić do ognia. Ale wyczuł, że Olivia go obserwuje, i zawahał się – z pudłem u nóg. A potem zjawił się Jesse. Z każdą mijającą godziną słowa Leili kłuły go coraz mocniej. *Jeśli skontaktuje się z Tobą któregoś dnia, powiedz mu, proszę, że nie było dnia, żebym o Nim nie myślała. Moim ostatnim życzeniem jest, by był szczęśliwy.* Jak mógł spalić te słowa – być może jedyne, jakie Jesse kiedykolwiek usłyszał od matki? To by było nieodwracalne. Wyjął więc list z gazetowej trumny i zeszedł nocy znów ukrył go w neseserze. Nadal nie przychodziło mu do głowy, jak Emma go znalazła. Gdy schodził ze strychu, spuścił nawet wodę w toalecie, by wytłumaczyć snucie się po domu. Co za absurd! Spotkał jedynie George'a, który torturował pajaka. Ale to nie miało znaczenia. Teraz Emma wie.

Kiedy odtwarzał w pamięci kłótnię w piwnicy, wyrzuty sumienia rozlały się w dziesiątki dopływów. Jednym z nich było to, że brał Emmę za pewnik, wykorzystując jej troskliwą naturę i zdolność do wprawiania w ruch trybów rodzinnej maszyny. Jak mógł pozwolić, by ich miłość przeszła od czułych listów ze strychu do mijania się w otoczce wymuszonej wesołości. Pomyślał o tym, co powiedziała: że on nigdy nie rozmawia z Olivią. Wiedział, że to prawda. Co go powstrzymywało, by powiedzieć córce, że jej praca jest godna podziwu? Miał już ku temu okazję. Przez zasłony sączył się świt. Andrew położył się na wznak, by rozłożyć swoje życie na czynniki pierwsze. Czemu zrezygnował z czynienia dobra, kiedy odszedł z „Timesa”? Co się stało z jego ambicją, z jego charakterem? Myślał o tych wszystkich biednych właścicielach restauracji, których wyszydzał w felietonach. Ten pełen szyderstwa głos nie był mu bliski. A przynajmniej dawniej. Była to poza, którą przyjął w pracy, tak jak niegdyś wkładał kamizelkę kuloodporną i ruszał na poszukiwanie prawdy. Każdy żal zdawał się pociągać za sobą następny, jakby obrócił w myślach wielką kłodę i znalazł pod nią wijące się paskudne stonogi.

Z drugiej strony, czy kłótnia z Emmą nie była dziwnie ożywcza? Już od lat

nie wyrażali swoich nieskrywanych odczuć bez cenzury. Nawet ich rozmowa po przybyciu Jessego była powściągliwa – jakby oboje spojrzeli w przepaść i zdecydowali się pozostać na jej krawędzi. Poczuł ulgę, gdy zobaczył, jak Emma traci panowanie nad sobą, rezygnuje z postawy chodzącej doskonałości. Kiedy byli młodzi, czasami wpadała w złość. Wtedy uważał to za seksowne. Ale kiedy urodziła się Olivia, Emma wyciszała każdy konflikt, sycząc: „Nie przy dziecku”. A potem, w którymś momencie, zrezygnowali z kłótni i z wszystkiego innego. Jakaś jego część chciała teraz położyć się obok Emmy, jakby jej ciało mogło uspokoić jego gorączkowe myśli. Kiedyś tak było, gdy budził się z koszmarów pełnych bomb, kul i ciał porzuconych na drogach. Ale wiedział, że Emma nie będzie tego chciała.

Phoebe

Podjazd, Weyfield Hall, 9.00

Phoebe stała na jednej nodze na podejździe i próbowała złapać zasięg. Zimno szczypało ją w uszy i usztywniało palce. Mimo wszystko było to lepsze niż siedzenie w domu. Nie mogła stanąć twarzą w twarz z rodziną albo – co gorsza – z Jessem i nie mogła już znieść bungalowu, gdzie przy każdym oddechu czuła zapach wody po goleniu George'a. Wydawało jej się, że czuje ból w okolicy serca, jakby gdzieś za lewą piersią miała wbity kawałek szkła. Dziś rano leżała w łóżku przez wiele godzin, próbując przetrwać to, co się stało, i wracając myślami do minionych tygodni. Co sprawiło, że zmienił zdanie? Tak bardzo się starała być idealną dziewczyną. Jej linia bikini była nieskazitelna przez wiele miesięcy, gdy czekała, by się oświadczył. Tyle bólu i oto, co dostała w zamian.

Ze złości kopnęła suche liście, zapominając, by nie ruszać stopą, i jęknęła z bólu. Czy wystraszył go cały ten dramatyzm ostatniego tygodnia w Weyfield? Uciszyła głos mówiący w duchu, że George powinien umieć radzić sobie z chorobą, sekretami i kłótniami. Kiedy zbliżyła się do drogi, zauważyła na ekranie telefonu jedną kreseczkę. Wpatrywała się w nią, czekając, by pojawiło się ich więcej, by dostała wiadomość od niego. Ale nadawczynią jedynej wiadomości była Lara, która pytała: „Co robicie z G w sylwestra?”. Uświadomiła sobie z bólem, że liczba mnoga już nie istnieje. Była tylko Phoebe, która nie mogła się poszczycić niczym poza żenującą pracą. Od tak dawna byli z George'em parą. Bycie w związku to jedyna rzecz, która czyniła ją dorosłą.

Szare audi, takie jak George'a, przemknęło drogą i Phoebe omal nie wybuchnęła płaczem. Ale miała już dość opuchniętej twarzy, piekących oczu, drapania w gardle – a minął dopiero dzień. Idąc za radą matki, nadal się z nim nie kontaktowała. I tak nie wiedziała, co miałyby powiedzieć. Trudno oddzielić dumę od serca, zorientować się, co przyjęło bardziej dotkliwy cios. Robiło jej się niedobrze na myśl, że będzie musiała powiadomić wszystkich o odwołanym ślubie. Ale ten sam głos gdzieś z tyłu głowy zapytał: „Naprawdę się dziwisz?”. Pomyślała, z jakim trudem usiłowała sobie wyobrazić ich ślub, dzieci, George'a jako starszego pana. Być może nigdy tak naprawdę nie wierzyła, że do tego dojdzie. A potem pomyślała o tym, co powiedział Jesse, i gdzieś głęboko była przekonana, że to ma sens i może być prawdą. George zawsze z takim obrzydzeniem podchodził do gejów, a jednak wynajdywał ich w towarzystwie. Stale używał epitetu „pedalski”. Nigdy nie przepadał ze seksem. Poczwała na skórze ciepło upokorzenia. Zapytała go wprost. Może nie będzie mogła zobaczyć jego twarzy, ale wyczuje to w głosie. Zasługiwała na to, by wiedzieć. Był jej winien choć tyle.

Jesse

Pokój Różany, Weyfield Hall, 9.21

Nigdy tak bardzo nie tęsknił za domem. Ani nie był taki głodny. Od wczorajszego śniadania mało co jadł. I nie spał niemal przez całą noc, raz jeszcze odtwarzając wszystko w głowie. Obojętne, na którą stronę się przewrócił, prześcieradła i koce oplatały mu nogi jak sieć. Czy Brytyjczycy nie mają kołder? Teraz, wpatrując się w szarość poranka, marzył, by wcisnąć przewijanie do tyłu. Nie pasował tutaj i był głupi, myśląc, że znajdzie się tu dla niego miejsce. Cały pomysł z filmem dokumentalnym o adopcji nie był wart funta kłaków.

Wiedział, że musi wyjść z pokoju. Ale na myśl o spotkaniu z którymkolwiek członkiem rodziny Birchów na nowo zalewał go wstyd. Kolacja zeszłego wieczoru była cichą torturą. Jesse rozważał, czy nie uciec jak George, ale gdyby teraz wyjechał, zakończyłby nieodwołalnie jakąkolwiek relację z Andrew. Kropka. Poza tym to rozzłościłoby Olivię, której bardzo zależało na dokończeniu kwarantanny. Musi zostać i jakoś to wszystko dziś naprawić. Tak poradziliby mu rodzice. Przeprósi Phoebe i jeszcze raz Emmę. Postara się zrehabilitować w oczach Olivii, zadając jej takie pytania o Liberię, jakich nikt inny jej nie zadał. Tak przedstawiał się plan.

Teraz jest dobra pora, by coś przekąsić, bo pięć minut temu widział, jak Phoebe kuśtyka podjazdem. Było mu jej okropnie żal. Przypomniawszy sobie, jak się czuł, gdy rzucił go Cameron. Dwa dni nie wstawał z łóżka – dobrze, że Phoebe nie poszła w jego ślady. Wiedząc, że najprawdopodobniej przyczynił się do decyzji Geor---ge'a, poczuł się jeszcze bardziej parszywie. Ale ten cały związek był skazany na porażkę, przypomniawszy sobie w duchu, bez względu na pierścioneńkę zaręczynową. Gdyby nie on, na pewno pojawiłby się ktoś inny.

Przed wyjściem z pokoju rzucił okiem na swoje odbicie w lustrze w złoczonej ramie. Jego skóra wyglądała jak owsianka. Musi wrócić na słońce. Wziął głęboki wdech i otworzył drzwi.

Olivia

Salon, Weyfield Hall, 9.29

Nadawcą e-maila był Dennis White, zwierzchnik Olivii w organizacji POMOC, który koordynował pracę wolontariuszy w Liberii. Widząc temat „Sean Coughlan”, założyła, że to zbiorcza wiadomość do wszystkich wolontariuszy rozesłana ostatniego dnia kwarantanny. Otworzy go za sekundę, pomyślała, zamykając oczy. Fala mdłości powróciła, tym razem mocniejsza. Czy w ustach ma pełno śliny? Zwinęła się w kłębek na dywanie, by ulżyć zmęczonym nogom, i odsunęła od siebie myśl, że mdłości, ślinotok i wyczerpanie to podręcznikowe wczesne objawy haag. Jeśli zaraziłaby się od Seana, już by o tym wiedziała. Za kilka godzin kwarantanna oficjalnie dobiegnie końca. Otworzyła e-mail od Dennisa, by odpędzić czarne myśli. Był zaadresowany wyłącznie do niej.

TEMAT: Sean Coughlan

OD: Dennis White <dennis.white@HELP.org>

DATA: 29/12/2016 9.15

DO: Olivia Birch <olivia.birch1984@gmail.com>

Olivio,

próbowałem dzwonić, ale chyba masz wyłączony telefon. Mam powody, by sądzić, że między Tobą a Seanem doszło w Monrovii do kontaktów fizycznych. Nie chcąc zwracać się do Seana w jego obecnym stanie, piszę do Ciebie.

Nie muszę Ci chyba tłumaczyć, że to było poważnym naruszeniem protokołu. Proszę, zadzwoń do mnie jak najszybciej, by potwierdzić, czy z Seanem łączył was związek, a jeśli tak, to jak ściśle stosowałaś się do zasad kwarantanny w ciągu minionego tygodnia. Kiedy dostanę od Ciebie wiadomość, będę zmuszony podjąć stosowne działania.

Dennis

Wyprostowała się, serce waliło jej jak młotem. Skąd Dennis wiedział? Pomyślała, co Sean napisał o zauroczonej nim pielęgniarkę. Czy mogła czytać jego e-maile? Zawsze był mniej ostrożny niż ona. Przypomniała sobie, jak wysłała mu na Whats-Appie swoje zdjęcie w bikini, a on zostawił je na ekranie i mogli je oglądać wszyscy koledzy. Przejrzała wcześniejsze wiadomości, by sprawdzić, czy mogła napisać, że stali się sobie bliscy, ale nie doszło do żadnego kontaktu fizycznego. Można z nich było jasno wyczytać, że byli parą. Wcisnęła wewnątrz nadgarstków w oczy, marząc, by cały świat zniknął i zostawił ją samą tylko z Seanem.

Otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł Jesse z kubkiem w ręce. Ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę, była luźna pogawędka. Podniosła się i natychmiast

zalala ją ciepła fala mdłości, od czubka głowy po kolana. Gwiazdy zatańczyły jej przed oczami i gdy sięgała do sofy, cały pokój nagle się rozmazał. Krew zaszumiała jej w uszach i gdzieś z daleka, jakby z głębi tunelu, dobiegł ją głos Jessego:

– Olivia? Olivia, wszystko w porządku?

Andrew

Hol, Weyfield Hall, 9.35

Kiedy Andrew usłyszał głuchy stuk, pomyślał, że jeden z portretów Hartleyów rzucił się ze ściany niczym kamikadze. Popędził korytarzem do salonu, skąd dobiegł odgłos. „Co to było?!”, krzyknęła z góry Emma. Przynajmniej to nie ona ciskała obrazami w napadzie wściekłości. Przed oczami stanął mu makabryczny widok Kakao zmiażdżonego przez wiktoriańską sekretkę. Ale kiedy stanął przed drzwiami do salonu, kot siedział skulony w korytarzu. Potem usłyszał głos Jessego: „Hej, hej, słyszysz mnie?” i zobaczył Olivie leżącą twarzą w dół na podłodze przy choince. Umysł Andrew próbował nadażyć za wzrokiem. Czy się przewróciła, czy została popchnięta? Młode kobiety nie miewają udarów ani ataków serca, prawda?

– Zadzwoń pod 911! – krzyknął Jesse. – Szybko!

– Co się stało?

– Zemdląca, jest nieprzytomna. Zadzwoń pod 911. Potrzebujemy pomocy.

Andrew nie mógł się ruszyć. Stał wpatrzony w plecy Olivii. Góra od piżamy zsunęła się do przodu, tak że nad paskiem spodni widział kawałek kremowego ciała; jej kończyny były rozrzucone jak u szmacianej lalki. Jakim cudem salon stał się planem serialu *Na sygnale*?

Za sobą usłyszał, jak Emma gwałtownie wciąga powietrze.

– Emmo, zadzwoń po karetkę – powiedział Jesse, zerkając na nią. – Powiedz im, że straciła przytomność, oddycha, ale puls jest słaby. – Umiejętnie ułożył Olivie w pozycji bocznej. Andrew nadal tylko stał, gdy Emma chwyciła słuchawkę.

– Pogotowie, proszę... Weyfield Hall, NR25 7FB. Moja córka zemdląca, to znaczy jest nieprzytomna... Tak, oddycha. I puls jest wyczuwalny, ale słaby – mówiła zduszonym głosem. – Nie, ale była w Liberii i leczyła chorych na haag... Wróciła siedem dni temu, dziś jest ostatni dzień kwarantanny... Nie, chyba nie ma innych objawów... Okej. Pospieszcie się. Już jadą – powiedziała, klękając przy Olivii. – Co się stało?

– Wszedłem do salonu, a ona dosłownie osunęła się na ziemię przede mną – wyjaśnił Jesse. – Nie wiem, czy zrobiło się jej słabo, czy coś. Wszedłem, a ona zemdląca.

Do pokoju weszła Phoebe i głośno krzyknęła, gdy Olivia zaczęła się krztusić i pluć na podłogę.

– O cholera, wymiotuje – powiedział Jesse, sadzając Olivie.

Widok był okropny. Jej głowa przetoczyła się na bok, a z brody płynął przezroczysty płyn prosto na ręce Jessego, który obejmował ją w pasie. Nie

poruszył się.

– Hej, Olivia, wszystko w porządku, wszystko dobrze – powtarzał.

Jej głowa przesunęła się na jego pierś i znów zwymiotowała, krztusząc się i dławiąc. Jesse położył ją na boku i wsunął palec w jej usta, po czym przełożył głowę. Na moment otworzyła oczy, które wywróciły się tak, że widać było tylko białka.

Andrew zakreśliło się w głowie. Może to fałszywy alarm, prawda? Na pewno nie zostanie ojcem, który przeżyje swoje dziecko? Patrzył, jak Jesse pomaga Olivii, odgarniając jej włosy z twarzy i powtarzając:

– Wszystko będzie dobrze. Karetka już jedzie. Wszystko będzie w porządku.

Trzymał ją za rękę, a Phoebe stała nad nimi, pojękując.

– Andrew, idź wskazać im drogę – powiedział Jesse i Andrew pobiegł podjazdem wdzięczny, że przydzielono mu jakieś zadanie.

Pomyślał, że jest zupełnie bezużyteczny, rozglądając się w prawo i w lewo, choć karetka mogła nadjechać tylko z lewej. Absolutnie bezużyteczny. Co by zrobili bez Jessego? Pomagał Olivii, nie zastanawiając się ani chwili nad śmiertelnym wirusem, którym prawdopodobnie się zaraziła.

Emma

Podjazd, Weyfield Hall, 9.55

Emma nie siedziała w karetce od czasu narodzin Olivii. Poród zaczął się tydzień wcześniej, kiedy Andrew był na misji w Izraelu, choć błagała go, by z niej zrezygnował. Teraz, po latach, patrzyła, jak nosze z córką wsuwają się do wnętrza innej karetki – krzykliwe neonowe kolory pojazdu odcinały się ostro od stonowanej palety barw Weyfield. To niemożliwe, że Olivia leży na noszach z maską tlenową na twarzy. Przecież rozmawiała z nią na schodach zaledwie godzinę temu. Proszę, niech to nie będzie Haag, proszę, błagała w duchu. Była zbyt przerażona, by próbować układać się z losem i oczekiwać najgorszego. Czemu to musiało się zdarzyć tutaj, kiedy w Camden byli tak blisko Royal Free – szpitala wyznaczonego do opieki nad chorymi na Haag?

– Wszystko w porządku? – zapytał ją jeden z sympatycznych ratowników. W oszołomieniu skinęła głową. Nadal miała na sobie szlafrok i za duże kalosze. Musi wyglądać jak kompletna wariatka.

Olivia ocknęła się, gdy tylko Andrew wyszedł z domu, ale wyglądała na zupełnie zdezorientowaną i znów straciła przytomność, kiedy Jesse próbował ją posadzić. Parę chwil później do salonu weszli ratownicy w złowieszczych białych skafandrach i ciężkich gumowych rękawicach.

– To tylko środek ostrożności – wyjaśnił jeden z nich na widok twarzy Phoebe. – Na wypadek, gdybyście mieli jakieś otarcia albo skaleczenia na rękach.

Wtedy po raz pierwszy Emma zauważyła, że Jesse jest podenerwowany, gdy łagodnie kładł rękę Olivii na dywan. Zachował się jak prawdziwy bohater, tłumacząc wszystko ratownikom. Andrew cofnął się, a Phoebe i Emma stały przytulone do siebie. Potem nadszedł kolejny wstrząs, gdy Phoebe powiedziała:

– Spotykała się z Seanem Coughlanem, tym lekarzem z Irlandii. To znaczy, byli parą, mogła się zarazić od niego.

Emma nie mogła uwierzyć, że niczego się nie domyśliła. Z perspektywy czasu to przecież było oczywiste. Zdumiało ją też, że wiedziała o tym Phoebe – myślała, że jej córki nie rozmawiają o takich rzeczach. Co, u licha, Olivia sobie wyobrażała? Co za nieostrożność! Przecież to takie do niej niepodobne. A może jednak?

Wyjaśniła ratownikom, że Olivia aż do dziś nie zdradzała żadnych objawów, na co Phoebe stwierdziła, że Olivia czuła się źle od paru dni. Teraz, patrząc, jak ratownicy krzątają się wokół jej córki, Emma przypomniała sobie, jak często Olivia nie chciała nic jeść i zostawała w pokoju. Czy były to oznaki choroby – oznaki, które jej umknęły? Jak zwykle skupiła się na Phoebe. Biedna Olivia nie chciała ich

martwić. Na myśl o tym poczuła wyrzuty sumienia. Patrzyła na kredowobiałą twarz Olivii i próbowała się opanować.

– Nic jej nie będzie, Emmo – powiedział Jesse. – Zabiorą ją na oddział ratunkowy. Wszystko będzie dobrze.

– Boże, Jesse – odparła. – Dzięki Bogu, że tu byłeś. Co byśmy bez ciebie zrobili?

– To co wszyscy.

– Żadne z nas nawet się nie ruszyło! Gdzie się tego nauczyłeś?

– Kiedyś pracowałem jako kelner. Pierwsza pomoc była obowiązkowa. Ale nigdy nie musiałem jej udzielać – dodał z uśmiechem.

Spojrzała na jego ręce i zauważyła, że drżą. Teraz dostrzegła małe skaleczenie na dłoni – wspomniał o nim ratownikom w obawie, że może zwiększyć ryzyko zakażenia. Powiedział, że w ciemnościach rozciął sobie dłoń o drut kolczasty w pobliżu dworu w pierwszy dzień świąt. Poczula się za to straszliwie odpowiedzialna. Co sobie pomyśli amerykańska matka Jessego? Przyjechał do Norfolk, rozciął sobie dłoń i teraz może zarazić się haag – wszystko dlatego, że jako jedyny miał na tyle przytomności, by pomóc Olivii.

Usłyszała, jak szef ratowników dzwoni na „czerwony telefon” w szpitalu w Norwich z prośbą o radę i wyrzuca z siebie zimne terminy medyczne: „Wymioty po omdleniu, ciśnienie krwi sto czterdzieści na dziewięćdziesiąt, wygląda na hipoglikemię, wysokie ryzyko wirusa haag”. Przeszedł dalej podjazdem, ale Emmie udało się wychwycić słowa: „płyny ustrojowe”, „izolacja”, „otwarta rana” i „ewakuacja medyczna” i serce zaczęło jej bić jeszcze szybciej. Zastanowiła się, czy Olivia zubożyła na coś takiego w codziennej pracy.

– Dobra – rzucił ratownik, podchodząc do nich. – Nie mamy w Norwich możliwości, by przeprowadzić test na obecność wirusa, więc ustabilizujemy ją tutaj, a potem przetransportujemy do Londynu. Przygotowują dwa samoloty RAF w Lakenheath – oznajmił z nadmiernym podnieceniem. Szpital w Norwich najwyraźniej nie był przygotowany, by zastosować w praktyce procedury związane z haag.

– Dwa samoloty? – zapytała Emma i zrobiło jej się słabo. – Czemu dwa? Jeden dla nas?

– Nie. Obawiam się, że nie będziecie mogli jej towarzyszyć.

– Co? Jestem jej matką! Nie mogę tu zostać, jeśli ona poleci do Londynu!

– Tylko do czasu, gdy dostaniemy wyniki badań. Proszę zostać w domu, ale nie wchodzić do pokoju, gdzie zwymiotowała. Zakładam, że miała osobną łazienkę? – zapytał, podnosząc wzrok na imponującą fasadę Weyfield Hall.

Emma zgodziła się, choć nie miała najmniejszego zamiaru zostawać w Weyfield. Pojadą na Gloucester Terrace zaraz po odjeździe karetki.

Ratownik odwrócił się do Jessego.

– Pan stanowi większe ryzyko z powodu kontaktu z płynami ustrojowymi. Chodzi o jej wymioty i skaleczenie na dłoni. Musi pan pojechać z nami. Drugi samolot jest dla pana.

Phoebe

Droga wzdłuż wybrzeża, Sheringham, 10.45

Phoebe i Andrew zdołali zamknąć Weyfield Hall i wcisnąć się do jego samochodu w rekordowym czasie czterdziestu minut, w ostatniej chwili przypominając sobie o Kakao. Emma wyjechała wcześniej swoim golfem. Postanowiła, że zostaną na Gloucester Terrace do czasu otrzymania wyników badań Olivii.

– Nie powinniśmy robić tego, co kazali ratownicy? – zapytał Andrew. Ale Emma postawiła na swoim, a on się nie sprzeciwił. Taki brak oporu był zupełnie do niego niepodobny.

– A jeśli wynik będzie pozytywny? Nie będziemy mieli kłopotów? – zapytała Phoebe. Pierwszy raz dotarło do niej, że mogą być w niebezpieczeństwie. Już było jej niedobrze.

– Nie będziemy martwić się na zapas – odparła matka. Zatrzasnęła drzwi samochodu i wycofała. Jej głos brzmiał zdecydowanie, ale Phoebe widziała, że matka odchodzi od zmysłów.

– Phoeb, skoro okazało się, że nie potrzebujesz całego dnia, by się spakować, możemy przyjąć to za normę? – zapytał Andrew, skręcając za róg.

Zawsze żartował, gdy źle się działo. Tak sobie radził z problemami, lecz teraz to się jej spodobało. Woląла jechać z ojcem i słuchać kiepskich żartów, niż panikować z matką. Albo jeszcze gorzej – w karetce z Olivią i Jessem. Ale mimo wszystko było jej żal Jessego. Musiała przyznać, że okazał się niesamowity. Ratownik powiedział, że dzięki jego szybkiej reakcji Olivia nie udusiła się własnymi wymiocinami. Phoebe miała nadzieję, że siostra wybaczy jej, że powiedziała wszystkim o Seanie.

Andrew włączył radio. Grali „Baby It’s Cold Outside” – jedną z piosenek z krótkiej listy kandydatek do pierwszego tańca. Phoebe uświadomiła sobie, że nie pomyślała o George’u od czasu omdlenia Olivii. Poranny kryzys zmiotł wszystko inne. I w sumie była zadowolona, że go przy tym nie było. Tylko raz widziała go w podobnej sytuacji, gdy jego kumpel zszedł z boiska do rugby z rozkwaszonym nosem, a George zbladł i nic nie zrobił. Jeśli nie potrafił sobie poradzić z czymś takim, wątpiła, czy wcześniej przydałby się do czegoś w domu.

Andrew zaczął podśpiewywać męską partię piosenki.

– Dziwny ten tekst, prawda? – powiedział.

– Myślałam, by zatańczyć nasz pierwszy taniec do tej piosenki.

– Pierwszy taniec?

– Na weselu. Ja i George. Na weselu, którego nie będzie.

– Och! Racja. Jakoś nie jestem pewny. Czy to nie przypomina rymowanki o gwałcie?

Parsknęła śmiechem.

– I jest trochę pedziowata – powiedział, po czym dodał szybko: – Nie chciałem sugerować, że George jest pedziem.

– Okej, tato. To już nieważne – odparła.

Andrew lekko skinął głową. Jechali dalej krętymi drogami w stronę Londynu.

Jesse

Baza RAF w Lakenheath, Norfolk, 0.13

Normalnie Jesse wpadłby w panikę, gdyby miał tylko zobaczyć wnętrze wojskowego samolotu. Ale kiedy startowali, pomyślał, że w najmniejszym stopniu nie przypomina to „Top Gun”. Niesamowicie, że był jedynym pasażerem. Zastanawiał się, czy gdyby wiedział, że wylądaje w samym środku zamieszania z ewakuacją medyczną, w ogóle napisałby do Andrew.

Napisałbyś, pomyślał. Nadal chciałbyś go poznać – poznać ich wszystkich. Wyrzwał przez okno, oglądając brytyjski krajobraz. Panorama zielonych kwadratów poprzecinanych żywopłotami wyglądała tak spokojnie. Żałował, że nie może zostać tu zawieszony na zawsze i nigdy nie oglądać problemów na dole. Bardzo chciał, żeby Olivia była zdrowa. Kiedy widział ją ostatni raz, zanim zapakowali ją do samolotu, była owinięta srebrnym kocem i miała poszarzałą twarz. Lekarz próbował napoić ją roztworem glukozy. Miał na sobie ochronny skafander jak wszyscy, których spotkali od chwili, gdy wysiedli z karetki. Zupełnie jakby grali w jednym z odcinków „Kryminalnych zagadek” – byli z Olivią ofiarami.

Przesunął palcem serdecznym po skaleczeniu na dłoni. Jak coś tak małego, tak mało istotnego, mogło być aż tak ważne? Czy wszystko ułożyłoby się inaczej, gdyby tamtego wieczoru nie złapał się ogrodzenia? Możliwość, że mógł się zarazić haag, zatrzepotała gdzieś w środku.

Musiałeś zrobić to, co zrobiłeś, powiedział sobie w duchu. Nie miałeś wyboru. Dasz sobie z tym radę. Poza tym, jeśli nawet się zaraziłeś, to jeszcze o tym nie wiesz, więc nie ma sensu się zamartwiać. Próbował wykorzystać techniki relaksacyjne, świadomie rozluźniając czoło, szczęki i dłonie. Ale wcześniejszą adrenalinę szybko zastępował zimny strach. Chciał umyć ręce – zdezynfekować. Uświadomił sobie, że paznokciem może tylko rozdrapać ranę i wszystko pogorszyć. Czy wzbierające w nim mdłości to nerwy czy początek czegoś?

Andrew

Kuchnia, Gloucester Terrace 34, Camden, 14.00

Kiedy dotarli na Gloucester Terrace, Andrew nie mógł porozmawiać z Emmą. Phoebe siedziała z nimi w kuchni bez końca, od czasu do czasu oznajmiając, jak bardzo się martwi. W końcu poszła do swojego pokoju, zostawiając ich samych. Zeszły wieczór zdawał się snem. Andrew wiedział, że powinien jakoś zareagować na to, co powiedziała – a przynajmniej pokajać się za ukrycie listu. Ale jego umysł mógł jedynie ogarnąć widok Olivii wywożonej na wózku z Weyfield i wyraz twarzy obserwującej to Emmy.

– Przepraszam za tamto. Za to, co powiedziałam wczoraj – zaczęła Emma, jakby myślała o tym samym.

Włosy nadal miała przyklejone do głowy po spaniu i sięgnęła ręką, by je poprawić. Ten charakterystyczny gest odziedziczyła po niej Phoebe. Oboje patrzyli prosto przed siebie, przez okno na wybrukowane podwórko tak inne od rozległych trawników w Weyfield.

Podsunał jej swoją whisky – wypła łyk i oddała mu szklanekę. Od lat nie wymienili tak intymnego gestu.

– Miałaś święte prawo, by się wściekać – odparł. – Żałuję, że nie pokazałem ci tego cholernego listu, kiedy tylko przyszedł. Ani że od razu nie opowiedziałem ci o tamtej nocy. Gdybym tylko wiedział, ile kłopotów by nam to zaoszczędziło... ale nie chciałem niszczyć...

– Przestań – przerwała mu. – To już nie ma znaczenia. To było tak dawno temu.

– Ale wierzysz mi, że to była tylko jedna noc? Że potem nigdy nie było nikogo ani niczego? To był tylko wyskok, bardzo głupi błąd.

– Wierzę ci. Znam cię, Andrew. Poza tym, gdyby dziś nie było Jessego, nie wiem, co... Nie potrafię sobie wyobrazić... – Objął ją ramieniem i pozwoliła się przytulić. – Chodzi o to, że uświadomiłam sobie, że ja też miałam przed tobą tajemnice. A kiedy wszystko tak się potoczyło, łatwiej było brnąć dalej. Ale nie powinnam była.

Chciał zapytać, czy mówiła poważnie, gdy oskarżyła go o złe traktowanie Olivii, ale bał się, że znów dojdzie do kłótni.

– Powinnam być bardziej szczerą i powiedzieć ci, że chcę wrócić do pracy, gdy urodziły się dziewczynki – ciągnęła. – Wiem od lat, że nie byłeś szczęśliwy w „The World”. I powinnam była coś powiedzieć, bo ty dzielnie to znosiłeś, a nic dobrego z tego nie wynikło. Dla nikogo z nas.

– Nie ty powinnaś była o tym mówić. A poza tym, to żadne tajemnice, tylko

perspektywa czasu.

– Może. Ale na pewno powinnam była ci powiedzieć, gdy odkryłam ten guzek. To było parę tygodni temu. Łatwiej było milczeć, oszczędzić wszystkim zmartwień. Przez to stałby się realny, a sama z trudem o nim myślałam. Ale to żadna wymówka. I nie różni się bardzo od twoich sekretów. Wszystko sprowadza się do mówienia albo ukrywania pewnych rzeczy. Do „komunikacji”. – Ostatnie słowo wypowiedziała z naciskiem, by dać mu znać, że to gadka rodem z sesji terapeutycznych, której nie znosił. Jak dobrze go znała.

– Myślałem o tym, co mówiłaś o Olivii – powiedział. – Nie chodzi o to, że... faworyzowałem Phoebe. – Zniżył głos. – A przynajmniej mam taką nadzieję. Kiedy urodziła się Olivia, było mi trudno, musiałem pogodzić się z faktem, że mam tu obowiązki. Wiedziałem, że powinienem wyjechać z Libanu, ale nie chciałem rzucać tej pracy. Źle zrobiłem, że to też przed tobą ukryłem.

– Mimo wszystko wiedziałam.

– Wiem. Ale kiedy wróciłem do domu, już mnie ominęła spora część dzieciństwa Olivii. A z Phoebe było tak łatwo. Zawsze śmialiśmy się z tych samych rzeczy. A Wiv jakoś nigdy mnie nie potrzebowała, nawet chyba... nie bardzo mnie lubiła. – Urwał na myśl, że Olivia leży w szpitalu i że być może nigdy nie będzie mógł tego naprawić.

– Andrew, przestań! – rzuciła. Objęła go za szyję i pocałowała w usta, jak nie robiła tego od wielu lat. Przyciągnął ją do siebie. Jej diagnoza, grożące jej niebezpieczeństwo, może śmierć uderzyły go z przerażającą siłą. – Przepraszam – szepnęła w jego szyję. – Nie powinnam była mówić tych rzeczy o tobie i Olivii. Byłam tylko zła. To nawet nie jest prawda. Z każdym dzieckiem i z każdym rodzicem jest inaczej.

Opanował się w samą porę, bo Phoebe zaczęła schodzić na dół.

– Macie jakieś wieści?! – krzyknęła.

Jej głos przywołał Andrew do normalności.

– Jeszcze nie! – odkrzyknął zadowolony, że odzyskał swój baryton.

– Zawołamy cię, kiedy tylko czegoś się dowiemy, aniołku – dodała Emma.

Stali przytuleni obok telefonu na parapecie.

Jesse

Szpital Royal Free, Hampstead, 17.10

Jesse usłyszał najpierw dwa sygnały, a potem zdyszany głos Emmy.

– Halo?

– Emmo, to ja, Jesse. Wszystko jest okej – powiedział.

– Dzięki Bogu. A więc to nie haag? – Nawet przez telefon czuł, jak jej ulżyło.

– Nie. Olivia nie ma wirusa. Więc ja też nie. Od jej wyjazdu z Liberii minął już ponad tydzień, więc nie ma żadnego ryzyka. Zamknęli nas w osobnych izolatkach i przez parę godzin nie miałem żadnych wiadomości. A potem przyszła pielęgniarka i powiedziała, że badania Olivii dały wynik negatywny. Boże, ale się ucieszyłem! Już zaczynałem wariować w tym namiocie...

– Wszystko z nią w porządku? – przerwała mu Emma. – Co to było? Jakieś paskudne zatrucie?

– Nie do końca. Może z nią porozmawiasz, jest tu obok. Włączę głośnik. Ma podłączoną kroplówkę.

Położył telefon na stoliku obok twarzy Olivii. Jej skóra nadal miała woskowy wygląd, ale Olivia się uśmiechała.

– Mamo? – powiedziała.

– Wivvy! Kochanie! – dobiegł ich zduszony głos Emmy. – Jak się masz? Co to było?

– Tak naprawdę... jestem, hm, w ciąży – odparła Olivia. Spojrzała na Jessego i uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– W ciąży?

– Tak. W siódmym tygodniu. Ale naprawdę nie miałam pojęcia. Było mi niedobrze, ale myślałam... nawet nie przyszło mi to do głowy. Myślałam, że nie mam okresu, bo bardzo schudłam. Już wcześniej tak bywało, ale zawsze wracał, kiedy przytyłam...

– Zakładam, że to dziecko Seana? – wtrąciła Emma.

– Oczywiście! – odparła Olivia prawie ze śmiechem. – Aż taka głupia nie jestem! Jesse powiedział, że już wiecie o nas. O mnie i o Seanie. Wiem, że to trochę...

– Och, kochanie. Tak, wiemy. Ale wszystko dobre, co się dobrze kończy. To takie wspaniałe wiadomości.

Podchodzi do tego super, pomyślał Jesse, zważywszy, że o Seanie wiedzą jedynie, że zaraził się haag. Ale Olivia dużo mu o nim opowiadała tego popołudnia i wyglądało na to, że jest niesamowity.

– A z dzieckiem wszystko w porządku po dzisiejszym poranku? – dopytywała się Emma.

– Tak. Zrobili mi ultrasonografię na oddziale prenatalnym i wszystko wygląda dobrze. Ale to jeszcze wcześnie. – Olivia urwała na moment, po czym dodała: – Słyszeli bicie serca. – Na jej twarzy pojawił się grymas na wpół uśmiechu, na wpół płaczu, gdy próbowała powiedzieć: – Przepraszam, to chyba przez te hormony.

A więc tak wygląda Olivia, gdy coś czuje, pomyślał Jesse.

Phoebe

Kuchnia, Gloucester Terrace, Camden, 17.15

Olivia rozmawiała ze wszystkimi po kolei. Matka powtarzała: „Och, Wiv!”, zanim przekazała słuchawkę ojcu, który powiedział tylko: „Gratulacje, starszuszko” tym swoim zabawnym, sztywnym tonem, a potem odwrócił się od Emmy i Phoebe do okna. Phoebe rozmawiała z Olivią ostatnia i wyszła z telefonem z kuchni, żeby rodzice nie słyszeli.

– Dzięki, że przyćmiłaś moje przedstawienie „Porzucona przed ołtarzem” – powiedziała, wiedząc, że w rozmowie z siostrą radosne piski się nie sprawdzą.

– Przepraszam – odparła Olivia. – Przy twoich dramatach utrata przytomności wydawała się jedynym możliwym wyjściem. – Brzmiała inaczej, głos miała słaby, ale dźwięczała w nim jakaś nowa radość.

– Boże, Liv, ależ to było stresujące! Jak możesz pracować w szpitalu? Byłaś jedyną osobą, która wiedziała, co robić, a leżałaś na podłodze i nie było z ciebie żadnego pożytku!

– Był Jesse. Wygląda na to, że świetnie sobie poradził.

– To prawda, cof... – zaczęła, zanim przypomniała sobie, że rozmawiają przez głośnik. Zaćwierkała więc: – Brawka dla Jessego! – Wzdrygnęła się. – A więc jesteś W CIAŻY!

– Tak. Jestem tą idiotką, o których piszą, że nie miały o niczym pojęcia.

– Przecież jesteś lekarką! Naprawdę nic nie wiedziałaś? Tylko dlatego, że jesteś taka chuda?

– Zawsze miałam nieregularny okres. I zabezpieczyliśmy się, oczywiście. Jeśli już musisz wiedzieć.

– Nic nie daje stuprocentowej pewności. Nie czytałaś magazynów „Sugar” i „Bliss”? Trzeba być na bieżąco, ale seks jest... – Nie pamiętała reszty.

– Nie! Miałam lepsze rzeczy do roboty. W każdym razie, to dopiero początek. Na razie jestem tylko „trochę w ciąży”, okej?

– Jasne. To czy mogę być tylko „trochę podekscytowana”?

– Tak.

Olivia miała zostać w szpitalu na noc na obserwację, lecz Emma nalegała, by Jesse został przy Gloucester Terrace do czasu wyjazdu w Nowy Rok. Wczoraj Phoebe wpadłaby w furję, ale teraz wydawało się to naturalne – nie mógłby zatrzymać się gdzie indziej. Wracając ze sklepu na rogu, gdzie poszła po mleko i jajka, zaczęła podskakiwać na zdrowej stopie. Cieszyła się, że czuje pod nogami twarde chodniki, a nie błotniste ścieżki Weyfield, że wokół niej nie ma tylu rozświetlonych okien, zaparkowanych samochodów, tylu ludzi ściśniętych na małej

przestrzeni. Zerwała uschnięty wieniec, który zawiesiła na drzwiach na początku grudnia. W środku wdychała zapach domu, zawsze bardziej wyraźny po tygodniu spędzonym z dala od niego. Był jak esencja numeru trzydziestego czwartego, farba lub grzejniki i coś jeszcze, z cieniem perfum Chanel Emmy i zapachu kuwety Kakao.

Będę ciotką, pomyślała, wieszając płaszcz na wieszaku. Już wyobrażała sobie siebie jako uroczą ciotkę Phoebe, podobną do wróżki z bajki. Zawsze zakładała, że to ona pierwsza będzie miała dzieci, gdy Olivia podróżowała po świecie. Ale koniec końców dobrze się stało.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Stanął w nich pomięty i rozczochrany Jesse.

– Nasz bohater! – wykrzyknął Andrew.

– Gdzie taksówka? Miałeś dość gotówki? – dopytywała się Emma.

– Przyjechałem metrem. Chciałem zobaczyć prawdziwy Londyn. I przyniosłem kolację. Pomyślałem, że po Norfolk będziecie mieli ochotę na japońszczyznę. Nie martwcie się, nie tylko wegańska – powiedział, podnosząc torbę, jakby czytał Phoebe w myślach.

Raczej nie miała ochoty na omlet, który proponowała Emma.

– Okazja wymaga szampana – powiedział Andrew, gdy znaleźli się w kuchni. Otworzył pustą lodówkę, gdzie na półce leżała butelka veuve cliquot.

– Za szczęśliwe wiadomości Olivii – powiedział, napełniając cztery wysokie kieliszki – i za ciebie, Jesse! – Wszyscy unieśli kieliszki, a Jesse nachylił się, by się stuknąć. Emma początkowo zdumiała się, a potem stuknęła kieliszkiem tak entuzjastycznie, że rozlała szampana.

Zrobili sobie mały świąteczny piknik, siedząc na stołkach wokół wyspy i korzystając z jednorazowych pałeczek i plastikowych sztućców, które znaleźli w torbie. Przez chwilę rozlegało się tylko pełne zadowolenia chrupanie i siorbanie.

– Mmmm, to jest pyszne. Dzięki, Jesse – powiedziała Phoebe.

Chciała zaoferować jakąś gałązkę oliwną, ale myśl o nawiązaniu do wczorajszej kłótni wydała się jej zbyt dziwaczna. Spojrzał na nią. Kluski wisiały mu z ust, szybko je wciągnął, pryskając sosem sojowym na biały podkoszulek. Wolę takiego pryskającego sosem Jessego, pomyślała, niż tego rodem z kampanii reklamowej Uniqlo.

– Nie ma sprawy. Chciałem, żeby twoja mama odpoczęła – odparł.

Dopiero po chwili pojęła, co on ma na myśli. Być może zbyt dobrze jej szło blokowanie myśli o raku. A może była po prostu zbyt leniwa i z przyzwyczajenia pozwalała, by matka wszystko robiła.

– Tak. Ja posprzątam, mamó – powiedziała. – Powinnaś odpocząć.

– Dzięki, skarbie. To bardzo miłe. Potem mogę zawieźć torbę z rzeczami dla Olivii. Jest już spakowana. – Phoebe napotkała wzrok Andrew. Najwyraźniej relaks nie leżał w naturze Emmy.

Po kolacji Phoebe i Jesse zostali sami w kuchni.

– Dokładnie na to miałam ochotę – powiedziała, wrzucając puste pudełka do kosza.

Obejrzał się na nią znad zlewu, gdzie próbował zmyć plamę z podkoszulka.

– Mnie też to było potrzebne. Co nie znaczy, że Emma nie jest rewelacyjną kucharką.

– Tak przy okazji przepraszam za wczoraj – powiedziała, prostując ścierkę do naczyń, by się od niego odwrócić.

– Hej, to ja powinienem przeprosić. Nie powinienem był się wtrącać. Poza tym i tak nie miałem racji.

– Nie przejmuj się. To nie ma znaczenia – odparła szczerze.

Dziwne, jak George powoli stawał się częścią przeszłości. Może ta strata dopiero ją uderzy, ale miała co do tego wątpliwości. Spojrzała na palec bez paskudnego pierścionka i pomyślała o rachunku za Pakiet „Zaręczyny”. Któregoś dnia na pewno będzie się z tego śmiała. Na razie jednak miała ochotę zacisnąć każdy mięsień w ciele.

– Miałaś od niego jakieś wiadomości? – zapytał Jesse.

– Nie. I raczej się ich nie spodziewam.

– Ale kiedyś musi się z tobą skontaktować. Nie macie tony swoich rzeczy u siebie?

– Raczej nie. Zawsze zabawnie podchodził do tego, gdy zostawiałam u niego swoje rzeczy. A tutaj nie trzymał nawet szczoteczki do zębów. Musiał ją przynosić za każdym razem, gdy zostawał na noc, w takim woreczku kosmetycznym ze szkolną naklejką z imieniem w środku.

– Poważnie? Jezu.

– Wiem. Nie miałby zielonego pojęcia, co zrobić dziś rano. A to poważna wskazówka, że nie był materiałem na męża.

– Na pewno. W zdrowiu i chorobie i tak dalej.

– Na dobre i na złe... A ty spotykasz się z kimś? – zapytała.

– Już nie. Zerwałem z nim w zeszłym roku, kiedy dowiedziałem się, że zmarła moja biologiczna matka. Było podobnie jak mówisz. Czuję, że on nie potrafi sobie poradzić z emocjami. Zupełnie jakbym musiał odczuwać za nas obu. A na dłuższą metę to się nie sprawdza.

– Mhm. – Wiedziała, że teraz ma swoją szansę i wyszeptwała: – Nawiasem mówiąc, dlaczego pomyślałeś, że George jest gejem?

– To nie było nic szczególnego. Tylko się zastanawiałem. Ale jak już mówiłem, pewnie nie miałem racji.

– Może jednak miałeś. Chyba wściekłam się tak bardzo, bo czasami sama się nad tym zastanawiałam. To by tłumaczyło pewne sprawy.

– Czuję, że nie jest mistrzem komunikacji.

– Chyba tak. Bardziej przypominał umięśnionego milczka. Z naciskiem na milczka. Słaby i milczący.

– A ty nie jesteś taka. Nawet jeśli był gejem albo hetero, nieważne, ty potrzebujesz kogoś, z kim mogłabyś porozmawiać. Przyszły rok będzie trudny, prawda? Będziesz musiała być silna dla mamy. Potrzebujesz kogoś, kto to zrozumie.

– To prawda. – Z ukłuciem wstydu uświadomiła sobie, że o tym też nie pomyślała. Aż do wczoraj „przyszły rok” oznaczał tylko ślub.

– W każdym razie, spójrz na siebie. Jesteś taka piękna! Na pewno znajdziesz kogoś lepszego.

– Aaaach. Dzięki, Jesse! Jesteś taki amerykański. – Nie była pewna, czy zawinił szampan, ale wyciągnęła ręce i mocno go przytuliła.

– A ty tak cholernie brytyjska! – powiedział z akcentem cockney à la Dick Van Dyke.

Kiedy Emma wróciła do domu, zasiedli na kanapie, by obejrzeć stary świąteczny odcinek „Downton Abbey”. „A już myślałem, że udało mi się uciec przed «Schodami w górę, schodami w dół»”, jęknął Andrew, lecz Phoebe zauważyła, że objął matkę ramieniem, stale dolewał jej miętowej herbaty i rozłupywał dla niej orzechy. Miło było wrócić i siedzieć na sofie w pokoju telewizyjnym. Kiedy Phoebe patrzyła, jak Maggie Smith spogląda z wyższością na kamerdynera, uświadomiła sobie, że w Weyfield może i jest ogień na kominku i łóżka ze słupkami, ale tylko Emma dobrze się tam czuje. Gloucester Terrace nie był wyjątkowy jak dwór w Norfolk, ale tu był prawdziwy dom.

Jesse

Poddasze, Gloucester Terrace 34, Camden, 23.48

Jesse rozejrzył się po pokoju na poddaszu, gdzie miał spać. Była to dawna sypialnia Olivii i choć jej rzeczy zniknęły, pozostały jeszcze ślady z jej wczesnej młodości: lampa z lawy, okropne chodaki i zdjęcie z rozdania dyplomów z uroczymi głupawymi przyjaciółmi. Teraz, kiedy już zobaczył wysoki, wąski londyński dom Birchów, z duńskimi krzesłami i politycznymi karykaturami Andrew, uświadomił sobie, że Weyfield do nich nie pasuje. Tamten dom to cała Emma, jej dzieciństwo zatrzymane w czasie. I dopiero teraz, gdy ujrzał Birchów w ich domu, kiedy jedli jedzenie na wynos i oglądali telewizję, zaczynał czuć, że są w pewnym sensie rodziną, a nie gospodarzami z zagranicznej wymiany. A może to dzisiejsze wydarzenia przełamały wszystkie bariery.

Zbliżała się północ, ale myśli nadal wirowały mu w głowie. Leżał na pojedynczym łóżku, wpatrując się w bezgwiezdny świetlik i myślał o rozmowie z Phoebe w kuchni. Przypomniała mu rozmowy z Daną, lecz Phoebe była bardziej bystra. To jasne, była przecież córką Andrew. Postanowił, że jutro zadzwoni do Dany, a po powrocie do domu opowie wszystko rodzicom. Ta sprawa z kwarantanną będzie wymagała trochę tłumaczenia, ale zrozumieją. Uświadomił sobie, że jest podekscytowany spotkaniem z Seanem, który przeżył atak wirusa i był kolejnym cudzoziemcem w klanie Birchów. Jego potencjalnym szwagrem. Ciekawe, czy Sean i Olivia pobiorą się przed narodzinami dziecka, czy w końcu dojdzie do wielkiego wesela. Szkoda, że nie zaczął kręcić filmu o adopcji; pierwszy taniec Olivii i Seana ładnie by go zamknął. Na zewnątrz słyszał ruch uliczny, syreny, krzyki pijaków. Po Norfolk nawet podróż metrem przyniosła ulgę. Zupełnie jakby znów mógł zaczerpnąć świeżego powietrza albo rozbił szybę w dusznym samochodzie. Może wybiorą się z Phoebe na zakupy na West End, pomyślał z radością, gdy wyciągnął się w pościeli drukowanej w mapy i zgasił światło.

9

30 grudnia 2016

Olivia

Pokój 24, 8 Oddział Północny, Szpital Royal Free, Hampstead, 13.55

Olivia usiadła na twardym szpitalnym łóżku z torbami u stóp i czekała niecierpliwie, by ją wypisano. Myśl, że Sean znajduje się w tym samym budynku, kilka pięter od niej, nie opuszczała jej przez całą noc. Wczoraj czuła się tak głupio w obecności tych wszystkich lekarzy, kiedy próbka jej uryny aż kipiała od progesteronu. Aż do teraz nie zastanawiała się, kiedy chce mieć dzieci. Zawsze powtarzała: „Kiedyś, nie teraz”. Rodzina przywiąże ją do Londynu, będzie musiała przestać pracować za granicą. A to przecież Phoebe chciała się ustatkować.

Ale teraz, gdy trwało to wszystko z Seanem, Olivia czuła się inaczej. Zdenerwowana, lecz gotowa – jakby byli razem od lat. Przypomniała sobie, jak kiedyś rzucił, że chce mieć dużo dzieci, i jak dogryzała mu, że marzą mu się pieluchy. Jednak w duchu miała nadzieję, że on tylko chce wy badać sytuację, sprawdzić, czy sprawy między nimi mają się na poważnie.

Wysłała mu wcześniej esemes z obietnicą, że go odwiedzi, ale nie wspomniała, że jest w szpitalu. Powiedzieć, że jest w szpitalu, niczego przy tym nie tłumacząc, byłoby okrucieństwem, a wiadomość o ciąży chciała mu przekazać osobiście. Dennis White znów napisał do niej dziś rano, domagając się, by się z nim skontaktowała, ale uznał, że nie ma już żadnego ryzyka, gdy kwarantanna dobiegła końca. Nie była w stanie zmusić się do odpisania. Wiedziała, że będzie musiała się ukorzyć. Ale to może poczekać. Sprawdziła jeszcze, czy nie rozmazały się jej rzęsy (Phoebe podesłała jej wczoraj kosmetyczkę przez Emmę) i siłą woli zmuszała pielęgniarki, by w końcu przyszyły i ją uwolniły.

Godzinę później była już na oddziale intensywnej opieki medycznej, gdzie leżał Sean, i ścisnęła w dłoni przepustkę dla gości. Wdychała bezpieczny zapach środka dezynfekującego i wyszorowanych podłóg zmieszany ze wspomnieniem szkolnych obiadów. Będąc w szpitalu jako pacjentka, czuła niepokój, zupełnie jak aktorka, która nagle znalazła się wśród publiczności. Minęło ją dwóch młodych lekarzy i chciała wyjaśnić, że jest jedną z nich i zwykle też nosi fartuch. Skręciwszy za róg, zauważyła okrągłą jak beczułka kobietę w średnim wieku, z nastroszonymi włosami i złotymi kolczykami w uszach, która stała przy automacie z napojami.

– O-livia? – zapytała z mocnym irlandzkim akcentem.

– Tak? – odparła niepewnie. – Jest pani... z Seanem? – Nie przyszło jej do głowy, że może tu być jego rodzina. Czuła się, jakby miała dziesięć lat.

– Jestem jego mamą! Mam na imię Kathy. Wszystko nam o tobie opowiedział. Rozpoznałam cię ze zdjęcia na Facebooku. Chodź tutaj, kochana!

Olivia pozwoliła się przytulić, a potem stała wyprostowana, gdy Kathy przyglądała się jej cała rozpromieniona. Teraz dostrzegła Seana w szarozielonych oczach jego matki. Przebiegło jej przez myśl, że ta kobieta jest babcią jej dziecka. Jej potencjalną teściową – częścią nowej rodziny, nowego życia. Jakim cudem tamta noc na Cape Beach tak szybko zaprowadziła ich aż tutaj?

– To nie jest typowe spotkanie z przyszłymi teściami, prawda? – powiedziała Kathy. – Ale cudownie jest móc cię poznać. Jesteś taka urocza, jak opowiadał Sean. Teraz musisz się z nim zobaczyć.

– Jak on się czuje? – zapytała, gdy z piskiem podeszew ruszyły długim korytarzem. Przytrzymała im drzwi.

– Świetnie. Nasz Seany potrafi walczyć. Ale jest straszliwie chudy. Tak bardzo się o ciebie martwił.

– Tak. To było ryzykowne z naszej... – Urwała, nie wiedząc, jak to ująć, ale Kathy wybuchnęła śmiechem.

– Ach, ta młoda miłość! Niegrzeczny z niego chłopiec – dodała z czułością. – Leży tutaj – powiedziała, zatrzymując się przy drzwiach. Zanim zapukała, umyła ręce aż po łokcie. Nie usłyszały żadnej odpowiedzi, więc uchyliła drzwi, by zajrzeć do środka. – Śpi – powiedziała jak świeżo upieczona matka, która podziwia swoje dziecko.

– To dobrze. Ale i tak chciałabym go zobaczyć.

– Nie spiesz się, kochana. Może się obudzi, kiedy usłyszy twój głos – powiedziała z błyskiem w oku zupełnie jak u Seana.

Olivia weszła do sterylnego pokoju. Leżał w bladozielonej pościeli, w dżungli rurek, kabli i monitorów. Nadal był Seanem, ale zupełnie innym. Nie mogła uwierzyć, jak bardzo schudł. Zaskoczyło ją to mimo ostrzeżeń Kathy i oglądania tyłu chorych na Haag. Miał zapadnięte policzki, a jego ręce wystające ze szpitalnej koszuli skurczyły się tak bardzo, że łokcie wydawały się za duże. Szyję miał upstrzoną niebieskawymi plamami – pozostałościami po wysypce wywołanej przez Haag. Ich rozmiar potwierdzał, że w jego ciele od dwudziestu czterech godzin nie ma już wirusa. Spojrzała na monitor przy łóżku i z ulgą przyjęła do wiadomości, że oddech, puls, poziom tlenu i temperatura są w normie. Na tabliczce w nogach łóżka zapisywano jego posiłki, sen i mocz. Pomyślała przez chwilę, czy nie wezwać pielęgniarki i poprosić o wyniki badań krwi, zanim on się obudzi, ale postanowiła odpuścić. Musi przestać – była tutaj jako jego dziewczyna, a nie lekarka.

Najwyraźniej nie wszyscy podzielali negatywne opinie mediów. Na szafce przy łóżku leżał stos kartek z życzeniami powrotu do zdrowia, a na podłodze stos prezentów. Położyła na górze prezenty zakupione w szpitalnym sklepiku, ale po chwili wzięła je do ręki. Chciała je wręczyć, jak należy. Wybrała nową powieść Roberta Harrisa i duże pudełko Maltesers, o których marzył w Liberii.

Uświadomiła sobie, że pierwszy raz wybierała dla kogoś prezent z przyjemnością.

Regularne popiskiwanie urzędów podkreślało jego spokojny chrapliwy oddech. Olivia usiadła na krześle dla gości, zastanawiając się, czy powinna go obudzić, by jak najlepiej wykorzystać dany im czas. Teraz, kiedy w końcu z nim była, konieczność wyjścia z pokoju wydawała się okrutna. Powiedziała: „Sean” kilka razy, ale się nie poruszył. Zawsze zazdrościła mu głębokiego snu. Wcześniej wyobrażała sobie głupio, że natychmiast go uściska, ale wyglądał zbyt krucho. Zamiast tego ujęła jego palce w swoje, ostrożnie, by nie uszkodzić wenflonu wkłutego tuż przy kłykciach. Miał zimną rękę i przypomniała sobie, jak bardzo pragnęła jej dotknąć tamtej pierwszej nocy w barze na plaży. Już miała szturchnąć go w ramię, by go obudzić, lecz powstrzymała się. Jeszcze chwilę chciała tylko na niego patrzeć. To ojciec twojego dziecka, pomyślała, próbując ogarnąć, co to oznacza. Ich dwoje połączonych w zupełnie nowej osobie.

– Sean – powtórzyła, tym razem głośniej.

Nadal się nie ruszał. Nieoczekiwanie poczuła się nieswojo. A jeśli wszystko jej się pomieszało, jeśli ta wiadomość go przerazi? Jeśli on powie, że to za wcześnie? Nie robi tego, prawda? Powie mu teraz, postanowiła. Przynajmniej spróbuje, jak to zabrzmiał, gdy wypowie te słowa na głos, zanim on się obudzi.

– Sean, muszę ci coś powiedzieć – zaczęła. Urwała, choć on nadal spał. – Jestem w ciąży. Będziemy mieli dziecko.

Jego powieki zadrżały. Mówiła dalej:

– Było mi niedobrze, ale nie myślałam... zawsze tak uważaliśmy. Zrobili mi już ultrasonografię, bo...

Otworzył i zamknął oczy. Wstrzymała oddech.

– W każdym razie, to jest zupełnie inaczej, gdy chodzi o ciebie, a nie o pacjentkę. To była taka mała grudka, maleńkie bijące serduszko. – Z drżeniem przypomniała sobie obraz na monitorze i puls jak trzepot skrzydeł ptaszka.

– O-livia – powiedział i pogładził ją kciukiem po dłoni.

– Sean! – Ścisnęła go za rękę i nachyliła się, by oprzeć policzek na jego wychudłej twarzy.

– Będziemy mieli dziecko. Fantastycznie – szepnął i uśmiechnął się szeroko, nie otwierając oczu.

Andrew

Gabinet, Gloucester Terrace 34, Camden, 16.09

TEMAT: Felieton na 10 stycznia

OD: Andrew Birch <andrew.birch@the-worldmag.co.uk>

DATA: 30/12/2016 16.09

DO: Gibbs, Sarah <sarah.gibbs@the-worldmag.co.uk>;

Croft, Ian <ian.croft@the-worldmag.co.uk>

Cześć, Wam,

załączam felieton – zdecydowałem się napisać o japońskiej restauracji, którą odwiedziłem przed świętami, zamiast o Hourani & Co, która była okropna.

Niech felieton mówi sam za siebie, ale chcę tylko dodać, że moim zdaniem pora jest odpowiednia. Pomimo moich wybuchów od czasu do czasu, na myśl o niektórych nadal się rumienię, praca z Wami była prawdziwą przyjemnością. Sarah, jestem Ci winien dobry obiad. The Ivy?

Andrew

PS Ian, zrób mi przyjemność i zostaw bez poprawek zwrot „wpadłszy odważnie”. To odniesienie do Star Treka: Następne pokolenie (ho, ho). Tak się składa, że był to ulubiony serial mojej córki Olivii, gdy była mała.

Dzięki

U Yukiko, Belgravia

Jedzenie 5/5

Nastrój 4/5

Jak wam minęły święta, Nowy Rok i cała reszta? Pewnie marnie jak zwykle; siedzieliście, oglądając kiepskie programy w telewizji, zajadaliście się stiltonem i rozpakowywaliście niechciane prezenty. Moi drodzy Czytelnicy, mogę wam tylko powiedzieć, że moje święta odmieniły mi życie. Może pamiętacie, że Chez Birch w czasie świąt był strefą zamkniętą. Moja bohaterska córka Olivia kilka tygodni przed świętami leczyła chorych na Haag w Liberii, a potem spędziła tygodniową kwarantannę z nami w północnym Norfolk. Możecie sobie wyobrazić, że dla współczesnej rodziny był to szok. I to nie dlatego, że syn, którego spłodziłem w młodości (i o którego istnieniu nie miałem aż do teraz pojęcia), pojawił się na naszym progu. A raczej, ujmując rzecz dokładnie, wpadłszy odważnie przez nasze drzwi, dołączył do kwarantanny.

Jeśli brzmi to jak potworna współczesna sztuka, dalej będzie jeszcze lepiej. W ostatni dzień kwarantanny moja starsza córka straciła przytomność i udusiłaby się własnymi wymiocinami niczym Jimi Hendrix, gdyby nie zajął się nią wspomniany syn. Kiedy reszta z nas miotła się jak przysłowiowe kurczaki bez

głowy, on bez wahania ryzykował zarażenie wirusem. Nie martwcie się, szczęśliwy koniec jest bliski. Badania na obecność wirusa u Olivii dały wynik negatywny, a ona sama cierpiała na poranne mdłości, tym samym zamieniając los legendy muzyki na los księżnej Cambridge. Podsumowując, nie tylko zyskałem syna, ale niebawem zyskam wnuka.

Teraz wiem, że życie jest zbyt krótkie, by zdręzczać się drobiazgami. Bo zdręzczenie się drobiazgami jest codzienną tragedią naszego rozpieszczonego zachodniego świata. W młodości pisałem o doniosłych sprawach. O wojnach, głodzie, ludzkim cierpieniu. Świeżo zabita koza Masajów była dla mnie szczytem kulinarnego rozmachu. W wieku Olivii też byłbym w Liberii i pisałbym o kryzysie, z którym tak dzielnie walczyła moja córka. Ale przez blisko trzydzieści lat pisałem o... nowych restauracjach. Nowe restauracje to nie są ważne sprawy. To największe z drobiazgów. Jeśli te święta czegoś mnie nauczyły, to tego, że nie mam już serca do tych felietonów. Chciałbym przeprosić wszystkich szefów kuchni, których wysiłki wyśmiewałem, by powstał zabawny felieton. Nie przepraszam tylko nagrodzonej gwiazdkami Michelina dziury, do której nie wpuszczono mnie w dzinsach.

U Yukiko to idealne zakończenie tej kolumny, gdyż jest to restauracja rodzinna. Poszedłem tam tydzień przed rozpoczęciem kwarantanny, świadomy, że w naszym zadżumionym domu w Norfolk raczej nie będę miał okazji jeść sushi. Posadzono mnie przy niskim stoliku, w sali nieco zbyt jasnej, a urocza kelnerka szybko przyniosła mi czarkę ciepłej sake. Krewetki w tempurze, lekkie jak pierdnięcia syreny

Urwał i wyrzucił „pierdnięcia syreny”. Najwyższy czas przestać małpować infantylne poczucie humoru innych krytyków i po prostu pisać. Potem cofnął się jeszcze bardziej i zmienił zbyt długi fragment o kurczakach bez głowy.

Po sake przyszła kolej na krewetki w tempurze – pulchne, świeże jak deszcz w lekkim cieście z kroplą jedwabistego sosu sojowego. Przystawki były delikatne, parujące, o niepowtarzalnym smaku umami. Zjadłbym spokojnie dwa koszycki, ale zostawiłem miejsce na łososia w sosie teriyaki, który nie miał w sobie nic z „jedzenia dla kotów w melasie”, co przydarza się kiepskim imitatorom. Posiłek zakończyłem kulką lodów o smaku jaśminowej zielonej herbaty, trochę nieciekawych, ale przecież do japońskiej restauracji nie chodzi się na desery. Drodzy Czytelnicy, biegnijcie do Yukiko i powiedzcie im, że polecił ich przyjaciel. Żegnajcie i wesołej degustacji.

Raz jeszcze przeczytał felieton. Czy nie był zbyt cikliwy? Nie. Za długo uciekał od cikliwości. I gdy odmalowywał portret rodziny, z ogromną satysfakcją pominął George’a. Gdyby ten dupek przeczytał recenzję (wątpliwe, ale mimo wszystko), miał nadzieję, że go to wkurzy.

Jako bonus, napisał wszystko za jednym zamachem. Zwykle jego felietony

rodziły się w bólach: szkice, poprawki, przepisywanie, tweetowanie i parzenie kawy. Ten sam się napisał – czuł, że to znak, że jego decyzja o odejściu z „The World” była słuszna. Zadzwoi do Sarah po Nowym Roku. Na razie zęgnął się w ten sposób. Nie był pewien, czym się zajmie. Na pewno pojawi się jakaś okazja do pracy jako wolny strzelec. Zawsze wolał pisać o podróżach – zakładając, że Emma będzie miała dość sił. A może mierzyć jeszcze wyżej i spróbować napisać wspomnienia? Wyobrażanie sobie życia bez konieczności pisania felietonu co dwa tygodnie było objawieniem. Poza tym wielu jego przyjaciół już przeszło na emeryturę.

Z ulgą porzucił palarnię z jej lśniącymi karafkami i zapachem samca Hartleyów i wrócił do stylowego biurka Ercol. Z malutkiego gabinetu z wykuszowym oknem, ze ścianami w kolorze mięty wybranym przez Phoebe, widział Primrose Hill. Postanowił przejść się tam później, zanim się ściemni. Może stanie się to codzienną rutyną, pomyślał, jako dodatek do ogólnej koncepcji, by wieść lepsze życie i być lepszym. Nie miał zamiaru spisywać noworocznych postanowień. Ale miał pewne plany. Chciał zabrać Olivię i Seana na obiad do restauracji Lemonia przy Regents Park Road, odwiedzić Jessego w Los Angeles i być podporą dla Emmy, gdy podda się koszmarnemu leczeniu.

Pomyślał o peanie Phoebe na cześć jego recenzji „restauracji”. Zbyt długo i zbyt łatwo pozwalał jej widzieć w sobie bohatera. Poważne spojrzenie Olivii, jej chwalebne ideały sprawiały, że z każdym rokiem czuł się bardziej jak Judasz. Dlatego nie pytał jej o pracę. Nie chodziło o to, że go nie obchodziła. Zbyt wielkim bólem napępniały go wspomnienia o swoim młodszym, nieustraszonym wcieleniu, o marzeniach, by coś zmienić. Teraz mógł też przyznać, że był zazdrosny. Zazdrosny o jej wolność i sposób, w jaki ją wykorzystywała. Przycisnął „Wyślij” i rozsiadł się wygodnie. Jego limit zwięzłości już się wyczerpał.

Zaoferował się, że pojedzie odebrać Olivię ze szpitala. W holu spotkał Phoebe, która akurat wychodziła z piwnicy. Przysiadła na górnym stopniu i patrzyła, jak on wkłada płaszcz.

– Tatusiu – zaczęła. – Spójrz na tę wiadomość. Jak myślisz, co oznacza? To jeden z prezenterów z pracy. Nie mam pojęcia, skąd wie, że jestem wolna – powiedziała, a w jej głosie słychać było radość. Pokazała mu esemes: *Cześć, Phoebe, słyszałem, że od niedawna jesteś wolna. Zanim ktoś Cię porwie, chciałbym Cię zaprosić na kolację. Co powiesz na jutrzejszy wieczór – przed imprezą sylwestrową? Cahuję, Caspar.*

– Brzmi obiecująco – odparł Andrew.

– Jest naprawdę miły. Ale z powodu George’a nigdy nie myślałam o nim w taki sposób. – Andrew szczerze w to wątpił, widząc rozmarzony wzrok córki, z jakim wpatrywała się w ekran. – Ale jest niesamowicie utalentowany.

– No to idź. Zobaczysz, co się wydarzy – powiedział. Nie chciał dać się

wciągnąć w długą rozmowę z Phoebe o jej życiu i spóźnić się do szpitala. – Jadę po Olivię. Pojedziesz ze mną?

– Nie, dzięki. W szpitalach dostaję gęziej skórki – odparła, opierając się o poręcz i wyciągając nogi, tak że zajęły cały stopień.

– Dobra. Będziemy na obiad.

– Okej – odparła, wpatrując się w ekran, jakby skrywał wszystkie sekrety świata.

Jadąc z Royal Free do Camden, z Olivią na fotelu pasażera, automatycznie sięgnął ręką, by włączyć radio, lecz zmienił zamiar. Odbyli właśnie bardzo interesującą rozmowę o korupcji w Liberii, o koszmarnym systemie przesiąkniętym łapówkami. Udało mu się zadać mnóstwo pytań (cała sztuczka polegała na tym, by udawać, że przeprowadza z nią wywiad, bo wtedy się nie wtrącał) i dowiedział się o wielu rzeczach, których nie podawali w wiadomościach. Ona z kolei zadała mu kilka pytań o Bliski Wschód, na które chyba nieźle odpowiedział, zważywszy, ile czasu minęło. Zastanawiał się właśnie nad kolejnym pytaniem o jej plany na przyszłość – pełnym zainteresowania, lecz nie wścibskim – gdy Olivia powiedziała:

– Widziałam dziś rano Seana.

– Cudownie! – Andrew czuł, jakby ktoś rzucił mu linę ratunkową. – Wyobrażam sobie, że wygląda zupełnie inaczej niż wtedy, gdy widziałas go ostatni raz.

– Yhm. Bardzo schudł. I nadal ma wysypkę, więc wygląda okropnie. Ale jest tylko słaby. Kiedy się obudził, był zupełnie przytomny. Rozmawia, je, wszystko.

– Przekazałaś mu radosne wieści?

– Tak. Obudziłam go, mówiąc o ciąży.

– Naprawdę? Super. Wydaje się bardzo przyzwoitym gościem. Być może, sam nie wiem, mógłbym przeprowadzić z nim wywiad dla „The World”, kiedy całkiem dojdzie do siebie. By wyprostować pewne sprawy. Napisali tyle bzdur. Ale to tylko luźny pomysł. Ty zdecydujesz.

– Może – odparła.

Nie wiedział, czy spodobał się jej ten pomysł.

– Na pewno będzie świetnym ojcem – dodał po chwili. – Lepszym niż ja.

Zerknął na nią, lecz patrzyła prosto przed siebie. Zawsze uważał, że, niestety, jest podobna do niego, a nie do Emmy, ale miała jej nos – prosty, idealny. To Phoebe odziedziczyła jego zadarty, choć w miniaturze.

– Nie jesteś taki zły! – powiedziała, odwracając się, jakby żartował.

– Mógłbym być lepszy. O mało co, a nie poznałbym Jessego.

– Masz mnóstwo czasu. Dopiero co się spotkaliście.

– Rzeczywiście mam – odparł. – Z wami wszystkimi – dodał pod nosem.

Stali na czerwonym świetle.

– A gdzie mieszka Sean, gdy nie jest w Liberii? – zapytał.

– W Dublinie. Ale rozmawialiśmy o tym. Przeniesie się tutaj wiosną, przed narodzinami dziecka. Na razie wystarczy nam miejsca w moim mieszkaniu.

– I dobrze – odparł Andrew. Ale pomyślał, że Olivia zostanie w domu. Nie będzie już próbowała uciekać.

10

Sylwester 2016

Emma

Hol, Gloucester Terrace 34, Camden, 14.00

Dopiero wczesnym popołudniem Emma zabrała się do sortowania masy poczty leżącej przy drzwiach wejściowych. Na spóźnionych życzeniach świątecznych i ulotkach organizacji humanitarnej Oxfam o haag leżała biała długa koperta zaadresowana do niej. Wiedziała, że to wyniki badań, zanim zobaczyła pieczętkę „Prywatne i poufne” i adres doktora Singera z tyłu. Długo na nią patrzyła, nie chcąc się dowiedzieć, co jest w środku. Otworzy ją sama, postanowiła, w toalecie na podeście schodów. Nadal trzymała kopertę w dłoni, gdy na dół zeszła Olivia.

– To wyniki? – zapytała, jakby była jasnowidzem. A może oglądała dość pacjentów w podobnej sytuacji, by rozpoznać oznaki. Miała na sobie sweter Phoebe, a nie bluzę z kapturem jak zwykle.

– Mhm – odparła Emma. – Tak! – Miało zabrzmieć wesoło, lecz dźwięk był wyraźnie zduszony.

– Może otworzymy to razem w kuchni? – zapytała Olivia. – A potem zastanowimy się, co dalej. – Jej głos brzmiał inaczej niż zazwyczaj, profesjonalnie i pozytywnie. To było raczej miłe. Jak lekarz, pomyślała Emma, zanim przypomniała sobie, że córka jest lekarką.

– Uhm. Tak. Dobrze.

– Szczęśliwego Nowego Roku! – zawołał Jesse donośnie, wchodząc do pokoju telewizyjnego z brązowymi torbami pełnymi zakupów, jak aktor grający główną rolę w komedii romantycznej.

Jakoś tak się złożyło, że była już pora podwieczorku. Emma i Olivia siedziały na kanapie godzinami, podczas gdy inni wpadali i wypadali, proponując herbatę.

– Znalazłem moje ulubione kulki z tofu! – oznajmił Jesse. Phoebe wysłała go do Park Foods przy Parkway, by mógł kupić wegańskie jedzenie, bo Andrew przygotowywał kurczaka. Jesse wyglądał na niezwykle podnieconego wyprawą. – Londyn jest taki piękny! Wszedłem na szczyt Primrose Hill. Powaga, przypomina mi ten film *101 dalmatyńczyków*. Uwielbiam tę porę roku! To jak szansa, by zacząć wszystko od nowa.

Miał rację. Emma też czuła się ożywiona. Nowe dziecko było powodem do życia. Spojrzała na Olivię, jej twarz od dawna nie była tak zrelaksowana, pomimo poważnej rozmowy, którą odbyły wcześniej. Mimo wszystko plan Olivii dotyczący chemioterapii, łącznie z wyznaczeniem kierowców, którzy mieli ją wozić na wizyty, był lepszy niż stan zawieszenia z minionych dni. Lepszy niż oferowane

w najlepszych intencjach, lecz szalone teorie Jessego. I tak zagrzewające ją do walki z rakiem rozmowy z Nicolą okazały się jak najbardziej słuszne. Może i stracę rzeszy, pomyślała, ale to niewielka cena za oglądanie własnego wnuka.

– Wzgórze wygląda pięknie o zachodzie słońca, prawda? – powiedziała.

– Niesamowicie! – odparł Jesse. – Jak się czujesz, Olivio?

– Lepiej, dziękuję. Choć odnalazłam w sobie nowe współczucie dla kobiet w ciąży.

– I dobrze! Dziś wieczorem my z Andrew będziemy paniom usługiwać. Musicie odpocząć. Żadnej pomocy, Emmo. Zajmiemy się wszystkim.

Wyszedł. Olivia i Emma spojrzały na siebie i choć raz poczuły się tak, jakby połączył je wspólny żart.

Oglądali potem w nieskrępowanej ciszy *Poirot*, dopóki w drzwiach nie stanęła Phoebe w kimonie. Włosy miała zawinięte w turban z ręcznika, a oczy naciągnięte jak po nieudanej operacji plastycznej. Mimo wszystko wyglądała bardzo szykownie.

– Mamo, naprawdę mi przykro, ale chyba nie mogę zostać na kolację. Impreza zaczyna się wcześniej, niż myślałam, więc... I będę się przygotowywać u Lary.

– Oh, Phoebs! To okropne. Chłopcy specjalnie gotują. Musisz tam być od samego początku?

– Nie, ale najpierw spotykam się z kolegą z pracy. Chciał mnie zaprosić na kolację, ale mamy mało czasu, więc idziemy na drinka, a potem na imprezę. Przecież nigdzie nie wychodziłam przez tydzień. Dosłownie. Ani na randkę, od sześciu lat.

– Caspar? – zapytała Olivia.

– Yhm – mruknęła Phoebe, która wcale nie wyglądała jak dopiero co porzucona dziewczyna.

Emma zdumiała się, jak szybko córka doszła do siebie. To był oczywiście dobry znak, ale nie mogła nic poradzić, że ogarnęło ją przygnębienie. Wiedziała, że Andrew chciał, by kolacja była wyjątkowym rodzinnym posiłkiem, by uczcić wszystko, co zdarzyło się podczas kwarantanny. Olivia nie odrywała wzroku od ekranu telewizora.

– Daj znać tacie – rzuciła Emma słabo. – Na pewno będzie chciał otworzyć szampana przed twoim wyjściem. – Może Andrew przekona Phoebe, żeby została na kolację, pomyślała. Poza tym nie powinna wychodzić z pustym żołądkiem.

– Okej. Ale to musi być szybko – odparła Phoebe, odwracając się.

– Dobrze, aniołku – powiedziała Emma, starając się ukryć rozczarowanie.

Jesse

Kuchnia, Gloucester Terrace 34, Camden, 16.10

Andrew był już w kuchni, gdy do środka wszedł Jesse z zakupami. Zaznaczył stronę w pożółkłej książce i uśmiechnął się. Od wczoraj Jesse coraz częściej dostrzegał podobieństwo między nimi. Emma powiedziała to samo.

– Znasz Claudię Roden? – zapytał Andrew, podnosząc książkę.

– To brytyjska szefowa kuchni?

– Brytyjsko-egipska. W latach osiemdziesiątych wprowadziła tu wschodnią kuchnię. W tej książce jest pyszny przepis na kurczaka, którego robiliśmy kiedyś z Emmą. I na pilaw, który będzie do niego pasował – dodał, pokazując Jessemu stronę z nagłówkiem „Ryż z szafranem, rodzynekami i migdałami”.

– Jasne – odparł Jesse, przebiegając wzrokiem przepis.

Przyzwyczał się już do sposobu mówienia Andrew. Zanotował w pamięci, by powiedzieć Danie, że Andrew mówi tak, jak pisze, że proza nie jest sztuczna, choć on sam jest mniej złośliwy. Kiedy się go pozna, wydaje się bardziej prawdziwy.

– Świetnie. Pomyślałem, że powinniśmy zrobić coś z tego rejonu na twoją pożegnalną kolację – powiedział Andrew. Wspomniał o tym trzeci raz od śniadania. Dzisiejszy wieczór musi być dla niego bardzo ważny.

Jesse zabrał się do swojej części menu, brownie ze słodkich ziemniaków, podczas gdy Andrew siekał zioła i odważał przyprawy, wkładając je do osobnych miseczek, jakby brali udział w programie kulinarnym. Pogwizdywał pod nosem „Driving Home For Christmas”, z nerwów albo zadowolenia, Jesse nie był pewien.

– Czytałem felieton o twojej mamie – powiedział między obrotami robota. – Chyba była niesamowita.

– Czytałeś? Rzeczywiście była niezwykła. W prawdziwym znaczeniu tego słowa – odparł Andrew. – Żałuję, że nie mogłeś jej poznać. Bardzo lubiła Olivię i Phoebe. Zwłaszcza Olivię. Były do siebie podobne. Przeróżająco samodzielne.

– Racja. Jasne.

– W pewnym sensie musiała być dla mnie ojcem i matką. Nigdy nie poznałem swojego ojca – ciągnął Andrew. – Ale wiedziałem o nim. Wyobrażam sobie, że bycie adoptowanym musi być skomplikowane i trudne. Nic nie wiedzieć.

– Chyba tak. Moi rodzice adopcyjni byli zawsze bardzo otwarci, ale nie mogli mi nic o tobie powiedzieć. Dopóki nie sprawdziłem twojego nazwiska, byłeś, tak jakby, próżnią.

Andrew wykrzywił usta, jakby chciał rzucić jakiś dowcip, ale zmienił zdanie.

– Planowałem nakręcić o tym film – ciągnął Jesse. – Liczyłem, że nakręcę

kilka ujęć w Weyfield. Ale trochę oszczędłem od tematu.

– Raczej przeszkodziły ci wydarzenia minionego tygodnia.

– Jasne!

– Jeśli nakręcisz ten film, mam nadzieję, że rozważysz jakiś fragment z Camden. Może przez Skype’a. Bardzo się cieszymy, że tu przyjechałeś – powiedział, wpatrując się uważnie w cyfrową wagę.

Jesse postanowił skorzystać z okazji.

– Jaka ona była? Leila, moja biologiczna mama?

Szyja Andrew poczerwieniała, gdy podniósł wzrok, i przez moment Jesse zastanawiał się, czy nie przekroczył niebezpiecznej granicy. Lecz twarz Andrew odprężyla się, gdy powiedział:

– Pamiętam, że była przepiękna. Dobrze zrobiłeś, że odziedziczyłeś wygląd po niej. I była bardzo inteligentna, dużo podróżowała. Poza tym obawiam się, że nie mogę ci wiele powiedzieć – dodał zmieszany. – Niezbyt dużo rozmawialiśmy.

Jesse roześmiał się.

– Kapuję. Gdzie się poznaliście, jeśli mogę spytać?

– W barze w moim hotelu. Wiem, to brzmi okropnie. Ale strefa wojenna, kryzys humanitarny wszystko potęgują. Ludzie zachowują się inaczej. Chyba podejmują ryzyko. Spójrz na Olivię i Seana.

– Zgadza się. *Carpe diem*.

– No właśnie. Nawiasem mówiąc, podrywanie kobiet w barach nie weszło mi w nawyk – powiedział z niezwykłą szczerością. Jesse domyślił się, że w ten sposób chce dać do zrozumienia, że przez całe małżeństwo dochował wierności Emmie. – Ale spójrz, co nam to przyniosło! – Andrew wrócił do cierpkiego humoru i uniósł kubek w stronę Jessego.

– Byłeś bardzo młody. – Zabawne, czuł, że może rozmawiać z Andrew jak dorosły, ale Andrew nie potrafi odplacić tym samym. Wiedział, że nigdy nie będzie widział w nim ojca, którym był dla niego Mitch, ale to było w porządku. Prawdopodobnie zdrowszy układ. – Była prezydentką wiadomości, prawda?

– W tamtym czasie tak. Potem została ważną producentką w telewizji Al-Dżazira. Ale pewnie wiesz więcej ode mnie. O ile wiem, sprawdziłeś ją w sieci.

– Tak, ale niewiele znalazłem. – Zdziwiło go, że Andrew śledził karierę Leili Deeby.

– W zasadzie jest coś, co chciałem ci pokazać – powiedział Andrew, zmniejszając płomień pod patelnią. – Teraz jest równie dobra pora jak każda inna. Chodź na górę – powiedział i Jesse ruszył za nim na pierwsze piętro.

Nie widział jeszcze gabinetu Andrew. Nie przypominał ciemnej, zastawionej meblami palarni. Wykuszone okno wychodziło na Primrose Hill, a całe dwie ściany od podłogi po sufit zajmowały półki na książki. Były nawet nad drzwiami. Na jedyne umeblowanie składało się proste biurko i ergonomiczny fotel. Coś mu to

przypominało i po chwili uświadomił sobie, że jego własne mieszkanie. Dana i rodzice zawsze mu dogryzali, że jest takim pedantem w rodzinie bałaganiarzy.

Andrew wysunął szufladę biurka i rozłożył kartkę kremowego papieru.

– Powinienem był ci to pokazać zaraz po twoim przyjeździe – powiedział. – Ale sprawa się skomplikowała, bo głupio nie wspomniałem o tym Emmie. Ale teraz już wie. Przeczytaj. Powinieneś go zatrzymać. Tak naprawdę chyba jest do ciebie.

Jesse wziął kartkę i zobaczył, że to ręcznie pisany list. Spojrzał na podpis – jego autorką była ona. Jego biologiczna matka.

Drogi Andrew,

minęło tyle lat, ale mam nadzieję, że pamiętasz nasze spotkanie w Bejrucie. Piszę, by Ci powiedzieć, że po naszym spotkaniu dowiedziałam się, że jestem w ciąży. Chłopczyk urodził się 26 grudnia 1980 roku. Postanowiłam oddać go do adopcji, bo nie byłam w stanie sama go wychować. Chcę Cię bardzo przeprosić za to, że nie poinformowałam Cię o tym wcześniej. Byłam młoda i bałam się, a w tamtym czasie najważniejsza była dla mnie kariera. Bejrut nie był bezpiecznym miejscem dla dziecka. Pomyślałam, że będzie Ci łatwiej, jeśli nie będziesz o niczym wiedział.

Piszę jednak teraz, bo jestem chora. Śmiertelnie. Pogodziłam się z faktem, że umrę, nie zobaczywszy mojego syna. Przez wiele lat miałam nadzieję, że będzie próbował mnie odnaleźć, ale nie zrobił tego. Nigdy nie miałam innych dzieci.

Jeśli skontaktuje się z Tobą któregoś dnia, powiedz mu, proszę, że nie było dnia, żebym o nim nie myślała. Moim ostatnim życzeniem jest, by był szczęśliwy. Jeśli go zobaczysz, na pewno go rozpoznasz. Był piękny. Dałam mu na imię Iskandar.

Pozdrawiam Cię serdecznie

Leila Deebe

Życzę Ci wszystkiego najlepszego i mam nadzieję, że życie potraktowało Cię łaskawie.

Raz po raz słyszał każdą linijkę w głowie. Zawsze zakładał, że to w sierocińcu nadano mu imię Iskandar – „obrońca ludu” – ale zrobiła to ona. „Nie było dnia, żebym o nim nie myślała”. Oparł się o biurko, zapominając o Andrew i wszystkim w pokoju. Powrócił tępy ból, który czuł po jej śmierci. Tym razem jednak czuł coś jeszcze. Nadała mu imię. Wiązała z nim nadzieje. Nigdy go nie zapomniała. Zupełnie jakby zamknął się pewien krąg, który odkąd sięgał pamięcią, miał kształt litery C.

Andrew odwrócił wzrok i układał pocztę na parapecie.

– Wow – powiedział Jesse, gdy odzyskał głos.

Andrew niezgrabnym ruchem położył mu dłoń na ramieniu.

– Masz szczęście, planowałem go... – zaczął, lecz szybko zmienił temat: –

Drinka?

Phoebe

Schody, Gloucester Terrace 34, Camden, 17.15

Phoebe zatrzymała się przy drzwiach do kuchni. Czuła się podle, tym bardziej że matka wcześniej wyglądała na taką zawiedzioną. Zwłaszcza po ważnej rozmowie o jej leczeniu, którą wcześniej odbyli. Prognozy były nie najgorsze, ale będzie musiała poddać się chemioterapii. Phoebe postanowiła, że zapełni lodówkę sorbetami Marine Ices – Olivia powiedziała, że to jedyne, co mogą jeść pacjenci poddawani chemioterapii – będzie zachowywała się jak dorosła i nie będzie się wściekać, gdy włosy Emmy zatkają odpływ w wannie.

Ale mimo wszystko nie musi przecież odwoływać spotkania z Casparem. Nikt o tym nie wiedział, ale od dawna patrzyli na siebie w biurze. Ciekawe, skąd wziął jej numer. Spodobało jej się, że ją odszukał. Wcześniej zostawił wiadomość głosową, potwierdzającą spotkanie, i słuchała jej raz po raz. Jeśli Phoebe je odwoła albo nie pójdzie na imprezę, zostanie to źle zrozumiane. Andrew z pewnością nie będzie miał nic przeciwko temu, jeśli ona opuści kolację. Ale też po tym żartobliwym felietonie może próbować wzbudzić w niej wyrzuty sumienia, żeby została. Wszyscy z radością przyjęli jego decyzję o odejściu z „The World”. Ale w duchu czuła smutek – uwielbiała ich kolacje w restauracjach, na które nie było jej stać. Nawet te najgorsze były zabawne i na lata stawały się tematem żartów. Przytuliła ojca i powiedziała, że to słuszna decyzja, bo tak twierdziły matka i siostra. Ale zabolalo ją, że nie wspominał o niej w pożegnalnym felietonie. Była przecież córką, która zawsze przy nim była – a wspominał, że *#rodzinaanajważniejsza*. Olivia przyjechała do domu tylko dlatego, że nie miała gdzie spędzić kwarantanny.

Otworzyła drzwi do kuchni. Jesse i ojciec stali w otoczeniu składników, obaj w fartuchach, które sięgały im ledwie do połowy uda. Andrew napełniał ponownie dwie szklaneczki whisky z lodem. Zapach przypominał jej southern comfort, którą George pijał w Edynburgu. Nazywał ją So-Co, przypominała sobie i wzdrygnęła się. Pragnienie, by rzucić mu w twarz teorie Jessego, już zbladło. On nigdy się do tego nie przyzna, nawet jeśli to była prawda.

Kiedy weszła, Andrew uniósł szklaneczkę.

- Tatusiu, mam dylemat – zaczęła. – Mogłabym opuścić dzisiejszą kolację?
- Słucham? – zapytał jowialnie.
- Mogę wyjść dziś wieczorem?
- Oczywiście, o ile zostaniesz na utuczone ciele. A raczej kurczaka karmionego kukurydzą.
- Chodzi o to, że mam się przygotować u Lary, żeby ze wszystkim zdążyć,

a potem spotykam się z Casparem na drinka o dziewiątej, więc...

– Nie do końca nadażam – odparł Andrew. Nowy, obcy uśmiech lekko zbladł.

– Idę wziąć prysznic. Poradzisz sobie z cukinią, prawda, Andrew? – powiedział Jesse, mijając ich dyskretnie.

– Oczywiście – odparł Andrew, choć był trochę strapiiony.

W milczeniu podziękowała Jessemu – musiała zostać z ojcem sama, jeśli miała postawić na swoim. Przysiadła na stołku przy wyspie, ruszając palcami u nóg z pomalowanymi na czerwono paznokciami.

– Nie mogę zostać na kolacji. Nie mam czasu – zaczęła, czując się sfrustrowana. – To się nie uda. Nie mogę odwołać spotkania z Casparem w ostatniej chwili. Przepraszam, tato. Zakładałam, że nie będziemy organizować niczego wystawnego w sylwestra.

– To nie jest normalny sylwester. W zaistniałych okolicznościach Caspar na pewno zrozumie.

– Ale tak bardzo się na to cieszyłam. Czemu dzisiejszy wieczór jest taki ważny? Siedzieliśmy razem przez cały tydzień.

– Wydawało mi się, że wspomniałaś o dylemacie. A wygląda na to, że już podjęłaś decyzję.

– Nie musisz być taki – odparła Phoebe. – Próbuję znów wyjść do ludzi. Nie jest łatwo przekonać się, że ostatnie sześć lat życia było szopką. – Ostatnie słowo wypowiedziała drżącym głosem i wyraz oczu Andrew złagodniał. Zawsze tak się działo, gdy groziła, że zacznie płakać.

– Wiem, że bardzo chcesz znów się bawić – zaczął, zdejmując okulary i pocierając czoło. – Ale masz mnóstwo czasu. Byłoby miło, gdybyś do nas dziś dołączyła. Planowaliśmy wydać z Jessem ucztę. Utuczone ciele, jak wspomniałem.

Milczała, nie chcąc się odciąć ani wybuchnąć płaczem.

– Syn marnotrawny? Biblia? Coś ci to mówi? – dopytywał się.

– Tak. To ostatni wieczór Jessego. Ale przecież to nie znaczy, że już nigdy go nie zobaczymy. Myślałam, że planujesz go odwiedzić w przyszłym roku.

– Nie chodzi o Jessego, lecz o Olivię – odparł Andrew, wbijając wzrok w przepis.

– Co? Z powodu dziecka?

– Nie. Nie rozumiesz? Aż do teraz twoja siostra i ja... no cóż, wystarczy powiedzieć, że rzadko bywała w domu, jak wiesz. Nawet w święta. A kiedy już przyjeżdżała, nie za dużo ze sobą rozmawialiśmy. A w tym tygodniu odkryliśmy, że mamy ze sobą więcej wspólnego, niż myśleliśmy. Praca za granicą i... tak, nasza praca. – Mówiąc to, cały czas wpatrywał się w przepis. Na skroni lśniły mu krople potu. Wiedziała, że powinna dać mu spokój, ale coś obudziło w niej złośliwość.

– Boże, sama mogłam ci to powiedzieć. Oboje jesteście zbyt uparci, by to sobie uświadomić.

– Bez wątplenia. Ty i Emma zawsze widzicie takie sprawy. Ale mimo wszystko, mamy okazję do świętowania.

Dziwnie się czuła w towarzystwie tego nowego, wzruszonego Andrew. Wolą starszego, zręczliwego. Tamtego tylko ona potrafiła rozśmieszyć.

– Chcę po prostu wyjść się zabawić, zapomnieć o wszystkim. Tak bardzo martwię się o mamę.

Nie czuła się zbyt rewelacyjnie, grając tą kartą, choć była to prawda. I chyba zadziałała.

Ojciec wypił łyk whisky.

– Dobrze. Oczywiście – powiedział i ten nowy uśmiech powrócił. – No to zmykaj. Mam nadzieję, że ten Caspar wie, jaki z niego szczęściarz.

Emma

Pokój telewizyjny, Gloucester Terrace 34, Camden, 17.55

Po całym popołudniu spędzonym na kanapie Emma z trudem się z niej podniosła. Zakaz wchodzenia do kuchni był dla niej czymś zupełnie nowym i musiała tam zajrzeć. Miała nadzieję, że Andrew nie rzuci się na coś zbyt ambitnego ani nie narobi za dużo bałaganu. Ale uderzył ją zaskakująco profesjonalny zapach smażonego czosnku i o wiele czystsze blaty niż wtedy, gdy gotowała ona. Jesse mieszał coś w rondlu, a Andrew nadziewał kurczaka.

W radiu słodko śpiewał Elvis. „You were always on my miiiiind!”, zawtórował Andrew, patrząc na nią. Był niemal głupio wesoły od chwili, gdy napisał ostatni felieton. Wyglądało to tak, jakby do tej zmiany doprowadziła scena w piwnicy i ich wczorajsza rozmowa przy oknie, nawet jej diagnoza. Kiedy rano kochała się z Andrew, a potem patrzyła, jak spienia dla niej mleko do cappuccino, przeniosła się myślami do ich miesiąca miodowego w Puglii. Być może kalifornijska radość Jessego złagodziła ostre kanty Andrew, pomyślała, obserwując, jak działają w harmonii.

– Mogę prosić? – zapytał Andrew, podchodząc do Emmy.

– Nie trzymałeś przypadkiem przed chwilą rąk w kurzym zadku?

– Nie ma w tym nic złego – odparł Andrew, ujmując jej dłoń jedną ręką, a drugą obejmując ją w tali. – Udało nam się uniknąć haag. Nie możemy pozwolić, by na drodze romansu stanęła odrobina salmonelli.

Zaczął ją przesuwac w przód i w tył i Emma przypomniała sobie, jakim był dobrym tancerzem, gdy chodzili do jazzowych klubów w Soho, wiedząc, że nie natkną się tam na żadnego z jej znajomych. Zupełnie jakby tańczyła z mistrzem po tych wszystkich typach w stylu Bertiego Woostera, z którymi zwykle się spotykała. Z Andrew wystarczyło dać się prowadzić. Jesse wtrącił się bardzo po amerykańsku, kiedy Andrew ją przechylił, i powiedział: „Nadal to macie, Emmo!”, co było urocze z jego strony.

– Przykro mi, że nie udało mi się przekonać mademoiselle, żeby została – powiedział Andrew. – Nie było szans.

– Trudno. Nie twoja wina.

– Okej, pa wszystkim – rzuciła Phoebe, stając w drzwiach. Miała na sobie płaszcz i wpychała szpilki do dużej torby z ubraniami.

– Powinnaś w nich chodzić ze swoją stopą? – zapytała Emma.

– Mamo! Mam dwadzieścia dziewięć lat! Jest dobrze. Już mnie nie boli.

– Nie zostaniesz na kieliszek szampana?

– Nie mogę, jestem spóźniona. Wypij za mnie. Poza tym nie chcę tam

przyjść wstawiona. Mam strasznie słabą głowę – dodała do Jessego.

– Dlatego że jesteś taka szczupła – odparł, a Phoebe wyglądała na zadowoloną, jakby powiedział to, co należało.

– No dobra, szczęśliwego Nowego Roku wszystkim! – zawołała Phoebe, posyłając im całusy. – Do zobaczenia jutro. Nie wrócę przed dwunastą.

Była tak podekscytowana, że Emma starała się nie mieć jej za złe, że wychodzi. Drzwi frontowe zatrzęsły się tak mocno, że zakolysały się ryciny Williama Nicholsona na ścianach.

– Aaaach, kocham Króla – wymruczał prezenter Paul O’Grady, gdy Elvis skończył śpiewać. – Teraz wiadomości, a po nich mój następny gość, mistrz tańca Bruno Tonioli.

Rozległ się sygnał zapowiadający wiadomości i Andrew puścił Emmę.

Myła ręce w zlewie, a Andrew wrócił do kurczaka.

– Sean Coughlan, pediatra z Irlandii, u którego wykryto wirusa haag, zmarł w szpitalu – rozległ się bezbarwny głos prezenterki. Emma zamarła, trzymając dłonie pod zbyt gorącą wodą. – W czwartek przeniesiono go z izolatki, lecz wywiązała się infekcja. Sekcja zwłok zostanie przeprowadzona dopiero w przyszłym tygodniu. Trzydziestotrzyletni Coughlan zaraził się wirusem podczas wizyty w szkole podstawowej, gdzie uczestniczył w kampanii informującej miejscowe dzieci o chorobie. Choć badania na obecność wirusa, który atakuje system immunologiczny, dały wynik negatywny, Coughlan był bardzo osłabiony. Hołd pamięci odważnego młodego człowieka składają rodzina, przyjaciele i koledzy. To pierwszy przypadek śmierci brytyjskiego wolontariusza po wybuchu epidemii haag. Rodzina zmarłego zwróciła się z prośbą o uszanowanie prywatności.

Emma biegła po dwa stopnie naraz, przeklinając, że dom jest taki wysoki. Już w połowie drogi krzyknęła: „Wiv!”, ale nie usłyszała żadnej odpowiedzi. Kiedy wpadła do pokoju, Olivia leżała twarzą na łóżku, a jej ramiona trzęsły się w ciszy. Emma usiadła obok niej, nic nie mówiąc, tylko gładząc ją po szerokich plecach i myszowatych włosach. Jak w dzieciństwie, gdy nie mogła zasnąć. Nie miała pojęcia, czy Olivia w ogóle wie, że jest przy niej.

– Tak mi przykro, kochanie – powiedziała w końcu. – Tak strasznie przykro. – Czuła, że to brzmi beznadziejnie.

Olivia nie odpowiedziała ani nie podniosła głowy. Ale po chwili przesunęła się nieznacznie w stronę uda Emmy.

Phoebe

Mieszkanie A, Bury Street 29, Dalston, 19.30

– Nadal jestem w szoku, że zrobił coś takiego – powiedziała Lara, dolewając Phoebe prosecco. – Zmył się zaraz po oświadczeniach. To chyba jakiś psychopata. – Phoebe zrelacjonowała przyjaciółce wydarzenia ostatniego tygodnia, gdy się malowała, a Lara paliła, wydmuchując dym przez okno. Nawet w niepokojąco dorosłym mieszkaniu Lary wieczór otaczała aura nostalgii – jak wtedy, gdy siedziały w sypialni Phoebe i gadały bez końca, dopracowując makijaż à la Amy Winehouse. Słysząc było wyraźnie, że Lara nigdy nie była fanką George’a, mimo że dwa tygodnie temu zachwycała się pierścieniem. Phoebe czuła się jak idiotka; do niedawna zakładała, że wszyscy zazdroszczą jej takiego życia. Mimo wszystko może to i lepsze od litości, której się spodziewała.

– Wiem – odparła. – Dziwne, ale już czuję się trochę zdystansowana. Może przez to, że tyle się dzieje. Nie mam nic przeciwko temu, że już nigdy go nie zobaczę.

– Naprawdę? Nie potrzebujesz jakiegoś domknięcia? Albo przeprosin?

– To nie ma sensu. Zupełnie jakbym rozstała się z kimś, z kim spotykałam się bardzo krótko. Nie z narzeczonym.

– Nie byliście sobie bardzo bliscy?

– Chyba nie. Myślę, że byłam zakochana w idei, że jestem jego dziewczyną. A potem przyzwyczaiłam się, że jesteśmy parą. Z tą różnicą, że tak naprawdę nie wyszliśmy poza poziom randek. Co w pewnym sensie było zabawne. Ale to nie była miłość.

– Może więc słusznie postąpił, kończąc to wszystko – stwierdziła Lara.

– Mniej więcej. Ale mógł to zrobić lepiej.

– Zgoda, ale teraz możesz go nienawidzić za to, że okazał się tchórzem. Łatwiej kogoś nienawidzić, niż za kimś tęsknić.

– Chyba masz rację. – Czy mogła sobie wyobrazić, że naprawdę tęskni za George’em? Czy nie wylewała łez z powodu urażonej dumy, lat zmarnowanych na związek z tym idiotą?

Nie wspomniała o teorii Jessego. Uświadomiła sobie, że weszło jej w nawyk, by cenzurować wszystko, co mówiła swoim najlepszym przyjaciółkom o związku z George’em. Na myśl o tym szybko to z siebie wyrzuciła. Czuła, że płoną jej policzki, gdy opowiadała o podejrzeniach Jessego.

– Cholera – rzuciła Lara. Odwróciła się, by zgasić papierosa na parapecie. Przez moment tylko wdychała i wypuszczała powietrze. Potem powiedziała bardzo poważnym tonem: – Szkoda, że przez to nie ma lepszego gustu, jeśli chodzi

o biżuterię. – Obie wybuchnęły tak serdecznym śmiechem, że Phoebe musiała wypłuć prosecco do kieliszka, żeby nie trysnęło jej nosem.

Kiedy spoważniały i musiała poprawić makijaż, uzmysłowiła sobie, że z George'em nigdy się tak nie śmiała. Być może za bardzo zależało jej, by mieć chłopaka, jakiegokolwiek.

Olivia

Pokój gościnny, Gloucester Terrace 34, Camden, 20.00

Olivię bolała każda część ciała. Ból ogarniał ją i uderzał wielką falą jak przyływ – aż po szyję i czubek głowy, gdy próbowała złapać powietrze. Otworzyła oczy, lecz pokój zakotłosał się i pomyślała, że znów zrobi się jej niedobrze, więc zamknęła oczy. Teraz zamiast czerni swoich powiek, widziała wpatrzone w nią oczy Seana. Widziała je bardzo ostro – złotą plamkę przy jednej źrenicy, kurze łapki rozchodzące się na skronie, fioletowe kręgi po nocnej zmianie. Czowała, jakby serce miało jej wybuchnąć, jakby ciało rozumiało, co się wydarzyło, a mózg nie chciał za nim nadążyć. Raz po raz przeżywała wczorajsze, ostatnie spotkanie. Spieszyła się, bo ojciec czekał w samochodzie, i wyszła z pokoju, posyłając mu całusy i obiecując, że niebawem będą świętować. Czemu nie poprosiła, by pokazano jej wyniki badań krwi, nakłucia lędźwiowego? Co sobie myślała, ufając wskazaniom monitora, kiedy negatywny wynik testu pochodził zaledwie sprzed trzech dni? Otworzyła oczy, by uciec przed wzrokiem Seana, i wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w ściany.

Przypomniła sobie idealny wieczór w Liberii. Siedzieli na plaży o zachodzie słońca i piekli rybę, którą Sean dopiero co złowił. Był taki dumny z siebie – jak mały chłopiec – więc dogryzała mu, aż w końcu przerzucił ją sobie przez plecy i pobiegł w stronę morza, grożąc, że rzuci ją w fale. Pamiętała, jak wbrew sobie była zachwycona, że mógł nią rzucać jak pisklakiem. Spodobało jej się, jak wbiegł do wody, potykając się, aż w końcu się przewrócił, a potem wynurzył z głową gładką jak u foki i rzęsami jak harpuny. Nigdy wcześniej nie widziała go tak szczęśliwego i to nie z powodu ryby, piwa i zachodu słońca. Potem powiedział jej, że w tamtej chwili zorientował się, że jest zakochany. A ona pamiętała, że czuła to samo i że poczucie takiej swobody w czyimś towarzystwie jest jeszcze cudowniejsze niż emocje pierwszego pocałunku.

Przytłoczyła ją myśl, że ma urodzić jego dziecko, dziecko, którego on nigdy nie zobaczy. Próbowwała odsunąć ją od siebie – była przecież dopiero w siódmym tygodniu. Ale strach, że dziecko Seana na zawsze zwiąże ją z tym dniem, z haag, był porażający. Znów zacisnęła powieki, nienawidząc siebie za to, że w ogóle myśli o przyszłości, że zastanawia się nad dalszym życiem. Usłyszała w głowie jego głos, sposób, w jaki wymawiał „O-livia”. I nagle pożałowała, że nie powiedziała matce na lotnisku, kim on jest. A teraz było za późno.

Andrew

Kuchnia, Gloucester Terrace 34, Camden, 20.18

Surowy kurczak leżał na blacie, goły i zimny. Był gotowy, by wsadzić go do piekarnika, kiedy zaczęły się wiadomości, ale teraz trzeba go będzie wyrzucić do śmieci. Olivia błagała, by zostawić ją samą, ale oni czuliby się podle, gdyby zgodnie z planem zaczęli ucztować na dole. Andrew i tak stracił apetyt. Widząc, jak patrzy na ptaka, Emma przypomniała sobie, że powinna się zachować, jak na nią przystało, choć może się to wydać karykaturalne. Zerwała się, jakby usiadła na czymś gorącym, i wykrzyknęła:

– Kurczak! Nie upiecze się na czas, szybko, wstaw go do piekarnika, Andrew!

– Ale przecież nie będziemy się teraz tym zajmować?

– Nadal musimy coś jeść – odparła Emma. W jej oczach czał się wyraz przerażenia, jaki miewała na lotniskach. – Zwłaszcza Wiv w jej stanie. Musi mieć siły. Zaniosę jej tacę na górę albo może później zejdzie i posiedzi z nami.

Wątpił, by Olivia spojrzała łaskawym okiem na tacę Emmy albo że zejdzie na dół dziś wieczorem – czy nawet jutro. Mimo wszystko wiara pokładana przez żonę w piezzonego kurczaka była wzruszająca.

– Czy nie będzie miała nam za złe, że zachowujemy się, jakby nic się nie stało? – zapytał. Wiedział, jak łatwo jest urazić Olivie, i nie miałby pretensji, gdyby nie spodobało się jej, że siedzą sobie wygodnie na dole. Ta nowa nić porozumienia między nimi nadal wydawała się bardzo wąła.

– Oczywiście, że nie. Rytuały niosą ze sobą ukojenie – wyjaśniła Emma.

– Emmo, naprawdę nie sędzę... – urwał. – Nie możemy go wstawić do lodówki i zjeść kiedy indziej? Sam nie mógłbym niczego przełknąć.

– Ale to ostatni wieczór naszego drogiego Jessego! – wykrzyknęła, odwracając się, by go uścisnąć. Brandy chyba uderzyła jej do głowy. Mimo wszystko szkoda byłoby rozstać się w tak ponurym nastroju.

– Jesse? – zapytał.

– Proszę, nie róbcie niczego ze względu na mnie – odparł chłopak. – Choć Emma chyba ma rację, rytuały pomagają utrzymać równowagę.

Andrew uświadomił sobie, że to on musi podjąć decyzję. To było zupełnie nowe uczucie.

– No, skoro jest gotowy, możemy go równie dobrze upiec i zjeść jutro na zimno – powiedział.

– Świetnie – rzuciła Emma, otwierając piekarnik. W pośpiechu o mało co nie upuściła kurczaka. Wyprostowała się w poszukiwaniu następnego zadania. – Może

Olivia chciałaby się wykapać? Jesse, puść wodę do wanny. Pójdę ją zapytać.

– Zaczekaj. – Zatrzymał ją Andrew. – Teraz chyba lepiej zostawić ją samą. Jesse, sprawdź, czy uda ci się namierzyć młodszą siostrę. Masz numer jej komórki, prawda?

Kiedy to mówił, uświadomił sobie, że pierwszy raz pomyślał o Jessem jako o bracie swoich córek.

Phoebe

Sugar Rush, Hoxton, 21.33

Caspar poszedł do baru, a Phoebe rozsiadła się wygodnie w ich boksie i obserwowała go. Był wyższy i szczuplejszy od George'a. Podobało jej się, jak dżinsy na nim wiszą. Dżinsy George'a koszmarnie opinały jego mięśnie rugbyisty. Lara stale powtarzała, że George jest taki wysportowany, jakby szukała jakiejś pozytywnej uwagi na jego temat. I choć Phoebe wiedziała, że to prawda, gdzieś głęboko zdawała sobie sprawę, że nigdy nie lubiła czuć na sobie ciężaru potężnego ciała George'a – nigdy nie czuła podniecenia, gdy na niego patrzyła. Czy nie powinno się czuć tego trzepotania, które teraz pojawiło się tuż pod pępkiem? Zauważyła, że ludzie rozpoznają Caspara, i uderzyło jej to do głowy jak aperol spritz.

Kiedy czekała, sprawdziła telefon – pięć nieodebranych połączeń. Trzy ze stacjonarnego numeru przy Gloucester Terrace, jedno z komórki ojca i jedno z numeru, który wyglądał na zagraniczny. Nie mogła sobie zawracać głowy odsłuchiwaniami wiadomości. Matka zawsze strasznie długo gadała, a poza tym w barze i tak niczego nie usłyszysz. To pewnie jedno z głupich pytań rodziców dotyczących domu: „Phoebe, widziałaś gdzieś taśmę klejącą?”, „Phoebe, wyrzuciłaś naszą spleśniałą taramosalatę?”. Prychnęła cicho, po czym przywołała na twarz odpowiedni wyraz trzeźwej i kuszącej kobiety, gdy Caspar wrócił z baru, a potem wszystko zniszczyła, parskając śmiechem, gdy stawiał drinki na stoliku.

– Co cię tak śmieszy? – zapytał, obejmując ją ramieniem, jakby tam właśnie powinno spoczywać.

– Nic, to tylko moja rodzina. Są wkurzeni, że nie zostałam na kolację.

– Czy twój ojciec będzie mnie nienawidził do końca świata?

Patrzyli na siebie przez spowolnioną sekundę, a potem smakowała jego nieznaną, pachnącą aperolem usta, jej ręce powędrowały na tył jego głowy i kark i wiedziała już, że nigdy nie dotrą na przyjęcie.

Jesse

Kuchnia, Gloucester Terrace 34, Camden, 22.12

Sylwester z Emmą i Andrew był dziwnym, wyciszonym wieczorem. Olivia została na górze, nie chcąc nawet słyszeć o jedzeniu czy towarzystwie, a oni czuli, że nie powinni rozmawiać o niczym innym. Stale więc pograżali się w długim, smutnym milczeniu. Jesse zajrzał do niej po wiadomościach, ale sądząc po tym, jak sztywno stała w jego uścisku, wiedział, że chce zostać sama. Nikt nie miał żadnych wiadomości od Phoebe, która nadal była na randce. To raczej okrutne, pomyślał, zważywszy, że o śmierci Seana wspominały wszystkie media społecznościowe. Zaczynał rozumieć, jak funkcjonuje jego młodsza siostra – była urocza i zabawna, ale zawsze stawiała siebie na pierwszym miejscu.

Nikt zbyt wiele nie zjadł, choć Emma namawiała ich na kurczaka, zapomniawszy chyba, że Jesse jest weganinem. Teraz był głodny, ale bał się, że jedząc, okaże brak szacunku. Brownie ze słodkich ziemniaków, które upiekł, stało nietknięte.

– Co powiecie na noworoczną krzyżówkę? – zapytała Emma. – Przydałoby mi się coś, co oderwałoby mnie od... od... – Wyglądała, jakby znów miała zacząć płakać, więc Andrew chwycił numer „The World” i zaczął go gorączkowo przerzucać. – To taka nasza mała tradycja – wyjaśniła Emma, opanowując się. – W „The World” publikują wielką krzyżówkę, której hasła dotyczą wydarzeń minionego roku. Zawsze jestem w tym beznadziejna, ale to jest dość zabawne.

– Jasne – odparł Jesse, myśląc, że w zaistniałych okolicznościach to dość osobliwy pomysł. – W domu robimy to samo, gramy w Trivial Pursuit w czasie Święta Dziękczynienia.

Wyglądało na to, że Emma nie może się zdecydować, jak sobie z tym wszystkim radzić – albo płakała, albo siliła się na normalność. Pewnie była w szoku. Przynajmniej Andrew zachowywał spokojną głowę, zupełnie nie jak wtedy, gdy Olivia straciła przytomność. Jesse nie poradziłby sobie, gdyby znów musiał przejąć inicjatywę.

– Dobra. No to jedziemy. Kultura popularna. „Która artystka śpiewała: *He see me do me. Dirt, dirt, dirt, dirt, dirt, dirt*” – przeczytał Andrew, licząc „dirt” na palcach. – No, Jesse, jesteś tu jedynym przedstawicielem młodego pokolenia – powiedział, spoglądając na niego znad okularów.

– Może Princess Gaa Gaa? – zapytała niespokojnie Emma.

Ciągnęli to bez entuzjazmu, wzdrygając się na każde skrzywienie w oddali, które mogło oznaczać, że Olivia schodzi na dół. To chyba lepsze niż siedzieć w milczeniu, pomyślał Jesse. Żałował, że musi ich tak zostawić. Wiedział, że

będzie się martwić o Olivię i Emmę. Wcześniej powiedział Danie, że to dziwne, ale wydaje mu się, jakby znał tę rodzinę od miesięcy. Może uda mu się przekonać Birchów, żeby przyjechali na następne Boże Narodzenie i poznali jego rodzinę w Stanach. Z dala od Weyfield poczują się lepiej. Dziecko będzie wtedy miało, ile, cztery miesiące? Pomyślał, jak bardzo chciałby być częścią życia siostrzenicy bądź siostrzeńca. Nie być w oczach dziecka nowym członkiem rodziny. No i jego matka uwielbia małe dzieci. Dlatego chciała mnie adoptować, pomyślał, poklepując list Leili w kieszeni. Dobrze było wiedzieć, że tam jest.

Andrew wyrwał go z zamyślenia.

– Jesse, to będziesz wiedział: „W której popularnej zdrowej przekąsce znaleziono w lutym ślady arszeniku?”

Phoebe

Sugar Rush, Hoxton, 22.32

– Muszę zrobić siusiu – powiedziała Phoebe, gdy przestali się całować, by zaczerpnąć powietrza.

Poczuła się jak nastolatka, czując się tak w miejscu publicznym. A całowanie się z Casparem było objawieniem. Zawsze po paru minutach uciekała przed otwartymi ustami i natarczywym językiem George'a, powtarzając sobie w duchu, że to normalne, bo pary z długim stażem się nie całują. Zsunęła się z kolan Caspara i wyszła z boksu, starając się nie potykać, bo wiedziała, że będzie obserwował, jak ona idzie w stronę toalet. Kiedy już znalazła się w środku, wrzuciła na Instagram zdjęcie ich koktajli z podpisem: „Mogą z tego wyniknąć kłopoty...”. Liczyła, że George i inni zorientują się, że jest na randce, ponieważ na zdjęciu pojawiła się też ręka Caspara. Siedząc na sedesie, bezmyślnie przerzuciła wiadomości na Twitterze. Przez chwilę jej mózg, oszołomiony alkoholem i Casparem, nie potrafił pojąć hasztaga *#Sean Coughlan*, który stale się pojawiał. *To bardzo smutna wiadomość o irlandzkim lekarzu, Wielka szkoda, świat potrzebuje więcej takich ludzi jak Sean Coughlan*, przeczytała. Przecież Sean czuł się lepiej? Potem ujrzała jednoznaczny wpis: *RIP Sean Coughlan, wielka strata*.

Siedziała sparaliżowana z rajstopami opuszczonymi do kolan. Nic dziwnego, że rodzice zostawili jej tyle wiadomości. Wiedziała, że powinna wrócić do domu. Ale randka przebiegała tak dobrze. Jak mogła to wytłumaczyć Casparowi, nie rujnując wszystkiego? Czy Olivia w ogóle zechce, żeby była przy niej? Phoebe nigdy nie wiedziała, co powiedzieć, nawet najbliższym. Ale jeśli nie wróci do domu, jak zawsze okaże się tą „Phoebe, która nie zwraca uwagi na wiadomości”. Telefon zapikał. Esemes od Caspara.

Uciekłaś przez okno? :)

Cholera. Musi wybierać.

Andrew

Kuchnia, Gloucester Terrace 34, Camden, 23.04

Siedząc naprzeciwko Jessego, Andrew myślał, że jego syn jest bardzo dzielny – rozwiązywał z nimi krzyżówkę w tak ponury wieczór. Nie przestawało go zdumiewać, jak zmienne jest życie. Kilka godzin temu czuł olbrzymią ulgę, gdy przekazał Jessemu list Leili, i krzątał się po domu głupio zadowolony z rozmowy, którą odbyli. A po rozmowie z Olivią w samochodzie czuł, jakby nauczył się nowego języka. Zniknęło nawet skrępowanie wynikające z ekscentrycznych pomysłów Jessego dotyczących leczenia – Emma obiecała mu, że spróbuje pić „zielony sok” mimo konwencjonalnej terapii, którą zaleciła Olivia.

Wcześniej schłodził butelkę Dom Perignon rocznik 1984, planując o północy wnieść toast za Olivię, może nawet powiedziec kilka słów. Teraz raczej do tego nie dojdzie. Myśląc o niej, siedzącej na górze, nie można było świętować. A gdzie podziewała się Phoebe? Gniew na młodszą córkę był zupełnie nowym zjawiskiem. Andrew omijał właśnie hasło w krzyżówce dotyczące haag, gdy usłyszeli zatrzymującą się przed domem taksówkę. Rozległ się zgrzyt klucza w drzwiach frontowych, a po nim stukot obcasów na schodach.

Do kuchni weszła Phoebe. Zawsze wyglądała rewelacyjnie, nawet gdy była wstawiona.

– Właśnie się dowiedziałam. – Nachyliła się, by rozwiązać buty. O mało co się nie przewróciła i zrezygnowała. – Gdzie ona jest?

– Na górze – powiedziała Emma.

– Co, sama?

– Tego sobie życzy, kochanie. Nie chce zejść na dół i nie chce, żeby ktoś z nią siedział.

– Ja pójdę – odparła Phoebe, nie czekając, aż ktoś ją zatrzyma.

Usłyszeli, jak wchodzi po schodach, a Andrew przypomniał sobie rozmowę na Skypie z listopada, kiedy Phoebe i Olivia nie miały sobie nic do powiedzenia. Może każda rodzina powinna odbyć kwarantannę, pomyślał.

Olivia

Pokój gościnny, Gloucester Terrace 34, Camden, 23.16

Trzy kondygnacje wyżej Olivia wpatrywała się w sufit. Usłyszała, że ktoś wchodzi po schodach. Kroki wydawały się zbyt lekkie jak na rodziców czy Jessego, ale Phoebe była przecież na randce. I tak nie spodziewała się, że wie o Seanie. Albo że przerwie randkę. To nie było do niej podobne – a przynajmniej do Phoebe, którą znała.

Jednak to była Phoebe. Zamknęła za sobą drzwi i zrzuciła buty, poruszając się lekko niepewnie. Nie odezwała się ani słowem, tylko położyła się obok na waleta. Kładły się tak, gdy były małe, w swoim pokoju w Norfolk, kiedy jednej z nich przyśnił się koszmar. Jej stopy nadal sięgały zaledwie do ramion Olivii. I choć wyczuwała, że siostra nie wie, co powiedzieć, było to w pewnym sensie kojące.

– On nadal tu jest, Wiv – powiedziała w końcu Phoebe. – W tobie. Twoje dziecko jest w połowie Seanem. Więc on nadal tu jest i zawsze będzie.

Przez chwilę leżały w milczeniu, dotykając się teraz bokami.

– Zejdź do nich. Ja też może za chwilę przyjdę – odparła Olivia po chwili. Zaskoczyło ją, że mogła uformować zdanie.

Phoebe usiadła.

– Tak! Przyjdź koniecznie, rozwiążują tę głupią krzyżówkę – powiedziała, a na jej twarzy pojawił się wyraz paniki, że nie powinna była mówić czegoś tak normalnego ani zdradzać, że rodzice nie rozpaczają.

Olivia chciała jej powiedzieć, że to jest okej, ale wiedziała, że Phoebe poczuje się jeszcze bardziej zażenowana. Czasami rozumiała siostrę lepiej, niż myślała.

Słuchała, jak Phoebe schodzi po schodach, i pomyślała o tym, co siostra powiedziała o Seanie. Słowa wirowały wokół strachu, że już nigdy nie będzie w stanie ruszyć do przodu – że dziecko na zawsze pograży ją w żałobie. Phoebe miała rację: można na to spojrzeć inaczej. Połowa Seana będzie żyła dalej pod jej opieką. Może właśnie dlatego to dziecko się urodzi. Ta myśl coś w niej poruszyła, a fala bólu lekko, leciutko się cofnęła.

Emma

Kuchnia, Gloucester Terrace 34, Camden, 23.35

Siedząc przy stole naprzeciwko Andrew, Emma nie mogła się na niczym skupić – zwłaszcza na krzyżówce, którą zaproponowała. Nie była nawet w stanie jeść, co nigdy się nie zdarzało. Mogła tylko myśleć o Olivii. Miała nadzieję, że Phoebe nie popełniła jakiejś gafy. To dobrze, że wróciła do domu, ale wyglądała na wstawioną i mogła powiedzieć coś niewłaściwego. Sama już dwa razy bezskutecznie błagała Olivie, żeby zeszła na dół. Po wszystkim, co się wydarzyło w czasie świąt, liczyła, że Olivia będzie chciała mieć ich przy sobie w trudnych chwilach, ale wyglądało, że nic się nie zmieniło.

Nadal nie mogła uwierzyć w to, co się stało. Zawsze tak było, gdy umierał ktoś młody. Na zdjęciu Sean wyglądał na tak silnego, tak pełnego życia. Żałowała, że nie wiedziała o wszystkim, kiedy spotkali się na lotnisku. Wyobrażała sobie, co by powiedziała, a teraz nigdy już tego nie zrobi. Jej żal nie miał jednak żadnego znaczenia. Ale nie mogła znieść, że Olivia tak strasznie cierpi.

Andrew zadał jeszcze jedno pytanie, na które nie znała odpowiedzi, kiedy zjawiała się Phoebe, bez butów. Wydawała się już całkiem trzeźwa, gdy stawiała wodę na herbatę.

– Chyba za chwilę do nas zejdzie – powiedziała.

Phoebe

Kuchnia, Gloucester Terrace 34, Camden, 23.45

Phoebe wiedziała, że raczej nie wypada opychać się pysznymi brownie Jessego. Nikt inny niczego nie jadł, ale ona musiała – umierała z głodu po koktajlach wypitych na pusty żołądek. Kiedy zobaczyła poszarzałe twarze rodziców, ucieszyła się, że wróciła do domu. Żałowała, że nie może ukoić bólu Olivii tak szybko, jak Caspar poradził sobie z jej bólem. Strasznie było oglądać Wiv, zwykle tak opanowaną, która płakała, jakby miało pęknąć jej serce. Nawet nie zdawała sobie sprawy, że płacze, łzy lały się jak z niezakręconego kranu. Teraz wszystko będzie inaczej, gdy matka i siostra potrzebują pomocy. Będą musieli z ojcem dorosnąć.

Zabzyczała komórka. Podejrzewając, że to Caspar, ukradkiem sprawdziła wiadomość pod stołem. Ale nadawcą był George: *Szczęśliwego Nowego Roku, mała. Tęsknię za Tobą.*

O mało co nie zakrztusiła się kakao, gdy wciągnęła gwałtownie powietrze. *Pieprz się*, odpisała natychmiast, lecz zaraz usunęła wiadomość. Nie czuła się już tak wściekła – to wszystko było zbyt odległe. Wiedziała, że pewnego dnia będą się musieli spotkać na drinka na neutralnym gruncie. Ale to nie będzie miało żadnego znaczenia – cały ten rozdział był już wspomnieniem. Kiedy wyciszała telefon, do kuchni weszła Olivia. Nie zastanawiając się ani chwili, Phoebe zerwała się i przytuliła ją – nie był to dawny sztywny uścisk, lecz prawdziwe, miazdzące piersi przytulenie.

Olivia

Kuchnia, Gloucester Terrace 34, Camden, 23.54

Olivia siedziała przy stole, trzymając kieliszek z odrobiną szampana, którą nalał jej Andrew. Całe ciało nadal ją bolało, jakby ktoś ją pobił. Ale Phoebe miała rację, namawiając ją, żeby tu zesła. Zawsze uważała, że lepiej jest płakać w samotności, ale teraz zastanawiała się, czy się nie myliła. Widząc, jak bardzo wszyscy są zdenerwowani, chciała otoczyć się normalnością – czymkolwiek, byle tylko pozbyć się uczucia, że spada w przepaść.

Nagle coś trzasnęło i w kuchni zapanowała ciemność. Głos w radiu umilkł.

– Nie ma prądu! – krzyknęła Phoebe.

Andrew włączył latarkę w szwajcarskim scyzoryku, otworzył skrzynkę z bezpiecznikami w rogu i coś tam poruszał. Nic się nie wydarzyło.

– Chyba padła cała ulica – powiedział, wyglądając przez okno. Wziął zapalki i lichtarze z kredensu, zapalił świecę i postawił ją przed Olivią. Przez chwilę trzymał zapaloną zapalkę. – To nadal przypomina mi Afganistan – powiedział, a potem spojrzał na nią, jakby czując, że powinien milczeć.

Wypiła mały łyk szampana.

– Tak? Nigdy nie opowiedziałeś nam całej historii.

Świeca zamigotała i Olivia ujrzała wpatrzonych w nią w zdumieniu Emmę, Phoebe i Jessego, potem Andrew. A kiedy on zaczął opowiadać swoją historię, pomyślała: Będzie trudno. Ale nie będę sama.

Epilog

Seamus Andrew Coughlan Birch

ur. 17 sierpnia 2017, 1.03

Podziękowania

Z całego serca dziękuję mojej agentce, Olivii Guest, z Jonathan Clowes, za to, że namawiała mnie do napisania czegoś dłuższego niż artykuł, i za wiarę w ten pomysł. Bez Ciebie odłożyłabym pisanie beletrystyki na całe lata. Podziękowania kieruję też do Cary Lee Simpson, która tak cudownie zastąpiła Oliwię podczas jej urlopu, i do Ann Clowes za jej czas, rady i doświadczenie.

Dziękuję wszystkim w wydawnictwie Little, Brown za tak miłe powitanie, a przede wszystkim Emmie Beswetherick. Jesteś najbardziej entuzjastycznym, wnikliwym i wyrozumiałym redaktorem, jakiego tylko można sobie wymarzyć – dobrą wróżką wśród redaktorów – i cudownie było razem pracować. Wyrazy wdzięczności kieruję też do Andy’ego Hine’a, Kate Hibbert, Heleny Doree, Sarah Birdsey i Joego Dowleya z działu praw autorskich w Little, Brown; dzięki Waszej niestrudzonej pracy moja książka może się pojawić w wielu krajach. Specjalne podziękowania płyną do Dominica Wakeforda i Elli Bowman za rady i entuzjazm dla mojej książki, a także do Ursuli Mackenzie, Charliego Kinga i Tima Whitinga.

Dziękuję też wszystkim w Berkley w Nowym Jorku – to dla mnie wielka radość, że mogę być częścią amerykańskiej rodziny wydawnictwa Penguin. Specjalne podziękowania niech przyjmą Craig Burke, Jeanne-Marie Hudson, Claire Zion, Jennifer Monroe, a przede wszystkim moja redaktorka Amanda Bergeron. Twoje pozytywne nastawienie, sugestie i wyczucie brytyjskich „smaczków” były nieocenione.

Z całego serca dziękuję mojej matce Laurze, mężowi Luke’owi i drogiej przyjaciółce Laurze Cox-Watson. To wielkie szczęście mieć przy sobie tak wyjątkowych konsultantów do spraw fabuły i pierwszych czytelników. Jestem też ogromnie wdzięczna rodzicom i teściom za wszystkie godziny poświęcone na opiekę nad Finlayem i Maxem, dzięki czemu mogłam pisać aż do wyznaczonego terminu i długo po nim.

Na koniec dziękuję serdecznie moim przyjaciółkom, Felicity Fitz-Gerald i Charity Garnett, których heroiczna praca w Sierra Leone dała impuls do napisania tej historii i które pomogły mi napisać ją jak należy. Wasza odwaga, dobroć i wiedza budzą wielki podziw.

I na koniec jeszcze raz dziękuję Luke’owi – za wszystko.

[1] Ang. *beard* – broda.

[2] Delia Smith – gospodyni programów kulinarnych w brytyjskiej telewizji i autorka wielu książek kucharskich (przyp. tłum.).

[3] „Big Issue” – brytyjskie czasopismo sprzedawane na ulicach przez bezdomnych, którzy dzięki temu mają szansę zarobić pieniądze w legalny sposób (przyp. tłum.).

[4] OCD – obsessive-compulsive disorder – zaburzenia obsesyjno-kompulsywne. Emma kojarzy ten skrót także z zespołem rockowym AC/DC (przyp. tłum.).

[5] Boxing Day – 26 grudnia, nazwa święta pochodzi od dawnej tradycji wręczania w tym dniu służbie i potrzebującym prezentów zapakowanych w pudełka (boxes).

